

*Tylko ci, których kochasz,
mogą cię skrzywdzić aż do końca.*

GRZEGORZ KAPLA

BEZDECH



GRZEGORZ KAPLA

BEZDECH

Burda Publishing Polska Sp. z o.o.

ul. Marynarska 15, 02-674 Warszawa

Dział Handlowy: tel. 22 360 38 41–42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Tekst © 2018 Grzegorz Kapla

Opracowanie redakcyjne: Justyna Wodzisławska

Projekt graficzny okładki: Krzysztof Rychter

Projekt graficzny makiety oraz korekta: **erte**

Redaktor prowadzący: Małgorzata Zemsta

Redaktor techniczny: Mariusz Teler

Zdjęcie na okładce: Diana Festa / Arcangel Images

Copyright for Polish Edition © 2018 Burda Publishing Polska Sp. z o.o. All rights reserved.

ISBN 978-83-8053-387-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach do przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych, również częściowe, tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo

SPIS TREŚCI

Prolog

Rozdział Pierwszy

Rozdział Drugi

Rozdział Trzeci

Rozdział Czwarty

Rozdział Piąty

Rozdział Szósty

Rozdział Siódmy

Rozdział Ósmy

Rozdział Dziewiąty

Rozdział Dziesiąty

Rozdział Jedenasty

Rozdział Dwunasty

Rozdział Trzynasty

Rozdział Czternasty

Rozdział Piętnasty

Rozdział Szesnasty

Rozdział Siedemnasty

Rozdział Osiemnasty

Rozdział Dziewiętnasty

Rozdział Dwudziesty

Rozdział Dwudziesty Pierwszy

Rozdział Dwudziesty Drugi

Rozdział Dwudziesty Trzeci

Rozdział Dwudziesty Czwarty

Rozdział Dwudziesty Piąty

Rozdział Dwudziesty Szósty

Rozdział Dwudziesty Siódmy

Rozdział Dwudziesty Ósmy

Rozdział Dwudziesty Dziewiąty

Rozdział Trzydziesty

Rozdział Trzydziesty Pierwszy

Rozdział Trzydziesty Drugi

Rozdział Trzydziesty Trzeci

Rozdział Trzydziesty Czwarty

Rozdział Trzydziesty Piąty

Epilog. Dziesięć dni później

Podziękowania

Przypisy

Wszystkie postaci występujące na kartach tej powieści w rolach pierwszoplanowych są fikcyjne i urodziły się w mojej wyobraźni. Ich podobieństwo do prawdziwych ludzi jest czysto przypadkowe, a jeśli się zdarzy, nie było zamierzone.

W epizodach pojawiają się czasami autentyczne postaci. Zazwyczaj w wymyślonych sytuacjach, ale zdarza się przywołać prawdziwe – jak lądowanie papieża Jana Pawła II i jego powitanie na lotnisku.

Oddzielenie prawdy od zmyślenia przyniesie Czytelnikom, mam nadzieję, dobrą zabawę.

Autor

PROLOG

Dziewczyna miała jasną skórę. Jasną jak mleko. Włosy czarne, kręcone, gęste i długie. Miała też długie, smukłe nogi i włosy łonowe czarne niczym smoła. Niemodny, kędzierzawy zarost wbrew dzisiejszym czasom – niegolony. Piersi małe, a sutki brunatne, jakby wzięte z zupełnie innego ciała. Brzuch wzdęty i pokryty niebieską siecią żył i ciemnymi plamami siniaków. Ramiona obdarte.

– Długo tak leży? – zapytała Olga przez zaciśnięte zęby.

– Nie wiem, zimno jest, ale ciało spuchnięte, okężnica zgniła, więc pewnie przeleżała kilka, może nawet kilkanaście dni.

– Znaczy, nie wiesz?

– Znaczy, będę wiedział za kilka dni. – Grzegorzycyk wcisnął siną dłoń w gumową rękawiczkę, przyklęknął i obejrzał usta dziewczyny. Potem wetknął palec między zęby, żeby rozewrzeć szczęki. W środku było błoto. Włożył palec głębiej i wyciągnął stamtąd grudę mułu.

– Nic się nie złowiło – uśmiechnął się.

Odgarnął włosy z twarzy dziewczyny. Była spuchnięta i podrapana.

– Walczyła?

– Niekoniecznie. Woda niska, mogło ją poobdzierać, jak płynęła z prądem. Myślę, że leżała na brzuchu. Inaczej ptaki dobrałyby się do oczu. Słyszałaś, że gawrony przylatują do nas z Rosji? Nasze, polskie, narodowe gawrony lecą na południe, a do nas przylatują gawrony z Rosji. Ruskie gawrony jak nic wydziobałyby jej oczy.

– Ale sama się nie utopiła, co? – mruknęła Olga i pochuchała w dłoń. Deszcz właśnie zaczynał zamarzać. Na zielsku, na trawie, która wciąż jeszcze trzymała się zielona i wyprostowana, osiadały białe mokre pajdy.

– Cholera wie, przecież teraz nie brak napaleńców. Jakiś biegacz ją znalazł, a skoro komuś chce się biegać w taką pogodę, to może komuś się zachce pływać. Teraz wiesz, co jest modne. Triathlon. – Grzegorzycyk sapał. Tusza nie pozwalała mu klęczeć długo z głową w dół. Był wkurwiony, bo musiał sobie zamoczyć buty i

nogawki spodni. Nie płacili im dość, żeby sobie codziennie kupował nowe buty.

– Chyba żartujesz? Przecież nie pływałyby na golasa?

– Żartuję, żartuję. – Obejrzał uszy dziewczyny. Miały wydłużony kształt. Musiała być kiedyś ładna. – Ale jakby się naćpała czy coś, to kto wie...

– Myślisz, że się naćpała?

Grzegorz popatrzył na dziewczynę, a ona popatrzyła na niego wielkimi czarnymi oczami. Wzdrygnął się nagle, bo w kieszeni Olgi zaterkotał telefon.

– Suszczyńska – powiedziała do słuchawki.

– ...

– No, mamy zwłoki, mamy. Biegacz ją znalazł. Spisują go w radiowozie, bo przecież przemarznięty jest, zachoruje i nas oskarży.

– ...

– Tak, żartuję, no pewnie, że żartuję. Ale jakby był pieprzonym prawnikiem, toby nas oskarżył. Prawnicy często biegają, bo niewiele pracują. Co?

– ...

– Grzegorz nie wie, ile leżą, na moje oko z tydzień. Goła, młoda, poharatana o dno.

– ...

– Nie, nie wiem, czy zabita, nie wiem, czy zgwałcona.

– ...

– Kurwa, nie gadaj. – Pomyślała o papierosie. – Pierdolony PiS. Dobrze, przyjadę i się zamelduję.

– Co tam? – Grzegorz wyprostował plecy i łapał powietrze jak ryba. Był czerwony na twarzy. Ręce w tych gumowych rękawiczkach trzymał przed sobą jak kret.

– Przegłosowali ustawę.

– Jaką ustawę?

– No, jak to jaką? O ubekach. Emerytury zabierają.

– Przecież ty nie masz emerytury.

– Ale zabierają wszystkim, co pracowali za komuny w resorcie. I tym, co już mają, i tym, co jeszcze nie mają, ale mogliby już mieć. Siwemu zabierają.

– A co, on w ubecji pracował? – Grzegorz pociągnął nosem.

Pomyślała, że się jeszcze chłop przeziębi. Zrobiło się jej go żal. Pewnie nikt go

nie przytula. Na pewno nie przytula. Jak ktoś jest przytulany, to z trupami nie musi pracować, może sobie leżeć na kanapie, nadstawiać kark do głaskania i gadać o modzie. O nowej kolekcji Gosi Baczyńskiej. Czytała, że to najlepsza kolekcja tego roku. Inni uważają, że Ossoliński pokaże lepszą, ale to dopiero za kilka dni. I że Zień wrócił. I że pielęgnacja brody wymaga wiele uwagi. Takie rzeczy w poczekalni u dentysty. Buty powinna sobie kupić. Nie wypada, żeby dziewczyna chodziła w pozdzieranych butach. Ale lubi je przecież. Zresztą, kto w fabryce zwraca uwagę na buty. Na zęby to co innego. Przesunęła językiem po wewnętrznej stronie. Były gładkie i pomyślała, że są białe. I że warto było wydać na piaskowanie, chociaż trochę bolało.

– Hej! – Grzegorzycy wyrwał ją z zamyślenia. – Siwy robił w ubecji?

– Mówi, że w gospodarczej, a potem w kryminalnej. Że waluciarzy łąpał. Weryfikację przeszedł. Państwu demokratycznemu się przysłużył, awansował, w pałacu dostał gabinet, a teraz zostanie mu tysiąc pięćset złotych. Wkurwił się.

– No, ja się nie dziwię. – Grzegorzycy klęknął. – Ty już, kurwa, narobiłeś zdjęć?

– No. – Młody technik kiwnął głową.

– To chodźże tu, obracamy. – Chwycił topielicę za ramię. – Bierz się za nogi.

Młody wsunął aparat do torby fotograficznej bez odkręcania flesza, a potem rozejrzał się nerwowo, bo nie bardzo było na czym postawić torbę. Wszędzie błoto albo ten mokry pierwszy śnieg.

– Kurwa mać. – Zdenerwował się, bo Grzegorzycy znowu zaczynał sapać. – Pozwoli pani?

Popatrzył na Olgę, a ona wyduła wargi.

– Co? Ja mam ją odwracać?

– Nie, ale może potrzyma pani torbę?

Pomyślała, że mogłaby go polubić za tę nieśmiałość. I za te niebieskie oczy. Wyciągnęła rękę.

– Daj.

Torba była ciężka. Jakby kamienie tam nosił, a nie aparat. Ale nie dała po sobie poznać, że poczuła.

Młody uśmiechnął się, włożył w wodę po kostki w tych swoich adidasach do biegania i chwycił dziewczynę za stopy.

– No gdzie, kurwa, łapiesz, durniu. – Grzegorzycy pokazał mu, żeby wyżej,

gdzieś tak na wysokości bioder.

– Rękawiczek nie mam – jęknął młody przepaszającym gestem.

– Jak nie masz? – Grzegorzycy stęknął i niezgrabnie sam zaczął odwracać zwłoki.

– Ja pierdołę! – Młody aż się odsunął.

Gawrony zerwały się z drzew z chrapliwym gruchotem.

– Co tam? – Olga wyciągnęła szyję.

– Sama sobie tego nie zrobiła. – Grzegorzycy zrobił miejsce, żeby mogła spojrzeć.

Plecy dziewczyny pokryte były wybroczynami, jakby kto przejechał po niej ciągnikiem.

– Ktoś jej spuścił potężne manto – ocenił Grzegorzycy.

– Dobrze, to ja idę – postanowiła. – Zrobisz mi jakiś papier z tego, dobrze?

Zrobiła kilka kroków w górę, zanim się zorientowała, że wciąż ma na ramieniu torbę młodego.

– O, przepraszam. – Odwróciła się bez uśmiechu i poczekała, aż on wylezie z wody i podejdzie. Buty ślizgały się na mokrej ziemi. Płaty śniegu były coraz większe i coraz bardziej mokre.

Wyciągnęła rękę i podała mu torbę.

– Brrr – uśmiechnął się i wzdrygnął. Buty miał przemoczone do reszty. Ale nie miała czasu się nad nim litować. Odwróciła się i poszła w lewo, kombinując, którędy powinna pojechać. Może przez plac Wilsona?

Minęła przemoknięte stoły letniego bungalów baru i sklep rowerowy. Samochód stał w kałuży, chociaż kiedy parkowała, było tu całkiem sucho.

„W Polsce mamy trzydzieści osiem dni wolnych od pracy w ciągu roku i to nas plasuje w czołówce Europy – usłyszała w radio, kiedy tylko przekreśliła kluczyk. – Lepiej od nas mają tylko Szwedzi, Duńczycy i Niemcy. Jeżeli jednak policzyć, ile pracodawcy muszą zapłacić za dni wolne swoim pracownikom, to nikt w Europie nie ma gorzej od nas”.

Skręciła w prawo, pojechała wzdłuż rzędu pawilonów dla wędkarzy. Przy wjeździe na Wisłostradę rozchlapała kałużę. Oberwało się jakiemuś rowerzyście.

– Do jasnej cholery, nawet w taką pogodę muszą się tu szwendać! – Wcisnęła gaz i poczuła, że ją lekko znosi w lewo. Przejechała pod wiaduktem. Po prawej

migotał zadziwiający neon. Pewnie miała to być szklanka wypełniona czymś z bąbelkami.

Miała szczęście z miejscem do parkowania. A to niestety nie było regułą. Patrzyła potem na swoje nogi w windzie. Wilgoć spływała z niej gęstą, oleistą plamą. Zrzuciła buty i skarpetki w małym korytarzu i boso usiadła przed komputerem.

Ekran rozświetlił się od razu. Nie wyłączała laptopa. Miał już swoje lata i mógłby się potem nie chcieć uruchomić.

„Jak czytamy w informacji wysłanej po posiedzeniu Rady Ministrów, dalsze funkcjonowanie systemu, w którym zapewnia się byłym funkcjonariuszom przywileje emerytalne, jest nieuzasadnione. »Dobrowolne podjęcie służby w organach bezpieczeństwa na rzecz totalitarnego państwa i pełnienie jej w większości przypadków przez wiele lat, jest wystarczającym powodem do obniżenia emerytur i rent tym osobom oraz pozostałym po nich rencistom rodzinnym«, czytamy – przewijała witrynę Wprost.pl. – Autorzy ustawy argumentują, że nie jest to kara dla byłych funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa państwa, a jedynie odebranie im »niesłusznie przyznanych przywilejów«”¹.

– Kurwa mać! Nie, żeby kochała ubecję i komunę, ale skoro dwadzieścia lat temu przeszli weryfikację i pracowali od tej pory dla wolnej Polski, to powinno ich się traktować jak ludzi.

Przejrzała newsy. Premier zapewnia, że nie zawróci z drogi reform. Archeologowie trafili na ślad słowiańskiej osady w Maroku. Przejrzała ten tekst, bo Słowianie w Afryce to musiał być jakiś fejk. Ale nie, profesor Filipowiak tłumaczył, że Qarjat as-Saqaliba to nie mrzonki, i naukowcy wiedzieli o istnieniu takich osad już od co najmniej pół wieku. Okazało się, że to była wieś zamieszкана przez ludzi schwytyanych na wojnie i sprzedanych w niewolę. Wieś niewolników.

Na pasku wyświetliły się jej reklamy książek. Dużo czytała. Pomyślała, że innym kobietom pewnie wyświetlają się buty. Lubiła używane książki, ale nie lubiła antykwariatów z ich zapachem stęchlizny i grzybów. Między używanymi książkami a starymi książkami jest różnica. Jak między sercami.

Używane nie muszą być stare. Stare nie muszą być używane.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KIEDYŚ

– Opowiedz o Golemie, dziadku, opowiedz.

Późno już było. Mgła znad rzeki szła nie szara, jak zwykle, ale całkiem czarna. Jak atrament, pomyślał, jak atrament. Wolałby poczytać coś, ale cóż, chłopcy nie chcieli zasnąć. Poruszył ramionami w górę i na boki, jak wielki ptak, który próbuje wyprostować skrzydła, a potem podszedł do stolika i zapalił dwie grube świece, oblepione woskiem niczym sękami. Miały kolor trupa i chłopcy bali się, że z płomienia na kosmatym knocie wylezie dybuk. Hirsz słyszał o dybuku od kolegów. Wszyscy wiedzieli, że dybuk zabrał kiedyś ciało Lei, ukochanej Chonena.

W każdym razie chłopcom nie było wolno samemu zapalać świecy. Ani nawet gasić.

– Trzeba umieć zapalić świecę i trzeba umieć ją zgasić. Kto gasi świecę, może zwrócić uwagę Złego – straszyla ich czasami matka. Śmiała się przy tym, żeby wiedzieli, że żartuje, ale niepokój pozostał. Hirsz robił wtedy grubą minę, ale Beniamin naprawdę się bał.

Zawsze. Tylko nie przy dziadku.

Dziadek znał naturę dobra i zła. Ludzie przychodzili, żeby im prostował drogi między naszym światem a światem, do którego zmierzamy. Wszyscy mu się kłaniali. Benek wiedział, że dziadek zła się nie ulęknie.

Kiedy już zapalił świece, podszedł do drzwi i zgasił światło, a wtedy jego ciało urosło nagle i naprawdę stał się ptakiem. Albo może aniołem.

Chłopcy skulili się pod grubym pledem, a on usiadł na brzegu łóżka. Grube zasłony z czerwonego sukna kołysały się lekko. Za oknami wył wiatr. Gdzieś od Zamku, pomyślał Benek, gdzieś od kolumny Zygmunta. Lubił to miejsce, choć było pod krzyżem. Ale to był przecież krzyż z jego miasta. Jego krzyż.

Opowieść dziadka była z innego miasta. Miasta, którego nigdy nie widział. Z Pragi. Jak mówił dzisiaj tata, z niemieckiej Pragi.

– Jehuda Löw ben Becalel marzył o Golemie na długo, zanim został najświetniejszym rabinem i astrologiem swoich czasów – zaczął dziadek, a kiedy mówił, świece skwierczały i drżały. Wtedy cień za jego plecami rozkładał skrzydła. – Marzył od dziecka o stworze, który mógłby za Żydów pracować cały szabas, bo byłby przecież stworem, a nie człowiekiem. Wiedział, że można byłoby go ulepić z gliny. Ba! Potrafił się tym zająć. Ulepił już niejedną miskę i niejedną figurkę. Ale glina nie umiała przecież pracować... Minęło pół wieku i Jehuda został w Pradze wielkim alchemikiem. Przyjacielem cesarza Rudolfa. Potrafił czynić cuda i zadziwił świat. Ale glinianego stworzenia nie umiał ożywić. Aż kiedyś usłyszał od swojego ojca, że w synagodze Staronowej trzymają pradawną księgę stworzenia Sefer Ha Yetzera. Księgę, która zawiera prawdziwe słowa. Kto zna prawdziwe słowa, może tchnąć życie w martwe ciało. Oczywiście nie wolno tego uczynić. I słowa nie są widoczne dla zwykłych ludzi, ale jeśli kto posiada mądrość i wiedzę, ujrzy je.

Jehuda posiadał mądrość i wiedzę całego świata. Znał kabałę, Talmud, Biblię i pradawne aramejskie zwoje. Studiował je tak długo, aż poznał imię Boga. Imię, którego nie wolno wymawiać. I wciąż pragnął powołać do życia glinianego człowieka. Ale już nie po to, żeby pracował za Żydów. Po to, żeby ich bronił. Bo w tamtych latach nie mieli łatwego życia. Żli ludzie napadali na Żydów, podpalali ich sklepy, rozbijali okna w domach, wyzywali i poniżali. I choć Jehuda był przyjacielem cesarza, nie potrafił przekonać władcy, jak bardzo jest to złe. I kiedy żydowskie pogromy osiągnęły zenit, pewnej zimnej nocy, czarnej jak smutek, wraz z trójką swoich ulubionych uczniów zsunął się z wysokiej skarpy aż na brzeg Wełtawy. Podciągnął poły chałata i wszedł w nurt rzeki. Zanurzył w niej ręce po łokcie, zacisnął palce w glinie i mule, ale wyciekały mu z dłoni jak mgła. Rzeka nie chciała, żeby wydarł jej życie. Wyszeptał tajemne słowa. I wtedy pozwoliła. Wziął pierwszą garść, drugą i kolejne. Podawał uczniom, a oni wynosili je w górę na czyste płótna. Jehuda wiedział, że Golem będzie rosnać każdego dnia. Ale nie miał czasu. Golem od razu musiał być duży. Większy niż człowiek. Do ust wetknął mu kwitełek, zwitek papieru z Szem ha-Meforaszem, imieniem Boga. Tym, którego nie wolno wymawiać. Na czole potwora napisał „*Emet*”, czyli prawda, a potem

obszedł go siedmiokroć w lewą stronę, aby odrzucić piętno śmierci. – *Shanti, Skanti, Dahat, Dakat* – powiedział. I stwór ożył.

Rabin Jehuda pokazał go cesarzowi. Cesarz nakazał swoim rycerzom, by go pojмали, ale gwardziści nie byli w stanie sprostać sile i nieśmiertelności glinianego potwora.

– Jeśli prześladowania nie ustaną, on nas pomści – powiedział rabin, a cesarz zamarł na widok, jak gliniany wielkolud depce ciała jego rycerzy.

Ale był dumny, więc nic nie powiedział.

Golem tymczasem rósł każdego dnia o jeden centymetr i wkrótce już nie dało się utrzymać w sekrecie jego istnienia. Poddani cesarza bali się chodzić po tej części Pragi, w której mieszkali Żydzi. A potem całkiem już bali się wychodzić z domów, bo mówili, że Golem potrafi przejść przez rzekę i się nie utopić. Że nocami krąży po Malej Stranie. Albo po ulicach wokół rynku.

Handel zamarł. Podatki przestały płynąć i w końcu jesienią 1592 roku najokrutniejszy z cesarzy, Rudolf II, podpisał edykt, który po czterech wiekach prześladowań zapewnił Żydom pokój.

Golem tymczasem nie pojmował, dlaczego nie jest jak człowiek, dlaczego nie potrafi kochać. I dlaczego nikt nie potrafi pokochać jego. Za dnia pracował, ale nocami włóczył się po mieście ze swoją tęsknotą, wielki tak, że nie widział nawet, kiedy zdarzyło mu się rozdeptać biedaków, co spali w cieniu ratusza pod Orlojem, starożytnym zegarem astrologów.

Rósł wciąż i wreszcie Jehuda zrozumiał, że nie może pozwolić mu istnieć. Przywołał go i powiedział: „Jest szabas, więc zawiąż rzemyki u moich sandałów”. A kiedy stwór się pochylił, rabin starł pierwszą literę z jego czoła. Pozostało słowo „*met*”, czyli martwy. Golem rozsypał się w pył. Jehuda spośród skorup wydobył zwitek z imieniem Boga.

I wtedy zobaczył coś jeszcze. Małe, nieforemne, kamienne serce. Żyło za krótko, żeby ludzie nauczyli się je kochać. Jehuda zebrał ułamki – glinianą skorupę z czoła, gliniane usta i serce i ukrył w skrytce w synagodze Staronowej. Kiedyś, pomyślał, kiedyś, kiedy przyjdą złe czasy na Żydów, ktoś znajdzie te skorupy i ożywi Golema na nowo.

– Kto to będzie, dziadku? – zapytał Beniamin. – Może ja?

– Głupi jesteś. – Hirsz stuknął go w głowę.

– Spokój. – Dziadek wstał, a cień za jego plecami wstał trzy razy większy. Anielski. – Miejsce to chronią potężne zaklęcia. Ale kiedy nadejdzie godzina, jakiś mądry rabin przełamie je, odnajdzie serce i kwitełek z sekretnym imieniem Boga, ulepi figurkę, wetknie zwitek do jej ust, nakreśli na czole słowo „*Emet*”, czyli prawda. Okrąży go siedem razy. I wtedy Golem powstanie... Wtedy cofnie się czas.

– Co to znaczy, dziadku? – zapytał Beniamin. – Co to znaczy, że cofnie się czas?

– Głupi jesteś – mruknął Hirsz. – Nie da się cofnąć czasu.

Ktoś zastukał do drzwi.

– Ktoś do ciebie, ojciec – powiedziała zza nich matka. Nie weszła do środka ani nawet nie wsunęła tam głowy. Nie chciała płoszyć cieni. – Ludzie przyszli prosić o radę.

Przychodzili coraz częściej. Jechać, pytali, czy zostać? Niektórzy wyjeżdżali. Do takich miejsc jak Kapsztad. Albo Buenos Aires.

ROZDZIAŁ DRUGI

DZISIAJ

Są takie sprawy, pomyślała, które można zmarnować tylko raz w życiu. A potem już nigdy nie będzie tak samo. Nie pomoże wódka, nie pomoże bieganie, nie pomogą niebieskie tabletki.

Na przykład dziewczyny tylko raz mogą stracić to, co mają do stracenia. Najczęściej z jakimś cwany chujkiem. A kiedy się bierzesz za politykę, tylko raz możesz powiedzieć „nie” chłopakom ze swojej drużyny. Potem już będzie pozamiatane. Takie są reguły gry. Polityka to gra drużynowa. Trzeba do tego mieć nerwy na wodzy i grubą skórę. I uważać na wszystko. Żadnych ekscesów w publicznych miejscach, żadnych rozmów, które się dadzą nagrać, żadnych kochanków, nic. Jesteś mniszka.

W fabryce jest tak samo. Jesteś mniszka. Nawet kota nie możesz mieć, bo oszaleje w pustym domu. Ani kota, ani królika.

Więc jeśli masz chwilę, a nie masz kota, zostaje bieganie. Biegała. Najpierw dookoła osiedla jakieś półtora kilometra, dysząc niczym parowóz i przeklinając papierosy. A potem coraz więcej i więcej.

To była taka jesień, jakich nie lubi nikt oprócz wron.

Biegała dookoła Kępy Potockiej. Pięć kilometrów, ale przyjdzie dzień, że pobiegnie dwa razy tyle. Była dumna z tego. A może to nie była duma, tylko endorfiny? Jedyne, oprócz alkoholu, skuteczny sposób na to, żeby jakoś dać sobie radę ze wszystkim. Z zakupami, praniem i sprzątaniem. Gdyby nie pot, gdyby nie mokre włosy, kiedy wracała po bieganiu, pewnie zapominałaby o prysznicu.

Ale po treningu nie było nic bardziej przyjemnego niż kawa, Internet i oczekiwanie na ten moment, kiedy ostygnie, przestanie się pocić i będzie mogła się wykąpać.

Jeszcze dziesięć, osiem kroków, wbiegnie na mostek nad Kanałkiem i zatrzyma się, żeby popatrzeć na mulistą, brzydką, starą wodę, w której już pewnie zbierają się gluty zmarzliny. Ósma rano, a ciemno, jakby był wieczór.

Pośliznęła się, bo mostek był wilgotny i oblodzony, ale to nic. Wystarczyło postawić dwa kolejne szybkie kroki, żeby odzyskać równowagę.

Kiedyś popróbowałaby w takiej sytuacji zwolnić, zatrzymać się, a na śliskim nie ma szans. Kto chce się zatrzymać, będzie leżał. Cały sekret w tym, żeby przyspieszyć.

No i nici z patrzenia na wodę, pomyślała. Zbiegła z mostku i dalej było już całkiem dobrze. Ani grama lodu. Stopy płaskały po kałużach. Pieprzony listopad. Kilkanaście dni temu przeczytała, że właśnie nad Warszawą jest superpełnia. Księżyc znajdował się wtedy najbliżej Ziemi. W ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat nie był bliżej. To zły czas dla ludzi. Przeróżni mitomani rozpisywali się o tym, że wzrasta drażliwość, rośnie liczba samobójstw, chorzy psychicznie ujawniają skłonności do lunatykowania, a zdrowi są rozdrażnieni i niespokojni. I oczywiście nie śpią. Podobno rośnie liczba wypadków drogowych, zabójstw i gwałtownych zdarzeń. Księżyc sprawia, że odzywa się w człowieku jego zwierzęca, dzika natura.

Ciekawe, czy topielica leżała w rzece od tamtego czasu? Nie, to za długo, Serbia nie była patologiem, ale kilku topielców już widziała.

Biegła po pochyłej ścieżce aż do Gwiazdzistej, a potem dalej w lewo wzdłuż Kanałku.

Wkurwiająca ta pogoda. Niby nie mróz, ale jednak zimno. Niby tylko deszcz, ale ślisko jak jasna cholera. Niby demokracja jest dla wszystkich, ale jak się zaczynają zmiany po wyborach, to połowa kolegów myśli o tym, żeby się przesiąść na taksówki. Nie na Ubera, ale na te z lotniska.

Myślała, że wybory były dość dawno i świat zdążył się już uleżeć i na nowo ukorzenić. Ci, co trafili dobrze, mieli jeszcze lepiej. Ci, co trafili gorzej, mieli przejebane jeszcze bardziej. A tu odbierają emerytury.

Tfu!

Dyszała ciężko. Palenie sprawiało jej ból. Kilkanaście lat palenia. Płuca miała pewnie jak sito, ale co tam. Po prostu nie lubiła tego momentu, kiedy bolało.

Na szczęście do samochodu już niedaleko. Gdyby nie samochód, nie potrafiłaby biegać. Samochód odgradzał świat kawy i Internetu od tych zachlapanych ścieżek.

Gdyby nie jazda, nie wychodziłaby z domu. Piłaby i oglądała filmy. A tak – wychodziła. Jechała kawałek, ze dwadzieścia minut, czasem kwadrans, wysiadała i wtedy mogła biec. Niektórzy mieli motywacyjne programy w smartfonach, inni personalnych trenerów albo partnerów do biegania, ona miała samochód. Byli partnerami. Rozumieli się bez słów. Dobrze mieć kogoś, z kim porozumiesz się bez słowa.

– No dobra – mruknęła i postanowiła, że dalej już pójdzie. Może u Araba ktoś się krzątał? Spojrzała na przeciwległy brzeg. Chyba nie. Wciąż zamknięte, jeszcze za wcześnie. A trzeba zrzucić przemoczone ciuchy, zanim dupa odmarznie. Czuła, jak uchodzi z niej ciepło. To dziwne, że dupa tak szybko stygnie. Telefon zadzwonił. Właściwie zawibrował, ale przecież o tym wibrowaniu wciąż myślała jak o dzwonieniu. Dzwonienie. Dźwięk ze świata, w którym było mniej telefonów niż chętnych. W każdym razie nie dla wszystkich były. Taki naczelnik telekomunikacji to był gość. Miał szczęście, że wybrał robotę, w której telefon dostawało się bez czekania. Ona też dostałaby bez czekania, gdyby to były tamte czasy. Ale w tamtych czasach była jeszcze zbyt mała, żeby mieć coś swojego.

Spojrzała na wyświetlacz. Siwy.

– Co tam, szefie, dziewczyna czy chłopak?

– Nie dziś, jeden trup w tym tygodniu wystarczy – powiedział Doliński. – Chcę cię widzieć, ale nie w robocie. Za godzinę na mieście. Tam, gdzie lubisz.

To była włoska knajpa w samym centrum. Trudno zaparkować, jeśli nie masz odpowiednich kwitów. Ale jeśli masz, to możesz sobie postawić wóz na przykład przed Marriottem.

– Okej. – Nie pytała więcej. Ulżyło jej po prostu, że nikogo nie zabili ostatniej nocy. – Okej, ale za godzinę nie zdążę, biegam teraz. Muszę się wykąpać.

– Zaczekam.

Lubiła jeździć pustymi ulicami. Tak. To była sobota.

Wdrapała się na górę, sapiąc jak lokomotywa. Kiedyś była smukła i miała dobre wyniki. Potem papierosy, ślęczenie po nocach. A potem jeszcze ten smutek. Czekanie na kroki na schodach. Strach przed prowadzeniem. Wódka. Przeprosiła się z samochodami, czasami rzucała palenie. Siedziała przed komputerem coraz dłużej. Nie czekała już na niczyje kroki. Miała pewnie otłuszczoną wątrobę. No i, kurwa, cellulit. Z nikim się nie kochała od dawna. Nie głaskała nawet królika. Nikt

jej nie przytulał.

Odpaliła Internet. Włosy, sztywne od zimnego potu, opadły na czoło. W nocy zmarł Fidel Castro. Aresztowali jakiegoś Niemca. Zabił kobietę pejcem i zwłoki ukrył w domu.

– Cholera jasna. – Przewinęła wiadomości. – Co się dzieje z tymi ludźmi?

Przypomniała jej się dziewczyna znad Wisły. Wyniki sekcji powinna mieć na biurku w poniedziałek, ale gdyby zadzwoniła dzisiaj do Grzegorzcyka, to może by już coś wiedział. Ale to potem, potem. Nie miała czasu, trzeba się ogarnąć w pięć minut, a przecież i tak nie zdążą jej wyschnąć włosy.

Po bieganiu powinna wziąć kąpiel, ale odwlekała ten moment. Przejrzała pocztę. Hi5 zapraszał do swojej bazy danych. Reszta też nadawała się do kosza.

Nikt z tych, których kiedykolwiek kochała, nie napisał ani słowa.

Zamknęła Windowsa i zrzuciła ciuchy. Brzuch był wielki i ciężki. Chwyciła w palce zwał tłuszczu. Nie w poprzek, ale tak jak należy, wzdłuż włókien. Nie będzie łatwo. Ale postanowiła się nie poddawać. Mniej pić. Więcej biegać. Znaleźć sobie jakiegoś chłopaka. Podobno młodzi chłopacy łatwo zakochują się teraz w dojrzałych dziewczynach.

Zwłaszcza w szczupłych i bogatych.

Weszła pod prysznic i jak zwykle pomyślała, że to dziwne, ale przez całe lata nie wiedziała, że słowo „prysznic” pochodzi od nazwiska pewnego niemieckiego lekarza, specjalisty od leczenia wodą.

Słyszała, że gdzieś na stole dzwoni telefon, ale zbyt cieszyła ją gorąca woda, żeby się pospieszyć. Jeśli chodzi o trupa, to przecież życia mu to nie przywróci.

Stała przed lustrem. Całe zaparowane. Przetarła je ręcznikiem i zobaczyła swoją twarz. Niewyraźną, rozmazaną w strużkach wilgoci. Pamiętała, kiedy spojrziała w to samo lustro pierwszy raz.

Trudno patrzeć w oczy samej sobie sprzed lat. Patrzysz tak i widzisz, że niczego nie umiałaś zmienić. Wciąż masz to samo lustro. Wciąż ten sam widok z okna. Jesteś taka sama. Tyle że masz cienie pod oczami. Cienie smutku. Nie wyciągnęłaś wniosków, niczego się nie nauczyłaś. Wciąż masz te same lęki. Nie potrafisz zapomnieć, że tylko ci, których kochasz, mogą skrzywdzić aż do końca. Wytarła włosy i wcisnęła się w spodnie, których nie zakładała od co najmniej półtora roku. Zbiegła z mokrymi włosami. Kiedy biegasz, jesteś zahartowana. Dopiero kiedy

ruszyła, przypomniała sobie o telefonie.

Spojrzała na wyświetlacz. Grzegorzcyk.

Oddzwoniła.

– Co tam, łapiduchu, nie jesteś na obiadku u teściowej?

– Jeszcze nie jestem, ale będę. – Nie dał się zbić z pantafelku. – Ta dziewczyna, no wiesz, ta z Wisły... jest w tym coś dziwnego.

– Zgwałcona?

– Nie, nie zgwałcona, chociaż i nie święta.

– Co masz na myśli? Kurwa jego mać! – Ledwo odbiła na lewo, kiedy jakiś dureń w yarisie zjechał nagle na jej pas.

– Co się stało?

– Nic, jadę. Co znaczy nie święta?

– No, że nie dziewica.

– To chyba oczywiste, co nie?

– Ona nie jest tutejsza.

– Co znaczy nietutejsza? Znaleźliście jej ubranie, dokumenty miała, dlaczego nic nie wiem? – Ciśnienie się jej podniosło.

– Nie, Olga, coś ty, nic nie znaleźli. Tylko wiesz, te kręcone włosy, grube brwi... No i ona ma ciemną skórę.

– Nie pierdol, jaką ciemną?

– Po tym, jak odleżała swoje w wodzie, tego nie widać, ale ma ciemną, ciemniejszą niż tutejsze słoiki. Ona nie jest Polką.

– Ukrainka? Cyganka? Pewnie jakaś dziwka...

– Nie, nic z tych rzeczy. Ukrainki od Polki nie odróżnisz. Cyganka też nie, Romowie są z antropologicznego punktu widzenia Hindusami... W niej jest coś dziwnego. Ma zielone oczy.

– Ciemnoskóra, kręcone włosy, zielone oczy?

– No.

– I nie dziewica.

– I nie dziewica.

– Dobra. Myśl, bo ja prowadzę, zaraz Aleje i muszę mieć wolne obie ręce. – Wyłączyła się.

Ciemnoskóra, zielone oczy i nie dziewica, pomyślała. Kto ci to zrobił,

dziewczyno? Kto ci to zrobił?... A potem nagle przypomniała sobie własną myśl.
Tylko ktoś, kogo kochasz, potrafi skrzywdzić cię tak do spodu.

ROZDZIAŁ TRZECI

WTEDY

Odkąd synagoga została zamknięta, w piątki modlili się zwyczajnie, w domu. I w domu zapalali świece. Zresztą w domu było teraz tyle samo ludzi co w bożnicy. Tłum. Hirsch żałował. Lubił synagogę. Jej strome schody, menory o siedmiu ramionach rozpięte u wejścia niczym baśniowe smoki. Mówił Benkowi, że to są orły i pilnują, żeby nie mógł do środka przeniknąć ani dybuk, ani Abaddon. Lubił cztery grube kolumny, na których spoczywał dach z trójkątnym tympanonem, zupełnie takim samym, jaki znał z książki do historii. Był tam obrazek z podobizną jakiejś budowli ze starożytnego Rzymu. W książkowym tympanonie kłębiły się ciała żołnierzy i potworów. Trójkątne pole synagogi było puste, ale kiedy na nie patrzył, wyobraźnia malowała tam Judę Makkabiego, gdy wkracza do Świątyni i zapala ogień w menorze. Makkabi oliwy miał tylko na jeden dzień, ale ogień płonął aż osiem... Hirsch lubił też widoczną z daleka kopułę. Była taka jak w Jeruzalem, twierdził dziadek. Była koroną królującą nad całym miastem. Z bliska kopuły nie było widać, ale przecież jeśli czegoś nie widać, to wcale nie znaczy, że to nie istnieje.

– Jak to? – pytał Beniamin.

– Głupiś – prychnął na niego Hirsch. Odkąd zakładał do modlitwy tefilin, uważał się za mężczyznę. Benek wciąż był dzieckiem. I nie zapowiadało się, żeby to się mogło zmienić. Bo przecież odkąd Niemcy przerobili synagogę na magazyn mebli, nie można już było tam chodzić. Jak więc odprawi swoją bar micwę? W domu?

– W domu to nie to samo – mówił Hirsch, a Benek miał wtedy łzy w oczach. – Nie becz, niech nie widzą. Niech nikt nigdy nie widzi, jak płaczesz. Zwłaszcza obcy.

– A mama?

- Kiedy płaczesz, mamie pęka serce.
- Naprawdę?
- Głupiś.

Trudno było sprawić, żeby nikt nie widział łez, bo dom był teraz tak po prawdzie hotelem. Nikt już nie miał swojego pokoju, bo wydawało się, że Niemcy upchnęli na Nowolipkach wszystkich Żydów z całego świata. Chłopcy nie mieli już swoich łóżek i spali ściśnięci razem z dziadkiem. Nie pachniało już jak kiedyś lawendą i czystą skórą, ale coraz częściej śmierdziało potem i moczem. Lustra były pozasłaniane, a kobiety bez przerwy płakały, jakby kto umarł.

Kiedy Niemcy wywlekali wszystkie cenne przedmioty z synagogi, stali z Hirschem na placu i patrzyli. Benek czekał na cud.

Był pewien, że za chwilę Pan ukaze swoją potęgę i porazi Niemców swoim światłem. Mógł łatwo to zrobić. Choćby przez dach podziurawiony od pocisków. To były rany w sam raz dla pioruna. Zresztą Pan nie potrzebuje dziury w dachu, żeby pokazać swoją moc. Więc Benek czekał.

Ale Pan nie zrobił nic. Nawet kiedy wszystkie cenne przedmioty zwalano tuż pod schodami.

Ludzie stali w milczeniu. Sami mężczyźni. Nikt się nie ruszył. Nikt się nie odważył powiedzieć słowa. Nawet kiedy usłyszeli hałas, z jakim Niemcy zwalili na podłogę aron ha-kodesz, żaden się nie ruszył.

A z nieba nie spadł żaden grom. Nie uderzyła żadna z plag. Beniamin nie mógł uwierzyć.

Potem dwaj żołnierze zaczęli znosić po schodach ciężki czarny zwój zasłony i Benek zrozumiał, że Pan czekał właśnie na ten moment.

W powietrzu wisiał kurz. Mienił się w słońcu złotym blaskiem.

- Dlaczego nic się nie dzieje? – Beniamin szarpał brata za ramię.
- Dzieje się – powiedział Hirsch. – Właśnie się dzieje.
- Ale dlaczego Pan ich nie powstrzyma?
- Nie wiem. Może to próba? Może musimy się czegoś nauczyć?

Patrzyli na chmury kurzu i słuchali łomotu podkutych butów. Żołnierze wrzucili zasłonę na ciężarówkę i wrócili do środka.

Benek zrozumiał, że moc Pana nie chciała porazić Niemców. Pomyślał, że może w czasie wojny Pan nie ma żadnej mocy.

Wieczorem zapytał dziadka, dlaczego nie przyszedł Golem i nie zatrzymał Niemców. Siedzieli po ciemku. Nie było prądu. Żal im było świateł.

– On nie przyjdzie, Beniaminie, bo Golem to jest tylko bajka – powiedział dziadek.

Dał chłopakowi kawałek chleba, a ten wziął go łapczywie.

Milczeli.

Kiedy międlisz w ustach chleb wystarczająco długo, wydaje ci się, że robi się słodki.

Dziadek myślał, jak długo jeszcze pozwolą im, „chorym na tyfus”, przechodzić na polską stronę. Chłopak myślał, że już nic się nie zmieni.

Poszli z Hirschem pod synagogę jeszcze raz, kiedy Niemcy pozwolili na odbudowę. W środku nie było już tkanin przetykanych srebrną i złotą nitką, ale arka znowu stanęła pod marmurowym łukiem.

Ojciec wciąż pakował swoje skóry na wózek, a wynajęci ludzie pchali go na Umschlag. Celnicy z Transferstelle brali spore pieniądze za pozwolenia, ale wciąż przymykali oczy na to, żeby Bratkowski skóry odbierał i sprzedawał po polskiej stronie tym, co szyli kozuchy i buty. Każdy miał z tego grosz. Bratkowski, ojciec i celnicy.

Skóry skończyły się pewnego dnia, a w domu zjawili się kolejni goście, przesiedleńcy.

Mieli czekać na transporty, które zabiorą ich do nowych miejsc, gdzieś na Wschodzie. Nosili ładne ubrania, mieli pieniądze w walizkach, które trzymali w rękach, nawet kiedy zasypiali pod ścianami, i nie rozumieli ani słowa po polsku, choć to przecież byli jacyś krewni.

Pół roku później, jesienią, Niemcy kazali im się wszystkim spakować. Spakowali na powrót te swoje walizki i poszli na Umschlagplatz.

W mieszkaniu zrobiło się nagle cicho. Jakby kto zmarł. Ale za to pusto. Benek mógł się znowu bawić samochodzikiem na całej podłodze.

Kilka dni potem usłyszeli, że i na nich przyszła pora. Ojciec wyciągnął spod podłogi wszystkie dolary, jakie im jeszcze zostały, i poszli.

Dolarów wystarczyło, żeby wykupił Hirscha, Benka, mamę i siebie. Dziadek pojechał. Nie pożegnali się, bo wszystko poszło jakoś szybko. Stali na rampie, ojciec gadał z celnikami. Dziadek wszedł do wagonu, resztę rodziny ojciec

zatrzymał gestem ręki.

– Nie wsiadajcie – powiedział. – Jeszcze mamy pracę do zrobienia. Pojedziemy za dziadkiem, jak on już wszystko nam przygotuje.

I dalej gadał z celnikami. Klepali go po ramionach. I jeden zgodził się zabrać list na polską stronę. Na pocztę. Miało być z tego więcej dolarów.

Kiedy wrócili do domu, żołnierze właśnie wynosili ich meble. Miały jechać do synagogi. Do magazynu.

Spali odtąd na podłodze, a ojciec codziennie chodził na plac, żeby spotkać Bratkowskiego. To do niego był ten list.

– Wezmę twoją żonę na sklepową, na skórach się zna, szyć potrafi, przyda mi się pomoc – powiedział Bratkowski.

– A to nie strach?

– Ona nie wygląda na Żydówkę.

– A reszta?

– Reszta mi nie jest potrzebna.

– Przecież znamy się piętnaście lat. Zapłacę ile trzeba.

Pokazał Bratkowskiemu pieniądze.

– No, przecież to nie wystarczy, żebyś opłacił celników, nie wypuszczą was. Jeśli ich przekonasz, wezmę młodszego chłopaka.

Benek po matce miał niebieskie oczy.

– Mężczyźni zostają, kobiety i dzieci mogą iść. – Celnicy nie pozwolili przejść ojcu. Hirsch też musiał zostać w getcie.

– Wiesław. – Bratkowski uklonił się matce. – A ty, nie płacz. No, kurwa, nie płacz, bo nas zawrócą.

I dał Benkowi w łeb, aż mu spadła czapka.

– Nie płacz, cukierka dostaniesz – powiedział bardziej miękko. – Chodźcie.

Szli bez oglądania się za siebie wzdłuż muru cmentarza.

Do Grodziska nie było daleko. W pociągu ludzie tłoczyli się jak śledzie. Śmierdziało wódką i słoniną. Matka siedziała jak skamieniała. Miała wyprostowane plecy, trzymała Benka za rękę i patrzyła w oczy Bratkowskiemu bez jednego mrugnięcia okiem.

Chłopak już nie płakał. Pod nosem miał gila. Bał się nawet pociągnąć. Bratkowski patrzył na niego z niesmakiem, a Benek myślał, że gównem wyjdzie z tej

obietnicy.

– Czemu tak patrzysz? – zapytał.

– Gdzie mój cukierek?

– W domu dostaniesz. – Bratkowski odwrócił wzrok.

– Ale przecież dom... Au! – Matka ścisnęła mu rękę, aż trzasnęły kości.

Dom był niewielki i schludny. Z przodu sklep, a z tyłu mieszkanie. Co było na strychu, nie wiadomo.

– Tu będziecie spać. – Bratkowski otworzył im drzwi do maleńkiego pokoiku pełnego jakichś pudeł i gratów. – Jutro to uprzątniemy. Będzie pani pracować w sklepie. Pomoc się przyda. Jakoś się razem urządzimy.

I tak się stało.

– Nie idziemy do synagogi? – spytał Benek w piątek.

– Nie, nie idziemy – powiedział Bratkowski.

– Ale świece zapalimy.

– Nie zapalimy świecy.

– Żydzi zawsze tak robią.

– Już nie. W Grodzisku nie ma już żadnych Żydów. Chyba że na cmentarzu.

– Wyjechali?

– Tak. Wyjechali. Na Wschód.

W niedzielę Bratkowski kazał im się umyć i wybrać do kościoła. Benek poszedł. Było mu wszystko jedno. Miał pewność, że nie ma na świecie żadnych Golemów. Ani żadnego Boga.

ROZDZIAŁ CZWARTY

TERAZ

Okrążyła przyczółek mostu i wjechała ślimakiem na górę. Na Poniatowskiego nie było tłoku. Minęła zmokniętą palmę, pod którą stał patrol drogówki, i przyspieszyła na zjeździe. Mogłaby pojechać Kruczą, ale była spóźniona, a Marszałkowską było jednak szybciej.

Hotel Forum sterczał nad rondem jak samotna skała, a po drugiej stronie na olbrzymim wyświetlaczu wyginała się w teatralnych pozach korpulentna telewizyjna gwiazda zajmująca się zawodowo zaglądaniem ludziom do garnków. Nikt nie pamiętał, że powiesili ten wyświetlacz po to, żeby pokazywał światu, jak szybko rośnie dług publiczny.

Przemknęła Marszałkowską, tak jak lubiła, wyprzedzając te wszystkieofermy, które boją się jeździć po deszczu. I jak zawsze pomyślała, że całe życie była przekonana, że Marszałkowska nosi swoją nazwę na cześć Piłsudskiego. To jej szef, Siwy, wyprowadził ją kiedyś z błędu.

– No, nie wiedziałam – przyznała.

– Jak to nie wiedziałaś?

– Ze sławnych marszałków znam tylko Piłsudskiego i Rokossowskiego, ale przecież Rokossowskiemu nie poświęciliby ulicy.

– To ulica marszałka Bielińskiego – objaśnił. – W pewien sposób policyjna, bo w czasach saskich to właśnie on kierował służbami śledczymi. Porządny gość, marszałek Sejmu, który nie uznał legalności nadania tytułów carycy Katarzyny i pruskiego króla. Sejm obradował w zamku otoczonym przez rosyjską armię.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytała wtedy.

A Siwy powiedział, że uznanie tych tytułów otwierało Rosji i Prusom drogę do rozbiorów.

– Nie uczyłaś się historii? – Śmiał się z niej. Ale ona wtedy akurat nie uważała.

Światła nad Trasą Łazienkowską były łaskawe i nie musiała patrzeć bez końca na olbrzymią reklamę pewnej firmy telekomunikacyjnej. A na Puławskiej niestety ruch się znowu ślimaczył, bo w deszczu ludzie nie umieli wystartować ze świateł. Przy skwerze Broniewskiego przypomniała jej się randka w Regeneracji. Nic z tego nie wyszło, ale przynajmniej całowała się wtedy z kimś ostatni raz.

Przyznała się do tego, że jest policjantką. Pili piwo, a potem nagle powiedział, że ma „error z tym, żeby poszli do niego” i zrozumiała, że pewnie kogoś ma. Wsiadli do samochodu na Olesińskiej pod latarnią, co świeciła jak cholera, a on potrafił zrobić jej dobrze dwoma palcami, tak że zabrakło jej tchu.

Mogła nie mówić od razu, że jest z policji. Odpędziła myśli, bo to było już tutaj.

Na Dąbrowskiego o tej porze można było zaparkować bez bólu. Lubiła to miejsce. Kiedyś zdawało jej się, że widziała tu tego aktora, co teraz biega maratony. Tego, tego przystojnego... Dorocińskiego.

Śniadaniownia nie była tania. Ale lubiła tu przychodzić. Lubiła menu udające papierową gazetę i to, jak się starali, żeby na tej piance na powierzchni kawy narysować liść. Albo kwiat. Czasami nawet serce.

– O już! – Doliński zauważył ją pierwszy i skinął na panią za kontuarem. – Tak jak mówiłem, dwa omlety z szynką i po dwie kanapki z łososiem. I jeszcze kawy.

– Oczywiście! – odrzyknęła dziewczyna. Widać było, że go zna. Doliński był tu nie pierwszy raz.

– Co za chujowa pogoda. – Wyciągnął rękę do Olgi. – Chujowa partia, chujowe czasy, chujowa pogoda.

To miał być taki żart, ale ona się nie roześmiała.

„Wyborcza” leżała na stole. Otwarta na artykule o obniżeniu esbeckich emerytur. Powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Kanalie i porządni policjanci wrzuceni do jednego worka. No i sprzątaczką z resortu, i pani z biura paszportowego też. – Wskazał palcem gazetę. – Ci posłowie naprawdę nie rozumieją nic z tego kraju.

Serbia milczała. Rozmowy o polityce z szefem nie były dzisiaj jej priorytetem.

Potem dostała kawę i poparzyła sobie usta. Tak jak lubi.

– Dlaczego się spotkaliśmy?

– Co to za zwłoki nad Wisłą? – zapytał, a ona odniosła wrażenie, że zrobił to bez

zainteresowania.

– Ciemnoskóra, zielonooka i nie dziewica.

– Afrykanka?

– Nie. Moim zdaniem biała, ale patolog twierdzi, że ma ciemną karnację, ciemniejszą niż Europejki.

– Zgwałcona?

– No, tego nie wiem. Była naga i najwyraźniej zakatowana na śmierć.

– Co to znaczy?

– Na plecach ma tatara z ran.

– Ach tak... – Błądził oczami na boki.

– No dobrze, szefie, znamy się nie od dzisiaj, widzę, że nie chodzi o topielicę, tylko o coś poważniejszego. Możesz mi powiedzieć.

– Spostrzegawcza jesteś.

Uśmiechnęła się. Czekwała.

Siwy zrobił gest, jakby szukał papierosów, ale przypomniał sobie, że ich przecież nie ma.

– Benedykt Barcikowski – powiedział po chwili. – Mówi ci to coś?

– Ten Barcikowski? Ten, co był kiedyś wiceministrem?

– Ten sam.

– Co z nim? Przecież od dawna nie żyje.

O wypadku pisały wszystkie gazety. Przysnął za kierownicą, uderzył w samochód jadący z naprzeciwka. Wbił się pod ciężarówkę i zginął na miejscu.

– Tak... Nie żyje. To było pod Strzegomiem. Na Dolnym Śląsku. – Siwy znowu rękami dotykał swoich kieszeni. Zapomniał, że przecież już nie pali.

– Nie żyje od lat, więc o co chodzi?

– Chciałbym cię prosić, to taka moja osobista prośba... – Popatrzył jej w oczy i wtedy zauważyła, jaki jest zmęczony. – Pojedź tam, do tego Strzegomia, i się rozejrzyj.

– Po co? To przecież stara sprawa jest.

– Stara. Wyjaśniona w dodatku, zamknięta i zapomniana.

– To po co mam jechać? – Odsunęła kawę i gazetę, bo kelnerka przyniosła im kanapki i omlety.

Omlet był duży i puszysty. Z sałatką z ogórków i pomidorów i kiełkami. Nie

znosiła kielków.

– No, to pobiegałam dzisiaj – mruknęła zniechęcona. – Po co mam jechać do jakiejś dziury w sprawie, która jest zamknięta i wyjaśniona?

– Bo cię proszę. – Ugryzł spory kęs. – I w dodatku pojedziesz tak, żeby nie było śladu. Dostaniesz wolne. Nie chwal się w fabryce.

Podniosła wzrok, a kawałek jajka spadł jej z widelca. Całe szczęście z powrotem na talerz. Czekała.

– Mam tam przyjaciela, spotkasz się, poczytasz papiery, pomyślisz. Zrobisz to dla mnie?

– Mam tę dziewczynę z Wisły – powiedziała. – To dziwna sprawa. Nie powinnam teraz jechać.

– A ja mam raka. Nie pożyję już długo. Dlatego cię proszę.

– Jak raka? – Odłożyła widelec. – Jakiego, kurwa, raka, co ty pierdolisz?

– Co pan pierdoli, panie nadinspektorze – powiedział Siwy bez cienia uśmiechu.

– Lubię cię, mogłabyś być moją córką, ale o pierdoleniu mówisz mi regulaminowo... Białaczkę mam. Nie ma na to przeszczepów.

Wciągał omlet, jakby go zasysał, z głośnym świstem. Pomyślała, że naprawdę ma przemęczone oczy.

– To ciekawa sprawa jest, sss – siorbnął następny kęs. – Pamiętam, co pisały gazety. Że mu jakaś kurwa loda robiła i dlatego miał ten wypadek. Przesłuchali ją, ale byle jak, bo w szpitalu, a potem zniknęła. Byłem tam wtedy w wojewódzkiej. No więc... sss... chcę to ogarnąć. Dla starego przyjaciela tego nie zrobisz? Pojedź, proszę cię.

Beknął. Delikatnie, ale zauważyła. Poczwała, że się czerwieni. Nie chciała, żeby się czuł zażenowany. Lubiła go. Porządny, rasowy policjant. Kilka grubych spraw zrobił, a teraz gównem z emerytury. Ale w białaczkę nie uwierzyła. Przecież by coś było widać.

– Mówiłeś, że sprawa wyjaśniona – spróbowała jeszcze raz.

– A teraz mówię, że tylko zamknięta. Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Pewnie chodziło o statystyki. W takich sprawach zawsze chodzi o statystyki.

– A co z dziewczyną z Wisły?

– No co, co...? Kurwa, jajco! Kosiński się tym zajmie. Powiesz mu, żeby

tożsamość ustalił. Zanim przejrzy te wszystkie bazy...

– Ona młoda, w bazie nie będzie jej zdjęcia.

– Chyba że kurwa.

– Teraz nie ma już takich kurew jak w waszych czasach. Teraz to studentki, co się zakochują w trzech bogatych gościach naraz... – Sięgnęła po kanapkę. Łosoś był słony. Marchewkowy, słony i wilgotny. Zupełnie jakby się całować z kimś spoconym, pomyślała.

– To niech Internet przegląda, no, nie ma bata, żeby ktoś się wymknął zdjęciom. Zdjęcia, zapisy z kamer w centrum, portale randkowe, modowe, chuj wie jakie. Zajmie mu to czas, a ty zdążysz wrócić.

Wysmarkał się w chusteczkę.

– Nie prosiłbym, gdybym nie musiał.

Milczała.

– Masz tu różne wycinki, Internet sama sobie obejrzysz, a na miejscu mój człowiek da ci wgląd we wszystkie papiery z przesłuchań. Numer sobie zapisz do niego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

WTEDY

Mieszkali w Grodzisku do końca wojny, handlując wszystkim, co możliwe: futrami, cukrem, narzędziami, śrubkami. Ludzie płacili pieniędzmi, jajkami, a czasem to nawet i kawałkiem mięsa. Lubili przychodzić, bo lubili matkę. Mało mówiła, słuchała wszystkich i czasem dała jakąś radę.

– Proszę się nie martwić – mówiła. – Wrócą. Wszyscy wrócą.

A ludzie widać chcieli jej wierzyć, choć wiadomo było, że nikt już nie wróci i że nikt już kuczek owocami nie przystroi.

Beniamin odmierzał gwoździe na kilogramy i nie miał żadnych przyjaciół. Do niemieckiej szkoły Bratkowski nie chciał chłopaka puścić.

– Tak jest lepiej – mówił. – Niech myślą, żeś głupi. Głupim dzisiaj lepiej być niż Żydem.

Ale i tak, choć Bratkowski nie miał z Żydami nic wspólnego i był najczystszej mazowieckiej krwi z Żoliborza, to wszyscy mówili o jego sklepie, że idą kupować do Żyda.

Na początku mama i Benek bali się. Bali się pytać, czy Bratkowski wie coś o ojcu, kiedy wracał z Warszawy z towarem. Bali się mu przerywać, kiedy mówił o przesiedleniu Żydów z getta. Mówił, że każdego dnia wyjeżdża z pięć, sześć tysięcy ludzi. I że już nic z getta nie idzie uhandlować, bo Żydowska Służba Porządkowa teraz tam rządzi i celnicy się nie wtrącają. A Szeryński Józef, ten, od którego Bratkowski też woził futra, wyszedł z więzienia, ale już się nie da z nim pogadać. Jest prawą ręką Lejkina. Benek nie słyszał wcześniej tych nazwisk, ale matka tych ludzi znała. Pewnie wiedzieliby, co z ojcem, ale nie pytała. Bała się. I bała się iść do kościoła.

– A bo to wiadomo, co ludzie pomyślą?

– Nic nie pomyślą. Pomyślą, że jesteś moją kuzynką, że zostałeś z dzieckiem, kiedy starego powieźli na roboty.

– Nie uwierzą.

– Bo w kościele nie śpiewasz. Masz, naucz się i naucz małego.

Modlitewnik był sterany życiem. Niektóre kartki luźne. Czarna okładka, na brzegach kartki pociągnięte były na złoto. Skrzypiały, kiedy się go wyginało w rękach w łuk. Benek lubił ten dźwięk. Pomyślał, że warto dotykać książek, które to potrafią.

Beniamin uczył się *Ojciec nasz*, a ona odpytywała go wieczorami.

Następnej niedzieli już potrafił się przeżegnać i wiedział, kiedy się klęka. I że na oba kolana.

Już nie byli Żydami.

Bratkowski przyniósł chłopakowi kolejną książkę. *Pieśń o ziemi naszej*. Podręcznik do piątej klasy. Powycierany i zatłuszczony. Nie wiadomo, skąd go wziął. Może ktoś przyniósł, żeby dostać gwoździ albo wymienić na łopatę. Książka nie była nowa. Nowe, albo przynajmniej nieczytane, były gazety. „Ster”. I „Mały Ster”. To były gazety o tym, jak dzielni są Niemcy i jak dobrze jest mieszkać w Rzeszy. Benek czytał więc ten podręcznik, żałując, że to nie jest książka do geografii. Oprócz czytanki w domu był tylko modlitewnik.

Którejś nocy Bratkowski przyszedł do składziku, w którym mieszkali, i powiedział matce, żeby z nim szła.

– Jak to?

– Już pora, chodź. – Skinął na nią ręką.

Matka wróciła nad ranem. Benek nie spał, całą noc nie spał. Matka nie płakała. Nie powiedziała do niego ani słowa. Czuł jej zapach intensywniej niż zwykle, taka była spocona.

Następnego dnia zasnął w sklepie oparty o ciężką stojącą wagę z długą szyją, na której poruszała się skala. Waga miała ruchomą podłogę, kiedy zwalali na nią wór kartofli, ugiwała się. W sklepie były też inne wagi, ale tę Beniamin zwyczajnie lubił, bo przypominała mu żyrafę. W książce, z której Hirsch uczył się geografii, była żyrafa. To niesprawiedliwe, że nigdy nie zobaczy żyrafy. Nie byli w zoo przed wojną, a teraz już nie ma taty, nie ma zoo, nie ma żyrafy w jego mieście.

Obudziło go szturchnięcie w ramię. Raz i drugi raz, tylko mocniej.

– Nie śpij, do kurwy nędzy, ludzie nam ze sklepu wszystko wyniosą – Bratkowski mówił cicho, przeciągając sylaby, tak że chłopak się wystraszył.

Odszukał wzrokiem matkę. Siedziała na zydelku i patrzyła w okno. Za oknem stały drewniane domy. Były bardzo czarne i lśniące, bo padał deszcz.

Na Boże Narodzenie dostał wreszcie swoje cukierki. Całą paczkę. A matka sukienkę. Sukienka była szara, ale Bratkowski powiedział, że szara dzisiaj to jak czerwona w czasie pokoju. Od tej pory Benek spał sam. Matka już nie wracała nad ranem.

Wszystkie następne dni były takie same.

Wojna skończyła się trzy tygodnie po jakichś kolejnych świętach. Najpierw słyszeli tylko huk i gwizd. Potem czołgi jechały po ich ulicy. Jeden dostał i spaliło się w środku trzech sowieckich żołnierzy. Kiedy ich wyciągali, byli całkiem czarni i sztywni. Wyglądali jak pies, którego chłopaki z miasteczka spalili kilka tygodni wcześniej razem z budą i łańcuchem tylko po to, żeby sprawdzić, co się stanie.

Benek stał z daleka.

Bał się. Znał ich, bo przychodzili do sklepu, ale nie był jednym z nich. Nie był z ich bandy.

Pół roku później Bratkowski powiedział, że wyjeżdżają na Ziemię Odzyskane, jest dobry czas, mieszkania do wzięcia za darmo. I nie żadne drewniane, tylko ze szlachy z porcelany. Sprzedał sklep, spakowali wszystko, co warte zabrania, i pojechali. Tłok był. W pociągu smród i strach. I taki język, jakiego Benek nie słyszał. Trochę polski, a trochę niepolski. Żydzi, Ukraińcy, Litwini, Niemcy pewnie też, ale się nie odzywali.

We Wrocławiu Beniamin dowiedział się, że od dzisiaj ma na imię Benedykt. A mama nazywa się Irena Bratkowska.

Od tej pory było jasne, że tata nigdy ich nie odnajdzie.

Wrocław nie przypadł Bratkowskiemu do gustu. Za dużo gruzów, za dużo niepokoju, za dużo wojska, Rosjan, Polaków, enkawudzistów... Lepsze małe miasto, takie, w którym ludzie nie zadają zbyt wielu pytań.

Jawor był odpowiedni. Przyjechali ciężarówką z jakimiś ludźmi, którzy plądrowali poniemieckie domy i sprzedawali we Wrocławiu swój urobek. Znali okolicę.

– Jauer – mówili. – Dobre miejsce. Wyrzucicie jakiegoś Niemca z rynku i będzie

jak znalazł.

Ale nie wyrzucili. Zajęli mieszkanie na poddaszu i splądrowany sklep w parterze. Kamienica była brudna, szyby powybijane, ale muszla klozetowa i umywalka takie, jak sobie wyobrażali. Obesrane, ale z porcelany.

Rynek zaśmiecony, a najdziwniejsze, że domy stały tylko z trzech stron. Z czwartej pierzei została jedna wielka wypalona dziura.

W kościele msza była po niemiecku, zresztą w drugim kościele też. Jeden kościół był zupełnie normalny. Jak w całej Polsce, czerwony, ceglany. Drugi był w łąty. Benek chodził tam, do parku, oglądać płataninę czarnych belek, a między nimi białą, chociaż trochę brudną szachownicę ścian. Ciekawił go ten kościół, bo był inny. Wielki. Ale zupełnie niepodobny do wszystkiego, co do tej pory widział. Zagraniczny. Podobno w środku wszystko miał ze złota. Ale nie chodziło się tam, bo był całkiem niepodobny. Obcy.

Żydów w mieście było sporo, ale Bratkowski nie pozwalał się z nimi Benkowi spoufalać. Sam za to często rozmawiał, robił z Żydami interesy, jak zwykle.

Matka poszła raz do Komitetu Żydowskiego, żeby się rozpytać, czy ktoś wie, ale nie wiedzieli. Nie znali. Nie było zresztą nikogo z Warszawy. Zostawiła pieniądze na Kongregację Wyznania Mojżeszowego, ale nie za to zrugął ją Bratkowski, tylko że w ogóle poszła.

– Ja tobie mówię, kobieto, zapomnij! Zapomnij! Do kurwy nędzy, jaka z ciebie Żydówka?!

– Kongregacja chce urządzić bożnicę... – powiedziała.

– Jaką bożnicę, kobieto, twój Bóg umarł w Oświęcimiu, nie słyszałaś?

– Słyszałam też, że zmartwychwstał.

– Mój zmartwychwstał. Ale Bóg Żydów już nie zmartwychwstanie.

Benek wyszedł do biblioteki. Działała już polska biblioteka u pana Pocięja. Niektóre książki były po polsku, inne po niemiecku. Na przykład książka z rysunkami zwierząt. Albo taka ze zdjęciami różnych europejskich miast. Były tam wieża Eiffela i Łuk Triumfalny. Benek oglądał te zdjęcia i zastanawiał się, czy te budynki wciąż stoją, czy może zostały po nich tylko wypalone wraki.

Zimą poszedł do liceum. Wystarczyło to, czego się nauczył sam z tej starej czytanki. To było polskie liceum. Niemcy, wciąż ich tutaj było tyle, że co drugi szprechał, trzymali się z daleka i jeśli w ogóle uczyli, to chyba po domach.

Ludzie w szkole byli w różnym wieku. Było kilku Żydów, a tak to sami Polacy, choć niektórzy nie umieli nawet normalnie mówić, zaciągali z takim wschodnim zaśpiewem. Połowa mieszkała po okolicznych wioskach. Gospodarskie dzieciaki. Zimą chodziły, ale na wiosnę nie zawsze. Trzeba było paść i kosić. Siedział w ławce z niejakim Diduszką. Feliks był wysoki, postawny. W czasie wojny strzelał do Niemców. Dziewczyny go podziwiałały.

Z każdym miesiącem Bratkowski pił coraz więcej i coraz głośniej krzyczał na matkę. Chłopak szwendał się wtedy trochę dookoła rynku, a najchętniej zaszywał się w parku, w pobliżu kościoła protestantów. Siadywał pod ścianą, niegdyś pobieloną, ale teraz brudną i szarą, zawilgoconą, ukryty w zaroślach, i palił chesterfielda. Kartonowe, szare pudełko z zielonym napisem THEY SATISFY wyciągał Bratkowskiemu z półki w sklepie. Stary wiedział. Liczyć potrafił, ale odkąd chłopak skończył piętnaście lat, ręki już na Benka nie podnosił.

Dziś było wilgotno, po deszczu, więc siedział na swojej skórzanej kurtce. Bratkowski wciąż miał w swoim sklepie najlepsze skóry na świecie. Tego mu nie można było odmówić. Palił, zastanawiał się, czy w kościele naprawdę wszystko jest ze złota, i patrzył, jak kłęby dymu rozwiewają się między gałęziami jałowca. Lubił samotność. Czasami myślał o Hirschu. I o ojcu. Nawet o dziadku. Patrzył na dym i myślał, że tak właśnie było w Oświęcimiu.

Dymem są ci, których kochasz.

Usłyszał kroki, ale się nie przejął, nie było go widać ze ścieżki, bo ciemno, a krzewy gęste.

Zaciągnął się jeszcze raz. Ostatni. Żeby kto tego dymu nie zauważył. Aż go zapiekły usta od żaru, a potem ogieniek zgasł.

Ktoś wlaź w krzaki całkiem niedaleko, więc przyłgnął do ściany jeszcze mocniej. Słyszał, jak gałązki łamią się pod naporem ciała i jak ktoś cicho, ale gwałtownie chichocze. Potem słyszał już tylko przyspieszone oddechy.

Skulił się i w kucki przesunął w stronę, z której dobiegały te odgłosy. Usłyszał cichy jęk i pojął, że to jednak nie jest żaden pijany gość, który chce się wysrać w świętym miejscu. Rozsunął ostrożnie gałązki i zobaczył kobiece nogi w wysokich ubłoconych trzewikach, a wyżej kolana i grube, mocne uda. Spódnica była uniesiona, a po udzie w górę i w dół wędrowała męska ręka.

Kobieta jęczała cichutko raz za razem, a mężczyzna zaczął teraz zaciskać palce,

aż na jej skórze pojawiły się czerwone smugi.

Nagle coś trzasnęło.

– *Ja, ja* – doszło z oddali razem z głośnym śmiechem.

Ręka znieruchomiała. Benek wstrzymał oddech.

Trzasnęły gdzieś drzwi i zazgrzytał klucz. Ksiądz Niemiec gadał z kimś chwilę. Pewnie żartowali, skurwysyny, Niemce. Jaki Bóg pozwoliłby im się śmiać? Benek wziąłby kamień i rzucił w okno, ale przecież nie mógł teraz stanąć na prostych nogach. Dziewczyna nie mogła dłużej wstrzymać oddechu, bo zachichotała cicho.

– Ciii – szepnął chłopak i wsunął jej rękę między nogi. Jęknęła i zaczęła uginać kolana. Raz po raz. Benek zobaczył przez chwilę trójkąt włosów i zrobiło mu się gorąco.

Niemcy ruszyli przez park i ich kroki zachręściły po ścieżce. Benek czuł, że cierpną mu nogi i że już długo w kucki nie wytrzyma, ale patrzył jak zaczarowany na ten dziewczęcy taniec, a kolana przed oczami przesuwwały mu się jak bujany koń. Albo fale morskie. Nie widział morza, ale wiedział z książek, że fale posuwają się tam i z powrotem.

– Nu, dosyć tego, bierzże go – warknął chłopak.

Benek znał ten głos.

– Nie bierę – westchnęła i zaczęła się poruszać jeszcze szybciej.

– Bierz, do cholery – warknął Diduszko i wyszarpnął rękę z jej gaci.

– Uch! – skarciła go i rozpięła chłopakowi spodnie. A potem zaczęła go masować pod brzuchem. Coraz szybciej i szybciej.

Benek wbił zęby w dolną wargę.

– No, Feluś, ruszaj mnie, ruszaj – przynagliła i Benek już wiedział, że to Anka. Chodzili razem do szkoły i to właśnie w niej się zakochał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

DZISIAJ

– Co tam, Kosiński? Melduj. – Tkwiała w korku na Broniewskiego, plując sobie w brodę, że nie wyjechała o szóstej, ale padało, było ciemno i za nic nie chciała wychodzić z łóżka. Do późnej nocy oglądała trzecią serię *House of Cards*. A teraz czekała, aż ci wszyscy debile, stare baby, goście, co nie umieją wystartować sprzed świateł, panienki, co się gapią w smartfony i wszystko opóźniają, nadęci emeryci, którzy nie muszą się już donikąd spieszyć i w dupie mają, kiedy się na nich trąbi, przesuną się w kolejce do wjazdu na obwodnicę. Jedni stawali tuż przed światłami, prosto na tramwajowych szynach, inni przed szynami i zamiast luźniej robiło się coraz ciasniej. Nie lubiła tego dnia. Nie lubiła mżawki na szybie, żółtych tramwajów, które na nic nie muszą czekać, budynku, który właśnie minęła i w którym miała zamieszkać kiedyś, kiedy sprowadziła się do miasta. Miał jedną jedyną klatkę schodową na cały gmach.

W holu było ze trzysta skrzynek na listy. Powinna była uciec już wtedy, ale przecież się umówiła. Na windę czekała ze cztery minuty, a potem okazało się, że mieszkanie jest długą kiszka o szerokości okna, które wychodziło na bloki przy Elbląskiej.

Nie wytrzymałaby tam. Za nic.

– No, mam ten raport o dziewczynie – powiedział Kosiński.

– Ciekawy?

– No, ciekawy. Te rany na plecach ciekawe.

– A nie leżała po prostu na plecach i nie otłukła się już w wodzie?

– Nie, Grzegorzcyk mówi, że rzeka to zawsze obróci zwłoki tak, że leżą na brzuchu. Otarcia są na kolanach, na łokciach. No i są u niej takie otarcia. Już pośmiertne. Jakby ją żywą wrzucili, byłyby plamy opadowe, a nie ma.

– Czyli wrzucili ją martwą, kurwa, jedź, jedź, debilu! Nie, to nie do ciebie. – Przesunęła się bliżej, ale i tak musiała czekać na jeszcze jedną zmianę świateł.

– Co, w korku stoisz, szefowo?

– No, a coś myślał? – Serbia przełożyła telefon do lewej ręki, żeby wrzucić bieg, kiedy będzie zielone. – Gadaj.

– Naskórek na stopach i dłoniach pomarszczony, odseparowany, Grzegorz od razu przypuszczał, że leżała w wodzie jakieś kilka dni. Spuchnięta była. Trzy, cztery dni to za krótko, żeby tak spuchła. Zimno jest, więc mogła leżeć dłużej jak tydzień. Ale z drugiej strony to objawów gnicia poza brzuchem nie było, więc mówił, że...

– Nie pierdol mi. – Wrzuciła jedynekę, skręciła w lewo i znowu utknęła na światłach. – Napisał, ile była w wodzie?

– No. – Kosiński zrobił pauzę, pewnie szukał palcem odpowiedniego miejsca. – Siedem, może osiem dni.

– Okej, coś już wiesz. – Ruszyła powoli w sznurze aut, które próbowały wbić się na obwodnicę. – Co wiadomo o przyczynie śmierci?

– No, to jest właśnie ciekawe, bo wygląda na to, że ją straszliwie pobili.

– Co znaczy straszliwie, co to w ogóle za słowo jest? – Ruszyła. Przed nią sześć, siedem aut czekało na swoją kolej, żeby się włączyć do ruchu.

– No, tego nie wiadomo, albo jakimś ciężkim narzędziem o obłym kształcie, albo kamieniem może. Dostała w głowę i od tego umarła. Duży śródczaszkowy krwiak. Rany są czyste, nie ma drzazg, nie ma rdzy, nic. Ale przedtem się nacierpiała, bo tych śladów od uderzeń jest sporo. Trzydzieści dziewięć.

– Ktoś ją walił w plecy trzydzieści dziewięć razy? – Zerknęła w lusterko, ciężarówka zbliżała się dość szybko, ale ona była pewna, że zdąży, dodała gazu, wrzuciła dwójkę i znowu dodała, silnik zawył, ale nie zerwała przyczepności na mokrym asfalcie, więc była z siebie zadowolona. Wrzuciła trójkę, czwórkę i na piątce przełożyła telefon do prawej ręki.

– Powtórz, bo nie słyszałam.

– Tak, że tak, no, ktoś ją potwornie skatował. Trzydzieści dziewięć uderzeń. Plecy i głowa. Mogła się przed tym kulić, bo na udach śladów nie ma. Na dupie też nie. Skóra nie została rozerwana, więc nie ma czego się chwycić, nie ma żadnych strzępków tkaniny, nic.

- No dobrze. Jakież ślady biologiczne są?
- Za długo była w wodzie.
- Gwałt?
- Nie.
- To co, napadli ją?
- No, tak wygląda.
- Ale dlaczego jest naga?
- No, tego nie wiemy. Grzegorzycy mówi, że na jego nos to była naga, kiedy jeszcze żyła. Ale nie ma pewności, tak mu się to widzi.
- To może być ważne, bo on ma nos, powiem ci, on ma nos. Ale coś mi tu nie gra, bo skoro dziewczyna ma otarcia kolan i łokci, to znaczy, że leżała na brzuchu, a znaleźliśmy ją na plecach...
- To ten rowerzysta ją odwrócił.
- Jaki rowerzysta?
- Znaczący ten biegacz – poprawił się Kosiński. – Ten, co ją znalazł.
- Jak to?! – zdenerwowała się. Przecież powinna to od razu dostrzec, powinien mieć mokre buty, mokre spodnie.
- No, powiedział, że ją obrócił, już jak go spisali.
- Przypomniała sobie, że mężczyzna miał spodnie do kolan i plastikowe buty. Wszystko było mokre, bo padało.
- Odwrócił ją, bo myślał, że jeszcze żyje. To z tych ważnych spraw ja mam tyle. A... żadnych zgłoszeń o zaginięciu nie ma.
- Szukaj jej. Przejrzyj monitoringi nad rzeką, w okolicach klubów, no, kurwa, nie wiem... Instagrama oglądaj, Facebooka, Tindera, popytaj między kurewkami. Wiesz, jak zawsze.
- Jakbyśmy byli w Ameryce, toby się wrzuciło zdjęcie do systemu i Instagram pokazałby jej zdjęcia.
- Serio?
- No, czytałem, że mają takie filtry, że to robota CIA. Że można wrzucić każde zdjęcie i system szuka tego na Facebooku, na Instagramie, że dzięki temu można każdego znaleźć raz-dwa.
- No i co? To prawda jest?
- CIA zaprzecza oczywiście, ale wiadomo...

– No, to bierz się do pracy.

Wyłączyła komórkę. Deszcz się nasilił, a ona musiała wypatrzeć zjazd na Kraków i na Wrocław.

Była zmęczona. Całą noc oglądała intrygi Franka Underwooda. Trzecia seria to już nie to samo co druga. I coś tam nad ranem przeczytała o Barcikowskim. W młodości komunista, potem emigrant, dziennikarz Radia Wolna Europa, wybitna postać z czasów Solidarności, chrześcijański demokrat, zaprzyjaźniony z biskupami i radzący sobie pośród liberałów. Przyjaźnił się z Janem Pawłem II, żartował z Wałęsą, o gospodarce rozmawiał z Balcerowiczem. Poseł, wiceminister nawet... Zginął w wypadku samochodowym nagle i niespodziewanie. Leży na Powązkach. Pogrzeb był z księdzem, ale grób bez krzyża. W teczce, którą dostała od szefa, zdjęcie nagrobka leżało na samym wierzchu. Poza tym były tam wycinki z różnych gazet. Najwięcej z „Głosu Wrocławia”. Na zdjęciach samochód kompletnie poharatany. Z pierwszej notatki wynika, że jechał z kobietą. Z asystentką. Z kolejnych tekstów, że sam. Przypominano, że Barcikowski publicznie wypowiadał się i głosował przeciwko lustracji. Inne gazety podnosiły, że pracował w ministerstwie, że wszyscy na jego szczelbu musieli złożyć oświadczenia i że oświadczenie było zweryfikowane. Papiery miał czyste.

Zdenerwowała się, dopiero kiedy zajrzała do Internetu. Tam każdy wylewał taką mądrość, na jaką go było stać. Od spiskowych teorii po kompletne bzdury o *Mędrkach Syjonu*. I dziwić się potem, że ludzie nie rozumieją, że aby dać komuś pięćset plus, to trzeba innym zabrać. Na przykład, kurwa, policjantom.

Po co Siwy każe jej grzebać w jakimś wypadku, przecież ona nie pracuje w drogówce, tylko w mordercach.

– W mor-der-cach! – powiedziała do siebie głośno, ale nie pomogło.

* * *

Obwodnica Wrocławia sprawiła jej dużą ulgę. Sprzed paru lat, wtedy jechała na urlop, pamiętała, że miasto było najbardziej zapchanym, przez jakie przejeżdżała. W dodatku brukowane ulice, tory tramwajowe, dziury i kiepskie oznakowanie. A teraz można było minąć to wszystko szerokim łukiem. Głodna była, ale nie miała ochoty ani na McDonald's, ani KFC. Ani na hot doga ze stacji benzynowej. Zostawała IKEA. Siedziała przy stoliku sama, jadła kulki w dziwnym sosie i

przeglądała Internet. Sławomir Cenckiewicz opublikował fotokopie oryginalnych dokumentów Lecha Wałęsy z lat siedemdziesiątych, twierdząc, że to doskonały materiał grafologiczny. W indonezyjskiej prowincji Aceh publicznie wykonano karę chłosty na dziewczynie, która stanęła zbyt blisko mężczyzny. Dostała siedem uderzeń kijem. Para studentów, którym udowodniono seks pozamałżeński, dostała po sto uderzeń. Dwadzieścia dwa dostał mężczyzna, który współżył z obcą żoną. Jej karę odroczo z powodu ciąży. Ma zostać wykonana zaraz po tym, kiedy kobieta urodzi. Ed Sheeran zraniony mieczem podczas przyjęcia w Royal Lodge.

Księżniczka Beatrycze zraniła go niegroźnie w twarz. Profesor

Rzepliński zwołuje na 30 listopada Zgromadzenie Ogólne w sprawie wyborów swego następcy. Będzie się, kurwa, działo, pomyślała ze złością, wsuwając telefon do kieszeni.

Rozejrzała się dokoła. Starsi, młodzi, niektórzy z dziećmi, zakochane pary, on wpatrzony w nią jak święty Tomasz w jakąś neapolitańską Madonnę, a ona mu ciągle tłumaczy, jaka kabina prysznicowa będzie pasować do płytek, które zamówiła w Internecie.

Chryste, jakie to wszystko obrzydliwie nudne, pomyślała. Te miłości, to obnoszenie się ze swoim szczęściem, te umalowane paznokcie, te fryzury, które mają sprawić, że się będziesz wydawać wyższy, zegarki, smartfony, kluczyki do aut, puszenie piór i wciąganie brzucha, a potem, głupia cipo, i tak znajdziesz jakieś zabłąkane esemesy w jego telefonie. Tak... Nie powinna była tego robić. Przeglądanie cudzych esemesów nie jest w porządku. Ale było silniejsze od niej. Wtedy nie była jeszcze dość opanowana. Wtedy leżała w szpitalu i musiała czymś zająć ręce i głowę.

Kulki w sosie się skończyły, a ona wciąż była głodna. Dopiła colę, zebrała talerz i kubek na tacę i poszła, żeby odstawić to na ergonomiczną półkę na kółkach. Wszystko musi być takie idealne w tym szwedzkim świecie. Idealne półki, idealne nawierzchnie, idealny seks. Cholera. Nie ma do kogo zadzwonić.

Z Google Maps odczytała, że do Strzegomia ma stąd z pół godziny. Przeszła przez rozsuwane drzwi, a po drugiej stronie była ulewa. Kurwa... powinna może zawrócić i kupić sobie jakieś kalosze. No i parasol. W takim sklepie muszą przecież być parasole... Ale zachnęła się tylko na tę myśl. Pobiegła po kałużach, jednak znaleźć samochód w deszczu pośród tylu innych było jakimś szaleństwem.

Cholera jasna! Potem trzeba jeszcze wyjechać z tego parkingu na autostradę A4. Gość, który projektował oznakowanie dróg, sądził chyba, że na Bielany przyjeżdżają tylko miejscowi. Albo że każdy ma nowy samochód z GPS-em, który mówi mu, jak jechać. I że nigdy nie pada, nie trzeba uważać na wszystkich i na wszystko. Zjechała z powrotem na miejsce do parkowania i ustawiła Strzegom w telefonie. Nie lubiła takich ułatwień, uważała, że zabijają w człowieku uważność i kreatywność. Że zabijają potrzebę i umiejętność analizy sytuacji. Bez takich kompetencji mogłaby być kucharką, a nie robić w mordercach. A teraz ma jechać do jakiejś dziury zasranej, żeby gadać z emerytem o wypadku samochodowym sprzed sześciu lat. *Fuck!*

Przynajmniej z telefonem się udało.

„Za dwieście metrów skręć na rondo. Na rondzie drugi zjazd...”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WTEDY

– Widziałem cię. – Rzucił kamieniem w środek rzeki. – Widziałem cię, jak robiłaś to z Diduszką.

– Co widziałeś? – nie rozumiała.

– Jak go trzymałaś za chuja, widziałem. – Nie patrzył na nią.

Przez chwilę nie rozumiała.

– Ach tak.

Myślał, że go uderzy w twarz, ale ona tylko zrobiła się smutna.

Skuliła się jak ptak trafiony kamieniem z procy. Zdziwiony bólem. Kompletnie bezbronny. Zupełnie jak on wczoraj, kiedy Diduszko obił mu mordę i wyzwał od ciot i cweli.

– Zachciało ci się oglądać za moją dziewczyną, chujku? – Kopnął Benka w brzuch. – Niedojebanie twoje. – Kopnął jeszcze raz.

Chłopak poczuł w ustach smak ziemi. Kiedy leżysz i zwijasz się z bólu, kurz lepi się do wszystkiego. Także do łez.

– Posrałeś się? To spierdalaj do mamusi. – Kopał Benka raz po raz.

Ale to było wczoraj. Teraz Benek siedział nad rzeką z Anką. Przyszli tu, bo zapytała, co mu się stało. Twarz miał opuchniętą jak kalafior.

– Ach tak.

– Tak. Widziałem cię z Felkiem. Widziałem, jak ci wsadził rękę do pizdy. I jak go trzymasz... Wszystkim opowiem.

Skuliła się jeszcze bardziej.

– Wszystkim opowiem. Chyba że mi zrobisz to samo co jemu.

Milczała. Minutę, może nawet dwie.

– Myślałam, że się we mnie kochasz – powiedziała.

Dwa lata temu, kiedy przyszła do szkoły po raz pierwszy, nie wiedział nawet, tak do końca, czy Anka była Polką. Ludzie różnie gadali o tych, co musieli przyjechać w czterdziestym siódmym. Że Ukraińcy, że Łemki. A czasem, że banderowcy. Że mają czarne podniebienia. Minęło wówczas dopiero pół roku, odkąd zginął generał, który się kulom nie kłaniał. O poświęceniu i dzielności Świerczewskiego odbywały się w szkole apele i akademie. Niełatwo było być „Ukraińcem”.

Może dlatego z ciekawości zwrócił na nią uwagę już pierwszego dnia. Była opalona na czerwono i miała spracowane ręce. Stała na tej akademii w białej koszuli, z biało-czerwoną opaską na rękawie. Koszula była czysta, ale widać, że stara. Może nawet po matce. I widać było, jak pod tą koszulą unoszą się jej piersi, kiedy śpiewa.

Mijały tygodnie, a oni prawie ze sobą nie rozmawiali. Anka w ogóle za wiele się nie odzywała i może to właśnie sprawiło, że Benek poczuł z nią jakąś wspólnotę. Wspólnotę zagubienia, jak sobie to tłumaczył. Niektórzy ludzie wiedzą, kim są. Inni muszą udawać kogoś, kim nie są.

Do kościoła przychodziła rzadko, ale może tam u niej, na wsi, mają inny. Ale kiedy już przyszła, z ojcem, matką i siostrami, to nie śpiewali. Jakby nie znali melodii. Ojciec żegnał się jak należy, ale ręka Anki układała się w kabłąk. Zamiast prostować palce, związała je, jakby chciała coś ukryć w dłoni.

W klasie gadała właściwie tylko z Diduszką.

Może dlatego, że byli z tych samych gór? Rodzina Felka przyjechała gdzieś z sądeckiego. Za chlebem, na wieść, że na Ziemiach Odzyskanych życie jest lepsze, dom można mieć za darmo i kawał ziemi.

Wisiały wtedy po kraju te niebieskie plakaty: NA ZACHODZIE ZIEMIE CZEKAJĄ. NA 1 108 000 LUDZI CZEKAJĄ PRUSY WSCHODNIE Z WARMIĄ. NA 1 900 000 CZEKA POMORZE ZACHODNIE. NA 4 200 000 LUDZI CZEKA ŚLĄSK. Na plakacie Odra i Nissa, Lignica i Wrocław. Inne plakaty mówiły o tym, jaka jest wydajność z hektara. Pszenica 17,7 kwintala, żyto: 18,7. I dopisek, że 500 tysięcy gospodarstw jest do wzięcia.

Może przez te góry sądeckie się pokumali? Może przez tę ciężką pracę? Benek należał do innego, sklepikarskiego świata. Więc śmiali się z niego, że ma białe ręce i że sobie nigdy nie opali karku jak należy.

Od tego śmiechu się zaprzyjaźnili.

Chodzili czasami nad rzekę we troje, żeby rzucać kamieniami w jej nurt i sprawdzić, czy pokaże się trupia ręka. Niemcy, bo wtedy już znowu gadało się z Niemcami, opowiadali w sklepie, że ta rzeka, Nissa, wychodzi z brzegów jak stado koni i walczy z obcą armią. Tak było w pradawnych czasach najazdu Mongołów, którzy przetoczyli się przez całą Europę na swoich koniach. Konie były im i wierzchowcami, i spizarnią, bo wyjadali spod siodeł ponacinane do żywego surowe końskie mięso. Kiedy napadali na wsie, żeby je palić, zabijać i gwałcić, mieli całe twarze w tej zakrzepłej końskiej krwi. Ludzie myśleli, że to demony. Ale Jawora nie zdobyli, bo rzeka otoczyła miasto wysokim, wzburzonym nurtem, porwała jeźdźców i ich potopiła. To samo było potem z armią Napoleona Francuzów. Nie mogli się przedrzeć, kiedy uciekali z Rosji, bo rzeka im zastąpiła drogę, i wojska pruskie wycięły ich tu aż do nogi. To był ostatni napad Francji na tę część świata.

– Ale w czasie ostatniej wojny rzeka nie zatrzymała Armii Czerwonej – żartował Bratkowski ze swoimi klientami z tych niemieckich opowieści.

– A czy to, drogi panie, obca armia była?

Śmiali się, kiedy Benek przytaczał im te sklepowe dialogi, i znowu rzucali kamieniami. Diduszko w tej samej kurtce co zwykle. Zielonej i powycieranej na szwach, Benek w swetrze, który zrobiła mu matka. Anka w koszuli. Przepoczonej trochę, więc czuł jej zapach. Lubił go. Kamienie wpadały do Nysy z głośnym chlupotem. Rzeka nie wyglądała na szaloną. Płynęła wartko, ale nie była nawet głęboka.

– To muszą być bajki, przecież ta rzeka krzywdy nikomu nie robi – powiedziała Anka.

– Teraz, za dnia nie robi, ale wieczorem jest tutaj naprawdę strasznie. – Benek odkrył w sobie talent do opowiadania historii. Zmyślał je, ale wiedział, że w zmyśleniu musi być jakiś okruczeństwo prawdy, ziarno wystarczy, żeby poruszyć w umyśle słuchaczy strunę porozumienia.

– Jak to strasznie?

– Duchy przychodzą napić się wody.

– Jakież znowu duchy? – zachnął się Felek.

– No, pomordowanych w więzieniu.

– Na zamku? – Anka obejrzała się w stronę wieży.

– Na zamku.

Zamek wyglądał z nad rzeki jak posklejany z kilku kamienic, które zupełnie do siebie nie pasowały. Niektóre miały małe okna, inne okna średnie, a jedna miała takie okna, jakie są w gotyckich kościołach.

– Wieża jest raczej chuda – zauważyła Anka. – I raczej ozdobna niż obronna. A białe damy pojawiają się przecież na grubych, zębatych wieżach.

– Ale te duchy to nie są białe damy. To są duchy zabitych w piwnicy. Ludzie powiadają, że zabili tam Warankę i Kruka. I że nie pochowali we własnym grobie. A niepochowani we własnym grobie wracają. Wołają o własną ziemię.

– Pierdolenie – mruknął Diduszko. – Toć przecie po wojnie tylu niepochowanych, że cały świat by był pełen duchów, a widziałeś jakiego?

– Wojna to co innego. – Benek się nachmurzył. – Ja tam w duchy nie wierzę, ale mówię wam, że niektórzy je tu widzieli.

– A którzy?

– Lisicki i Szczerbera.

– To kretyni – ocenił Felek.

– Ale ja nie słyszałam tej historii...

– Bo to było, zanim przyjechałaś, Anka. Był tu taki delegat rządu Bykowski. Podobno partyzant od Armii Ludowej, taki był przystojny i tak go słuchali, że miał w partyzantach pseudonim „Chrystus”. No i kiedy komuniści przyjechali do Jawora, żeby objąć stanowiska, to „Chrystus” został delegatem. Rządził. Ale nie najlepiej, bo ludzie pisali na niego skargi do województwa. I pod koniec maja, jak wracał do domu swoim samochodem z kierowcą...

– Miał samochód z kierowcą?

– No. I za kierowcę miał Niemca. Ale ktoś do niego strzelił tuż przy bramie. Na Pionierów 11.

– A Niemiec?

– Niemca nie zabili. Tylko Bykowskiego. No i zaraz pierwszego dnia zamknęli tych, co skargi na delegata pisali. No i tak ich przesłuchiwali, aż powiedzieli, że to zrobili Waranka z Krukiem. Waranka miał dowodzić, a Kruk strzelać. Ten Kruk to młody był, dziewiętnaście lat. W śledztwie strasznie ich skatowali, bo żona Waranki w sklepie mówiła, że jak go widziała, to miał wybite wszystkie zęby, połamane ręce i wyszarpane paznokcie.

– Prawdę mówisz?

– Prawdę. Słyszałem przecież.

– Co słyszałeś?

– No, jak płacze w sklepie i mówi, że nie wolno jej było się z mężem zobaczyć, że paczki mu z jedzeniem dać nie mogła, chociaż mu chciała chleb dać, pół masła i dziesięć jajek na twardo.

– To kupa forsy przecież! – zdziwił się Felek. – Na paczkę wydać jakieś dwieście złotych!?

– No, ale paczki przekazać nie chcieli. I nie widziała go ani razu od aresztowania. Aż dopiero w tym sądzie. Płakała, że siwy się zrobił, całkiem niepodobny do siebie, nie mówił nic, tylko głową kiwał. Pewnie nie mógł mówić bez zębów, samymi szczękami. Wrak człowieka, a przecież tylko trzydzieści lat.

– A ten drugi?

– Kruk? Milicja mówiła, że dla pieniędzy zabił. Że mu Waranka, agent Zachodu, dał dwa tysiące za to, że strzelał. Miał mu obiecać, że jak trafi, to będzie tych pieniędzy więcej. W sądzie ich oskarżonych sześciu było. Dwóch dostało karę śmierci. Ojciec mówił, że w gazecie napisali, że przygotowywali spisek. Że mieli zabić wszystkich urzędników w całym Jaworze.

– Za co? – zapytał Felek.

– Za to, że komuniści. Ale niektórzy mówią, że zdrajcy. Że ten „Chrystus” był niemieckim agentem.

– W Jaworze?

– Nie w Jaworze, a w poprzednim życiu.

– Aha – zrozumiał Felek. Każdy miał przecież jakieś poprzednie życie.

– No i co dalej?

– No i żona napisała list do Bieruta o ułaskawienie. Że przecież Waranka w Jaworze milicję zakładał, że się z delegatem lubił, że opinia nieposzlakowana, że nie ma nic wspólnego z zamachem. Ale Bierut nie ułaskawił.

– A co z duchami? – zniecierpliwiła się Anka.

– Nic. Straszą. Bykowski, ten zabity komunista, to miał pogrzeb z księdzem. Krzyż mu postawili nawet. A Waranka i Kruk grobu nie dostali. Śladu po nich nie ma. Tylko te duchy nie dają zapomnieć.

– We więzieniu ich zabili? – wzdrygnęła się Anka.

– Mówią, że zastrzelili. Może to nie oni jedni tam zabici.

– A skąd wiadomo, że to ich duchy?

– Nie wiadomo. Kto to może wiedzieć? Dzisiaj człowiek jest, a potem go nie ma.

Duchy zostają.

– Duchy zostają... – powiedziała jakoś do siebie. – Mój ojciec chory.

– Co mu jest?

– Nic, pracuje za ciężko. Przepuklina.

I nagle, jakby to nie była ona, Anka zaczęła opowiadać.

O akcji „Wisła”. Że sierpień był, jak do nich przyszli. Środek lata. Zboże w polu niezebrane, ale mówili, że tam, dokąd oni pojedą, też zboże stoi i komuś trzeba żniwa robić, więc rodzice spakowali dwie walizki, wzięli dwie krowy, bo tyle im pozwolili zabrać, i pojechali.

– W ostatniej chwili mama wróciła jeszcze, żeby otworzyć klatki królikom, boby przecież stworzenia popadały z głodu. Pociąg był do Środy Śląskiej. A tam mówią, że już nie ma gospodarzy, że wszystko pozajmowane albo popalone. I że trzeba dalej, do Jawora, tam po wsiach domy jeszcze stoją puste, dostaniecie ziemię, będzie dobrze.

Ale pustych domów było już niewiele. Zostały tylko te rozgrabione. Okna wybite. Sprzęty rozebrane. Jesień nadciągnęła, plonów nie ma. Bieda. Więc tata poszedł na te plewy pracować u gospodarzy, co już wszystko mieli, bo tu przyjechali w czterdziestym piątym.

– Zazdrościłaś im? – Benek żałował, że siedzą tu we trójkę, bo było w głosie Anki coś, co kazało mu ją przytulić, a przecież nie mógł się na to zdobyć przy Felku.

A Diduszko siedział chmurny nagle i blady.

– Nie... nie zazdrościłam. Lubię ich. Ja przecież wszystkich lubię.

Wtedy Felek przytulił dziewczynę i pozwolił, żeby się rozplakała.

Po następnych żniwach ojciec Anki zmarł. Żyła mu pękła. Nie skarżył się. Ale że nie mieli konia, tylko te dwie krowy, to w czasie żniw zaciągnął sporo zobowiązań. Za dzień pracy konia dawał swoje dwa dni pracy. Każdą usługę w polu musiał odpracować u innych. Przedźwignął się i już nie dał rady. Najmłodsze dziecko miało ledwo półtora roku. Od tej pory matka szła na odrobek u każdego, kto im pomagał. Zaprzęgała krowy w jarzmo, które zamówiła u stolarza ze Snowidzy, i szły z córkami do lasu chrust zbierać i drzewo, żeby zimą nie pomarzły. Krowy w

tym jarzmie chodziły całkiem jak konie.

– Wciąż ich lubisz, tych waszych sąsiadów? – pytał Benek po kilku dniach, kiedy znów siedzieli nad rzeką i kiedy znów rozmawiali o duchach, a ich było wokół coraz więcej.

– Kiedy ojciec umarł, cała wieś schodziła się, żeby pomóc nam w młocce albo sianokosach. Nosłam wodę ze studni i gotowałam wszystkim obiady. Lubię, że ludzie trzymają się tutaj razem. Nagotować dla kilkunastu osób nie jest łatwo, ale czuję się wtedy gospodynią. Trzeba nagotować tyle, żeby wszystkim wystarczyło. I żeby wszystkim smakowało. Gdybym nie potrafiła, to kto by matce przyszedł do pomocy? Młóci się do zmierzchu, a potem siada w kuchni wokół stołu i gada. Czasem ludzie zostają do samego świtu. Felek zostaje. Jesteśmy sąsiadami.

Od tamtej rozmowy stała się Benkowi bliska. Aż do wieczora, kiedy podejrział ich pod luterskim kościołem. Wtedy przestała być dla niego madonna. Stała się zwyczajna. Żałosna raczej. Słaba. Ale wciąż jej pragnął. Patrzył jak wilk na kark i na piersi. Diduszko nie mógł tego nie zauważyć. Przyszła dzisiaj z Benkiem nad rzekę, żeby powiedzieć, że jej przykro. Może powiedziałaaby jeszcze, że nie chce chodzić z Diduszką, że się go coraz bardziej boi. Miało być odtąd lepiej. Ale Benek podpatrzył ich i wyszło, jak wyszło.

– Wszystkim opowiem – powiedział Benek cicho, ale stanowczo. – Chyba że zrobisz mi to samo co jemu.

– Myślałam, że się we mnie kochasz – powiedziała.

– Jebie mnie to. – Wymacał ręką jakiś kamień i cisnął do rzeki. – Jebie. Rozumiesz?

Mówił cicho i spokojnie. Zupełnie nie krzyczał.

I tego właśnie bała się najbardziej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

TERAZ

Myślała, że może rozpozna miejsce, w którym Barcikowski kilkanaście kilometrów po zjeździe z autostrady rozbił swoje audi, dając przyczynek do spekulacji, że może zapomniał, iż nie jest już na autostradzie, tylko na zwyczajnej drodze z jednym pasem ruchu w każdą stronę. Nie rozpoznała. Było ciemno i lało. Nie widziała nic. Myślała o topielicy z ranami na plecach. Ciekawe, jak Kosiński sobie poradził z poszukiwaniami. Pewnie nijak, boby przecież zadzwonił. Ale może była poza zasięgiem, przecież tu podobno są jakieś góry? Spojrzała na ekran. Nic. Żadnych telefonów z pracy. Żadnych telefonów z pracy znaczy, że nie było w ogóle żadnych. Że nikogo nie obchodzi, gdzie jest i dokąd jedzie. W jakąś czarną dupę na końcu świata spotkać się z emerytowanym gliną, o którym wie tylko, że ma przepity głos i że będzie przygotowany.

– Siwy dzwonił, wiem – powiedział, kiedy wykręciła jego numer. – Będzie przygotowany.

Miał dziwny numer. Tylko zera i jedyńki. Pewnie nieźle za niego zapłacił. Operatorzy nie dają takich numerów byle komu.

STRZEGOM 14 – odczytała.

Wykręciła numer Kosińskiego. Długo nie odbierał.

– Co tam? – szepnął wreszcie jakiś zdenerwowany. W tle słychać było jakieś strzały.

– Co ty? Na strzelnicy jesteś?

– Nie – szepnął. – W kinie jestem. *Niebezpieczne kobiety*.

– Do kina porno poszedłeś?! – Zachciało jej się śmiać.

– Nie. Na nowego *Pitbulla*. O kobietach.

– Ciekawe, ile tam prawdy o odchudzaniu?

– Nie wiem, dużo krwi, nie mogę gadać.

Wyłączyła się. Tak, gadanie w kinie bywa wkurwiające. Może poszedł z jakąś dziewczyną? Ciekawe, czy taki Kosiński kogoś ma. Okularnik jeden. Nerd. Słabo strzela, pewnie nawet nie je mięsa, ale szybki jest. Dobrze myśli. Chudy. Chudzi są nieźli w łóżku. Podobno.

Dobrze, skup się teraz.

Wybrała te zera i jedynki.

– Tak! – zgłosił się natychmiast.

– Dzwoniłam do pana wczoraj w sprawie wypadku – powiedziała.

– Tak, Olga, pamiętam. Daleko jesteś? – Co za cham, nie byli na ty.

– Kilka kilometrów.

– Miniesz miasto po prawej stronie. Za estakadą jest rondo. Skręcisz jak na Jawor, ale kiedy główna po kilkuset metrach będzie skręcać w prawo, ty pojedź prosto, jak daleko się da. Kiedy zobaczysz zakaz wjazdu, zaczną się jednokierunkowe ulice, zaparkuj i zadzwoń. – Wyłączył się.

Co za gość? Podniósł jej ciśnienie. Ale właśnie minęła przekreśloną tablicę JAROSZÓW i znowu mogła docisnąć gaz, a kilka minut później wjeżdżała na estakadę i zwolniła przed rondem. Wszystko było tak, jak mówił. Zaparkowała i sięgnęła po telefon. Odebrał po pierwszym sygnale, podał adres i znowu się wyłączył.

Znalazła w smartfonie plan miasta. To było ledwo czterysta metrów.

– Kurwa mać. – Wolała najpierw pójść do hotelu, umyć się i zjeść coś, choćby kanapkę.

Otworzyła drzwi. Padało. I było zimno do szpiku kości. Co za popierdolony kraj. Pół roku pada i dzień trwa kilka godzin, a przez resztę roku też pada. Chociaż nie. Zdarzają się ciepłe dni. Zwłaszcza zimą, kiedy można byłoby pojeździć na nartach.

Zmokła, zanim doszła do rogu. Dom był niewielką przedwojenną kamieniczką. Na domofonie, przed furtką w zielonym ogrodzeniu, cztery dzwonki. Żadnego nazwiska. Sięgnęła po telefon, ale w tym samym momencie dostała esemes: „2”.

Wcisnęła dwójkę.

Poruszyła się firanka. Ktoś bezczelnie przyglądał się jej, jak moknie. A potem, po chwili, usłyszała bzyczenie dzwonka. Furtka zaskrzypiała okropnie. Drzwi też miały domofon. Bordowa farba obłaziła płatami, a spod niej wyglądała zielona. Też

olejna. Kiedyś ktoś zrozumie, że takie drzwi, drewniane, pewnie stuletnie, trzeba z tego całego gówna wyczyścić i pomalować bejcą, przez którą będzie widać słoje. Za drzwiami były trzy kamienne stopnie, a nad nimi dwoje drzwi. Jedne otwarte.

– Chodź – usłyszała.

Na wózku, w smudze światła, siedział mężczyzna, który mógł mieć sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat. Łysy, niewiele zmarszczek, tylko dwie, ostre i głębokie po obu stronach nosa. Stalowe oczy bez wodnistych śladów charakterystycznych dla starych ludzi. Wielkie dłonie. W jednej ćwiartka wódki. W drugiej dwie szklanki. Zrozumiała.

– Stara gwardia? – Skinęła głową w kierunku butelki.

Uśmiechnął się, upchnął szklanki między nogami w kraciastych spodniach i odkręcił butelkę.

– Dobrze, że znasz zasady. – Nalał po szklance. – Finlandia.

Przez chwilę chciała zaoponować. Że musi jeszcze dzisiaj prowadzić, że jest głodna, zmęczona i że tamte czasy minęły. Ale pieprzyć to, chciała pokazać, że jest z rodziny.

– Za dobro – powiedział gospodarz całkiem poważnie. – Wypijmy za dobro między ludźmi i za pokój między narodami całego świata.

Nie trącili się szklankami. Wypiła połowę. On też nie wypił do końca.

– No?

– Za życie. Żeby najlepsze było jeszcze przed nami.

Wypili do końca. Gospodarz ostatnie krople strząsnął na ziemię. Pomyślała, że może być górale.

– Mów mi Konrad. – Skinął na nią głową zapraszającym gestem, zawrócił w miejscu i pojechał w kierunku oświetlonego pokoju.

Duży salon. Jak w starej kamienicy bogatego mieszczanina. Strop był pewnie na trzech metrach. Półki od dołu do góry. Mnóstwo książek. Niektóre w okładkach z szarego papieru jak w szkolnej bibliotece z czasów, kiedy była dzieckiem.

– Rozgość się – powiedział. – Zjesz co? Mam świeży chleb i smalec prosto ze wsi.

– Ktoś panu robi zakupy...

– Ktoś tu zagląda, to prawda. Ja nie lubię gotować. Chleb, smalec, kiszone ogórki, cebula. Może być?

Na stole stała kolejna butelka. I kilka tomów akt w tych burych kartonowych okładkach wiązanych na sznurki.

– Tak. Świetnie. – Zrozumiała, że to może potrwać.

Posmarował chleb i podał jej ręką, bez bawienia się w talerze.

– Wiesz, po co tu jesteś?

– Siwy... nadinspektor Doliński... – Poprawiła się, kiedy uniósł brew na dźwięk słowa „Siwy” – poprosił mnie, żebym się z panem spotkała.

– Nad-in-spek-tor – przesyłabizował, rozkoszując się każdym dźwiękiem. – Ha, ha, ha, kto by pomyślał... Jednym słowem, nie wiesz, po co tu jesteś.

– Nie wiem.

– Mam ci opowiedzieć o wypadku. I jeśli będziesz miała pytania, odpowiedzieć. Jeśli nie będziesz miała pytań, to nie moja sprawa.

– Rozumiem. – Usiadła na jednym z dwóch foteli. Czerwone obicie, jakieś grube płótno. Nienowe, ale i nie za bardzo brudne. Musi już długo jeździć na wózku, bo nawet oparcia nie były poczerniałe ani powycierane.

– No, więc pytaj. – Smarował kromkę sobie, pochylając się nad stołem. Był powolny i dokładny. Nie spadł ani okruszek.

– Barcikowski. Wypadek samochodowy.

– Bardzo ciekawy wypadek. Pierwsza teczka od góry. Obejrzyj zdjęcia.

Rozsznurowała. Fotografie leżały na wierzchu. Czerwone audi kompletnie zmasakrowane z przodu. Drzwi wyrwane, dach zwinięty, po przedniej szybie nie ma nawet śladu. Fotel kierowcy odchylony mocno do tyłu. Fotel pasażera stoi na sztorc. Zdjęcia od strony pasażera pokazują, że auto musiało uderzyć lewą stroną. Nawet drzwi są na swoim miejscu, choć szyb w oknach brakuje.

– A8. – Konrad ugryzł kanapkę. – Niełatwo zdemolować takie auto. Trzeba być mistrzem.

– Uderzył bokiem od strony kierowcy.

– Tak. Wbił się pod wysoko zawieszoną ciężarówkę z ładunkiem papierówki.

– Jabłka wieźli?

– Nie. Drewno do papierni.

– Co to znaczy?

– Taki gatunek tarcicy. Długość około metr dwadzieścia, szerokość około dwadzieścia pięć centymetrów. Na papier albo do produkcji palet. W każdym razie

ciężki ładunek, kierowca nie mógł zahamować gwałtownie, bo mogłoby postawić naczepę bokiem albo wywrócić. Był w patowej sytuacji, zaczął zwalniać, ale w momencie uderzenia i tak miał na liczniku prawie sześćdziesiąt. W teczce są jego zeznania. Stanisław Czerwiński. Kierowca z długoletnim stażem. Jeździł jeszcze w PKS na jelczach i na ziłach, potem były używane volvo, potem u prywatniarza na iveco, już nowszym, po całej Europie, no, a kiedy urodził mu się drugi syn, postanowił przesiąść się na transport krajowy.

– Skąd pan to wie? – Przeglądała zeznanie, ale nie było w nim historii kierowcy.

– Interesowałem się.

– Co to za samochód, jakim jechał? Mercedes benz 2635 z napędem na wszystkie osie? – odczytała z protokołu.

– Wysoki. Potężna ciężarówka do przewożenia drewna. Wjeżdża do lasu, pokonuje rowy, daje radę w przechyle. Cudo. Po prostu cudo.

– Zahamować w miejscu nie potrafiła.

– No nie, to przez tę naczepę. Za mocno się gość rozpędził. Do domu chciał. Mecz obejrzeć.

– Jaki mecz?

– Z Wybrzeżem Kości Słoniowej, towarzyski, bramki strzelili Obraniak i Lewandowski.

Smarował kolejną kanapkę, a ona wertowała protokół z przesłuchania. Nie było nic ciekawego oprócz tego.

– To jest ciekawe zdanie: „Myślałem, że audi jest puste, nie było widać przez szybę ani kierowcy, ani pasażera”. Dziwne, prawda?

– No i jego starszy syn, który siedział obok w ciężarówce, mówił to samo.

– Co na to śledczy?

– Nic. Znajdziesz to w papierach. Uznali, że to był refleks słońca w szybie audi i że ludzie z ciężarówki nie widzieli nic, bo w szybie odbijało się światło.

– To możliwe.

– Tak, nawet bardzo.

Jadł, a ona czytała dalej.

– Chcesz jeszcze kanapkę?

– Tak, poproszę. – Poczwała się głodna. No i zła, że musiała jechać taki szmat drogi, żeby czytać nudne protokoły w sprawie jakiegoś wypadku sprzed lat.

Zjadła kanapkę, czytała w milczeniu. Konrad nalał szklanek wódki. Wzięła i piła tak, jakby to było wino, małymi łykami. Protokół przesłuchania Zenona Czerwińskiego, lat czternaście. Potwierdzał wszystko, co mówił ojciec. W wypadku został poszkodowany, wstrząśnienie mózgu, zajęli się nim lekarze w szpitalu we Wrocławiu. Stłuczenie kolana. Nic ciekawego. Są jeszcze protokoły oględzin miejsca wypadku. Przejrzała jeszcze raz zdjęcia.

– Co z nią? – Pokazała zdjęcie pasażerki. Było niewyraźne. Cała twarz we krwi. Trudno było nawet powiedzieć, czy była młoda, czy w średnim wieku.

Sięgnęła po szklankę. Ani się spostrzegła, że zrobiła się zupełnie pusta. Wyciągnęła rękę w kierunku Konrada, a on tylko się uśmiechnął.

– Nic. Zniknęła. Bez śladu.

– Gazety coś o niej pisały, ale szczegółów brakowało.

– To dobrze, spisaliśmy się.

– Co pan ma na myśli?

– Że tak pisały, pisały i przestały. Że wszyscy zapomnieli, zajęli się innymi sprawami. W przededniu pogrzebu, i to państwowego, nie było łatwo sprawić, żeby nikt nie pisał ani nie mówił w telewizji, że pasażerka zniknęła. Ruski nalał Serbii znów do połowy.

– Jak to zniknęła?

– Wyszła ze szpitala w płaszczu, który ukradła z kantora sprzętaczek. Jej własne ubranie było zakrwawione. Policjanci nawet jej nie spisali, bo przecież kiedy ją wynieśli z samochodu, była w szoku, krzyczała i była cała we krwi. Wyglądało, jakby to jej rozerwało tętnice.

– To jak uciekła? Zmartwychwstała?

– To nie była jej krew. To była krew Barcikowskiego. Założyli jej kołnierz, położyli na noszach, podali jej tlen i pojechała. W szpitalu nagle odzyskała przytomność, ukradła płaszcz i wyszła.

– Skąd wiadomo, że to nie była jej krew?

– Kiedy ją umyli, okazało się, że nie jest ranna. Chwilę potem uciekła.

– Jak to możliwe? On zmiądzony pod ciężarówką, a jej nic się nie stało?

– No właśnie, to bardzo ciekawe. Masz jakieś pomysły?

Wypiła większy łyk. Poczowała, jak pali ją gardło. Jaki mogła mieć pomysł? Przypomniała sobie artykuł z jakiegoś portalu o tym, że rozbili się, bo kobieta

robiła kierowcy laskę. Ale to się nie trzymało kupy. Zresztą jak to możliwe, że nic jej się nie stało? Pisali też, że to dziwne, że samochód po prostu po takim zderzeniu nie wybuchnął. Ani się nie zapalił. Kurwa, wszystko jest nie tak, jak powinno.

– Miał rozpięte spodnie? – zapytała. – W protokole nie ma o tym słowa.

– A jeśli ci powiem, że miał?

– Zapytam, skąd pan wie.

– Od tych, co go wyciągali z za kierownicy.

– Nie ma o tym w papierach.

– Wiem. – Uśmiechnął się.

– No i dlaczego samochód się nie zapalił?

– Bo ma wyłącznik pompy paliwa. W momencie uderzenia paliwo przestaje dopływać do silnika. Samochody wybuchają tylko w filmach.

– A więc miał rozpięte spodnie...

– Mógł to zrobić dla wygody. Mężczyźni z brzuchem często rozpinają pasek od spodni. Zwłaszcza jeśli pili wcześniej dużo gazowanych napojów. To niczego nie dowodzi. Błędzisz. Pytanie brzmi: Jak to się stało, że ona wyszła bez szwanku?

Olga obejrzała zdjęcia jeszcze raz. Fotel pasażera był maksymalnie odsunięty do tyłu. Oparcie na sztorc, ale odsunięty. Miała dość miejsca, żeby się skulić i uniknąć uszkodzenia głowy.

– Miała dość miejsca, żeby się skulić i uniknąć uszkodzenia głowy – powtórzyła tę myśl powoli.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją. – Doskonale. W tym samochodzie jest dość miejsca, żeby przy takim uderzeniu wyjść cało z wypadku, pod warunkiem że ma się odpięty pas, bo inaczej nie można byłoby zanurkować tak bardzo w dół. Ale na to, żeby odpiąć pas, trzeba czasu. Czegóż więcej niż tylko odruchu. Odruchowo to można sobie twarz rękami zasłonić.

– Musiałyby wiedzieć, jakie to będzie uderzenie – powiedziała Serbia, sama się sobie dziwiąc. – Musiałyby wiedzieć, co się stanie.

– No właśnie.

– A to nie jest możliwe.

– Wręcz przeciwnie – powiedział. – Historia zna takie przypadki.

– Zamieniam się w słuch.

– Kilkanaście lat temu agentka pewnej służby specjalnej dopadła pewnego

terrorystę, udając dziwkę. Poderwała go w nocnym klubie i sprawiła, że zechciał z nią wyjść. Po drodze wsunęła mu rękę w spodnie, a kiedy się podniecił na tyle, żeby stracić nad sobą panowanie, wyszarpnęła mu kierownicę z ręki i uderzyła w nadjeżdżający z przeciwka samochód. Terrorysta nie zginął, ale odniósł na tyle poważne obrażenia, że od tamtej pory mógł się poruszać tylko na wózku.

– Dlaczego go nie odstrzelili?

– Bo nie było sposobu, żeby do niego podejść.

– To jak jej się udało?

– Pracowała w tym klubie dwa lata pod przykryciem.

– Skąd pan o tym wie?

– Ze szkoły.

– Z jakiej szkoły?

– Z najlepszej. – Uśmiechnął się i dopił swoją wódkę. – W zaprzyjaźnionym, ciepłym kraju.

– A więc mówi pan, że to morderstwo? – Zamyśliła się.

– Nic takiego nie mówię. Mówię tylko, że jest to teoretycznie możliwe i że kiedyś, wcale nie tak dawno, nawet się wydarzyło.

– No tak... A ta kobieta z wypadku, ta, co uciekła ze szpitala, to stara, czy młoda?

– To jest dobre pytanie. Trudno stwierdzić. Sanitariusze nie zwrócili na to uwagi, bo zajęci byli tym, żeby jej ratować życie. Miała twarz we krwi. Oddychała, serce pracowało w mocno przyspieszonym rytmie, jęczała z bólu, ale przecież w karetce nie robią jej dokładnych badań. W szpitalu obmyli jej twarz, żeby przygotować do operacji, i okazało się, że nie jest ranna. W każdym razie nie miała zewnętrznych obrażeń. Została sama tylko na chwilę. No i uciekła w kradzionym płaszczu. Mają tam monitoring, mieli już wtedy, ale ani razu nie podniosła głowy. Nic. Kamień w wodę.

– Kurwa jego mać – zakląła. – To bardzo dziwne. Dlaczego to nie wypłynęło?

– Użyto niezbędnych środków, żeby dziennikarze zapomnieli. Naszemu krajowi nie były potrzebne takie tajemnice. Macierewicz poleciał wtedy do USA, żeby prosić Amerykanów o pomoc w rozwiązaniu przyczyn katastrofy smoleńskiej, gazety miały się czym zajmować.

Siedzieli w milczeniu. Długo. W końcu zrozumiała, że to wszystko.

– Mogę zabrać te papiery? – Wskazała na teczkę.

– Nie, oczywiście, że nie możesz, ale możesz mnie rano znowu odwiedzić. Zapraszam cię na jajecznicę. Może znam jeszcze kilka odpowiedzi, o ile potrafisz zadać właściwe pytania.

Wziął teczkę ze stołu, wyjął z kieszeni kluczyk. Odsunął jedną z półek i otworzył stalowe drzwi ukryte w ścianie. Była tam półka pełna papierów. Położył teczkę, które przeglądali, na samym wierzchu.

– No, to do jutra. – Odwrócił się do niej przodem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

WTEDY

– Myślałam, że się we mnie kochasz – powtórzyła.

Bała się, że ją skrzywdzi. Ale Benek po prostu wstał i otrzepał spodnie z zeschniętych źdźbeł. Rzeka snuła się leniwa i obojętna. Żadnych duchów. Nic.

– Jutro o tej samej porze – powiedział. – Masz tu być. Inaczej wszystkim powiem, co mu robiłaś. Wyrzucą cię ze szkoły.

– Nie wyrzucą – powiedziała hardo. – A Felek i tak jest lepszy od ciebie.

– Gównu tam lepszy. W jego wieku powinien być na studiach, a jeszcze nie ma matury. To wieśniak, rozumiesz? Wsiok. Chuj! – krzyknął. – Chuj!

– Ale w lesie był. O Polskę walczył. A ty co? – Powstrzymała łyzy. Nieważne, o czym myślała jeszcze kilkanaście minut temu. Nieważne. – Ty dzieciak jesteś.

– W lesie? Kurwa, w jakim lesie? – Benek dyszał szybko. – W jakim lesie, w łeb się pierdolnij, głupia babo.

– W lesie był. Strzelał do Ruskich, jak szli.

– A ja do Niemców strzelałem – prawie zapłakał.

– Taaa... – Odciągnęła powiekę w dół. – Ciekawe gdzie?!

Uderzył ją w twarz.

– W Warszawie – powiedział nagle cicho. – W moim mieście. W Warszawie.

– W Warszawie? – powtórzyła zdziwiona.

– Tak, wiem... Nie ma już mojego miasta.

I wtedy się rozplakał. Rozplakał się pierwszy raz, odkąd pamiętał. Musiał wypłakać Hirscha, tatę, dziadka, jego opowieści, spaloną synagogę, osamotnienie, kiedy matka chodziła do Bratkowskiego i już nie wracała do ich pokoiku, strach, że ktoś się dowie, że jest Żydem, wstyd, że już tym Żydem być nie może, smutek, że nie ma Boga, tęsknotę za miastem, o którym czytał teraz w „Głosie”, że się dźwiga

z ruin, to poniżające uczucie, kiedy spadały na niego kopniaki Diduszki. Musiał wypłakać to pragnienie, z jakim myślał o piersiach Anki. Musiał wypłakać samotność.

– No już, już. – Pociągnęła go za rękę, żeby usiadł, a kiedy to zrobił, objęła go ramieniem. – Nie płacz, nie płacz, Beniu. – Pogłaskała go po twarzy. – Wszystko będzie dobrze.

Nic nie będzie – chciał powiedzieć. Przecież wszyscy nie żyją.

Ale nie powiedział nic. Wstydział się. Wstydział się łez, słabości, tego pierdolonego chłopiństwa, tego, że jest nikim i że nikim pozostanie. Nie był w lesie, nie strzelał, siedział w sklepie cały ten czas, niczego nie dokonał, nie zna świata i nigdy nie pozna, nigdy nie zobaczy wieży Eiffela ani Łuku Triumfalnego. Zawsze będzie już sklepikarzem w jakiejś dziurze. Nie miał przeszłości i nie czekało go nic. Nie chciał jej o tym powiedzieć.

Nie zniósłby więcej upokorzeń.

Na razie, kiedy go tak przytulała, czuł pod policzkiem jej pierś, była zarazem miękka i twarda. Jakby zrobiona z gumy. Jak piłka. Poczuł, że robi się twardy. To pierwszy raz, kiedy dotykał kobiecego ciała. Wyobrażał sobie po wielokroć, jak to jest, ale nie zdarzyło mu się dotąd być tak blisko. Anka była ciepła i miękka. Mógłby ją teraz objąć i może nawet mógłby ją pocałować, ale co by się stało, gdyby go odepchnęła, wyśmiała, gdyby mu powiedziała znowu, że jest nikim, dzieciakiem? Pierdolonym dzieciakiem!

Zachłysnął się raz i drugi i przestał płakać. Anka nie puszczała go. Przytulała i głaskała po włosach, a on chciał, żeby tak zostało. Żeby zostało tak już na zawsze. Żeby nie wracała do Diduszki, żeby nie wkładała mu ręki do spodni, ani nigdzie indziej, żeby nie przytulała go ani nie całowała.

Uwolnił się z jej objęć jednym szarpnięciem.

– Jutro. – Otarł twarz grzbietem dłoni. – Jutro masz tu być o tej samej porze.

Pociągnął nosem.

– O tej samej porze albo wszystkim powiem.

– O czym? – nie rozumiała.

– Że jesteś zwykłą dziwką.

– Mam siedemnaście lat. – Wzruszyła ramionami. – Mogę robić, co zechcę.

– Ale jak w kościele powiedzą, że jesteś ladaczną, twoja matka tego nie

przeżyje. Nie przeżyje, kiedy się dowie, że jesteś dziwką.

Szedł przed siebie i nawet się nie odwrócił.

Nie widział, jak dziewczyna siedzi i patrzy na świat na drugim brzegu, jakby widziała go po raz pierwszy. Nie mogła się nadziwić, jakie bujne wyrosły tam zarośla. Gdyby przyjąć tu z krowami, mogłyby nazreć się do woli tego, co im sprawia przyjemność.

W domu Bratkowski położył mu na biurku gazetę. Na pierwszej stronie największy tytuł głosił: „Nowy prezydent państwa Izrael”. Przeczytał, że kilka dni temu Izrael ogłosił niepodległość i że zaczęła się wojna. Wojska Egiptu, Syrii i Transjordanii wkroczyły na terytorium Palestyny, państwo Izrael chce zostać członkiem ONZ. Deklarację Niepodległości odczytał 14 maja 1948 roku o godzinie szesnastej Dawid Ben Gurion w przededniu wygaśnięcia brytyjskiego protektoratu nad Palestyną. Rada Ludowa przekształciła się w Tymczasową Radę Państwa, a minister Mosze Szertok nadesłał notę ministrowi Modzelewskiemu, dziękując za poparcie starań Izraela o przyjęcie do ONZ, a polski minister odpowiedział, że rząd Polski Ludowej uznaje tymczasowy rząd Izraela.

– Po co mi to? – zapytał Benek.

– Gdybyś chciał pojechać – uśmiechnął się Bratkowski. – Nigdy nie wiadomo, co się tu będzie działo.

– Chciałbym pojechać do Warszawy – powiedział chłopak opryskliwie. – Niezależnie od tego, co tu się będzie działo.

– W porządku. – Bratkowski nie zrozumiał jego wybuchu. – Po prostu myślałem, że chciałbyś wiedzieć.

– To ja przepraszam... A co tu się będzie działo?

– Nie wiadomo. Rosjanie chcą kolektywizować wsie. Potem może będą kolektywizować handel...

– Wiem, czytałem. Ale czytałem też, że towarzysz Gomułka jest temu przeciwny.

– Co ty mi tu z towarzyszami wyjeżdżasz? – Bratkowski podniósł wzrok na pasierba.

– Nic – odparł twardo Benedykt. – Zupełnie nic. Po prostu ja też się interesuję światem.

– Idź się uczyć.

Następnego dnia Anka nie przyszła do szkoły. Ani tego, ani kolejnego. W piątek Diduszko czekał na Benka przed bramą.

– Pójdziemy się przejść – oznajmił z tym swoim wschodnim akcentem.

Benek chciał się roześmiać, ale nie wypadało. Niech gada, jak chce.

Diduszko, starszy o trzy, może nawet cztery lata, był już dorosłym facetem. Trzymał w szkole z Miesiewiczem i Chowańcem. Nie wchodzili ludziom w drogę, ale wszyscy się ich bali. Nauczyciele nie wymagali zbyt wiele od powojennego, przedwcześnie dojrzałego pokolenia. Ich ojcom wystarczały kursy nauki czytania i pisania. Oni mieli ambicję, żeby zdać maturę. Było, jak było. Diduszko był właśnie w trakcie egzaminów. Miał na sobie marynarkę. Może od kogoś pożyczoną, pomyślał Benek, na pewno pożyczoną. Szli w milczeniu. Gdzieś daleko za nimi zostali ci dwaj, Chowaniec i Miesiewicz. Szli do parku. W cień kościoła dla Niemców.

Tu się zatrzymali.

Diduszko zdjął marynarkę, a Benek wiedział już, że na pewno była pożyczona, bo chłopak złożył ją podszewką na wierzch i delikatnie ułożył na trawie. Podwinął rękawy koszuli metodycznie i powoli. Benek nie bał się. Nie czuł nic. Zupełnie nic. Ani nienawiści, ani strachu. Dziwił go niezmiernie ten brak lęku.

Poczuł ból, kiedy pięść trafiła go w śledzionę. Wiedział, że to śledziona, pamiętał z atlasu anatomii.

Upadł.

– Nazwałeś moją dziewczynę dziwką – powiedział Diduszko. – A to, kurwa, nie jest prawda.

Podniósł go, postawił i uderzył w brzuch.

Benek stracił oddech i upadł jak długi. Leżał z otwartymi ustami, ale oddech nie chciał nadejść. Poczuł, że się dusi. Że umrze zaraz, jeśli nie złapie powietrza. Dopiero wtedy poczuł strach.

– Ścierwo jedno. – Diduszko kopnął go w ramię. Benek próbował zagarnąć oddech, ruszając ustami jak ryba, ale bez rezultatu. Nie dało się połknąć powietrza. Zacisnął powieki i zasłonił brzuch rękami. Nie było więcej ciosów. Diduszko szarpnął go znowu w górę i postawił. Wtedy oddech wrócił ze świstem. Ale tylko jeden.

– Pójdiesz i ją przeprosisz – powiedział Felek. – Inaczej ryj ci rozsmaruję o

ścianę.

Benek złapał oddech.

– Kiedy?

– Zaraz.

– Po-je-ba-ło cię. – Oddech się wyrównywał. Powoli, bardzo powoli, ale chłopak uwierzył, że złapie kolejny. – To da-le-ko.

Dostał znowu w brzuch, ale tym razem Felek nie trafił dość precyzyjnie. Zamiast w splot poszło w żołądek. Benek zatoczył się i zaczął rzygać. Dostał kopniaka w dupę, ale nie upadł, bo ręką w porę przytrzymał się ściany kościoła. Rzygał na tę pobieloną ścianę. Czuł, jak śmierdzi. Gównem. Siarką.

– Pójdiesz zaraz – oświadczył Feliks. – Bo tak jej powiedziałem. Pójdiesz i przeprosisz.

– Co ci mówiła? – Benek wyciągnął chusteczkę i wytarł usta.

Zawsze nosił przy sobie chusteczkę.

– Że ją nazwałeś dziwką i że do szkoły nie przyjdzie.

– A wyjaśniła ci, dlaczego ją tak nazwałem?

– Nie... – stropił się Diduszko. – A dlaczego?

– Dla żartu.

Felek rzucił się naprzód, odwrócił Benka przodem i znowu przyłożył mu w brzuch.

– Ja ci dam dla żartu, skurwysynu jeden. – Walnął chłopaka jeszcze raz, aż ten osunął się prosto w te wymiociny.

– Popamiętasz – syknął tylko Benek. Przez chwilę bał się, że Felek kopnie go teraz w ryj, a wtedy posypią mu się zęby. Felek nosił wysokie, skórzane trzewiki na grubym smalcu. – Jak ci przyjebię, nie będzie co zbierać. – Miał usta pełne gorzkiej śliny. – Nie będzie co zbierać.

– A co ty mi możesz zrobić? Chujku łysy...

Benek spróbował się podeprzeć. Włożył rękę w to miękkie, ciepłe i śliskie łajno, które dopiero co miał w trzewiach, i znowu zrobiło mu się niedobrze, ale wytrzymał. Podniósł dłoń do oczu i wpatrywał się w żółc i jakieś barwne resztki, może skórki od pomidorów albo jabłek. Wydała mu się ta ręka obca i nieludzka. Nie było go tutaj. Nie siedział pod tym murem w jebanej pipidowie na końcu świata. Nie jest z tego miasta. Nie zna tych duchów. I nie boi się. Nie jest z tego

świata.

– Zobaczysz – syknął zimno. – Zobaczysz, co ci zrobię.

Felek podniósł go za ubranie, starannie unikając zetknięcia z brudem. Popatrzył z pogardą, ale już nie przyłożył więcej. Nie bił po twarzy. Bił tak, żeby nie było widać.

– A teraz idź. – Odwrócił Benka na zachód i dał kopniaka w dupę. – Będę wiedział, czy doszedłeś.

Benek pozbierał się. Nad rzeką umył rękę i twarz. A potem poszedł. Pół godziny później minął po prawej stronie zamek. Kiedyś musiał być piękny. Miał narożne baszty, które udawały obronne, i wysoki ganek, do którego od strony drogi trzeba było się wspinać po schodach. Nad wejściem olbrzymi szary niemiecki herb. Zamek był rozgrabiony, okna wybite, ale wciąż trzymał się pod dachem. Gdyby Benek miał dość pieniędzy, kupiłby go i byłby tutaj jaśnie panem.

Jeszcze z dziesięć minut i stał przed domem Anki. To był wielki dom. Dwupiętrowy, choć zagospodarowany tylko na parterze. Zastukał w ciężkie drzwi. Cisza. Popchnął je. Skrzypnęły.

Schludnie, ale biednie. W sieni stały jakieś stare kredensy pełne książek za zakurzonymi, połamanymi szybkami. Spojrzał na nie. Wszystko po niemiecku. Szkoda. Książki nie lubią umierać w bezruchu. Nawet te niemieckie. Otworzył kredens i sięgnął po pierwszą z brzegu.

– *Das andere Ufer* – przeczytał na głos. Brązowo-żółta okładka. Płócienna. Pod literami tytułu rysunek roślin. Jakby jagody czy co? Sięgnął po drugą. *Heines Werke*. Kolorowa kartonowa okładka. W otoczonym roślinnym motywie oknie kobieta gra na lirze. Ma czarne włosy, a lira jest złota. W środku jakieś wiersze wydrukowane literami o kształcie trudnym do rozszyfrowania.

– Co, w dodatku kradniesz! – Nie usłyszał, kiedy podeszła i stanęła za jego plecami. Miała nienaturalnie wysoki głos.

Odłożył książkę i odwrócił się powoli.

– Nie. Ja nie kradnę.

Miała na sobie niebieskawą koszulę. Spraną, ale kiedyś była niebieska. Z delikatnym haftem na rękawach. Ładnie wyglądała w tej koszuli. Taka smutna w miękkim cieniu.

– Hm – westchnęła. – Felek cię przysłał?

– Nie. – Pokręcił głową. – Byłem ciekaw, dlaczego mu nie powiedziałaś prawdy. Zrobił krok do przodu, a kiedy wyszedł z cienia, zobaczyła, że ma spuchnięte usta.

– Uderzył cię w twarz? – zapytała.

– Nie.

– Spuchnięty jesteś.

– Zrzygałem się. Może zagryzłem wargi... – Patrzył na nią z bliska i zastanawiał się, czy ona czuje smród. Wypłukał usta wodą z rzeki, ale wciąż czuł metaliczny smak wymiocin. – Po co mu powiedziałaś?

– Bo chciałam, żebyś przyszedł. – Położyła mu rękę na policzku. – Gdybym mu powiedziała wszystko, pewnie by cię zabił.

– Kochasz go? – zapytał.

– Aleś ty głupi. Nie pytaj. Nigdy mnie o nic nie pytaj. Obiecujesz?

Skinął głową.

Poszli potem na piętro po trzeszczących schodach.

– Nigdy tu nie wchodzimy – powiedziała. – Ani mama, ani siostry. Kiedy znalazłyśmy ten dom, niewiele było w nim mebli. Ludzie pobrali. Aż dziw, że książek nie wzięli na opał. Pewnie im się nie chciało chodzić daleko od swoich domów i palili tymi, co mieli sami.

Poszli w lewo. Były tam drzwi do pokoi. Wszystkie zamknięte.

Na końcu znowu w lewo i tam były kolejne drzwi, ale inne. Nie takie ozdobne, tylko zwyczajnie zbite z desek i zamknięte na skobel. Wyjęła go i wyciągnęła rękę.

Weszli po wąskich schodach na strych. Był mroczny. Światło wpadało ostrą klingą przez jedyne okno w szczycie budynku. Kiedy szli, spod stóp wzbijały się drobiny kurzu i w strudze światła mieszały im się drogi.

Na podłodze leżały jakieś szmaty, kawałki drewnianych sprzętów, kilka rzeźb i parę martwych ptaków. Gołębie wysuszone na wiór.

Nie ma szcurów, pomyślał, inaczej taki ptak by się nie uchował. Ciekawe, jak się tu dostały.

Oparła się o drewniany filar, który podtrzymywał więźbę dachu.

– Naprawdę myślisz, że jestem dziwką? – Popatrzyła mu w oczy.

Milczał. Chciał odwrócić wzrok, ale nie potrafił. Wciąż trzymała go za rękę i może właśnie dlatego nie potrafił. O co ona mnie pyta? – próbował rozeznaczyć, ale

nie szło mu najlepiej.

Puściła jego rękę i rozpięła koszulę. Na brzuchu miał solidne zaczerwienienie. Wyszarpała koszulę ze spodni i rozsunęła poły. Pod żebrami po lewej stronie był fioletowy krwiak.

– Felek nie próżnował – powiedziała i dotknęła tego miejsca.

Delikatnie, ale cofnął się jak oparzony. – Nie bój się. Ciii. – Położyła palec na ustach, a potem sięgnęła mu do spodni.

Wciągnął brzuch, żeby mogła dosięgnąć, i zamknął powieki. A potem zapragnął ją pocałować i byłby to pierwszy pocałunek w jego życiu, ale odsunęła twarz i trafił tylko w policzek. Cholera, poczuła ten zapach.

Ale nie.

– Dziwka, powiedziałaś. Ladacznica. – Przestała go dotykać. – Z takimi kobietami się nie całuje.

Milczał. Chciał, żeby dotykała go znowu, ale ona wysunęła rękę ze spodni.

– Rozumiesz? Nie całuje się dziwek.

Stał tak z opuszczonymi rękami i nie wiedział, co ma zrobić.

– Powiedz, że rozumiesz – oznajmiła poważnie.

– Rozumiem. – Skinął głową.

Wtedy rozpięła mu spodnie, a on poczuł, jak puchnie. Patrzyła mu w oczy, a potem, nagle, uklękła, nie wypuszczając go z dłoni i wybuchnęła śmiechem.

– Ha, ha, ha! – Zatoczyła się tak, że upadła na pupę.

Nie rozumiał. Poczuł, że robi się kompletnie czerwony.

– Jesteś Żydkiem. – Nie przestawała się śmiać. – Benek, jesteś Żydkiem!

Poczuł, że wszystko w nim mięknie i że zaraz się rozpłacze. Zagryzł wargi i ruszył do tyłu, ale zaplątał się, znieruchomiał, a potem pochylił, żeby podciągnąć spodnie.

Dopadła go w jednej chwili.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie. Umowa to umowa.

Rozwiązała sznureczek, który miała pod szyją, i zdjęła przez głowę tę niebieską koszulę. Zobaczył jej piersi. Duże i okrągłe.

– Umowa to umowa – powiedziała i znowu zaczęła go dotykać. – Ale nigdy, przenigdy nikomu o tym nie powiesz. Przysięgnij.

– Przysięgam.

– Żydku. – Pieściła go lekko, ale stanowczo.

W niedzielę nie poszedł do kościoła.

A w poniedziałek zapisał się do Związku Walki Młodych.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

TERAZ

Obudziło ją dziwne przeczucie. Kiedyś, dawno temu śmiała się z takich rzeczy, ale od trzech lat, odkąd ze ściany spadła fotografia znad morza, ufała przeczuciom.

Jeśli spada ze ściany fotografia kogoś, kogo kochasz, musisz uważać, bo to znak, że odejdzie. Albo nawet że umrze.

Od tamtego czasu, odkąd wyszła ze szpitala, obserwowała świat z wielką uwagą i szukała potwierdzenia swoich przypuszczeń. Oczywiście miała świadomość tego, jak potężną siłą jest autosugestia, ale tu chodziło o coś więcej. Czuła, kiedy miało wydarzyć się coś ważnego. Nie miała przeczuc innej rodzaju. Na przykład o tym, że będzie dobrze. Że się zakocha. Że tego dnia dokona czegoś wyjątkowego. Podobno kobiety miewają takie przeczucia, ale ona nie. Tylko te o nieszczęściach. Mogło to wynikać z jej przekonania, że dobre już było.

Deszcz płynął po połaciowym oknie. Słyszała to, choć nie mogła zobaczyć, bo wciąż było ciemno jak w dupie. Wymacała ręką telefon. W niebieskim poblasku ekranu poczuła się odrobinę lepiej.

Spała sama w dużym pokoju na poddaszu. Mogła wybierać spośród trzech łóżek. Były wąskie, ale trójosobowy pokój kosztował taniej niż dwuosobowy z wielkim małżeńskim łóżem. Nie chciała takiego pokoju. Luksusowy hotel tak blisko Wrocławia... Pewnie kadra kierownicza przyjeżdża tu na dyskretne weekendy z asystentkami zarządu. Dobrze, że była winda, bo nie miałyby siły iść na to trzecie piętro. Przyjechała prowadzona przez nawigację, skręcając i klucząc po wąskich uliczkach wokół rynku. Miała dziwne przeczucie, że szybciej dotarłaby na miejsce pieszo.

Telefon zadzwonił, zanim zasnęła.

– Masz jakieś miejsce do spania? – zapytał Konrad.

– Tak, dziękuję. – Nie chciała zabrzmieć opryskliwie.

– Nie zaproponowałem ci spania, bo nie otwieram pokoju dla gości, odkąd moja żona nie żyje – powiedział. – Dobrej nocy. Rano zapraszam cię na śniadanie.

Godzina połączenia – przed wpół do trzeciej. A teraz, spojrzała na ekran wyświetlacza, teraz była za kwadrans siódma. Znowu nie spała więcej niż trzy i pół godziny. Wymacała przełącznik nocnej lampki. Przez chwilę nie mogła przywyknąć do światła. Potem westchnęła i zebrała się w sobie. W łazience była niewielka kabina prysznicowa i lustro pod jaskrawą świetlówką. W takim świetle zawsze wygląda się źle. Przyjrzała się sobie. Każdy wyglądałby źle. Nawet Pieprzona Niepokalana Pani Domu.

Ale nikt nie wyglądałby aż tak koszmarnie. Miała sine cienie pod oczami. I przekrwione białka oczu. Wszystko przez cholerny brak snu. Przez to przeglądanie Internetu w telefonie. Minister Gliński skrytykował TVP za to, że staje się tubą propagandową PiS, Paweł Sołtys został zwolniony z Trójki, policjanci z Ochoty zatrzymali chemika produkującego amfetaminę w mobilnym laboratorium. Tropili gnoja od czterech lat. Podjeżdżał ciężarówką na dowolny parking z dostępem do energii i wody i mógł produkować, ile wlezie. Czytała, że w marokańskiej telewizji śniadaniowej makijażystka uczyła kobiety, jak przed wyjściem z domu ukryć ślady po tym, że mąż podbił im oko czy rozkrwawił wargę. Kurwa mać! Przewinęła jeszcze jeden artykuł. Właśnie mijala dziewięćdziesiąta ósma rocznica, odkąd polskie kobiety mogą kandydować do parlamentu. Mężczyźni mogli wówczas cieszyć się równością już sto dwadzieścia lat. Ale kiedy rewolucjonistka Olimpia de Gouges wystąpiła z postulatem równości dla kobiet, Robespierre skazał ją na szafot. Rewolucja francuska niosła wolność, równość i braterstwo tylko mężczyznom.

„Jak ukryć podbite oko przed wyjściem do pracy” – przypomniła sobie artykuł o Marokankach, wróciła do pokoju i w walizce odnalazła kosmetyczkę. Potrzebowała podkładu i pudru, ale właśnie uświadomiła sobie, że wieczorem nie umyła zębów.

Chuchnęła w otwartą dłoń i powąchała. Alkohol. Dobrze, że to nie było wino, ale porządna miejska wódka. Nawet nie miała kaca. Ale kiedy w tej ciszy rozwrzeszczał się telefon, poczuła w głowie ukłucie szpilki.

Numer z samych zer i jedynek.

– Serbia, znaczy Olga – powiedziała.

– Kto mówi? Phoszę powtórzyć. – To był inny głos. Młodszy, cieplejszy, z francuskim „r”, które od razu polubiła. Znała już kiedyś takie „r”. Sprawiało, że miała dreszcze, kiedy się kochali... Kiedy to było?!

– Z kim rozmawiam? – przeszła na swój zwyczajny oficerski ton.

– Stahszy aspirant Feliński, przephaszam, ale dzwonię pod ostatni numeh, jaki wybiehał pan Konhad Huski, pani hozumie. Dzwonił do pani kilka godzin temu...

– Nie rozumiem, jest siódma rano.

– Pan Huski nie żyje, był poza.

– Zaraz będę. Jestem z policji.

Przerwała rozmowę.

– Kurwa mać. – Wciąż trzymała w ręce kosmetyczkę, ale już wiedziała, że siniaki pod oczami muszą poczekać.

Do rynku poszła pieszo. Pięć minut. I kolejne kilka minut do domu Konrada. Uliczkę blokowała kolubryna straży pożarnej. Stał tam radiowóz, nieoznakowany wóz policyjny, który potrafiłaby rozpoznać z kilometra albo i dwóch, jakaś większa limuzyna, no i karetka pogotowia. Radiowóz błyskał niebieskim światłem, ale karetka wszystko miała wyłączone.

Trup, pomyślała. Kiedy wiozą skórę, nie włączają świateł.

Nie czuła nic. Zupełnie nic. Chłód.

– Nie ma przejścia. – Zastawił jej drogę ktoś z prewencji. Nos i uszy czerwone jak burak, pewnie stoi już od kilku godzin.

– Ja do pana oficera. Tego, co nie wymawia „r”.

– Niech pani wejdzie. – Odsunął się na tyle, żeby dała radę precyzyjnie się przez furtkę. Dwa kroki i znowu te same, odrapane drzwi. W korytarzu tłok. Na schodach stało dwóch ludzi w białych kitlach z noszami, przed drzwiami trzej po cywilnemu. Jeden miał brązowe, wypastowane buty i spodnie z dobrej wełny. Nieskazitelny kant. Buty powoli nasiąkały wodą, która wypływała przez drzwi i lała się po schodach. Patrzył na to z niesmakiem. Starszy gość, ale szczupły. Wysportowany. Pewnie jakiś adwokat. Drugi był w starej, powycieranej na łokciach kurtce, która nadawałaby się na motocykl sprzed czterdziestu lat. Miał intensywnie niebieskie oczy, widać to było nawet w takim cieniu. Trzeci był młody i coś notował. Kiedy weszła, wszyscy odwrócili się w jej stronę.

– Kim pani jest? – zapytał ten w brązowych butach.

Poczuła swąd spalenizny. Spalonego ciała.

– Policjantką. – Ciężko postawiła nogę na pierwszym stopniu, a pielęgniarz wciągnął brzuch, żeby mogła przejść. Była mu wdzięczna. Nie lubiła ocierać się o grubych facetów.

Ci we drzwiach milczeli wrogo.

– Któryś z was do mnie dzwonił – rzuciła zaczepnie.

– To ja. – Ten w motocyklowej kurtce wyciągnął rękę. Przyjęła ją i poczuła, że może się na niej oprzeć, pomógł jej wejść po schodach.

– Serbia – powiedziała. – Olga, ale wszyscy mówią mi Serbia. Podkomisarz Suszczyńska. Z Mostowskich.

– Feliński – powiedział ten w kurtce. – Ma pani jakąś legitymację albo co? Pokazała.

Dwaj pozostali się nie przedstawili. Patrzyli tylko spode łba. Ale ten młody zanotował jej nazwisko i stopień. Miał notesik ze sklepu Tiger. Z kolorową dziewczęcą okładką.

– Co to za numeh z tą Sehbią?

– Wie pan, gangsterzy z Warszawy lubią jasne sytuacje. Albo jesteście z miasta i choć cię nie lubią, to szanują, albo z Serbii.

Zobaczyła, że nie rozumie.

– Z Serbii, czyli z zadupia. Z Grójca, Otwocka albo Legionowa. Z prowincji.

– Więc nie szanują pani?

– Teraz już szanują. A kilku nawet lubi. Co tu się stało?

– Ogień był. Zwłoki mamy. Huski dzwonił do pani. Ostatni numeh, jaki wybiehał...

Pokazał jej małego starego samsunga. Prawdziwy antyk w czasach smartfonów.

– Rosjaninem był? – zdziwiła się. – Mówił bez akcentu.

– Nie, nie był Rosjaninem. Nazwisko takie. Komendantem był.

– Tutaj?

– Nie. W Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w mieście, które było wtedy wojewódzkie. Potem phowadził sphawy we Whoławiu. Po co dzwonił?

– To było nad ranem?

– Po dhugiej.

– A... to tak. Dzwonił.

– Czego chciał?

– Zaprosił mnie na śniadanie.

– Znaliście się?

– Nie zapisuje pan?

– Zapamiętam. Ale pewnie i tak będę jakieś kwity musiał spisać o waszym spotkaniu. Więc się nie znaliście?

– Poznaliśmy się zaledwie wczoraj. Przyjechałam spotkać się z nim i porozmawiać o starych sprawach.

– Jakich sprawach? – obudził się ten w kancik.

– Wyjaśnionych.

– Po co przyjeżdżać do kogoś z Warszawy w wyjaśnionych sprawach?

– Po naukę – warknęła. – Na przykład kindersztuby. Wie pan, co mam na myśli?

– Rudzki – powiedział ten elegancki. – Prokurator Rudzki.

– Wojtaszewski – dodał młody. – Też z IPN-u.

Rudzki spojrzał na niego z nieskrywaną pogardą.

– Więc powiada pani, że po naukę?

– Tak.

– A czego taki ktoś jak Ruski może nauczyć policjantkę z wolnego kraju? Przecież to był, proszę pani, esbek. Robił złe rzeczy. Czego mógłby kogoś nauczyć?

– Kultury – powiedziała zgryźliwie. – Na śniadanie mnie zaprosił.

– Pewnie podpalił dom, jak zapalał gaz – powiedział młody.

I zaraz się zaczerwienił.

– Co to były za sprawy, z jakimi pani przyjechała? – zapytał Rudzki.

– Zbóje. – Postanowiła nic nie mówić. – Mordercy, pedofile, to co zwykle w naszej robocie.

– A nie robotnicy, nie Kościół, nie zaginieni kapłani? Nie sędziowie, na których zbierał haki, żeby ich potem wykorzystać w jakichś swoich machinacjach?

– Nie. O tym nic mi nie opowiadał.

– Przez telefon pani opowiadał?

Zawahała się. Ale nie było przecież powodów, żeby kłamać.

– Nie – odparła. – Nie przez telefon. Byliśmy umówieni na wczoraj wieczór.

Rozmawialiśmy do późna.

– Po co pani te historie? Ci pedofile?

– Uczę się, wie pan? Człowiek uczy się całe życie. A dobrze jest uczyć się od najlepszych.

– On nie był najlepszy – powiedział Rudzki z naciskiem. – Naprawdę nie był. Wie pani, on nawet na wózku jeździł dla niepoznaki. Taki kamuflaż. A, nie wiedziała pani...? No cóż. Nie zrobią mu, na całe szczęście, państwowego pogrzebu jak Jaruzelskiemu.

Feliński dotknął jej ramienia i choć nie lubiła, kiedy ktoś ją dotykał, tym razem się nie wzdrygnęła. Pewnie wciąż ten brak snu.

– Czy może pani zajrzeć do mieszkania? Powiedzieć, czy coś się zmieniło?

– No, przecież nie znam tego mieszkania, byłam tam tylko raz, zmęczona, po podróży... Nie możecie poprosić sąsiadów? – Wskazała wzrokiem drzwi.

– Nikt tam nie mieszka.

– Taaak? – zdziwiła się. – A ta kupa śmieci?

W kącie leżały mokre zwąły kurzu. Wyglądały, jakby były tam zepchnięte przez otwierane drzwi.

Feliński nic nie powiedział. Ale przyjrzał się dokładnie. Potem skinął głową i pokazał Serbii ręką, żeby weszła pierwsza.

Wszystko śmierdziało. Zapach trupa jest inny od całej reszty spalonego wszechświata. Spojrzała na półki. Zostały po nich zwęglone płyty i stalowe legary. Książki musiały płonąć jak fajerwerki. Stolik, przy którym siedziała, był osmalony, ale jakoś ocalał. Po fotelach zostały nadpalone listwy. W drzwiach kuchni stał wózek, teraz same metalowe części, a na nim tkwił zwęglony człowiek. Pracowali przy trupie dwaj technicy. Jeden robił zdjęcia.

– Podejrzewacie, że to nie był wypadek? – zapytała.

– To był dziwny gość. Miał wrogów. Miał mnóstwo wrogów.

Podeszli bliżej. Przez otwarte czarne drzwi widać było kuchnię. Okopconą, ale nie spaloną.

– Widzi pan, nie zaproszył ognia w kuchni – powiedziała w kierunku Wojtaszewskiego. – Palilo się właśnie tutaj.

Uklęknęła, żeby obejrzyć zwłoki. Skóra z głowy schodziła czarnymi płatami. Ciało wydawało się nasiąknięte wodą.

- Woda i węgiel – powiedziała Serbia. – Z tego jesteśmy chyba zbudowani, co?
- Palił? – zapytał Feliński. – Znaczą papiehosy?
- Nie mam pojęcia.
- Długo rozmawialiście?
- Długo.
- A więc nie palił.
- Może nie przy mnie.
- Piliście coś?
- Wódkę piliśmy.
- Znaleźliśmy w zlewie dwie szklanki. Wciąż śmiehdzą alkoholem. A więc pił z panią.
- Słuszny wniosek. Spalił się żywcem? Zabił go ktoś? Podpalił? Co wiecie?
- Nic. Strażacy skończyli godzinę temu. Przyjechali szybko, ktoś ich zawiadomił, że się pali. Kiedy przyjechali, to z zewnątrz nie było jeszcze nic widać. Nawet dymu. Budynek nie jest osmalony. Palił się tylko ten pokój.
- Ciekawe. Czyli nie wiecie, kto zawiadomił straż?
- Nie wiemy. Naghało się, ale dyspozytor mówi, że nic szczególnego. Kobięcy głos. „Pozah. Adhes. Mieszkalny budynek. W śhodku są ludzie”. Potem się wyłączyła.
- A panowie skąd się tutaj wzięli? – Olga wskazała wzrokiem prokuratorów.
- Ja ich ściągnąłem – powiedział Feliński. – Huskiego podejrzewali od lat, że ma teczki na ważnych ludzi na Dolnym Śląsku. Że je wziął ze sobą, kiedy się kończyła komuna. Podejrzewali, że spalił. Jak w tym filmie. W *Psach*. Ale nie było dowodów.
- Więc podejrzewamy, że może je miał gdzieś ukryte. Może są w piwnicy. Może miał je tutaj, w domu. – Rudzki szedł w ich stronę tak, żeby nie pobrudzić sobie płaszczka o któryś z osmalonych mebli. – Nikogo przecież nie wpuszczał.
- Prokuratorzy kręcili się po pogorzeliisku. Nie czuli się tu dobrze. Nie dotykali niczego, ale zaglądali na spalone półki. Na stosy nadpalonego papieru. Z osmalonych i nadpalonych kawałków papieru niewiele się dało zrozumieć.
- W końcu Rudzki podszedł do Serbii i zaczął już bardziej ugodowo.
- Była tu pani wieczorem, pamięta pani, co było na półkach?
- Pamiętam – powiedziała.

– Powie mi pani?

– Niechętnie.

Milczał.

– Książki były. Duża część oprawiona w szary papier. Nie można było rozpoznać okładek.

– Ale książki, na pewno? Na pewno nie teczki?

– Książki, książki, grube i w zupełnie innym formacie niż teczki.

– No tak, ale oprawione w papier. Nie sięgnęła pani po żadną?

– Nie, nie sięgnęłam.

– No dobrze... Nic tu po nas. Gdybyście co znaleźli, to proszę nas natychmiast powiadomić – zwrócił się do Felińskiego. – Do widzenia.

Technicy kończyli robić zdjęcia trupa.

Kiedy wyszli, Feliński powiedział jej, że z teczkami to może być prawda. Mógł je mieć. I może nie był najlepszym człowiekiem na świecie, ale na pewno był dobrym policjantem.

– Odszedł kilka lat temu, choć jeszcze nie musiał.

– A wózek?

– Nie miałem nawet pojęcia, że jeździł na wózku. Zhesztą słyszała pani tego phokuhatoha... że niby udawał...

– Ktoś mu robił zakupy. Ktoś go odwiedzał.

– I może ktoś go spalił?

– Dlaczego odszedł, skoro nie musiał? Dobry pies nie odchodzi, jeśli nie musi – powiedziała to takim tonem, że Feliński pomyślał, że mówi o samej sobie.

– Nie wiem. Ale może popytam. – Uśmiechnął się.

A ona powiedziała wtedy, że wie, gdzie są teczki. Że jej wczoraj jedną pokazał.

Naparli na zwęgloną półkę, a ona przesunęła się na szynie. Szafa pancerna była nienaruszona.

– A klucz?

– Miał go w kieszeni.

Feliński naciągnął lateksowe rękawiczki i sięgnął do kieszeni nadpalonych spodni. W pierwszej były jakieś papiery, teraz, po akcji strażaków całkiem mokre.

– Już tu zaglądałem – mrugnął do niej. – Miał tu telefon. Dobry model, ten samsung. Nie zamókł.

W drugiej było kilka kluczy. Jeden pasował. Otworzyli drzwi.

W środku były teczki. Ale tych kilku, które wczoraj wieczór Ruski położył na samym wierzchu – brakowało.

Postanowiła, że lepiej o tym Felińskiemu nie powie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

WTEDY

Siedziały we dwie. Było zimno i mokro. Światło wpadało przez maleńkie zakratowane okienko pod samym sufitem. Lała się przez nie woda i to było dziwne, bo przecież widziały, że deszcz wcale nie padał. Wody było już po kostki, ale znalazły pod ścianą kilka cegieł, ułożyły je obok siebie i kucaly na tych ceglach, żeby stopy mogły być jak najdłużej suche. Sufit był z dziwnych, żelbetonowych płyt, długich i wąskich, które nie były wcale płaskie, ale wklęsłe. Jakby stanowiły część beczkowego sklepienia, tyle że nie wspartego na filarach, lecz na stalowej szynie wystającej ze ściany. Poza tym wszystko było z czerwonej brudnej cegły porośniętej liszajem grzyba. Ściany nasiąkały wilgocią i nie dawało się o nie oprzeć, jeśli człowiek nie chciał przemoknąć. Trzeba było stać na tych cegłówkach albo kuć. Stopy cierpły. Przecież zabrali im buty.

Najgorszy był brak snu. Nie można zasnąć w takim miejscu. Kiedy ją przywieźli, myślała, że do wyjaśnienia i że ją odwiozą z powrotem. To byli dwaj młodzi milicjanci. Weseli, pewnie nawet młodszy od niej. Jeden z pepeszą, drugi miał przy pasie kaburę.

Karmiła krowy, kiedy przyszli. Nosiła widłami siano.

– No dobrze, pojedę – uśmiechnęła się. – Ale skoro tacy przystojni milicjanci już tu przyjechali, to może mi pomogą z tym sianem?

– Pieniązek, do wideł – powiedział ten z kaburą i uśmiechnął się do dziewczyny.

– On ze wsi, na pewno poradzi. – I przysunął się blisko, tak blisko, że czuł jej zapach. Podobało mu się, że się nie zaczerwieniła ani że nie opuściła wzroku.

– Dziękuję, panie oficerze. – Otarła czoło rękawem koszuli. – To ja się przebiorę, dobrze?

– To ja muszę iść popatrzeć, znaczy popilnować muszę, żeby obywatelka nie

uciekła.

– A przed czym ja mam uciekać? – Zawinęła się z obory i poszli w kierunku domu. Podobało mu się, że nie zabraniała.

Kiedy zdjęła koszulę, stał odwrócony tyłem, ale widział jej nieostry obraz w odbiciu na szybie. Poluzował sobie pasek pod brodą. Cholerna czapka.

– No, ja gotowa jestem.

Pieniążek skończył tymczasem z krowami i wydłubywał sobie brud zza paznokci za pomocą złamanej zapalniczki. Kiedy zobaczył, jak wychodzą z domu, rzucił zapalniczkę, obciągnął mundur i stuknął obcasami. Pepesza wisiała na pasku.

– Niech pani wsiada. – Oficer kurtuazyjnie otworzył przed nią drzwi i skłonił się w pasie. Przekroczyli jakąś barierę intymności i pomyślał, że coś się jednak dziewczynie należy. Wcisnęła się na tylne siedzenie, milicjanci usiedli z przodu. Pieniążek umieścił karabin między siedzeniami. Zawrócił na podwórzu, rujnując spokój kur i kurczaków. I pojechali.

– To powie mi pan, w jakiej sprawie? – Położyła rękę na ramieniu oficera.

– Tak jak już zaznaczyłem, nie wiem. Mam polecenie, żeby panią przywieźć do miasta.

– A dokąd do miasta? Na milicję?

– Do zamku – odparł oficer i wtedy się wystraszyła.

– W zamku straszy – mruknęła.

– Kto pani takich bzdur naopowiadał?

– A, nikt. Kolega ze szkoły.

Samochód minął wieś i przyspieszyli.

– To pani do szkoły jeszcze chodzi?

– Nie. To było kilka lat temu.

Zamyśliła się. Od wakacji nie widziała Benka. Słyszała od jego matki, że na studiach idzie mu świetnie, że jest najlepszy na roku, wszystkie egzaminy zdał na najwyższe noty. I że awansuje w organizacji. W czasie wakacji, jakoś w sierpniu, był na kilka dni. Ucieszyła się, kiedy przyjechał. Ucieszyła się z dwóch powodów. Drugi był taki, że Felek wyjechał. Powiedział jej, że na tydzień, może dłużej, że taka praca. Kierowcą był. Często teraz zniknął. Przyjeżdżał potem na podwórze różnymi ciężarówkami. Ciekawa była, co tam wozi i z kim, ale powiedział, że od tego jej wara. A potem przytulił ją, uniósł, tak że już palcami nawet nie dotykała

ziemi, i szepnął, że chłopaki muszą mieć swoją przestrzeń, o której nie mówią nigdy i nikomu.

– Ale dziewczyn obcych nie wozisz? – zapytała ze śmiechem.

– Nie wożę. Słowo.

I od tamtej pory więcej go już nie pytała. Ale czasami, kiedy spał, zaglądała, co jest pod plandeką na tych ciężarówkach. Czasami nic nie było. Czasami jakieś skrzynie. Bywało, że tylko siano. Nie miała pojęcia, po co siano na samochodzie wozić, ale skoro miała nie pytać, nie pytała.

Lubiła, kiedy przyjeżdżał, ale jak pobył ze dwa, trzy dni, to robiła się niecierpliwa i czekała tylko, kiedy on zniknie.

Ucieszyła się, kiedy zobaczyła, że Benek stoi przy płocie. Elegancki, wysoki, szczupły. Niebieskooki. Jak matka. Nie był już dzieckiem.

Ostatnio, kiedy była w mieście, powiedziała jego matce, że gdyby tak, dajmy na to, pan Benek przyjechał z tej swojej Warszawy, to niech mu pani powie, żeby zajrzał na wieś. Na chwilę, dobrze? Powie pani?

Widać powiedziała.

– Zaraz przyjdę! – Pomachała mu i poszła odstawić ceber, w którym miała ziarno dla kur. Wybiegła, owijając głowę czerwonym szalem z wełny. Szal był jeszcze po Niemcach. Można teraz kupić mnóstwo rzeczy po nich na rynku.

Poszli w pola daleko, hen, a potem przez las drogą do starego kamieniołomu. Kamieniołom też był po Niemcach. Droga była od dawna nieużywana, więc pozarastała i szli po trawie i błocie. Ona kroczyła pewnie w swoich butach do chodzenia po polu, a on skacząc z kępy na kępę w swoich miejskich pantoflach. Śmiała się z tego, on też śmiał się jak dziecko.

To dziwne, pomyślała. Kiedyś nie śmiał się w ogóle. Coś się musiało zmienić.

– Masz tam kogoś? – zapytała. – Kogoś bliskiego?

– Kolegów mam. Kiedyś to będą sławni ludzie, powiadam ci, my tworzymy nową Polskę, naprawdę...

– Ale ja nie o to pytam – przerwała mu. – Czy kobietę masz... Kochasz kogoś?

Zatrzymała się i chwyciła go za ramię, żeby i on musiał się zatrzymać.

Popatrzył na nią tymi niebieskimi oczami.

– Nie mam – powiedział. – Nie mam. Nikogo nie mam.

– Aha...

Przytuliła się. Już nie do dziecka. Do mężczyzny. Do dorosłego mężczyzny, który nie wiedział, co robić z rękami, i stał jak ten strach na wróble rozciągnięty i napięty, a ona przytulała się coraz mocniej i czekała, aż wreszcie zrozumie to, co chłopak powinien przecież rozumieć.

Ale on tylko stał jak słup. Z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Więc miała pewność, że nikogo nie miał. Tylko tych kolegów od robienia Polski.

– Obejmij mnie – powiedziała.

– Ale przecież masz swojego narzeczonego. Mama mówiła, że z Felkiem mieszkasz.

– Prawdę mówiła. Moja mama już chora. Siostry trzeba wykarmić, do szkoły chodzą. Ja nie dam rady sama. Więc mieszka z nami.

– A więc to prawda... Narzeczonego masz – powtórzył, ale objął ją wreszcie.

– No, mam... Ale ja mu przecież prawdy nie mówię. Ja nikomu nie mówię... Żydku.

Pogładził ją po włosach, ale nie pocałował. Stali tak chwilę, a potem wypuścił ją z objęć i poszedł dalej. Przed nimi dróżka przez las pozarastana miejscami przez krzaki. Szli z dziesięć minut jeszcze, a potem drzewa się rozstały i zobaczył skałę. Wyglądała jak piramida zbudowana ze ściśle przylegających do siebie skalnych bloków, wąskich, ale długich po parę metrów, a może i więcej. Układały się w tajemniczy, nieludzki wzór. Człowiek nie mógł zbudować takiej skały. Ale natura przecież też nie mogła tego uczynić. Zdawało się Ance, że widzi odległe miasto posklejane z olbrzymich domów sięgających aż do nieba. I że są ich miliony. Miliony szklanych domów. Widziała w książce rysunek, jak kiedyś, za dwadzieścia lat wyglądać będzie Moskwa i miała być właśnie taka. Miała być świetlistą piramidą szklanych domów dla szczęśliwych ludzi.

– O mój Boże. – Benek stał dotąd jak zaklęty. – Przecież to pęknięty wulkan!

Podbiegł bliżej i zadarł głowę do góry.

– Jaki tam wulkan? – Położyła mu rękę na ramieniu, a na tej dłoni oparła brodę. Miała teraz usta tuż przy jego uchu. – Powiadają, że to są Diabelskie Organy. Bóg ma swoje w kościele, a diabeł swoje tutaj, w lesie.

Mówiła, a jej oddech łaskotał go w ucho i to było bardzo miłe.

– Mylą się. To wulkan przecięty na pół przez ten kamieniołom. To nie są organy, tylko bazalty, albo może porfiry, które skrzystalizowały się w kominie wulkanu. To

bardzo twarde skały, widzisz, z pokrywy wulkanu nie zostało już wiele, ot, trochę ziemi, której się trzymają krzaki, ale ten komin, najtwardsza część, serce wulkanu, stoi tu miliony lat.

– Serce wulkanu, powiadasz...

Znów połaskotała go w ucho.

Kochali się potem w tym gąszczu na jego miejskiej marynarce rozłożonej wprost na trawie. Nawet nie zadbał o to, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś kałuży. Rzucił byle jak, żeby mogła uklęknąć i wziąć do ust jego nabrzmiąłą męskość. Nie śmiała się już, ona też była przecież dorosła.

Potem pociągnęła go w dół, żeby uklęknął. Spodnie opadły do pół łydki i pasek gniótł go w nogi, czuł, że mu zaraz ścierpną, ale nie mówił nic, bo nie wiedział, co ma powiedzieć, kiedy ściągała mu koszulę i podkoszulek. Biały, prążkowany, na ramiączkach. Radziecka produkcja.

Nasunęła się na niego, nie wypuszczając z ręki i nagle poczuł, że zalewa go fala ciepła i wilgoci i że jest tak, jak myślał, że powinno być. Albo nawet lepiej. Poruszyła się delikatnie, pojękując cichutko jak ranny ptak albo małe kocię. A potem ruszała się szybciej i szybciej, a on chciał całować jej piersi, ale nie wiedział, jak ściągnąć z niej koszulę, więc tylko przytulał ją, ścisnął i czuł, jak mu się pod palcami robi coraz bardziej mokra na plecach.

Odprowadził ją pod dom o zachodzie słońca.

Na podwórku stała ciężarówka. Jakiś dodge z demobilu. Zielony, brudny, z podartą, ale pocerowaną drutem plandeką.

– Idź już – powiedziała. – Idź, Żydku.

– Ale nie chcę iść.

– Nie zrozumiesz. – Uścisnęła jego dłoń. – Ale kiedyś kazałam ci o nic nie pytać, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Więc teraz musisz dotrzymać słowa. Idź już. Nie wolno ci zostać.

Szedł wolno poboczem, wymachując przed sobą jakimś podniesionym z ziemi kijem. Daleko przed nim jaśniała łuna miasta. Nowego, polskiego miasta w nowej, lepszej Polsce.

Był tuż przed mostem, kiedy dogoniła go ciężarówka.

Kiedy usłyszał warkot i zobaczył światła gdzieś za sobą, nie miał jeszcze

pewności, ale kiedy wóz zajechał Benkowi drogę i kierowca wcisnął hamulce, jakby chciał zedrzyć asfalt do krwi, wiedział, że jest źle. Przez moment pomyślał, że pobiegnie, ale to nie byłoby po męsku. A teraz przecież był już mężczyzną. Czekał.

Diduszko wyłączył silnik, ale reflektory zostawił włączone. Nie wychodził z kabiny jakąś minutę. Może wolałby zobaczyć, jak Benek biegnie w tej strudze światła w kierunku miasta? Może dał mu szansę, żeby uciekł gdzieś na łąki nad rzeką. Może sam nie wiedział, co zrobić. W końcu trzasnęły drzwi i zachręściły kroki. Obszedł auto od przodu, aż przeciął linię światła. A potem stanął tak, że Benek widział tylko jego cień. Czarny. Wielki.

– Mówiłem ci, komuchu jeden, żebyś spierdalał. – Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął wymiętą, brudną paczkę rosyjskich papierosów bez filtra. Biełomory. Śmierdziały, zanim je jeszcze zapalił. – Nie posłuchałeś.

To moje miasto, chciał powiedzieć Benek, ale zrozumiał, że to głupie, i milczał.

– Mówiłem ci, żebyś się do mojej kobiety nie zbliżał. I nie posłuchałeś. W dodatku, kurwa, jesteś komuchem. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, po powstaniu, po wojnie, ty jesteś komuchem.

– Co ty pier... – zaczął, ale Feliks zaraz wszedł mu w słowo.

– Wiem, słyszałem, jak twoja matka chwali się, że robisz karierę i że znasz samego prezydenta. To bydlę. To ruskie bydlę, nie żaden prezydent. – Zaciągnął się głęboko. – Muszę ci wpierdolić.

Wyrzucił papierosa i zrobił dwa kroki w kierunku chłopaka.

Benek ani drgnął. Zdjął tylko czapkę i schował do kieszeni.

– Ty bandyto – powiedział. – Nie wiesz, z kim zadarłeś.

– Co ty mi możesz... – Felek splunął. – No co?

– To cywilizowany kraj. Dostaniesz wyrok za napaść. Za pobicie. Milicja się tobą zajmie, zgnijesz w więzieniu. – Chciał, żeby jego głos zabrzmiał mocno, ale to się nie udało.

– Taaak? To już wolę za zabójstwo. – Feliks sięgnął do kieszeni i wyjął pistolet.

Niemieckie parabellum. Zważył w dłoni, chwycił za lufę, zrobił dwa szybkie kroki i przywalił Benkowi w twarz. Chłopak wypluł dwa zęby z lewej strony. Poczul, że robi mu się słabo. Feliks kopnął go w krocze. Ból był obezwładniający, ale Benek za wszelką cenę chciał utrzymać się na nogach. Dostał kolbę przez łeb

jeszcze raz i nastąpiła ciemność.

Anka nie wiedziała, czego od niej chcą, ani pierwszego dnia, ani drugiego. Kucaly we dwie na ceglówkach i starały się nie stracić równowagi, nie zasnąć. Opierały się o siebie plecami. Tak było źle. Chwilami. Może nawet drzemała, ale kiedy tylko nogi cierpły, budziła się, żeby nie upaść. Nie dałaby rady wytrzymać w mokrym ubraniu. Nocami było strasznie zimno. Modliła się. Ale to nie pomagało. Próbowwała mówić do tej drugiej dziewczyny, ale tamta milczała.

– Jestem Anka, a ty?

Nawet takie pytanie było dla niej za trudne. Może głupia. A może Cyganka i po polsku nie mówi?

– Wstajemy, już w kucki nie wytrzymam! – krzyczała czasami Anka i wtedy wstawały, pomagając sobie nawzajem. Trzeba było podeprzeć się ręką o podłogę i zsunąć z tych cegieł wprost do wody. Nogi bolały przeraźliwie, kiedy się je prostowało, ale nie było innej rady. Kiedy już stały, mogły się do siebie obrócić przodem.

Cyganka tylko patrzyła wielkimi, wystraszonymi czarnymi oczami.

Trzeciego dnia rano ktoś przekręcił klucz w kłódce i usłyszały zgrzyt zasuw.

Strażnik wszedł w tę wodę bez obaw. Miał wysokie buty. Zapalił latarkę i zaświecił im w oczy. Raz jednej, raz drugiej dłuższą chwilę. A potem skinął na Ankę i powiedział:

– Ty!

Wyprostowała się, ale zanim zrobiła krok, zachwiała i upadła. Poczowała, że zdarła skórę na kolanie. Taki wstyd, wyjdzie stąd mokra i podrapana. A jeśli jej nie odwiozą i będzie musiała tak iść do samego domu?

Strażnik podszedł i szarpnął ją za ramię. Wstała. Popchnął ją w kierunku drzwi. Czekala wyprostowana, kiedy zatrzaskiwał zasuwę i zakładał kłódkę. Zmarznięta, głodna, brudna, ale wyprostowana. Szli potem długim korytarzem, schodami, a potem jeszcze innymi schodami. Szerokimi i kamiennymi. Myślała, że to są właśnie takie schody, po których Kopciuszek mógłby zbiegać po balu do swojej karety z dyni. Zaprzężonej w konie, które w poprzednim życiu były szczurkami.

Potem znowu był korytarz. Zatrzymali się przed wysokimi drzwiami. Strażnik zastukał.

– Tak!

Otworzył drzwi.

– Jak towarzyszu kapitan kazał – powiedział.

– Daj ją.

Strażnik wepchnął Ankę do środka. Podprowadził do biurka i usadził na krześle.

Naprzeciwko siedział młody człowiek o krótkich jasnych włosach. Miał na sobie mundur i okrągłe okulary z grubymi szklami.

– Wyjdź – powiedział do strażnika.

A kiedy zamknęły się drzwi, sięgnął po papierosa i zapytał Ankę, czy wie, gdzie aktualnie przebywa niejaki Diduszko Feliks.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

TERAZ

– No? Mów. – Siwy odebrał po czwartym dzwonku.

– Konrad Ruski nie żyje – powiedziała.

Milczenie.

– Kurwa... Co wiesz?

– Pożar był. Tyle wiem na pewno.

Milczenie.

– Wracaj. Uważaj na siebie.

Odłożył słuchawkę.

– Wszystko w porządku? – Feliński skończył rozmawiać ze swoimi ludźmi i podszedł do niej, kiedy tak stała w porannym deszczu, zagubiona nagle i niepewna.

– Tak, w porządku. – Uśmiechnęła się do niego. – Musiałam komuś powiedzieć o Ruskim. Godzinę temu nawet nie wiedziałam, że się tak nazywa. Znaczący nazywał...

– Naphawdę przyjechałaś po naukę?

– Tak. Przecież sam mówiłeś, że był dobrym policjantem.

– Dobrym złym policjantem. – Rozejrzał się, jakby nie wiedział, dokąd teraz pójść. – Słyszałaś pana phokuhatoha. Poszlibyśmy na jakąś kawę, co nie? Ale nie znam miasta...

– Nie jesteś stąd? – zdziwiła się.

– Nie, z Whocławia jestem.

– To jak to się stało, że dotarłeś tak szybko? – Obudziła się w niej zawodowa czujność. – Zdążyłeś dojechać, obejrzeć wszystko, odnaleźć telefon, sprawdzić połączenia, zdążyłeś do mnie zadzwonić...

– Szybko jeżdżę. – Uśmiechnął się. – Nawet po mokrym.

Nie zauważyła do tej pory motocykla. Mókl wciśnięty pod ścianę tuż obok radiowozu.

– Co hobimy? Głodny jestem. Zawsze po thupie głodny jestem.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Ja też. Do tej pory myślałam, że coś ze mną nie tak. Że powinnam cierpieć i głodować.

– Myślałem, że go lubiłaś...?

– Przecież znałam go kilka godzin. Ale był miły. Naprawdę zaprosił mnie na śniadanie.

Wciąż stali na deszczu. Miasteczko nie wyglądało na takie, w którym można zjeść śniadanie o takiej porze.

– Chłopaki, gdzie tu można na śniadanie iść? – Feliński zapytał jednego z sanitariuszy. Wynosili zwłoki w czarnym worku.

Zatrzymali się i wymienili spojrzenia. Deszcz rozbijał się w drobny mak na skórzastej, lśniącej powierzchni plastiku. Pomyślała, że taki deszcz powinien obudzić umarłego.

– No, chyba tylko Mac, jeśli macie ochotę na randkę – zażartował ten gruby.

– Mamy ochotę? – Feliński uśmiechnął się w kierunku Serbii.

– Zawsze – odpowiedziała. – Daleko ten Mac?

– Daleko, na wylotówce na Wrocław. Wzielibyśmy was, ale regulamin zabrania. Z trupem nie wolno.

– Pohadzimy sobie. Weźmiemy nasz hadiowóz.

– A! Świetnie! – powiedziała. – Bardzo regulaminowo.

– No, przecież ten „tajny”. Powiem chłopakom.

Wszedł do budynku porozmawiać z technikami. Wykorzystała moment, żeby zadzwonić do Kosińskiego.

– Co z dziewczyną? – zapytała. – Wiesz coś?

– Coś wiem.

– Zidentyfikowałeś?

– Niestety. Nie mamy takich możliwości jak Amerykanie i nie możemy tak normalnie przeskanować Internetu. Przejrzałem mnóstwo zdjęć z różnych klubów, zapisów z kamer ze skrzyżowań, pokazałem jej fotki w hotelach i klubach z dziwkami. Nic. Kamień w wodę. Wygląda na to, że kurwą nie była. Czy to znaczy, że coś wiem?

– Tak. Wiesz, ale nie na pewno.

– Pochwaliłaś mnie? – Usłyszała, że się uśmiecha.

– Zrobiłaś robotę. Ale pewności, że nie była prostytutką, nie mamy i tak. Teraz dziwki to się wynajmuje przez Internet.

– To też przejrzałem. Teraz jak włączę Onet albo Wirtualną, to mi się od razu wyświetlają strony z kurwami. Żadna dziewczyna nie zechce mi uwierzyć, że to przez służbowe sprawy.

– No, tak już jest z dziewczynami. – Zobaczyła, że Feliński wychodzi z kamienicy, i pokazała mu gestem, że rozmawia przez telefon, a on pokiwał głową i pokazał jej klucze do opła. A potem palcem, żeby za nim szła. – To jaki masz plan?

Uważnie stawiał kroki, omijając kałuże.

– No, może byśmy to zdjęcie pokazali w telewizji? Albo chociaż wrzucmy je na strony policji?

– Nie wiem... Wtedy ten, co ją skrzywdził, będzie wiedział, że jej szukamy.

– No, przecież wie, chyba nie myślisz, że uznał, że dziewczyna spłynie do Gdańska? Wiedział, że wypłynie, nie obciążył ciała. Brał na siebie ryzyko.

– Masz rację, o tym nie pomyślałam. Nie obciążył ciała. Więc pewnie już jest daleko albo ma pewność, że jej nie zidentyfikujemy.

– Nie wiem. – Kosiński zawiesił głos. – Gdyby chciał mieć pewność, toby jej zmasakrował twarz. Po tym, co jej zrobił, to nie robiłoby różnicy.

– Chyba że dziewczyna była mu bliska – powiedziała, przeciągając sylaby. – Wiesz, myślę, że była mu bliska. Dlatego nie zrobił jej z twarzy miazgi. Grzegorz powiedział coś więcej o jej ranach?

– Nic, czego byś nie wiedziała. Ale dzwonił do mnie, że jest pewien, że powinniśmy szukać wśród obcokrajowców. Że jej uroda jest bardzo specyficzna i rzadka.

– Co znaczy rzadka?

Feliński otworzył jej drzwi od środka. Ledwo wsiadła, a szyby od razu zaczęły pokrywać się wilgocią.

– No, jak to inaczej... Unikalna.

– To wiesz, zrób to zdjęcie, ale nie do telewizji. Popytaj w tych różnych organizacjach.

– Jakich?

– No tych... pozarządowych. Przejrzyj Internet i sprawdź, kto się zajmuje pracą z obcokrajowcami. Na pewno są jakieś. Nawiedzonych nie brakuje.

– Kościelne mam sprawdzać, o to ci chodzi?

– Tak. Kościelne też. To pa, jadę.

Wyłączyła telefon i uśmiechnęła się do Felińskiego. Włączył ogrzewanie, ale jeszcze tego nie odczuła.

– Za mąż wychodzisz? – zapytał.

– Dlaczego?

– Kościoła każesz szukać. – Wbijał w nawigację „restauracje”. – Na wylotówce do Whoławia, to będzie... pewnie tędy musimy skhęcić.

Ruszyli. Patrzyła na zalane deszczem miasto, ale w głowie wciąż widziała twarz tamtej dziewczyny. Jej dziwne oczy. Ni to piwne, ni to zielone. Ten zdziwiony wyraz, w jakim zastygły. Właśnie. Nie strachu, nie bólu, ale zdziwienia. Wiedziała, że to tylko ułuda, że przecież oczy każdego trupa wyglądają tak samo, ale nie dawało jej spokoju przekonanie, że zdziwienie jest kluczem do tej zagadki. Nagle po prawej stronie zobaczyła monstualny kościół.

– Dziwne – powiedziała nagle.

– Co jest dziwne?

– Ten kościół. Olbrzymi. W takim małym miasteczku?

– W średniowieczu to było książęce miasto. Stolica osobnego khaju. No, może khaiku. Państwka. Książę to była za niska hanga na pełną państwowość. Ale khaj to khaj, potrzebna była katedha.

Skęcili w prawo i znowu zobaczyła czerwone, złane deszczem cielsko średniowiecznej bryły, tak wielkiej, że mogłaby stać w Warszawie, ale nie tutaj.

– Tylko wieża jakaś niepasująca.

– Państwo upadło i nie było funduszy, żeby postawić wieże. Miały być dwie, hównie wielkie, dwa hazy większe od samego kościoła. Jedną postawili do połowy, a dhugą ledwo zaczęli budować. Ale kiedy księstwo sthaciło niepodległość, katedha przestała być potrzebna... Nie, czekaj, źle ci mówię. – Palnął się teatralnie ręką w czoło. – To w Jaworze była stolica! A tutaj? Tutaj byli templahusze... Nie, nie templahusze, tu byli joannici. W każdym hazie krzyżowcy. Heszta jest phawdą. Nie dokończyli tej budowy nigdy, bo zabhakło pieniędzy. Księstwo upadło.

– A dlaczego upadło?

– Książę z Jawoha był bardzo bogatym ahistokhatą. Może jednym z najbogatszych w ówczesnej Euhopie. Mieli na Śląsku przecież i shebho, i złoto. I bardzo dobrych rzemieślników. Więc czeski khól zaphoponował księciu układ zjednoczeniowy. Ten władca, który pierwszy umrze bezpotomnie, utraci swoje państwo, a ten, który będzie miał syna, odziedziczy państwo tego drugiego.

– Żartujesz sobie ze mnie, co?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Dlaczego miałbym żądać? Książę jawohski miał syna, a czeski khól nie miał.

– Jaki król? – chciała go sprawdzić.

– No Kahol. Kahol czwahty. Najpotężniejszy władca ówczesnej Euhopy.

– Aha, okej... Rzeczywiście gra warta świeczki.

– No i Czesi przysłali w phezencie dla księcia pewnego błazna. Znał on wiele sztuczek i był ozdobą dworu. Synek księcia lubił się z nim bawić. Całe lata byli przyjaciółmi, aż kiedyś w czasie zabawy błazen zabił młodego księcia strzałą z phocy. I Czesi zagarnęli cały polski Śląsk.

– No, co ty gadasz? Czesi odebrali Polsce Śląsk?!

– No, nie Polsce, ale Piastom, polskim książętom, którzy i tak pewnie mówili po niemiecku. Nie można przykładać, o, jesteśmy na miejscu, dzisiejszej miahy do średniowiecznych healiów.

– Ciekawe, że nic o tym nie wiem – mruknęła.

– Ja dużo czytam, przephaszam. – Wjechał na parking.

Deszcz lał bez przerwy.

– Ale za co przepraszasz, to ciekawe. Po prostu nie miałam pojęcia, że Śląsk był kiedyś czeski, zawsze mi się wydawało, że niemiecki.

– Tak, Niemcy mają dobre piah. Ale tylko tyle. Śląsk był piastowski, czeski, austriacki, a potem pruski i niemiecki. I to wcale nie najdłużej był niemiecki. No, idziemy.

Pobiegli przez kałuże.

Bar był pusty. Ale zdążyli na pakiet śniadaniowy i mogli kupić sobie kanapki z jajkiem. I po dużej kawie. Serbia śmiała się w duchu. Od pięciu lat nie była w takim miejscu.

– Wyglądasz jak dziecko. – Zauważył jej nagłą wesołość.

– No! – Skinęła głową.

Usiedli.

– Ale ty mówisz, że czeski król kazał skrytobójczo zamordować polskiego następcę tronu, żeby zagarnąć nasze ziemie?

– Nie skrytobójczo, bo wiadomo było, że zabił ten thefniś, błazen. I nie polskie ziemie, bo państwo Piastów podzielone było na księstwa. Czech też nie było, tylko państwo Luksembuhczyków ze stolicą w Phadze. Co do heszty masz hację. Zabił młodego księcia czeski agent i wtedy, choć nie od hazu, zagahnęli nasze księstwo, bo ksiązę Bolko syna z Agnieszką już więcej nie spółdził.

– Co to znaczy nie od razu? – Kanapka z jajkiem była płaska, ale bardzo pyszna.

– No, Czesi musieli poczekać, aż Agnieszka też umrze. Taki był układ.

– No i co?

– Umahła. Ze stahości. I od tamtej pohy Śląsk był w obcych hękach przez jakies pięćset pięćdziesiąt lat.

– A co z błaznem?

– Zamęczyli go, ale układ to układ.

– Zamęczyli... – Coś jej się nagle przypomniało. Sto kijów... Sto kijów... Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała! Sto kijów dostała dziewczyna z Arabii za to, że miała randkę. I jeszcze ten program z marokańskiej telewizji. Ten, o którym czytała. Jak zrobić makijaż, który ukryje podbite oko albo rozerwaną wargę.

Odłożyła kanapkę i zalogowała się do wi-fi.

– Polub stronę... – powiedziała do siebie. – Oczywiście.

Gdzie to było? Wpisała do wyszukiwarki „sto batów za seks”. Nic. Cholera jasna. Może trzeba wpisać „prawo szariatu”? Też nic.

– Wszystko w porządku? – zapytał Feliński.

– Tak, tak... Coś mi się przypomniało. Słyszałam w radio. Znaczy... Muszę coś szybko sprawdzić.

– Kawa ci wystygnie. – Uśmiechnął się.

– Przepraszam, prowadzę taką sprawę i... – Wpisała „baty, szariat, Indonezja”. Internet miał wolno. Za wolno. Ale jest.

– No jest – powiedziała głośno: – „Setki ludzi zgromadziło się na dziedzińcu meczetu Baiturrahumim w Banda Aceh, by zobaczyć, jak skazana na karę pięciu batów studentka wije się z bólu. Nur Elita została oskarżona o złamanie prawa

szariatu. Przyłapano ją na „bliskich kontaktach z kolegą ze studiów«. Po biczowaniu kijem z wysuszonej trzciny cukrowej dziewczyna została odwieziona do szpitala”... Słyszysz?

Nie rozumiał jej nagłego podniecenia.

– Wpiszmy „seks, prawo szariatu”... No, szybciej, szybciej. Nie... jest o gejach. To nie to. Wpiszmy „seks, prawo szariatu, kobieta”. No i jest!

Wyszukiwarka pokazała serię materiałów o tym, jak ortodoksyjni muzułmanie traktują kobiety przyłapano na pozamałżeńskim seksie lub na spotkaniu w cztery oczy z mężczyzną, który nie jest ich mężem, ojcem ani bratem. Filmy, artykuły ludzi w oczywisty sposób nienawidzących muzułmanów, jakieś dziwaczne, mitomańskie tytuły materiałów zamieszczonych przez różnych hejterów. No i... Wikipedia. Otworzyła.

– „Karą stosowaną za seks przedmałżeński jest sto razy – czytała na głos. – Karą za oskarżenie, po którym nie nastąpiła wymagana liczba zeznań świadków, jest tylko osiemdziesiąt razy. Skazanie mężczyzny za seks przedmałżeński, zdradę lub seks pozamałżeński wymaga zeznań czterech mężczyzn będących naoczными świadkami penetracji. Każdy z nich musi obserwować akt penetracji w tym samym czasie co pozostali. Wymóg tych czterech naocznych świadków faktycznie uniemożliwia ukaranie mężczyzny dopuszczającego się cudzołóstwa. Ale kobietę można ukarać bez problemu. Kary za stosunek, w którym przynajmniej jedna osoba jest lub była w związku małżeńskim, są znacznie surowsze. Karą za stosunek zamężnej kobiety z młodszym mężczyzną jest ukamienowanie. Mężczyzna dostaje karę chłosty. Często są przypadki kamienowania ofiar gwałtu zbiorowego na podstawie świadectw gwałcicieli...”. Kurwa, to może być to.

– Znamy się dopieho godzinę i już rozmawiamy o seksie? – Feliński roześmiał się od ucha do ucha.

– Nie rozumiesz. – Zniecierpliwiła się, ale jakoś nie umiała pogniewać. – Mamy taką sprawę... Muszę zadzwonić.

Siorbnęła łąpczywie kawę i mało się nie udławiła.

– Kurwa mać. – Odstawiła kubek i wybrała numer Kosińskiego. – Szybciej, szybciej...

Wreszcie odebrał.

– Młody? Sprawdź, czy mogła być ukamienowana.

– Kto? Ta z Wisły?

– No, a kto? Pewnie, że topielica, przecież nie Matka Teresa z Kalkuty.

– Ale jak ukamienowana? No, przecież to nie jest kino. Masz jakieś tropy? Właściwie gdzie pojechałaś?

– Nie, nie mam nic. Przeczucie mam. Zapytaj Grzegorzycyka, czy to mogą być kamienie. Albo może, czy jej nie zatłukli kijem. Ale raczej kamienie.

– Dobrze. Poza tym się stęskniłem.

– No i tak mi mów. – Uśmiechnęła się i wyłączyła telefon. – No... – Sięgnęła po kanapkę. – To co z tym seksem?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

WTEDY

Siedziała pod Diabelskimi Organami całkiem naga i przemarznięta, bo wokół wszystko było skute lodem. Śnieg padał rzadki.

Jak gęsi puch. Niebo było niebieskie. Intensywnie niebieskie, a ona widziała samą siebie, jakby była kimś zupełnie innym.

Jakby opuściła ciało i przyglądała się samej sobie z pewnej odległości. Niewielkiej, ale na pewno to nie było lustro, bo lustro przecież nie jest takie zimne. Patrzyła na siebie w tym śniegu, nagą i piękną jak anioł. A organy za plecami były całe czerwone. Rozpalone. Jakby były ogniem, a nie skryształizowanym... Jak on to nazwał...? Jak nazwał...?

– Halo, słyszy mnie pani? – Poczła lekkie uderzenie w policzek. Jak on to nazwał...? Porfir. Ucieszyła się. Porfir. Cokolwiek to było, poczuła ulgę, że sobie przypomniała. Widziała siebie teraz z góry i pomyślała, że jest piękna. Bardzo piękna na tym śniegu.

– Halo! – Tym razem uderzenie było mocniejsze.

Spróbowała otworzyć oczy, ale właśnie dopadł ją ból. Głowa bolała, jakby ktoś włożył ją w imadło.

– Nazywam się Anna Kwie... – zaczęła ledwo słyszalnym szeptem.

– Niech pani pije, powoli. – Poczła w ustach szklany zimny przedmiot. Ktoś wpychał jej rurkę między zęby. Pociągnęła. Jeden łyk. Potem drugi. Paliło ją w środku. Głowa bolała niesamowicie. Pociągnęła trzeci łyk, najmocniej, jak potrafiła, i poczuła, że się dusi. Że nie przełknie. Z bólu. Załkała. Bezgłośnie, ale czuła, że lzy płyną jej po policzkach.

– No już, już – powiedział szorstko męski głos. – Proszę przestać.

Ale nie umiała przestać.

Ktoś wyciągnął rurkę spomiędzy warg. Piekło tak, jakby jej wyrywał język.

– Nazywam się Anna Kwiecień – powiedziała. – Lat dwadzieścia. Zamieszkała...

– Proszę przestać – znowu ten szorstki głos.

Poczuła, że coś zimnego łąduje jej na twarzy. Kompres. O tak, tak... Kompres studził ból. Na chwilę, ale studził. Gdyby tak mieć trochę octu, pomyślała. Ocet studzi lepiej. Mama zawsze mówiła. Ocet dobry na bolące miejsce.

– Nazywam się Anna Kwiecień – powiedziała i znowu straciła przytomność.

Siedziała na krześle i nie rozumiała, o co ją pyta ten młody jasnowłosy oficer śliczny jak z obrazka. Myślała, że to anioł. Tylko anioł mógłby mieć takie jasne i wesołe oczy. Tylko mundur nie pasował.

– Gdzie znajduje się Diduszko Feliks? – pytał, patrząc gdzieś w ścianę ponad jej głową. Jakby mówił do siebie. Więc nie odpowiadała. Poprawiła się tylko na stołku. – Po polsku rozumie? Czy mam mówić po niemiecku? – Popatrzył na nią, jakby była owadem na szpilce. Jeszcze żywym, ale już przekłutym na zawsze.

– Czy mogę się umyć, proszę... – Nie śmiała podnieść wzroku.

– Powie, gdzie znajduje się obywatel Diduszko, i będzie mogła się umyć.

Patrzyli na nią obaj dobrotliwie. Młody śledczy i nieco starszy od niego, ale wciąż ciemnowłosy i przystojny prezydent Bolesław Bierut. Z portretu. I orzeł bez korony.

– Muszę umyć... pupę. – Popatrzyła na niego i poczuła, że robi się czerwona.

Uśmiechnął się lekko.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Powie, gdzie ten Diduszko, i będzie mogła „umyć pupę”.

Nie rozumiała, dlaczego tu jest. Była głodna i tak wycieńczona brakiem snu, że poczuła, że za chwilę zemdleje.

– Nie wiem – powiedziała. – Nie mówi, kiedy wyjeżdża. Nie mówi, kiedy wraca. Nie mówi, dokąd jedzie. Nie wiem. Głodna jestem.

– W dupie mam, czy głodna jest jakaś bandycka kurewka – uśmiechnął się pan śledczy. – W dupie mam, że sra w tej piwnicy do wody, w której stoi. Brzydzi mnie, że pije tę wodę z gównem i szczyną, bo muszę teraz patrzeć na tę szmatę i zamiast spotkać się z jakąś porządną kobietą muszę czekać, aż się dowiem, gdzie ten chuj, bandzior, złodziej i morderca.

– Feliks nie jest mordercą. – Otarła usta dłonią przestraszona nagle tym, że

naprawdę ubabrana jest w odchodach. Że już przestała czuć swój zapach, ale po tych trzech dniach musi śmierdzieć strasznie i zrobiło jej się wstyd. Skuliła się.

– Co mi pierdoli! Na spółdzielnię napadł! Na konwój z pieniędzmi do banku w Lwówku! Na komendę milicji w Złotorii napadł! Co mi pierdoli?!

– Proszę mi pozwolić się umyć. – Splotła dłonie na podołku tak mocno, że aż strzeły knykcie. – Bardzo proszę.

Rozpłakała się.

– Nie pierdoli mi tu o myciu, bo to poważna sprawa jest. To morderca, dziewczyno, jesteś dupą mordercy! Na takich jak on Naczelny Prokurator Wojskowy wydał upoważnienie dla grup operacyjnych, żeby rozstrzelać na miejscu! Bez sądu!

– Jak to? – Łzy sunęły jej po policzku jedna po drugiej. Duże, samotne i słone. – Jak to? To niemożliwe.

– A to?! – Wyszarpnął z rozłożonej na biurku teczki kartkę papieru kancelaryjnego. Była zapisana od góry do dołu równym, kształnym pismem. Pewnie piórem pisane, pomyślała, bo takie czarne. Pewnie piórem, a nie ołówkiem. Nie umiała rozpoznać, kto to pisał. Pewnie jakiś podpis był, ale na drugiej stronie. Nie pozwolił jej patrzeć nazbyt długo.

„Z rzezonym Czarnym Jankiem trzyma się i do jego bandy przynależy Diduszko Feliks z Jawora, kierowca miejscowy. On to kieruje samochodami, które kradną, a kiedy udają się w celu dokonania swoich bandyckich napadów do okolicznych miejscowości, ówże Diduszko stoi na czatach i po wykonanym napadzie kieruje pojazdem samochodowym w kierunku ucieczki”. Przerzucił stronę i przeglądał tekst, wodząc po nim palcem. Nie znalazł tego, czego szukał, i przerzucił stronę jeszcze raz.

– O! I tutaj, niech słucha. – Podniósł palec. – „O miejscu przebywania bandyty Diduszko Feliksa wiadomości posiada Kwiecień Anna, jego tak zwana narzeczona, która też nieraz przechowuje pochodzące z napadów samochody na podwórku swojego gospodarstwa. Niewykluczone, pragnę dodać, że wymieniona może posiadać informacje o miejscu przebywania herszta bandy, Czarnego Janka i może być zaznajomiona z tej bandy siedzibą”. Co powie?

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nazwisko, imię.

– Kwiecień Anna, lat dwadzieścia...

– No właśnie. To wy. – Postukał w donos palcem. – A więc wie, kim jest Czarny Janek?

Skinęła głową, że wie.

– A! Dobrze!

Podszedł do drzwi, wystawił głowę i powiedział do kogoś na zewnątrz, żeby dali maszynistkę, kawę, drożdżówkę i miskę z wodą.

– Umyje się, kawy napije i wszystko nam opowie – mrugnął do niej.

Dostała kawę w blaszanym obitym kubku i ciastko. Ciastko było świeże. A potem otworzyły się drzwi i weszła starsza kobieta, taszcząc przed sobą oburącz szarą walizkę. Postawiła ją na biurku, otworzyła i Anka ujrzała szarą obłą maszynę do pisania. Cztery szeregi czarnych klawiszy i belka przez całą długość. I napis nad klawiszami: ALPINA.

Alpina, pomyślała. Jakie piękne słowo...

– Są tylko niemieckie litery – powiedział śledczy przepraszająco. – Ale jakoś się z tym uporamy, co, pani Krysiu? No, niech pisze.

Pani Krysia zaczęła wystukiwać jakieś słowa. Spojrzała na zegarek, potem wyjęła z kieszeni w walizce kalendarzyk z kolorowymi literkami. Zapisała datę. Anka dokończyła jeść ciastko.

Wtedy śledczy zapytał ją o imię, nazwisko, wiek, adres i wykształcenie. Zdziwił się, że ma maturę. Potem kazał jej mówić o Czarnym Janku.

– Ale co mam mówić?

– Niech mówi, co wie.

– Czarny Janek jest bandytą – powiedziała. – Nic więcej nie wiem.

– Skąd wie, że jest bandytą?

– Słyszałam, jak ludzie gadali po mszy.

– Jacy ludzie?

– Nie pamiętam.

– Jacy ludzie, pytam się! – powiedział ostrzej.

Milczała.

Pokręcił głową, wyjął z szuflady skórzaną pałkę, zważył w dłoni i uderzył z całej siły w biurko tuż przed jej nosem. Kawa wyleciała jak z procy i rozlała się po podłodze. Pani Krysia poprawiła okulary.

– Co mi tu pier-do-li! – wykrzyknął. – Kto mówił o Czarnym Janku?!

Rozpłakała się.

– Nie pamiętam. Naprawdę nie pamiętam. Było po mszy, ludzie wyszli przed kościół, słońce, pracować w polu nie trzeba już dzisiaj. Ludzie gadają ze sobą, śmieją się, ktoś zaczął gadać, że jest taki Czarny Janek, że napadł na urząd gminy, czy tam na sołtysa, że pieniądze ukradł, co były dla spółdzielni, ja nie wiem więcej. Nic więcej nie wiem...

– Śmiali się? Cieszyli się? Jak się zachowywali?

– Nie, nie śmiali. Ludzie chcą spokoju. Chcą mieć dach nad głową, szczęście i żeby ich ktoś kochał.

– Co to ma być? – nie zrozumiał.

– Nic. Chciałam powiedzieć, że się nie śmiali. Bali się. Ludzie się bandytów boją.

– A ty?

– Ja też się boję.

– A Diduszki Feliksa boi się?

– Tak – powiedziała. – Boję się.

– Gdzie jest Diduszko Feliks?

– Nie mam pojęcia.

Wstał i okrążył stół. Pogłaskał Ankę po głowie. A potem po policzku grzbietem dłoni. Otoczył jej szyję ramieniem i nachylił się do ucha.

– Słuchaj, bladzio, nie wkurwiał mnie – powiedział cicho. – Gdzie jest Diduszko Feliks?

– Nie wiem, proszę pana. To gwałtowny człowiek. Zapytasz go o coś, to w twarz leje. Nic nie mówi. Nie mówi, kiedy wychodzi, nie mówi, kiedy wraca. Samochody owszem, na podwórku stały, ale on przecież kierowcą jest, towary wozi, no, co ja mam powiedzieć...

– Jakie samochody? Pisz pani Krysia?

Pani Krysia skinęła głową. Pisała wszystko. Że samochody zielone, z plandekami, że Anka nigdy tam nie zaglądała. Że z Diduszką jest, bo przecież musi być jakiś mężczyzna w obejściu, bo na wsi trudne życie, męska pomoc się przyda, a on potrafi wszystko. Jak jest w domu, to przecież pomaga. I że ona, Anka, nie ma pojęcia, że on mógłby być jakimś bandytą. No, jakże tak? Przecież on nawet wódki

nie pije, papierosów nie pali...

– No dobrze – powiedział śledczy. – Wysłuchałem cię. A teraz mi powiesz, gdzie jest Diduszko Feliks. I powiesz mi, gdzie jest kryjówka Czarnego Janka.

Anka pokręciła głową.

– Ale skąd mnie to wiedzieć? Felek, to jest Diduszko Feliks, nic mi przecież nie mówi.

– No, kurwa, ja mam dość – powiedział śledczy. Wziął do ręki pałkę i kazał Ance wstać. Pani Krysia wykręciła ostatnią kartkę z maszyny Alpina i zamknęła sprzęt w skórzanej walizeczce. Alpina. Jakie piękne słowo, pomyślała Anka, a wtedy śledczy uderzył ją w uda.

Zawyła z bólu i zaskoczenia.

– Niech wstanie – powiedział i poluzował kołnierzyk koszuli pod mundurem.

Wstała. Kopnął taboret i kazał jej klękać.

– Niech pani Krysia przytrzyma. No nie, nie tak, za głowę niech przytrzyma. Niech jej usta zakryje.

Pani Krysia stanęła nad Anką i ukryła jej twarz w swoim miękkim podbrzuszu. Pogłaskała dziewczynę po włosach. Wtedy śledczy uderzył ją w stopy.

Chciała krzyknąć, ale pani Krysia przytrzymała tak, że cały krzyk uwiązł w tych otwartych ustach.

– No jak, przypomniała sobie?

Pokręciła głową.

– Pani Krysia puści... nie słyszę!

– Nie wiem. No, skąd ja mam wiedzieć!?

Wtedy zaczął bić ją po stopach. Po tych bosych piętach. Po palcach. Nie wie, jak długo bił, bo wreszcie zemdląca.

Obudziła się w celi, kiedy zakrzuszyła się wodą. Leżała w tej samej wodzie, do której srały obie z Cyganką i z której piły. Woda była czarna. Wszystko było czarne. Noc była. Rano przynieśli im jedzenie. Pół chleba, marchewkę i cebulę. I kubek kawy. Miały jeden kubek na dwie. Cyganka jadła łapczywie. Może to było jej pierwsze jedzenie od czterech dni? Anka płakała. Nie mogła stać. Siedziała tyłkiem w zimnej wodzie. Drżała. Ale przynajmniej pięty w tej wodzie bolały ją jakoś mniej.

Po południu znowu ją wzięli na górę. Nie umiała sobie przypomnieć, gdzie jest

Diduszko Feliks, więc znowu dostała pałą po piętach.

Trzeciego dnia śledczy powiedział jej, że ma pecha. Nie chce mówić, to odsyłają ją do Wrocławia, na Kleczkowską. Nie miała pojęcia, co to jest Kleczkowska. Pani Krysia przyniosła miednicę z wodą i szare mydło.

– Szare mydło dobre na wszystko – powiedziała. – Rozbieraj się, dziecko, i umyj. Dostaniesz czyste ubranie.

Anka nie chciała się rozbierać przy śledczym, więc poprosił strażnika, a strażnik odstawił pepeszę w kącie i zdarł z niej ubranie. Mokłą koszulę, spódnicę jak szmatę i majtki. Wtedy zobaczyła, że majtki są całkiem obsrane. Musiała to zrobić, kiedy bili. Albo kiedy leżała. Umyła się sama ze strachu, że strażnik będzie ją obmacywał. Dali jej drelichowe spodnie i kurtkę. Majtek nie mieli.

Kiedy jechała do Wrocławia, była noc. Nie widziała nic ze świata. Zasnęła, leżąc na podłodze ciężarówki, bo wreszcie miała sucho. Śniły jej się Diabelskie Organy. Benek cały na biało. Jak anioł. Zapłakała za nim w tym śnie. Z tęsknoty.

Na Kleczkowskiej wepchnęli ją do celi z mężczyznami i kobietami. Tłok był. Każdy chciał siedzieć przy ścianie, bo można się było oprzeć, ale ona była tak upokorzona i zadziwiona, że nie miała siły walczyć o miejsce. Leżała zwinięta na środku podłogi obok wiadra na odchody. To było jedyne wolne miejsce. Co i raz ktoś podchodził, ściągał spodnie i srał. Mężczyźni sikali na siedząco i była im za to wdzięczna, że nie musi patrzeć, jak nad nią stoją.

Dostawała jedzenie dwa razy dziennie. Rano chleb, czasami ze smalcem, po południu zupę z suszonych warzyw. Mówili, że to jeszcze ponemieckie zapasy z wojny, ale gdzie by tam z wojny, tyle to już lat.

Jakiś tydzień później wzięli ją na przesłuchanie. Było ich na przesłuchaniu trzech. Nie było nikogo, kto by pisał. Pytali, gdzie jest Diduszko Feliks i gdzie jest Czarny Janek. Bogdziewicz Jan gdzie jest!? Gdzie ich bandycka kryjówka?

Nie wiedziała. To nazwisko, Bogdziewicz, słyszała po raz pierwszy.

– Kto im pomaga? Z kim Diduszko Feliks ma interesy? Do kogo jeździ ciężarówką? Co tam przewozi?

– Siano – powiedziała. – Siano przewozi.

– Widzisz, bladzio! – zatriumfował jeden z nich. – Siano wozi! Widzisz bandytów! Wiesz, dlaczego siano? Nie wiesz? Bo przewożą broń. Pociski przewożą. Bandydzi! A ty kłamiesz, że nie wiesz, gdzie ich kryjówka!

– Nie kłamię.

Bała się. A oni lubili patrzeć, jak się boi. Dostała w twarz, spadła ze stołka, a oni zaczęli ją kopać, aż zemdląca. Oblali ją wodą.

Potem znowu bili.

Leżała w celi dwa dni. Może więcej. Ale dwa zapamiętała.

Potem poznała prawdziwy ból. Wbijali jej zapalki pod paznokcie.

Potem bili pałką po nerkach i po plecach. Ból był nie do wytrzymania. Kiedy wezwali doktora, okazało się, że całe ciało miała sine i poranione. Kazał ją przenieść do izolatki.

– Nazywam się Anna Kwiecień – powiedziała, kiedy odzyskała przytomność na dobre. Była całkiem obolała. Jak sparaliżowana.

– Doktorze! Doktooorze! – wrzasnęła jej nad uchem gruba pielęgniarka. – Ciężarna się budzi.

Doktor przyszedł po chwili.

– Nazywam się Anna Kwiecień...

– Cicho, dziecko, nic nie mów, nic nie mów... – Poglaskał ją po policzku. – Nazywam się Wolańczyk. Na razie jesteś u mnie. Tu nikt cię nie uderzy. W ciąży jesteś, dziecko, musisz przeżyć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

TERAZ

– Ha, ha, ha. – Feliński śmiał się, kiedy mu powiedziała, że pojedzie do hotelu, szybko zabierze swoje rzeczy i będą mogli jechać do Wrocławia razem, ona samochodem, a on na motocyklu, ale będzie go przed sobą widziała. – Ha, ha, ha, jesteś jak dziecko. – Kręcił głową z niedowierzaniem. – Ale podoba mi się ten pomysł. Tylko że ja mam tutaj phacę. Właśnie odnalazłem kolekcję esbeckich teczek. Będzie z tym spoho zachodu, będą skandale, tahgi z IPN-em, będzie dochodzenie... Więc ja do Whocławia niephędko whóczę.

– A ja muszę jechać teraz. Mam na głowie topielicę... Właściwie to w jej sprawie spotkałam się z Ruskim – skłamała bez mrugnięcia okiem, bo kiedy powiedział jej o sprawie z teczkami, zrozumiała, że musi być jak najdalej stąd. – Chciałam porozmawiać z doświadczonym psem o tym, co myśli.

– I co, otworzyły ci się jakieś whota w głowie?

– No, przecież byłeś świadkiem. Coś mi się zaczyna sklejać... Odwieź mnie do hotelu, spakuję się i jadę. Muszę się spieszyć.

Popatrzył na nią badawczo.

– Ty nie chcesz, żebym zameldował, w jaki sposób odnalazłem ten sejf, co?

– Zgadłeś. – Uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała mimo tych mokrych włosów i sińców pod oczami. – Nie mam czasu na pierdolenie się z IPN-em.

– Ale kiedy będę miał wyniki sekcji Huskiego, to chciałabyś wiedzieć?

– Ile miał we krwi alkoholu? – Mrugnęła do niego. – Sporo. Sporo wypiliśmy.

– Sądziłem, że chciałabyś wiedzieć, czy umahł ze stahości, czy jednak ktoś mu pomógł.

– Czy to coś zmieni w moim życiu? Ty naprawdę myślisz, że ktoś mógłby mu pomóc?

Zamyślił się, ale nie odpowiedział.

– Okej, to dam ci znać za parę dni. A tehas już czas, chodźmy.

Deszcz przestał padać, ale parking był pełen kałuż. W oddali widać było zalesione wzgórza, pewnie w słońcu byłyby zielone, ale teraz wszystko było szare albo czarne. Wydawało się jej, że wzgórza parują, ale o tej porze roku to się nie mogło zdarzyć. Niskie chmury plątały się po prostu w gałęziach drzew.

Feliński wrócił do rozmowy, kiedy ruszyli.

– Nie wiem, czy ktoś mu pomógł, ale teczki miał, nie da się ukryć. Kto ma taki towah, musi mieć i spoaho whogów, zwłaszcza w thudnych czasach. Więc zhobimy tak... Tego, że u niego byłaś, nie da się ukryć, zhesztą po co? Ale powiesz, że o teczkach nie wiedziałaś. Pogadaliście o zbójach, o mohdehcach, o ich zwyczajach, o zabójstwach kobiet, no, sama wiesz, o czym gadaliście. Wypiliście wódki thochę i poszłaś spać. Zaphosił cię telefonicznie na śniadanie. Przyszłaś, spotkałaś mnie i panów z IPN-u, a kiedy wszyscy sobie poszliście, znalazłem w kieszeni jego spodni klucze i jeden wydał mi się dziwny. Wyhaźnie pasowałby do jakiegoś sejfu czy kasy pancehnej. Zacząłem szukać. Przez te spalone półki odsłonił się fhagment stalowej phowadnicy. Przesunąłem półkę i znalazłem sejf. Pasuje?

– Tak, pasuje.

– To gdzie mam jechać?

– Nie gdzie, a dokąd – poprawiła go. – „Gdzie” pasuje do bezruchu. Możesz powiedzieć, gdzie jesteś, gdzie coś leży, ale jeśli sprawa dotyczy ruchu, to mówimy „dokąd”.

– Dokąd mam jechać? – Wcale się nie stropił.

– Wysadź mnie pod Ruskim, pójdę sobie pieszo, pomyślę, już nie pada przecież.

Kluczyli wąskimi uliczkami w okolicy bazyliki.

– A co z technicznymi?

– Co z technicznymi?

– No, kiedy odsuwaliśmy półkę, ci dwaj pracowali przy oględzinach zwłok.

– A... masz hację. Załatwię to. Powiem im, że jak będziesz musiała jeździć z Wahszawy na przesłuchania, to nigdy, kuhwa, tej histohii nie uhobimy. Zhozumieją.

– A jak będę na jakimś zdjęciu?

– To sobie zatrzymam na pamiątkę. – Zaparkował koło domu.

Ambulans zniknął. Strażacy pozwijali już swoje sprzęty. Stali w kałużach i palili papierosy.

– To co... Miło było cię poznać, Feliński. – Skinęła mu głową i otworzyła drzwi.

– No. – Uśmiechnął się. Ładnie się uśmiechał jak na glinę.

Do Wrocławia jechała szybko po lśniącym, mokrym asfalcie autostrady. Wybrała numer Siwego. Nie odbierał, ale po dziesięciu minutach oddzwonił.

– Nie będziemy o tym rozmawiać przez telefon – powiedział. – Porozmawiamy, jak wrócisz. Szerokości, mała.

Włączyła radio. Usłyszała, że jutro są andrzejki, i momentalnie zrobiło jej się smutno, bo w Warszawie czekał na nią pusty dom, opróżniona do połowy finlandia i w najlepszym razie trochę telewizji. Nikt nie będzie lał wosku przez pierścień, żeby sprawdzić, czy pójdzie z nim do łóżka. Nikt nie będzie się do niej śmiał i nikt nie będzie dotykał jej piersi. Cholera jasna, czy to przez tego sepleniucha? Nie mogła uwierzyć, ale naprawdę jej się podobał. No nie... Nie. Miała się za kogoś innego, nie za podstarzałą starą pannę, której może zawrócić w głowie jakiś motocyklista. Zresztą na pewno kogoś ma. Nie nosi obrączki, ale kto dzisiaj nosi? Kto w naszym fachu nosi obrączkę? Może kiedyś nosił. Może każdy kiedyś nosił...

– Na pierwszy miejscu listy przebojów Leonard Cohen i *You Want It Darker* – usłyszała, a potem męski chór zaintonował melodię, która mogłaby być gregoriańskim chórem. Pasowała do jej nastroju. „Jeśli potrzebujesz dilera, to nie ze mną gra, jeśli jesteś uzdrowicielką, to moje skrzydła są połamane i nagie, jeśli to twoja chwila chwały, to mój musi być wstyd”... Pomyślała, że to nie może być przypadek, a potem, kurwa, łzy popłynęły jej po policzku. „To historia o kochankach – mrucał Cohen swój podniosły refren. – Historia, jakich są tysiące, kołysanka dla cierpiących i paradoks win...”.

Wcisnęła pedał gazu do samego dna, żeby poczuć zastrzyk adrenaliny, żeby oderwać się od wspomnień i pragnień. Tymczasem deszcz zaczął znowu łoić ziemię bez odrobiny litości, włączyła wycieraczki, ale nie zbierały wody do czysta, bo jechała chyba zbyt szybko i ich pióra odrywały się od powierzchni szyby. Nie zwalniała. Poczula, że znowu nad wszystkim panuje. Ciężarówka pryskała na boki, a samochody przed nią czekały tylko, żeby uciec, kiedy dawała im sygnał długimi światłami. Nie bała się. Od wielu lat nie bała się niczego oprócz łez.

Niebieskie światło za sobą zobaczyła tuż przed zjazdem na Pietrzykowie.

– Pietrzykowice, co za pojebana nazwa. – Zjechała na pobocze. Znowu była sobą.

Stała dłuższą chwilę. Wycieraczki wachlowały szybę do czysta. Policjanci z drogówki nie kwapili się wyjść na deszcz. Pewnie nakręcili jej jazdę na wideorejestratorze i teraz oglądali nagranie. Wreszcie zobaczyła w lusterku, że drzwi się otwierają i gramoli się z nich ten, co prowadził. Opuściła szybę. Deszcz natychmiast wdarł się do środka.

– No, panie kierowco – powiedział policjant, zanim jeszcze się nachylił na tyle, żeby zobaczyć, że mówi do kobiety.

– Nabroiłam? – Uśmiechnęła się do niego, jak uważała, „rozbrajająco”.

– Wie pani, jak szybko pani jechała?

– Dwie paki? – powiedziała z nadzieją w głosie.

– Sto siedemdziesiąt osiem.

Cmoknęła.

– Liczyłam na więcej. Ale to stare auto, widać nie dało rady wycisnąć więcej...

– Dokumenty, prawo jazdy, ubezpieczenie. – Nie znał się na żartach.

– Darujmy sobie, jesteśmy z tej samej fabryki.

Wyciągnął rękę po papiery.

– Z tej samej firmy jesteśmy – powtórzyła głośniej.

– Serio? – Deszcz lał mu się po twarzy. Pewnie musiał nieźle zmarznąć.

Pokazała mu blachę.

– Kurwa, musiałaś tak pędzić?

– Tak. Musiałam. Mam zbója na karku.

– Jakiego znowu zbója? – nie zrozumiał.

– Mordercę kobiet.

– Serio? – Otarł dłonią mokre czoło.

– No, wiem, chujowa sprawa, ale nie mam czasu na gadanie. Mam poważną sprawę.

– No, ale nagraliśmy cię na wideorejestratorze...

– No i chuj – wyszczerzyła zęby.

– Zaczęliśmy procedurę, to co mam teraz zrobić?

– Możesz mnie, chłopie, w... Możesz mnie pouczyć.

– Spierdalaj – powiedział i pokręcił głową.

– Ja ciebie też. – Zamknęła okno. Przednia szyba natychmiast zaszła mgiełką. Nie znosiła tego. Włączyła nawiew, ale nie pomagało. Cholera, będzie musiała czekać kilka minut. Kiedy nieoznakowany samochód strażników autostrady mijał ją, bzyknęli na chwilę syreną i pokręcili światłami. Poczła się lepiej, jakby była mniej sama na świecie.

W radio szły wiadomości. Prezydent podpisał ustawę o kwocie wolnej od podatku. Przed Sejmem protesty przeciwko likwidacji gimnazjów. Minister Spraw Wewnętrznych twierdzi, że rozpoczęta przez Komisję Europejską procedura ochrony praworządności w Polsce to jedynie początek dyskusji politycznej, bo w Polsce naruszenia praworządności nie ma. Lech Wałęsa odmówił przekazania próbek pisma. A potem o tym, że co dwudziesta kobieta w Unii Europejskiej była zgwałcona, a co czwarty obywatel Unii uważa, że gwałt da się usprawiedliwić. W Polsce około dwóch tysięcy kobiet dziennie pada ofiarą przemocy. Najmniej tolerancyjni wobec gwałcicieli są Szwedzi i Finowie. Najbardziej tolerancyjni Rumuni i Węgrzy. Polacy w połowie stawki razem z Niemcami, Francuzami i Włochami. Piętnaście procent Polaków uznaje gwałt za możliwy do usprawiedliwienia na przykład zbyt wyzywającym strojem kobiety.

Zmieniła stację. Ruszyła i jechała przepisowo. Sto trzydzieści, sto czterdzieści, żeby nie przegapić zjazdu na obwodnicę.

Kiedy zadzwonił Kosiński, była już daleko za Wrocławiem.

– Mam ją! – powiedział.

– Kogo? A, topielicę! Masz? Czyli zidentyfikowałeś?

– Nie, ale mam jej zdjęcie z Internetu.

– Jak to? To nie ma tam żadnych danych, imienia, nazwiska, nic?

– Nie ma, bo to nie tak... – powiedział. – Ale przynajmniej mam jej zdjęcie.

– No, co ty pierdolisz, jak masz z Internetu, to znaczy, że masz jej jakieś dane, co nie? Co to za zdjęcie? Z Facebooka?

– Nie wiem. I nie będę wiedział.

– No, co ty, kurwa, mi mówisz?!

Wtedy jej opowiedział. Zdjęcie trupa wrzucił do Photoshopa i pozacierał ślady uszkodzeń skóry. Po retuszu dziewczyna wyglądała mniej więcej jak żywa. Kolega Kosińskiego pracuje w służbach. Kiedyś przy wódce zgadali się, że jest ten program do rozpoznawania twarzy. Można go nawet znaleźć w wyszukiwarkach,

ale w bardzo prymitywnej formie. Ale niektórzy z naszych sojuszników mają ten program w formie bardzo zaawansowanej. Wrzucasz zdjęcie i maszyny skanują Internet. I czasami udaje im się znaleźć twarze, które są podobne. Czasami nawet bardzo podobne. Więc Kosiński zadzwonił do kolegi i zapytał, czy zna kogoś, kto ma dostęp. I on znał. Wysłał mu to przerobione zdjęcie mailem. I właśnie dostał odpowiedź. W mailu jest zdjęcie tej dziewczyny. Nie ma żadnych cech, po których można rozpoznać, z jakiej strony pochodzi, ale to bez wątpienia ona.

– Ale nie możesz się dowiedzieć, z jakiej to strony internetowej?

– Nie mogę.

– Ale dlaczego?

– Nie mogę o to pytać. Nie wiem dlaczego.

– To po chuj nam to zdjęcie? No, musisz się dowiedzieć, nie możemy się tak łatwo poddawać...

– On nie powie. Gdyby mógł, toby powiedział.

– Pytałeś?

– Tak. Powiedział, że sam nie wie. Że to była przysługa. I że nie możemy liczyć na więcej.

– Do kurwy nędzy – westchnęła. – No, to co nam daje to zdjęcie?

– Jak się postaramy, to znajdziemy miejsce, gdzie było zrobione.

– Aaa! Sprytne. – Teraz wreszcie załapała. – A to na pewno ona?

– Na pewno nie wiem, ale na pewno podobna.

– Ale trochę podobna, czy bardzo?

– Na moje oko to nawet bardzo, bardzo.

– Przyślesz mi na Messengera?

– Tak.

– To ślij.

Niecierpliwie zerkała to na drogę, to na ekran smartfona. Tymczasem krajobraz był płaski, brzydki, szary, a drogowskaz mówił, że za chwilę zjazd na Syców. Wreszcie jest. Otworzyła zdjęcie kliknięciem kciuka.

– Cholera wie – powiedziała sobie. Zdjęcie było zrobione pod światło, dziewczyna stała w cieniu, ale wyglądało na to, że to rzeczywiście jest ona. Tło było przejasnione, ale dobry specjalista powinien sobie z tym poradzić. Dziewczyna siedziała na parapecie szeroko otwartego okna. W tle widać było

jakieś drzewa, a ponad nimi kilka wysokich budynków. Jednym z nich był Pałac Kultury i Nauki.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

WTEDY

W szpitalu było jej dobrze. Doktor Wolańczyk dbał o nią jak o własne dziecko. Jadła trzy razy dziennie, piła herbatę, była czysta i miała czyste ubranie.

Ale z drugiej strony wcale nie było dobrze. Zrozumiała to od razu, kiedy poczuła się na tyle silna, żeby wstać. Podeszła do okna. Było do połowy wysokości zaklejone białym, półprzezroczystym papierem. Ale i tak widziała, że za szybą są kraty. To nie był cywilny szpital.

– Co ze mną będzie? – zapytała pielęgniarkę.

– Dobrze będzie.

– Wrócę na przesłuchanie?

– Proszę się nie dać złym myślom, doktor dobry człowiek, nie da cię zabrać.

Dziecko musisz urodzić.

Przyzwyczajala się do tej myśli dzień po dniu. Tak, podejrzewała, że może być w ciąży, ale pewności nie miała. Matce nie powiedziała ani słowa. Ani Feliksowi nie powiedziała. Nie chciała, żeby krzyczał, nie chciała, żeby ją uderzył. Zresztą przecież nie wiedziała, jak z tym dzieckiem. Praca na wsi ciężka. Zdarzało się, że krwi nie widziała już wcześniej...

– Byli pytać po panią – pielęgniarka powiedziała jej po kilku dniach.

– Jak to?

– Czy może pani wrócić na przesłuchanie. Doktor nie dał. Powiedział, że ciąża zagrożona. A oni, wiem, bo słyszałam, że to nie szkodzi. Że bandyckie nasienie to tylko kłopot dla państwa. Jak zdechnie, to zdechnie.

Anka się wystraszyła.

– Jak to bandyckie nasienie?

– No, z bandy Czarnego Janka ten pani dzieciak, co nie?

– Ja przecież żadnego Janka nie znam...

– Ja tylko mówię, co gadają. Tego Janka cała milicja szuka teraz. Cała milicja. I wojsko.

– O Jezusie, to co on zrobił? Zabił kogo?

– Na kopalnię napadli. Pieniądze ukradli na wypłaty dla górników. Od tego się zaczęło. Najpierw to podobno było ich tylko dwóch, ale teraz to cała wielka banda. Ludzie nie lubią go, bo wchodzi do wsi i bierze kury, krowy jak swoje. Napada na milicjantów, napada na urzędników. Mówią, że to szalony człowiek jest.

– O Jezusie, to dlaczego mnie pytają?

– Mówią, że narzeczony pani jest w tej bandzie kierowcą. Nic pani nie wiedziała?

– Nic. No, przecież on nic mi nie mówił. On za kierowcę pracuje. Towary wozi do sklepów, przez pół Polski jeździ z towarami. Ale nie mówi.

– A pistolet ma?

Anka milczała.

– Ja nic nie wiem...

– Doktor pani nie odda, proszę się nie bać.

Potem było jej dobrze. Spokojnie. Dzień podobny do dnia. Rozmawiała tylko z pielęgniarką, inne kobiety rzadko się odzywały. Kiedyś w łazience jakaś polityczna pobita tak, że cała w bandażach, powiedziała Ance, żeby z pielęgniarką nie rozmawiała, bo to przecież kapuś.

– A co mi tam – powiedziała Anka. – Przecież ja naprawdę nic nie wiem.

– Nie gadaj. Tu wszystkie wiedzą, że jesteś dziewczyną Janka.

– Nieprawda, przecież ja go nawet nie znam.

– Mnie możesz powiedzieć.

– Nie wiem nic. Nic nie wiem.

– To już długo nie potrwa. Zanim po mnie przyszli, ludzie mówili, że będzie na Janka obława. Że go tym razem wykurzą. Warszawa się domaga, żeby na Dolnym Śląsku był już spokój.

Anka pomyślała o Feliksie. I odkryła, że jest jej już wszystko jedno.

Jakoś na jesieni pielęgniarka przyszła z opowieścią, że Czarny Janek zamordował swoich ludzi. Swojego zastępcę i swoją kochankę. Podejrzewał, że współpracują z milicją. Że mu Urząd Bezpieczeństwa podsunął dziewczynę po to,

żeby odkryła jego kryjówkę.

– Prawda to?

– Powiadają, że prawda. A ona w ciąży była. Miała zadzwonić do Lwówka i powiedzieć, gdzie się z nim spotka, ale nie zadzwoniła, bo bandyci ścięli słupy telefoniczne i zerwali linię. Więc jak po telefon sięgnęła, to ubił. I ją, i to dziecko swoje, co nosiła.

Ance się zebrało na płacz. Dziecko kopało już w brzuchu, więc musiała wszystkie złe myśli odpędzić.

– Co, kopie panią? – Uśmiechnęła się pielęgniarka.

– No – rozjaśniła się Anka. – Rusza się cały czas.

– Niech się pani nacieszy – pielęgniarka powiedziała to takim tonem, że dziewczyna się przestraszyła.

– Co to znaczy?

– No, przecież dziecka pani nie zostawia...

– Jak to nie zostawia?

– To więzienie, nie zauważyła pani? Zabiorą zaraz po urodzeniu. Będzie pani miała szczęście, jak dadzą chociaż dotknąć. Ale jeżeli doktor będzie na rodzeniu, to da pani potrzymać chwilę, zanim zabiorą.

– Ale co pani mówi? Dlaczego pani mówi takie złe słowa? – Nie chciała płakać. Nie mogła. To nie była przecież prawda. Jak zabiorą?

– Pani wróci na przesłuchania. A dziecko będzie w więziennym żłobku. – Poprawiła Ance poduszkę. – Nie tylko pani dziecko, bo przecież mamy ich tutaj więcej. Będzie sobie rosło bezpiecznie. A potem do sierocińca.

– Jak to do sierocińca?

– No, tutaj nie może zostać. Są cele dziecięce w więzieniu, ale tam siedzą przecież młodociani bandyci. Ale przepełnienie jest, mówią strażnicy, ogromne przepełnienie. Po trzydzieści pięć ich tam siedzi na kupie, chłopaki, dziewczyny, złodzieje przede wszystkim, ale także jakaś młodociana dziwka się trafi, no i dzieciaki bandyckie też tam siedzą, ale panine dziecko pójdzie do sierocińca. Niech się pani nie martwi. W sierocińcu lepiej mu będzie niż na tej resocjalizacji. A może będzie miało szczęście? Może ktoś je weźmie? Jakiś dobry człowiek? Nauczyciel albo może ktoś z urzędu. A może...

Anka już nie słuchała. I łzy już przestały jej płynąć. I nic jej nie bolało. Czują,

jak dziecko porusza się w niej powoli, jakby przez sen.

– No... to ja pójdę – pielęgniarka podniosła głos. – Ale wie pani, zawsze może pani powiedzieć prawdę i wtedy pan śledczy panią puści do domu. Nie lepiej byłoby w domu rodzić?

– Lepiej – powiedziała. – Lepiej.

Dziecko urodziło się w styczniu i doktor pozwolił Ance potrzymać je kilka minut.

– Zdrowy jest. – Otarł go ręcznikiem i podał jej.

Nawet nie bardzo widziała, czy jest ładny, bo przecież płakała tak, że niewiele widziała. Chłopiec też płakał strasznie. Jakby wiedział, że idzie do sierocińca. Chciała wyciągnąć pierś i dać mu ssać, ale doktor nie pozwolił. Powiedział, że lepiej nie. Że będzie jej łatwiej, jeśli po prostu odda go teraz. Przyciskała dziecko z całej siły, a doktor tylko kręcił głową, żeby nie. Pielęgniarka przecięła pępowinę, a potem otworzyła drzwi i powiedziała, że już, a wtedy weszła strażniczka w zielonym uniformie i wzięła dziecko, wcale nie patrząc na Ankę. Anka zapamiętała tylko te jej rękawiczki.

– Jutro przyjdą po panią – powiedział doktor. – Udało mi się przekonać komendanta, że jest pani w bardzo złej formie i jeden dzień musi pani odpocząć.

– Co z nim będzie? Kto go nakarmi? – spytała doktora, kiedy mył ręce pod zlewem.

– Mają z pięć tych niemowlaków. Mamki przychodzą. Jeśli dziecko jest zdrowe i chłopak, to będą dbać, bo może się kto po takie dziecko zgłosi. Wie pani, są ludzie, którzy chcą mieć dzieci, a własnych nie mogą mieć. Ale jeśli się nikt nie trafi, to będzie tu w żłobku z innymi dziećmi więźniarek, aż będzie miał trzy lata i wtedy pójdzie do sierocińca.

– Zobaczą go?

– Nie. Decyzja jest, że nie. No, chyba że przypomni sobie pani to, o co pytają.

– Ale ja nie wiem, ja nie znam odpowiedzi...

– Przykro mi. Jest, jak jest. Nie zobaczy pani. Jutro przyjdą i zrobią z panią to, co w dniach, kiedy się poznaliśmy. Przywiozą panią do mnie za tydzień i zostawią na kilka godzin, a ja podłączę pani kroplówkę i pozaszycam rany. Wróci pani po kilku dniach. Może ze złamaną ręką albo z przestrelonym kolaniem i znowu będę panią ratował na kolejne kilka dni. No, chyba że pani kłamie i nagle przypomni

sobie to, o co pytają.

– Ja nie wiem...

– O co pytają?

– O Czarnego Janka.

– Zna go pani?

– Słyszałam, co ludzie gadają. Śledczy myślą, że kierowca z tej jego bandy jest ojcem tego chłopca...

– A jest?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Dwa dni temu rozwalili dwóch chłopaków od Czarnego Janka.

– Co pan ma na myśli?

– Byli już tak skatowani, że wiadomo było, że nic nie powiedzą. Dostali kulkę w łeb na dziedzińcu więzienia.

– Bez sądu...

– Ja nie pytam o papiery, wie pani? Ja musiałem przeżyć, żeby pani mogła urodzić w spokoju. Nie pytałem. Przychodzę na ten dziedziniec, widzę, że leżą, sprawdzam puls i jeśli nie ma pulsu, to wystawiam akt zgonu. Ten, co strzelał, stał nade mną i palił papierosa. Powiedział, że to chuje od Czarnego Janka. To co, zaszyję panią teraz?

– Boli mnie. Strasznie mnie boli – jęknęła.

– Dam pani morfinę.

Sięgnął po torbę i wyjął ampułkę. Postawił na stole. Potem odszukał strzykawkę i założył igłę. Napełnił strzykawkę, postukał i poczekał, aż na ostrzu igły pojawi się wilgotna kropelka.

– Proszę mi ją włożyć do kieszeni – powiedziała. – Bardzo proszę. I niech mnie pan zszyje tak, jak jest. Nie musi być ładnie.

Pół godziny później poprosiła pielęgniarkę, żeby odprowadziła ją do toalety. Pielęgniarka powiedziała, że rodziła i że nie da rady iść. A Anka na to, że ją jutro na przesłuchanie biorą, to co ma nie iść, pójdzie. Poszuram nogami, mówi, i pójdziemy.

Bardzo bolało tak iść. Patrzyła w okna zaklejone papierem. Za kratami była już ciemność. Jak to zimą w Polsce. Patrzyła na szyby, brudne, bo kto by mył szyby w szpitalu więziennym, na żarówki gołe i na ścianę pomalowaną do połowy zieloną

olejną farbą. Bolało ją podbrzusze, ale czuła się lekka po tym, jak nie miała już pod sercem drugiego życia. Dreptała w tych drewniakach po płytkach korytarza, a one były ładne. Każda miała sześciokątny kształt i brązowy kolor. Kiedy patrzyło się wzdłuż nich, to układały się w piękne wzory. Niemiecka robota. I okna też były ładne. Wygięte w łuk jak w kościele, a każde we własnym wykuszu. Parapety szerokie. Można byłoby usiąść na nich jak na ławce. No i papierosy palić. Ale kto by tam pozwolił papierosy palić w szpitalu? Nie wiedziała, czy okna wychodzą na podwórko, czy na ulicę. Wolałaby, żeby na ulicę. No, bo jeśli na podwórko, to musiałyby patrzeć na doktora. Doktor powinien już do domu iść. Może ma żonę? A może narzeczoną ma i opowiada jej: wiesz, dzisiaj urodził się u nas taki piękny chłopiec, może byśmy go wzięli? A ona powiedziałyby: jak to wzięli, obce dziecko chcesz wziąć, trzeba mieć przecież swoje. Kobieta powinna mieć swoje dziecko. A może do domu nie poszedł, tylko klęczy tam, na podwórku i sprawdza, czy dziura w sercu jest na wylot. A może w głowie. Ciekawe, czy strzelają im w głowę, czy w serce. Nie, nie chciałyby, żeby okna były na podwórko. Jaki ten korytarz długi, Jezu, jaki długi. I tak klapią te drewniaki, i brzuch boli. Pusty, a boli. A może to nie brzuch, może to doktorowe szycie. Powinna spać. Powinna spać, a nie chodzić. Ale może okna są na ulicę? Może byłoby tam widać tramwaj? Mówili, że we Wrocławiu jeżdżą tramwaje. I że są jak mały pociąg. Duże okna. Możesz wsiąść i zobaczyć wtedy całe miasto. Podobno były niebieskie te tramwaje, ale kiedyś Benek powiedział jej, że tak naprawdę to są takie brudnożółte. Nie myślała o Benku przez cały czas tutaj, ale czasami jej się śnił. A teraz przez te tramwaje sobie przypominała. I o mamie.

O ojcu, o siostrach, jak siedzą wszyscy razem przy stole.

– No. – Pielęgniarka wyrwała ją z zamyślenia. – Wchodź.

Wepchnęła ją przez białe drzwi.

– Jak już skończysz, zawołaj. I nie bój się. Każda kiedyś rodzi. Poboli, poboli i przestanie.

Zamknęła drzwi.

Były tam dwie muszle klozetowe przedzielone przepierzeniem, ale osobnych drzwi już nie miały. Nie było też żadnego okna. Szkoda. Dobrze byłoby mieć okno. Mogłaby ponad tym papierem zobaczyć niebo. Może nawet księżyc. Jeśli widzisz niebo, to przecież nie trzeba widzieć już nic innego.

Usiadła w prawej kabinie i wymacała strzykawkę w kieszeni szlafroka.

– Zdrowaś Mario... – powiedziała i wbiła strzykawkę w żyłę na rękę. Odkąd pobili ją dawno temu, żyły miała wyraźne i niebieskie, jakby krew sama chciała się z niej wylać. Powoli poczekała, aż strzykawka się opróżni. A potem zgmiotła ją w dłoni, wybrała największy kawałek szkła i pomyślała o dziecku. Nawet nie bolało bardzo, kiedy przecięła sobie żyły.

Kiedy pielęgniarka wróciła po kilku minutach, Anka była cała we krwi, ale wciąż widziała i słyszała.

– Coś ty, kurwa, narobiła! – Pielęgniarka uderzyła ją w twarz, ale Anka już nic nie poczuła.

Widziała siebie. Siedziała pod Diabelskimi Organami całkiem naga i przemarznięta, bo wokół wszystko było skute lodem. Śnieg padał rzadki. Jak gęsi puch. Niebo było niebieskie. Intensywnie niebieskie, a ona widziała samą siebie, jakby była kimś zupełnie innym. Jakby opuściła ciało i przyglądała się sobie z pewnej odległości. Niewielkiej, ale na pewno to nie było lustro, bo lustro przecież nie jest takie zimne. Patrzyła na siebie w tym śniegu, nagą i piękną jak anioł. A organy za plecami były całe czerwone. Rozpalone. Jakby były ogniem, a nie skryształizowanym... Jak on to nazwał...? Jak nazwał...?

– Halo, słyszy mnie pani? – Poczowała lekkie uderzenie w policzek. Jak on to nazwał...? Porfir. Ucieszyła się. Porfir. Cokolwiek to było, poczuła ulgę, że sobie przypomniała. Widziała siebie teraz z góry i pomyślała, że jest piękna. Bardzo piękna na tym czerwonym śniegu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

TERAZ

Przespała pół dnia. Jeszcze wczoraj zadzwoniła do Siwego i powiedziała, że dziś ma wolne. Nie pytał o nic.

Obudziła się po czternastej. Zjadła pomidory z puszki. Na zimno. Tylko z solą. Popiła dwiema kawami. Spała tyle i nie odpoczęła ani jednej chwili. Kurwa mać, może to klimakterium? Może już za późno na resztę życia?

Nie warto już było jechać do fabryki. Pomyślała, że usmaży sobie jajko i zadzwoni do Kosińskiego, i pogadają wieczorem. Miała kilka godzin, żeby przeczytać książkę. Albo przynajmniej pooglądać telewizję. W TVN24 mówili, że w stanie Michigan zakończyło się ostatecznie liczenie głosów po wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Wygrał Donald Trump, zdobywając 2 279 805 głosów, to jest 47,6 procent, podczas gdy Hillary Clinton 2 268 193 głosy, a więc tylko 47,3 procent.

– Co za chujnia, jeszcze lepszy mają cyrk jak u nas – powiedziała na głos.

Odechciało jej się jajka, czytania, oglądania, wszystkiego. Pomyślała, że jak wyjeździ trochę benzyny, to zrobi jej się lepiej. Jechać i nie mieć żadnego celu. To właśnie lubiła robić, kiedy była zmęczona. Był czas, że nie lubiła jeździć. Był taki, że się tylko bała. Ale kiedy już odważyła się znowu, polubiła to naprawdę. Jakby chciała coś mieć dla samej siebie. Otworzyła szafę. Kiedyś, w innych czasach miałyby tu porządek. Wyprasowane bluzki i wszystko poukładane kolorami. Białe na najwyższej półce. Czarne na samym dole. Pośrodku niebieskie i indygo. Teraz ma całą szafę dla siebie. I nawet nie wie, gdzie jest żelazko. W fabryce przywykli, że jest zawsze w pogniecionym. A zresztą jeden chuj, prasowanie wymyślono przecież po to, żeby nie było chorób. Ludzie dostrzegli, że w wyprasowanych rzeczach jest mniej wszy i pcheł. Ginęły od gorąca. Dzisiaj nie ma już pcheł, nie

ma szcurów, nie ma wszy, nie trzeba prasować. Wyciągnęła ze środka niebieski sweter, który był z nią jeszcze na studiach. Pomyślała, że jest jak pióra. Jak pamiątka po czasach, kiedy miała jeszcze skrzydła, a nie tylko te okrwawione strzępy. Kikuty. Czasami przypominały jej się dobre czasy i wtedy bolało. Bolało tak, że nie umiała się schylić. Przytuliła nos do swetra, ale nie było tam już zapachu szczęścia. Ani mleka. Ani kaszy manny. To nic.

I tak będzie dobry.

Pokręciła się chwilę bez celu wokół Żoliborza, a potem przez plac Inwalidów pojechała do Śródmieścia. Na wiadukcie przycisnęła, żeby zostawić w tyle jakieś popierdółki z prowincji. Myślała o Ruskim. Co to za gość? I dlaczego nie żyje? Co jej chciał powiedzieć? Że jakaś laska obciągnęła starszemu panu i rozpiardolił się o ciężarówkę? Co za bezsens? Po co ktoś miałby to robić? Ktoś od eliminacji terrorystów? Czy pan wiceminister był terrorystą? No, proszę. Taki facet z brzuszkiem... Przypominała sobie Barcikowskiego jak przez mgłę. Nie, wcale nie miał brzucha. Wysoki. Niemłody, ale jednak szczupły. To już tyle lat. Wtedy nie oglądała telewizji, wtedy więcej czytała. Ale tak, musiał być szczupły. Musiał o siebie dbać.

Z papierów od Siwego zapamiętała, że Barcikowski jeszcze jako działacz opozycji, na długo przed wyborami w Czerwcu, pisał o idei ewolucyjnych przemian w polityce, o konieczności budowania wspólnoty w tym podzielonym kraju, o potrzebie zawarcia nowej umowy społecznej między dzisiejszą opozycją a władzą, która pewnego dnia zrozumie, że jest na drodze donikąd. O wspólnie przygotowanych wolnych wyborach, które mogłyby stać się przeciwwagą dla rewolucyjnych żądań rozliczeń i odwetów. Na początek mogłaby być to współpraca poza obszarem monopolu rządzącej partii, jeśli partia zgodzi się wspólnie ten obszar nazwać i określić. Minęło trzydzieści lat, a my wciąż tkwimy w tej czarnej dupie między miesięcznicą smoleńską a protestami Komitetu Obrony Demokracji. Więc pewnie się pan minister mylił w ocenie możliwości koncyliacyjnych naszego społeczeństwa.

Skreśliła z Jana Pawła w Aleje, utknęła w korku i poczuła się głodna.

Warszawa powoli wysychała. Nie padało już, ale ulice były mokre, a światła reklam odbijały się w kałużach, tworząc długie, świetliste wstęgi we wszystkich możliwych barwach. Samochody niknęły w tym kalejdoskopie i jechała teraz

wolno. Czuła się przemęczona. Wydawało się jej, jakby świat był zbudowany z pikseli. Każdy piksel osobno wbijał się w mózg swoim krzykliwym, ostentacyjnym blaskiem. Rozboliła ją głowa. Może to od łomotu opon, może od bezmyślności tej jazdy. Przecież miała kiedyś marzenia. Miała nawet plany. Wydawało się, że wszystko można w tym kraju, który nagle stał się wolny. Można było mieć paszport, objechać świat dookoła, handlować na przygranicznych targowiskach, robić karierę w korporacji, budować od zera przedsiębiorstwa, pracować w organizacjach pozarządowych i ratować przed unicestwieniem zagrożone gatunki... Kurwa, za późno się urodziła, bo kiedy skończyła studia, to już wszystko było podzielone między panem, wójtem a księdzem proboszczem. Ale przynajmniej modelką mogła zostać, zanim się roztyła. Albo kucharką. Magdą Gessler. Kucharze są teraz gwiazdami. Mają swoje programy w telewizji i występują w reklamach. Albo mogła zostać tą, no, szafiarką. Chodzić całe dni po ciucholandach i wybierać jakieś stare szmaty, prać je, farbować, rozpruwać, obszywać i być nową Kasią Tusk. Albo tą, jak jej tam... Macademian. Nawet by się za dużo nie namęczyła, bo używaną odzież miała zaraz koło domu. Tuż obok rzeźnika, piekarza i pana, co sprzedaje ołówki, gumki i długopisy. Musiała, kurwa, zostawać psem? Żeby tam jeszcze psem... Suką.

Pokręciła głową i na pierwszych światłach, korzystając z tego, że była już w centrum, zajrzała w lusterko nad kierownicą.

– Ja pierdołę, dziewczyno... – Wykrzywiła się do siebie, ale cienie pod oczami nie chciały zniknąć. Kurwa, co tu robić, nie mogła jechać do domu. Nie miała ochoty oglądać pustej lodówki, jeść pulpetów z Biedronki i wypalać do reszty ekranu komputera. Nie dziś. Zadzwoiła do Kosińskiego.

– Jestem w centrum, coś zjem, poczekam, przyjedź.

– Mam dzisiaj randkę.

– Czy ja cię pytam? Pakuj się, bądź na Poznańskiej za pół godziny.

– Ale ja mam randkę.

– Trzeba było starać się o posadę w szkole. Albo w jakimś urzędzie.

Wyłączyła telefon. Wtorek, ale korek w stronę Pragi i Żoliborza był po byku. Zjechała na prawy pas, żeby skręcić z Alej w Marszałkowską. Zatrąbił na nią jakiś taksówkarz. Cholera, była na buspasie.

– Gościu, masz pecha. – Zahamowała, włączyła awaryjne, trzasnęła drzwiami i

poszła. Gdyby padało, dałaby mu może spokój, ale nie padało w tej chwili. Co to, to nie! Nie będzie na nią nikt trąbił w jej mieście. Opuścił szybę, ale zanim cokolwiek powiedział, pokazała mu odznakę. – Co się nie podoba?

– *Izwienitje* – powiedział. – *Ja pereproszaju. Ja iz Lwiwa.* – Nie podnosił na nią wzroku.

– No dobra. – Machnęła ręką. Nagle ochłonęła. Było zimno. Może nawet będzie padał śnieg? – No dobra, przepraszam.

Gdzieś tam, kilka samochodów za nimi, ktoś niecierpliwie naciskał klakson. Pewnie myślał, że jakaś stłuczka, że nie zdąży do domu, do dziewczyny, do dzieci, do psa.

Uśmiechnęła się do taksówkarza i poszła.

Skręciła w Wilczą, ale miejsca do parkowania były pozostawiane. Przed domem, w którym podobno mieszkał kiedyś sam Piotr Fronczewski, dwa miejsca parkingowe tarasował staromodny suburban. Gdyby go odholować, mogłyby tu stanąć dwie albo i trzy małe toyoty. Pokręciła głową. Ludzie mają nasrane, żeby trzymać takie stare, wielkie auta. Skręciła w Poznańską. Wszystko pozajmowane. No, mogłaby stanąć na miejscu przed HI5, ale zaraz wyjdzie jakiś recepcjonista i zacznie jej wyjaśniać, że to tylko dla gości hotelowych, a ona będzie udawała, że nie zauważyła znaku i nie patrzyła na kopertę namalowaną na bruku. Albo mu powie, żeby spieprzał, bo ona jest tu właśnie po to, żeby namierzyć pewnego pedofila. Nie, nie warto kłamać, trzeba zrobić drugie kółko. Na Marszałkowskiej było jedno miejsce, ale nie chciało jej się iść taki kawał. Dojechała do placu Konstytucji i zjechała w Koszykową. Cholerna Hala Koszyki. Drożyzna i napuszone towarzystwo. Liczyła, że zostanie coś z dawnego charakteru tego miejsca, ale nie zostało nic. Nie podobały jej się nowe butiki, wypasione, korporacyjne restauracje z kanapkami za cenę, za którą ona mogłaby ugotować obiad dla trzyosobowej rodziny, gdyby oczywiście ją miała, i ten lśniący przepych. Ale księgarnia była dobra i znakomicie zaopatrzona. Wpadła tam raz czy dwa. Na promocję książki Kalinowskiego. Tłok był taki, że trzeba było stać.

Skręciła w Piękną. Tego parkanu z blachy chyba nigdy nie zlikwidują. Koło Osterii, w której pewnie nigdy nie będzie, bo nie stać jej na ostrygi po dwadzieścia pięć złotych za sztukę, pojechała w lewo i tak, jak sądziła, na parking przy gastronomiku były miejsca. Kiedyś w kamienicy naprzeciwko w pewnym

mieszkanu podawano domowe obiady. Restauracja w prywatnym mieszkaniu. Najlepsze miejsce w mieście i zawsze był kompot. Dwadzieścia pięć złotych za obiad.

Zamówiła w Krakenie humus i złote lwy. A potem zaszła się w najdalszym kącie za pianinem, które zamiast prawdziwych klawiszy miało tylko takie malowane na desce. Możesz patrzeć, ale niczego nie zagrasz. Lubiła to miejsce jeszcze w czasach, kiedy nazywało się Tektura i na ścianie wisiał tekturowy słoń. Czy może to był jelen? Zapomniała.

Piła piwo i czekała, aż zaczną krzyczeć z drugiego końca sali, że może odebrać swoje jedzenie. Wykrzykiwali twój numer, jak na tej płycie Ironów *The Number of the Beast*. „*I am a man, not a number!*” Mogliby przecież wołać po imieniu. Właściwie mogła wziąć krewetki. No... teraz żałowała. Ale piwo było chłodne, nie ma co narzekać. Przychodzili tu kiedyś dziennikarze z „Playboya”, żeby planować, kogo będą mieli na okładce w kolejnym wydaniu. Mieli redakcję tuż za rogiem. Przychodzili aktorzy i piosenkarze na wywiady. Podobno nawet ministrowie nowego rządu wpadali tu incognito na piwo ze swoim towarzystwem, i posłowie Nowoczesnej, żeby omawiać strategie na czarne marsze. Trzeba było czasami krzyczeć do siebie, taki był hałas i tłok. Kosiński powinien już być. Poczowała, jak schodzi z niej napięcie ostatnich dni, dwóch dni. Jak śmiertelnie czuje się zmęczona.

Telefon zaterkotał, dopiero kiedy wycierała kawałkiem arabskiego placka resztki humusu z miseczki i jak zawsze nie mogła zrozumieć, dlaczego dają tylko jeden kawałek placka zamiast dwóch.

– No, jestem na Poznańskiej, gdzie mam iść?

– Nie gdzie, a dokąd, panie Kosiński. W Krakenie jestem. Nie wiem, jaki tu numer... No, naprzeciwko jest – spojrzała przez szybę – Poznańska 11. Wejdiesz i w prawo do samego końca. W kącie będzie siedziała stara baba z podkrążonymi oczami. Nie poznasz jej, ale to właśnie jestem ja.

Przyszedł po czterech minutach. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Miałem dziś randkę – zaczął, ale natychmiast przerwała mu gestem.

– Piwo ci kupię. Tylko błagam, daruj sobie, okej? Jeśli dziewczyna, z którą się umawiasz, nie rozumie, jaką masz pracę, jeśli tego nie akceptuje, to nigdy nie zaakceptuje i nigdy nie będziesz szczęśliwy. Pojmujesz?

Obeszła pianino z malowaną klawiaturą, minęła bar, przy którym jakieś rozbawione towarzystwo zamawiało krewetki, i przy drugim barze pomachała do barmanki zajętej przewijaniem Facebooka.

- Jeszcze dwa złote lwy.
- Gotówką czy kartą?
- A jaka jest kara, niech mi pani przypomni?
- Dwie dychy.
- To gotówką.

Kiedy przebiła się z powrotem, Kosiński pisał coś na Messengerze. Stropił się, kiedy ją zobaczył.

- Nie krępuj się, pisz, że jestem zimną suką.

Zaczerwienił się, ale dokończył wiadomość. Postawiła przed nim szklanę, a potem swoją delikatnie stuknęła o jego szkło.

– Za życie. Żebyśmy byli szczęśliwi z kimś fajnym lub co tam nam los szykuje złego.

Siedział nachmurzony. Szurnęła go w ramię dłonią.

– No, młody, nie strzelaj focha. Ja ci prawdę powiadam. Jeśli ktoś nie rozumie, czym się zajmujesz, jeśli nie akceptuje, że musisz wyjść w noc, w deszcz od zastawionego stołu, nieważne, czy to świętek, piątek czy niedziela, to nie będzie cię wspierał. Nigdy nie usłyszysz słów, na które czekasz, nigdy nie usłyszysz pocieszenia. Będiesz słuchał wyrzutów, że za późno wracasz, że mieliście przecież inne plany, że ona jest na ostatnim miejscu, a powinna być na pierwszym. Będzie do ciebie dzwonić, kiedy będziesz ścigał zbója, żeby cię opierdolić za byle co, będziesz musiał pamiętać, żeby wyciszyć telefon przed akcją, bo kiedy zadzwoni, to zdradzi twoją pozycję i jeszcze kulkę zarobisz. Będziesz wyłączał telefon, a kiedy go włączysz, znajdziesz tam sto esemesów z wyrzutami i groźbami, że odchodzi, wraca do matki albo że spakowała twoje rzeczy. Przemyśl to.

Pociągnęła duży łyk. Ufff. No, to gadkę umoralniającą mieli za sobą.

- Nie powiedziałem jej, gdzie pracuję – mruknął.
- Wstydzisz się?
- Nie. To miała być dopiero trzecia randka...

– A więc szykował ci się seks. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Przephaszam, panie aspihancie.

Trąciła go znowu w ramię, a potem objęła za szyję i przytuliła. Rozchmurzył się wreszcie.

– No, co myślisz o topielicy?

– Że możemy znaleźć miejsce, w którym zrobiono jej to zdjęcie. To nie powinno być bardzo trudne.

– Tak sądzisz?

– To gdzieś na Pradze. Można to określić po usytuowaniu budynków. Myślę, że to okolice parku Skaryszewskiego.

– Ta zieleń pod oknem, myślisz, że to Skaryszewski?

– Może tak być. Choć niekoniecznie, bo perspektywa jest dosyć ograniczona, ale to może być gdzieś w okolicach ronda Waszyngtona. Sprawdzę to jutro. – Pociągnął łyk piwa. – Pojadę, wejdę do kilku budynków i będę wiedział. Potem popytam sąsiadów. Ktoś powinien ją pamiętać, ładna dziewczyna...

– To wysokie piętro. W takich budynkach ludzie nie zwracają na siebie uwagi. Nie znasz swoich sąsiadów, każdy dzisiaj żyje sam sobie. – Zapatrzyła się na ludzi przy barze. – Ja nie znam swoich sąsiadów. To może nie być takie proste. Dziś ludzie znają się raczej przez media społecznościowe, a nie oko w oko...

– Szefowo. Więcej wiary w ludzi. Widzą się. Naprawdę. Ja pochodzę z Grochowa. Tam się ludzie znają. Wódkę razem piją w ogródkach. A nawet jeśli nikt jej nie zauważył, to jakoś sobie poradzę. W ostateczności są przecież monitoringi...

– Mogła być tam, w tym mieszkaniu tylko ten jeden raz.

– Tak, to rzeczywiście mocno skomplikuje sprawę, ale bądźmy dobrej myśli. Może tam mieszkała.

– Masz to zdjęcie? W moim ekran już do dupy albo całkiem ślepa jestem.

Wyjął smartfon z kieszeni i kilka chwil grzebał w zdjęciach.

Tymczasem Kraken zapełniał się ludźmi. Pomyślała, że tyle już czasu minęło, odkąd bywała w takich miejscach. Tyle lat, odkąd przestało ją to cieszyć. Odkąd cokolwiek przestało ją cieszyć...

– Zobacz – wytrącił ją z zapomnienia.

Spojrzała na zdjęcie. W smartfonie Kosińskiego było... nie, nie było wyraźniejsze, ale miało lepsze kolory. Tak, to były drzewa. Ale trudno ocenić, czy to park, czy kilka gęstych, zielonych drzew, bo większość kadru wypełniała postać

dziewczyny. Ponad jej głową i ponad drzewami wznosiły się warszawskie wieżowce. Przynajmniej to było oczywiste.

Jakieś towarzystwo rozpychało się w ich kącie.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – podniosła głos, ale małolaty obok nie wzięły tego sobie do serca i pakowało się ich na ławę coraz więcej i więcej.

– Andrzejki są dzisiaj. Ludzie się schodzą. Nie pogadamy – ocenił Kosiński.

– Cholera. – Ani się spostrzegła, jak zobaczyło dno w swoim kuflu. – I się nie upijemy?

– Teraz moja kolej – powiedział.

– Może już dosyć... Mam tutaj auto.

– E... poprosimy kogoś, to ci odwiezie pod firmę jutro rano.

Poszedł.

– Po co wyjeżdżałaś? – zapytał, stawiając przed nią piwo.

– Rodzinne sprawy. – Słowo się rzekło, nie chciała nikomu o tym opowiadać. – Zresztą nie będę tu krzyczeć przecież na cały lokal.

– To ty rodzinę masz?

– A wyobraź sobie, że mam. – Uśmiechnęła się. – Nosi skórzaną kurtkę i nie wymawia „r”... – Sama się zdziwiła, że to mówi. Sięgnęła po piwo, żeby zatuszować tę wpadkę jak najprędzej.

– Brat?

– Zgadłeś.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

WTEDY

Nie tęsknił. Pogrzebał wszystko. Wystarczyło przecież wymazać „E” w słowie „*Emet*”. I z prawdy zostawała śmierć. *Shanti, Shanti, Dakat, Dahat, Potworze...* A potem tylko śmierć. Nie tęsknił za tym małym miastem na Ziemiach Odzyskanych, bo znowu miał dla siebie Warszawę. Nie tęsknił za matką, sklepem ani nawet za Anką. Na świecie bez Boga był zupełnie sam i nauczył się to akceptować bez szemrania. Chodził na zajęcia, dyskutował o polityce i o tym, jak ścierają się siły postępu i reakcji, a potem błąkał ulicami miasta długo w noc. Z jednej strony rosły domy nowe i potężne. Z drugiej wypalony gruz Podzamcza nie dawał zapomnieć o tym, że rany jego miasta są otwarte do samego serca.

On nie poznawał miasta, a miasto jego też nie poznawało, ale tak było dobrze.

Po synagodze została tylko wypalona dziura w ziemi. Po domu, w którym mieszkał, piwnice. Ale miasto podnosiło się ku niebu. Powoli i bez odwrotu. Już nie kościoły i synagogi miały stanowić o obliczu Warszawy, ale Pałac Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina. Za kilka miesięcy stanie przed Pałacem pomnik sekretarza generalnego. Podobno swój własny projekt do konkursu na ten pomnik przygotowuje wybitny artysta Xawery Dunikowski. Stalin stanie pomiędzy Kopernikiem a Mickiewiczem. Będzie miał piętnaście metrów wysokości, ale stanie w takim miejscu, że w czasie pochodu pierwszomajowego manifestantom będzie się wydawało, że generalissimus osobiście odbiera defiladę.

Benek czuł, że to głupie, żeby Stalin, który przecież nie żyje, odbierał defiladę. Ale nigdy nikomu by się do tych wątpliwości nie przyznał.

Listy od matki przychodziły rzadko i były nudne jak wszystkie poprzednie. Zainteresował go tylko ten o rozbiciu bandy Jana Bogdziewicza. Pisała, że osławiony bandyta ukrywający się w lesie na Ostrzycy, tajemniczym wygasłym

wulkanie, wpadł w ręce organów ścigania wydany przez zdradzoną kochankę. To była romantyczna część tej historii. Reszta była o tym, że nękał przez lata całą okolicę, napadając na sklepy, kasjerów, konwojentów, listonoszy, a nawet na bank, że rabował, mordował i gwałcił. Matka pisała, że herszt bandy Czarny Janek przyznał się do zarzucanych mu czynów, napadów i próby powstrzymania przekształceń rolnictwa w duchu socjalistycznym. Broń gromadził w oczekiwaniu na wybuch wojny światowej i podejmował kroki, żeby wybuch tej wojny przyspieszyć. W śledztwie wydał swoich kompanów. Został skazany na karę śmierci. Adwokat złożył apelację, a potem wniosek o ułaskawienie. Prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski.

– Oj, mamó, mamó, nigdy się nie nauczysz. – Benek podarł list, wrzucił do popielniczki i podpalił.

Nie ma już prezydenta Bieruta. Od roku, od uchwalenia nowej konstytucji w Polsce nie ma prezydentów. Jest przewodniczący Rady Państwa. Ale czy matka potrafi dostrzec różnicę? Najwyraźniej nie. Nie lubił jej ignorancji i nie rozumiał, dlaczego polityka nie budzi w niej pasji. Dlaczego nie rozumie szansy, przed którą stoi ten kraj? I dlaczego nie rozumie osobistej szansy Benka? Dlaczego wciąż pyta, czy on po studiach wróci do Jawora, skoro przecież studiował nauki polityczne? A cóż do roboty miałby dziennikarz na tym końcu świata? O czym by pisał? O tym, że krowy się ocieliły, a konie spuchły od mokrej koniczyny? Dlaczego ona wciąż pyta, czy musi się pchać do polityki? Czy musi działać w organizacji? Już jej nie tłumaczył, że wspólnota jest siłą. A siła oznacza bezpieczeństwo. Że gdyby byli wspólnotą w czasie wojny, to może Hirsch i tata wciąż by żyli.

– Bratkowski jest twoim tatą – odpowiadała i była potem na Benka obrażona przez kilka dni. – Gdyby nie on, tobyśmy nie przeżyli. On dał ci drugie życie.

– Tobie też dał drugie życie. Czy to znaczy, że jest też twoim ojcem? – pytał ironicznie i kręcił głową z politowaniem, bo wiedział, że ona tego nie cierpi.

Tego lata na wakacje już nie pojechał. Warszawa była znacznie ciekawsza. Pisał artykuły o roli Kościoła w czasie budowania nowej rzeczywistości. Czasy, kiedy to ówczesny prezydent Bolesław Bierut chodził na uroczystości 3 maja albo stał w pierwszym rządzie w czasie poświęcenia figury ustawionej na nowo przed kościołem Świętego Krzyża, odeszły już do przeszłości razem z nową konstytucją. Bierut zresztą swoją prezydencką przysięgę zakończył słowami „tak mi dopomóż

Bóg”, chociaż wszyscy w jego otoczeniu wiedzieli, że jest nowoczesnym człowiekiem, racjonalistą, a więc także ateistą. Niestety warunki w Polsce zastał takie, że jawne pokazywanie Kościołowi jego miejsca nie przysłużyłoby się sprawie naprawy ojczyzny. A przecież Polska jest ważniejsza od tego czy innego gestu.

W nowych czasach nie trzeba już było uciekać się do takich metod i cięte pióro Benedykta zwróciło uwagę kogoś w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Był to artykuł o biskupie Kaczmarku. O tym, jak przyznał się do swoich niechlubnych działań z czasów okupacji, kiedy współdziałał z niemiecką władzą okupacyjną, nawoływał wiernych do uległości wobec okupanta, kierując się założeniami prohitlerowskiej polityki Watykanu, i obalenia przemocą władzy robotniczo-chłopskiej. Przyznał się, że organizował akcję wywiadowczą w interesie imperializmu amerykańskiego i Watykanu, za co przyjmował od zagranicznych ośrodków dywersyjnych i szpiegowskich poważne kwoty pieniężne w obcej walucie.

Po tym tekście student pierwszego roku zaczął obracać się w najlepszym towarzystwie i szybko awansował w organizacji. Od ogłoszenia dekretu Rady Państwa o obsadzaniu stanowisk kościelnych popyt na jego analizy stał się jeszcze większy. Można powiedzieć, że znaczący.

Kościół nie chciał się zgodzić na to, żeby państwo miało wpływ na obsadę kluczowych stanowisk, a była to postawa nie do zaakceptowania dla młodej, rozwijającej się ludowej demokracji, dla której jednomyślność w kluczowych kwestiach była sprawą zasadniczą. Nie może być tak, żeby obce, watykańskie państwo lokowało w naszych miastach i wsiach swoją agenturę. Przypomnijmy: agenturę blisko współdziałającą z hitlerowskim najeźdźcą i nieprzychylną duchowi postępu oraz modernizacji. Kościół twierdzi: „*Non possumus*”? Tym gorzej dla Kościoła.

We wrześniu zatrzymano prymasa Wyszyńskiego, a Benedykt relacjonował tę sprawę równoległe do procesu biskupa Kaczmarka. W listopadzie zrobił wywiad z prymasem. To było trudne przeżycie. Wywiad toczył się w obecności cywilnego pracownika ministerstwa, który siedział w cieniu, za filarem refektarza, tak że prymas nie wiedział nawet o jego obecności. Początkowo rozmowa miała się odbyć w ogrodzie, ale zdecydowano o zmianie miejsca z powodu niepewnej pogody.

Delegat ministerstwa ostrzegł Benedykta, że natychmiast przerwie rozmowę, jeśli z ust dziennikarza padnie choćby jedno słowo na tematy, o których nie wolno mu mówić.

– A jakie to tematy?

– Tu ma pan listę. – Dostał do ręki maszynopis. „Nie wolno rozmawiać o miejscu odosobnienia. Nazwa Stoczek Warmiński nie może się pojawić w jakimkolwiek kontekście...”. Nie czytał dalej. Po prostu schował listę do kieszeni.

– Dobrze – zgodził się, bo nie miał wyjścia.

Dlaczego prymas zgodził się na wywiad, nie było tajemnicą, bo całość korespondencji była przecież kontrolowana. W ministerstwie wiedzieli, że Wyszyńskiego zaciekawiał ten chłopak, który stracił wiarę w Boga po tym, co zobaczył w czasie wojny. Spodobał się księdzu jego żarliwy, naiwny, jak sądził, młodzieńczy ateizm.

Rozmawiali kilka godzin i drukiem ostatecznie ukazała się tylko niewielka część tego materiału, zaś samo relacjonowanie przebiegu spotkania kilku innym pracownikom Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego trwało kilka dni.

W grudniu Benedykt dowiedział się, że z chwilą ukończenia studiów uzyska szansę na wyjazd na placówkę. Będzie pracował w małej redakcji w Niemczech Zachodnich i pozna na własne oczy pracę zachodnioniemieckich dziennikarzy. Otrzymał sugestię, żeby pracę dyplomową napisał właśnie o roli Kościoła katolickiego w czasie ostatniej wojny, i jego praca, bardzo krytyczna, ale jak podkreślali recenzenci, sprawiedliwa, uzyskała bardzo wysokie notowania.

W 1954 roku Benedykt Bratkowski zgodził się z argumentami przyjaciół z ministerstwa i zmienił nazwisko. Jego podanie o przyjęcie na staż do pewnej niewielkiej redakcji mającej siedzibę w Monachium spotkało się z przychylnym zrozumieniem. Od roku doskonale mówił po niemiecku i po francusku, a od kilku miesięcy zgłębiał tajniki języka angielskiego. W dniu, w którym odebrał nowy dowód osobisty, było zaćmienie słońca. Ostatnim artykułem, który napisał w Polsce, była relacja z operacji X2. Specjalnie po to jechał cały dzień do Stalinogrodu. Artykuł nigdy się nie ukazał, ale fotografie wysiedlanych, przestraszonych mniszek uciekających przed milicjantami były naprawdę dramatyczne. Mniszki biegły bosą po kamiennych płytach, trzymając w garści poły swoich habitów, a milicjanci próbowali je zaganiać do autobusów z napisem

WYCIECZKA, machając rękami, jakby to były nie kobiety, ale stado gęsi. Niektórzy trzymali w rękach długie drewniane pały. Potem, kiedy już kobiety zamknięto w autokarach, dowodzący operacją pozwolił Benedyktowi swobodnie myszkować po opustoszałym klasztorze. Słońce kroilo ciemne wnętrza na grube, soczyste plastry, w których tańczyły drobiny kurzu. Kurz osiadał na Chrystusach przybitych do ścian. Na podłodze korytarza leżały porozdzierane książki. To będą piękne, artystyczne czarno-białe fotografie. Benedykt nie musiał się spieszyć. W kuchni dogasał ogień pod kotłem z kapuśniakiem. Najpierw zrobił kilka zdjęć, a potem wyszedł do ogrodu i zawołał milicjantów, bo przecież nie będzie jadł całkiem sam.

Z milicjantami przyszli też miejscowi ochotnicy: robotnicy, górnicy, nieogoleni, trochę pijani, weseli. Opowiadali sobie sprośne dowcipy o zakonnicach i jedli ich zupę z grubych misek malowanych w niebieskie kółeczka. Kiedy miska była pusta, Benedykt odwrócił ją do góry nogami i przeczytał: ORIGINAL BUNZLAU FEUERFEST. Szwabska ceramika.

Miesiąc później przekroczył granicę polsko-niemiecką jako jeden z nielicznych pasażerów międzynarodowego pociągu. W Szczecinie wsiadał tylko on oraz kilku radzieckich oficerów. Papiery miał w porządku i nie przewoził żadnych kłopotliwych towarów poza grubą kopertą ze zdjęciami do swoich artykułów. Koperta była ostemplowana w ministerstwie i miał na jej przewiezienie stosowne upoważnienie w języku polskim, niemieckim oraz rosyjskim. Były to wedle upoważnienia materiały do pracy naukowej o historii Kościoła katolickiego. Celnicy zastanawiali się poważnie nad tym, czy nie powinni otworzyć koperty, ale Benedykt był przygotowany na taką ewentualność i zażądał od nich, żeby natychmiast, mimo późnej pory, zadzwonili na prywatny numer telefonu sekretarza w ministerstwie, po czym wręczył funkcjonariuszom jego wizytówkę z odręcznie dopisanym numerem. – A! To pan. – Podziękowali i odstąpili od czynności.

W Berlinie czekał na niego pracownik ambasady. Pojechali samochodem na Berliner Strasse 120 do zgrabnego budynku ambasady, który wedle słów nowego znajomego był przed wojną żydowskim przedszkolem.

– A nie, przepraszam, żydowskim domem dziecka – powiedział, prowadząc samochód z wystudiowaną nonszalancją. – Zabawne, prawda?

– Prawda – potwierdził Benedykt uprzejmie, ale w ogóle się nie roześmiał.

Spędził noc z pokoju gościnnym, a rano wyruszył pociągiem międzynarodowym z Berlina do Monachium. Na granicy kontrole przeciągały się w nieskończoność, ale w jego przypadku poszło szybko, w czym pomogła mu biegła już, choć obciążona zabawnym akcentem, znajomość niemieckiego.

W niewielkiej redakcji miesięcznika zajmującego się współczesnymi zagadnieniami katolicyzmu pracował jako stażysta dwa tygodnie, nudząc się śmiertelnie, a potem któregoś ranka pojechał taksówką na Oettingenstrasse 67 do siedziby Radia Wolna Europa i poprosił o spotkanie z kimś z sekcji polskiej.

W czasie kolejnych dni i niekończących się rozmów, które nigdy nie odbywały się w cztery oczy, poznał kilka wybitnych postaci, wypił sporo kawy i nauczył się palić papierosy, trzymając je pomiędzy trzecim a czwartym palcem lewej ręki. Opowiedział swoją historię, nie ukrywając niczego ze współpracy z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, i zadeklarował, że nie chce służyć reżimowi, który w nieludzki sposób traktuje ludzi Kościoła.

Fotografie z pacyfikacji kościoła w Stalinogrodzie zrobiły piorunujące wrażenie, a notatki z wywiadu z kardynałem Wyszyńskim sprawiły, że poczuł się jak gwiazda z jakiegoś amerykańskiego filmu. Wkrótce zresztą miał kilka takich gwiazd poznać osobiście, choć póki co musiało mu wystarczyć kilku agentów CIA, którzy zadawali mu na nowo te same pytania, na jakie już wcześniej odpowiadał pracownikom ministra Radkiewicza.

Potem Radio Wolna Europa nadało fragmenty wywiadu z kardynałem, które odczytali Benedykt we własnej roli i Mamert Miż-Miszyn z sekcji nasłuchu, który miał głos całkiem podobny do Wyszyńskiego.

Kiedy w Polsce ludzie usłyszeli, że kardynał więziony jest w Stoczku Warmińskim, natychmiast przewieziono go do nowego więzienia – klasztoru w Prudniku. Aby to było możliwe, Urząd Bezpieczeństwa oczyścił klasztor. Wojewódzka Rada Narodowa w Opolu wydała zakonnikom nakaz opuszczenia klasztoru w czasie dwóch godzin. Mogli ze sobą zabrać tyle, ile zdołali upchać na furmankach, i pojechali do klasztoru w Borkach Wielkich. Wojsko posadziło wokół budynku dwumetrowe świerki przywożone z lasu i zbudowało parkan. Pomalowano go na zielono i otoczono drutem kolczastym.

Dwa miesiące później minister Radkiewicz został odwołany ze stanowiska.

Wyszyński siedział w Prudniku, pilnowany przez żołnierzy jakiś rok.

Radkiewicz wrócił do rządu, ale już nie do resortu bezpieczeństwa, ale na stanowisko ministra państwowych gospodarstw rolnych.

W tym czasie Benedykt Barcikowski podróżował po Europie jako reporter. Wkrótce potwierdził swój niebywały talent do fotografii: w sierpniu 1955 roku wyjechał do Juby w Sudanie, bo wybuchły tam właśnie zamieszki. Z jego materiałów korzystało Radio Wolna Europa, a fotografie znajdowały uznanie wśród wydawców i czasami pojawiały się nawet w „Trybunie Ludu”. Ale matka nigdy nie wiedziała, że to zdjęcia Benka, bo przecież nie były w żaden sposób podpisane.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

TERAZ

Spała za długo, żeby pobiec rano choćby i pół kilometra. Cholera jasna, znowu jej się odłoży metr cellulitu. Wstawiła wodę na kawę. Na dużo kawy. W porannych wiadomościach usłyszała, że w pałacu Hischam w Jerychu naukowcy odkryli stare podłogi pokryte mozaiką składającą się z dziewięciu milionów elementów i że to sensacja na światową skalę. Pełen koszt prac zabezpieczających ma wynieść dwanaście milionów dolarów.

Spłonął budynek w podwarszawskim Komorowie, są trzy ofiary śmiertelne. W Tatrach czterdzieści centymetrów śniegu, a na Kasprowym minus siedemnaście. W Warszawie zero, ale około dziesiątej ma zacząć padać śnieg.

Zdążyła dojechać na czas. Kosińskiego nie było. Zostawił jej kartkę, że jedzie na Pragę odnaleźć mieszkanie, w którym wykonano zdjęcie topielicy.

Siwy nie zadzwonił, ale za kwadrans dziesiąta wszedł do jej pokoju, bo trudno to, kurwa, nazwać gabinetem, i powiedział, żeby wzięła czapkę.

– Idziemy się przejść.

– Nie mam czapki.

– To weź taką od munduru. – Uśmiechnął się i pomyślała, że uśmiecha się szczerze. Ojciec mógłby się tak uśmiechać, gdyby się z nim kiedyś spotkała.

Wyszli z pałacu i zaczęli niepewnie rozglądać się dookoła, bo przecież nigdy nie wychodzili stąd inaczej niż na parking.

– To dokąd idziemy? – przerwała milczenie.

– No... niech pomyślę, do pomnika getta? – Pochuchał w dłonie. – Może być?

Miał kremowy płaszcz i czarny kaszkiet. Wydawał jej się jakiś uroczysty i zdystansowany. Skinęła głową. Szli w milczeniu do świateł.

– No, jak twoja droga? – zapytał wreszcie.

- Dobrze. Nie nudziłam się.
- Jak Ruski?
- Intrygujący.
- Co wiesz o jego śmierci?

Milczała. Krok za krokiem. Milczała i czuła, jak marzną jej uszy. Śnieg zaczął padać mokry i syfiasty. Jakby od razu brudny.

– Niewiele. Zasnął? Zasłabł? Zaprószył ogień? Na wózku był przecież.

– Lekarz powiedział, że zatrzymanie akcji serca. Dzwoniłem do nich rano do Wrocławia.

– Tak szybko wiedzieli?

– Szybko, nie szybko, to był jeden z naszych.

– Zawał, powiadasz...

– Zatrzymanie akcji serca.

– A tak... – Patrzyła na nagie gałęzie drzew. To dziwne, jak niewiele dzieli nas od śmierci. – Zniknęła teczka.

– Ta, którą ci pokazał?

– Tak sądzę.

– Ale pewności nie masz?

– Nie mam.

Opowiedziała ze wszystkimi szczegółami, jak zapamiętała swoją wizytę w mieszkaniu Ruskiego. Kilka teczek na stoliku. Kanapki, teczka Barcikowskiego, zdjęcia, rozmowy o agentce wywiadu, która zabiła pewnego terrorystę tak, żeby to wyglądało na wypadek samochodowy.

– Zupełnie jak zatrzymanie akcji serca – wtrącił Siwy.

– Co masz na myśli?

– Prosta rzecz, dziesięć mililitrów powietrza w żyłę, jeśli wiesz, w którym miejscu wbić igłę. Robi się pęcherzyk powietrza, dociera do serca i koniec. Nie zostawiasz śladów, jeśli podpalisz zwłoki...

– Kurwa mać. – Pokręciła głową. – Chyba nie myślisz...?

– Widzisz ten pomnik? Co myślisz?

Mężczyzna z nagim torsem patrzył na nią źrenicami, w których rzeźbiarz uczynił głębokie otwory. Wyglądało, jakby chłopak był zarazem i widzący, i niewidomy. Miał zabandażowaną prawą rękę, a w lewej ścisnął granat. Za plecami miał kogoś,

kto trzymał karabin, a z prawej kobietę z nagimi piersiami. Unosiła w ramionach niemowlę. Wysoko, jakby to mogło je osłonić przed ogniem. Płomienie, które za chwilę miały ich wszystkich pochłonać, były rzeźbione.

Milczała.

– No, widzisz... Ja też nie wiem, co powiedzieć. Kiedyś Willy Brandt, kanclerz Niemiec, przyjechał tutaj z wieńcem i uklęknął w tym miejscu, gdzie teraz stoimy. „Kłęczy ten, który tego czynić nie musi, za tych wszystkich, którzy muszą, ale nie kłęczą”. Tak napisały niemieckie gazety. A i ciekawa rzecz: granit, który posłużył za cokół i ramę dla całej sceny, kupili Niemcy. Przywieźli go do Warszawy, żeby zbudować tu pomnik zwycięstwa.

– Dlaczego tu przyszliśmy? – Zrozumiała, że to nie przypadek.

– Chcę, żebyś jeszcze coś dla mnie zrobiła.

– No? – Śnieg padał coraz gęstszy. Ale płomieni wyrzeźbionych w szarym bazalcie nie potrafił stłumić.

– Chciałbym, żebyś się z nią spotkała.

– Z kim?

– Z kobietą, która zabiła tamtego terrorystę.

– Jakiego terrorystę?

– Tego islamskiego, co...

– Nie zabiła, tylko posadziła go na wózku – przypomniała sobie. – I co? Mam ją aresztować za to, że komuś loda zrobiła?

– Zrobisz, co zechcesz. Proszę cię tylko, żebyś się z nią spotkała.

– Ale jak? Masz do niej telefon?

– Mam. – Wyciągnął z kieszeni starą nokię. – Mam telefon, który pojutrze o ósmej rano na dworcu we Lwowie zadzwoni i wtedy go odbierzesz.

– Gdzie? – Chyba musiała się przesłyszeć.

– We Lwowie. Wsiądziesz jutro wieczorem na Centralnym do Intercity i pojutrze rano jesteś we Lwowie.

Powiedział to takim tonem, tak bardzo smutnym, że zrozumiała, że nie ma co oponować, buntować się czy tłumaczyć. Są takie prośby, którym nie można odmówić, bo ten, kto cię prosi, nie może zrobić tego drugi raz. I nie ma nikogo innego, komu mógłby powiedzieć to, co mówi właśnie tobie.

– Czego szukam? – Wbiła wzrok w źrenice chłopaka z pomnika.

– Prawdy. Jakakolwiek by była.

– Czy ten Barcikowski jest dla ciebie kimś ważnym?

Milczał, ale kiedy na niego spojrzała, dostrzegła, że kiwa głową. Potakiwał. Ale tak, jakby to czynił dla samego siebie.

– Tak. Można powiedzieć, że był dla mnie kimś ważnym. Ruski też był dla mnie kimś ważnym.

– Zmarznięta jestem, wróćmy już, co?

– Nie gniewasz się? – zapytał. – Pewnie psuję ci wiele planów. Do Lwowa jest kawał drogi.

– Nie, nie gniewam. Wiem, że mnie prosisz, bo jestem sama. Prosisz właśnie mnie, bo wiesz, że nie odmówię. Nie odmówię, bo nikt na mnie nie czeka. Nikt nie zauważy, że nie wróciłam na noc. Nie musisz się krępować.

Uśmiechnął się. Lubił Serbię za to, że była bystra. Zatrzymał taksówkę i pojechali z powrotem, choć to tylko dwie, może trzy minuty. Padało coraz mocniej.

Kosiński stał przed budynkiem przy alei Waszyngtona 2b. Zadzierał głowę do góry, śnieg wpadał mu do oczu, więc mrużył je, ale nie odwracał wzroku, próbując zgadnąć, z którego piętra mogło być zrobione to zdjęcie. Z mieszkania emerytowanej nauczycielki na samej górze wyjrzał w kierunku Pałacu Kultury i wszystko pasowało. Wszystko z wyjątkiem... stadionu. Powinien przecież być na zdjęciu, powinien być wyraźny jak byk, ale dziewczyna po prostu go sobą zasłania. Gdyby nie ten fakt, wiedziałby, który to budynek, już na pierwszy rzut oka.

Nauczycielka powiedziała mu, że budynek jest z lat sześćdziesiątych i zaprojektował go wybitny architekt Marek Leykam, współautor Stadionu Dziesięciolecia. Dziś nie ma w tym wieżowcu nic szczególnego, ale w tamtych czasach był pierwszym w mieście blokiem, który miał całkowicie szklaną elewację. Wszystkie okna sięgały od podłogi aż po sufit, a to w komunistycznej Polsce Gomułki było naprawdę nie z tej ziemi. Latem było jednak w mieszkaniach gorąco nie do wytrzymania, a zimą nie dało się ogrzać skutecznie tych wszystkich mieszkań, bo socjalistyczne wykonawstwo nie potrafiło osiągnąć takiej jakości, żeby dom był wygodny cały rok. No i jakoś w 1972 roku zdjęli tę szklaną elewację, zamurowali ściany i wstawili zwyczajne okna.

– Ale dziewczynę pani widziała?

– Tę dziewczynę? Nie, nie widziałam. Na pewno bym zapamiętała, taka piękna

osoba to prawdziwa rzadkość w dzisiejszych czasach.

– Co pani ma na myśli?

– No, żadnych tatuaży, kolczyków, szminek, piercingów, nawet oczu nie pomalowała.

Przyjrzał się fotografii. Rzeczywiście, że też sam o tym nie pomyślał.

– No nic, dziękuję pani. Gdyby pani sobie coś przypomniała – podał jej wizytówkę – to mój numer.

Nie dodał, że służbowy. Wyłączał go po pracy. Kto musiał, wiedział, że trzeba wtedy dzwonić na drugi numer.

A teraz stał tu, na ulicy, i próbował zgadnąć.

– Kurwa mać. – Zamrugał, żeby płatki śniegu przestały go oślepiać. Zawrócił i poszedł w kierunku stacji paliwowej. Nie udało mu się zaparkować nigdzie bliżej.

– Jak ci poszło? – zapytała Serbia, kiedy powrócił zmarznięty i wkurwiony.

– Połowicznie.

– Co to znaczy?

– No, znalazłem ten dom. – Uśmiechnął się. – To ten koło stadionu przy alei Waszyngtona. To jest po stronie sukcesów. Ale na tym koniec, bo mieszkania nie znalazłem. Ludzie w pracy są. Nikt nie otwiera. Tylko emeryci, a oni rzadko wychodzą.

– To co zamierzasz?

– Wrócę tam wieczorem, około siedemnastej, osiemnastej.

– No, to teraz idź.

– Dokąd mam iść?

– Do domu idź, weź tę twoją na obiad, czy tam, jak to się mówi, na lancz.

– Serio mówisz, szefowo? – zdziwił się nie na żarty.

– Serio. Idź. Nie wiadomo, ile ci zejdzie wieczorem. A wiesz, że to ważne jest, zależy mi. Znajdź ją.

Prawie wypchnęła go z pokoju. Odczekała chwilę, a potem sięgnęła po telefon. Wykręciła numer Felińskiego.

– No, jak tam?

– Hm... zatęskniłaś? – Usłyszała, że się uśmiecha.

– Tak. Zatęskniłam, ale nie dlatego dzwonię. Co możesz mi powiedzieć?

– No... – Zaszurało, więc domyśliła się, że on wstaje od biurka, a potem zrobiło

się głucho, bo zasłonił słuchawkę dłonią i mówił do kogoś kilka słów. Potem kroki, skrzywienie drzwi. – No, jestem. Co ci mogę powiedzieć...? Zatrzymanie phacy sehca.

– Ale że co? Ze strachu? Ze starości?

– Tego ci nie powiem. Nie wiem.

– Miał jakieś obrażenia?

– Poza tym, że miał skórę spaloną na skwahki? Nie był ani duszony, ani othuty.

Wódkę pił, ale to chyba wiesz. Poza tym patolog twiehdzi, że wcale nie musiał jeździć na wózku.

– Jak to?

– No, mięśnie nóg miał w takim stanie, że albo chodził, albo ćwiczył.

– Dziwne, prawda?

– Bahdzo dziwne. Poza mahskością wathoby nic mu nie dolegało.

– Co z pożarem? Wiadomo, gdzie się zaczął?

– Od książek na półce.

– Podpalenie?

– Może coś czytał, papiehosa tam położył, zasnął, a kiedy się obudził i zobaczył płomienie, to zatrzymało mu się khażenie.

– Ale on przecież podobno nie palił.

– Thudno powiedzieć. Wychodzi na to, że pothafił udawać wiele sphaw.

– Hm... – Ugryzła się w język, żeby nie zapytać o teczki. O te brakujące.

– Taaak?

– Zajrzałeś do tego sejfu?

– To szafa pancehna dla ścisłości, a nie żaden sejf. Ogniothwała. Zajrzałem, Nie chciałem, żeby phokuhatorzy z IPN-u szli jak po swoje.

– I co miał?

– Bahdzo hóżne sphawy. Niektóhe stahe, jeszcze ubeckie, z lat pięćdziesiątych nawet. Inne były z czasów, kiedy już sam był milicjantem.

– Ubeckie teczki?

– Chodzi ci o to, czy miał tam zobowiązania do współphacy jakichś agentów albo osobowych zhódeł infohmacji? Kapusiów, gnid i skuhwieli?

– No.

– Ci z IPN-u też od hazu o to pytali. Ale nie, takich sphaw to on nie miał. Miał

skopiowane akta spław, które toczyły się w komendach, w których pracował. Głównie kiminalne spawy, akta, notatki, hysunki sytuacyjne, fotoghafie, wycinki z gazet. Widać było, że je ghomadził baħdzo stahannie.

– Aha... Nie wiem, dlaczego pytam, nie wiem, czego się spodziewałam usłyszeć... Może przez tych prokuratorów sądziłam, że to będą teczki z donosami.

– No, wszystkich nie przejrzałam. Ale wiesz, on je numehował... Teczki mają numehację od jeden do czterehysta trzydzieści dwa. Ta z numehem jeden jest ze spawy Czahnego Janka. Niewiele tego, jakaś wydana w tamtych czasach książka o bandycie z Ostrzycy, sthasznie jednostonna agitka, jakieś fotokopie listów i zeznań. Zdjęcie tego Janka. Dziwna spawa.

– Dlaczego dziwna?

– Bo jest z pięćdziesiątego trzeciego czy czwahtego, a Huski wstąpił do służby dwa lata później. Więc tej spawy ani nie znał, ani nie phowadził, ani przy niej nie phacował. Nie pasuje do heszty.

– Czarny Janek? Nic mi to nie mówi.

– No, tutaj, na Dolnym Śląsku, to populahna opowieść tehaz. Wycieczkom się o nim opowiada. Nasz jedyny phawdziwy żołnierz wykłety. A, bobym zapomniiał. Jest jeszcze jedna dziwna spawa.

– No?

– Ostatniej teczki bhakuje.

– Skąd wiesz?

– Bo ostatnią spawa, przy jakiej phacował Huski, był wypadek Bahcikowskiego.

– To przecież nie było morderstwo.

– Ale pan komendant z województwa osobiście nadzohował to dochodzenie, jeździł na miejsce wypadku, żądał szczegółowych hapohtów. Musiał mieć taką teczkę, skoho ma wszystkie dokumenty spław, które phowadził, co nie? A jednak tej teczki nie ma.

– Dlaczego powiedziałaś, że brakuje ostatniej? Może brakuje ich więcej? – Nie chciała przerywać tej rozmowy. Myślała, gdzie on teraz jest. Co widzi przez okno? Czy ją sobie wyobraża tak samo, jak ona wyobraża sobie jego.

– Myślę, że bhakuje tylko tej jednej. Po tamtej spawie pan komendant postanowił odejść ze służby. A przecież wcale nie musiał. Podobno był złego stanu

zdhwia. Podobno miał postępujący pahaliz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

WTEDY

– To kim pan właściwie jest, panie... Barcikowski? – zapytał oficer w zielonym mundurze. – Polakiem, czy może jednak Amerykaninem?

Benedykt pomyślał, że ten człowiek ma bardzo białą skórę. Jak rybi brzuch. Ostatnio nieczęsto widywał ludzi o takiej karnacji. Tak idealnie czystych. I miał długie paznokcie. Nie obgryzione, ale po prostu długie. Benedykt nie lubił długich paznokci. „Przycinaj je tak, żeby nie zalaż za nie żaden brud”, powtarzał jego włoski kolega fotograf.

Oficer obejrzał ten amerykański paszport ze wszystkich stron.

– Kim pan jest?

– Polakiem, Amerykaninem, Żydem z Powiśla. – Benedykt wyciągnął rękę po swoje papiery, ale wopista nie zamierzał kończyć tak po prostu.

– Cel wizyty?

– Przyjechałem za zgodą polskich władz, żeby przygotować reportaż o tutejszym Kościele. – Podał oficerowi legitymację „Newsweeka”. Nie było sensu udawać kogoś, kim nie był. W każdym razie nie na lotnisku.

– *Press, press* – westchnął wopista. – Kogo w Ameryce obchodzi Kościół w Polsce?

– Każdego – uśmiechnął się Benedykt. – Odkąd Polak został papieżem, Kościół w Polsce obchodzi każdego.

Oficer uśmiechnął się lekko.

– *Welcome home, Mr. Barcikowski.*

Odkąd Polak został papieżem, Benedykt porzucił wojny i wywiady z politykami i powrócił do pierwotnej specjalizacji. Potraktował to jako reset. Jak rozciąganie mięśni po treningu. Może nawet jak wakacje? Sprawy Kościoła były mu ciągle

bliskie. W czasie interwałów pomiędzy kolejnymi wojnami napisał w Berkeley dysertację doktorską na temat politycznych i ekonomicznych wątków w nauczaniu Kościoła katolickiego w Polsce. Przyniosła mu nawet pewien, ograniczony oczywiście do kręgów naukowych, rozgłos, bo opublikował ją prestiżowy rocznik „Journal of Church and State”. Kiedy kardynał Wojtyła przyjął godność papieską, „Newsweek” zaproponował Benedyktowi kilka artykułów o specyficznej roli Kościoła w Polsce. Napisał coś o Wyszyńskim, ale potem, na początku marca musiał lecieć do Libanu. Z dobrze poinformowanych źródeł wiedział, gdzie i kiedy warto być na pierwszej linii. Izrael zaatakował palestyńskie obozy 14 marca, a Barcikowski oglądał atak zza pleców kierowcy wojskowego jeepa. Wakacje spędził w Jerozolimie, bo bardzo polubił to miasto, najpiękniejszą wiosną. Lubił włóczyć się między dzielnicą żydowską a chrześcijańską, żartując sobie w duchu, że to właśnie jest jego kawałek świata. Odwiedzał burdele i nie mógł wyjść z podziwu dla urody izraelskich dziewcząt. Czasami, kiedy głęboko w nocy siedział na schodkach Bazyliki Grobu Pańskiego, patrząc na wieżę meczetu Omara, przypominał sobie brata i Warszawę. Albo Ankę. Albo matkę i ojczyma. Wiedział, że matka żyje, a ojczym gryzie już ziemię na jaworskim cmentarzu. Nie tęsknił. Czasami posyłał matce pieniądze. Albo list. Bez adresu zwrotnego.

W piątki wieczorem chodził pod Zachodni Mur i patrzył, jak chasydzi tańczą dla Pana. Stał wśród turystów. Ani zimny, ani gorący. Ani swój, ani obcy.

Kiedyś przyszedł tam we czwartek przed południem. Założył papierową jarmułkę, którą można było kupić na miejscu, i wstąpił za ogrodzenie. Stał przed murem i patrzył na setki papierowych zwitków tkwiących w szczelinach. Listy do nieistniejącego Boga. Nawet gdyby istniał, jak wydłubałby te śmiecie pomiędzy kamiennych bloków?

Gdyby istniał, Benedykt byłby dzisiaj kimś zupełnie innym.

Odwrócił się, a wówczas jakiś rabin w kapeluszu z płaskim rondem i z długą brodą przetykaną siwizną i śliną po niedawnym śniadaniu zaproponował, że pomodli się za niego i jego rodzinę w tunelu pod murem, w miejscu, gdzie przechowywane są święte zwoje.

– W miejscu, skąd najbliżej do Boga. Pomodłę się za ciebie, *sir*, za pięćdziesiąt szekelim.

– To bardzo drogo, *rebe*.

– E... – Pokręcił głową staruszek. – Nie ma za wysokiej ceny za dobrą modlitwę. Za ciebie i twoją rodzinę.

– Nie mam rodziny.

– To dwadzieścia szekelim.

– Ha, ha, ha – roześmiał się Benedykt i dał rabinowi dwa niebieskie banknoty z Teodorem Herzlem, dziennikarzem z Budapesztu, twórcą syjonizmu, a więc właściwie twórcą Izraela. Nieszczęśliwy człowiek. Miał żonę, której nie kochał, córkę narkomankę, która przedawkowała heroinę, syna, który zanim popełnił samobójstwo, wstąpił do Kościoła katolickiego. I młodszą córkę, którą Niemcy zamordowali w obozie w Terezynie...

Kilka dni później do Jerozolimy przyjechał wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Fritz Mondale. To był dobry temat dla fotoreportera. Benedykt przedzierał się przez tłum nacjonalistów z Gush Emunim, fotografując z bliska ich zacięte twarze. I transparenty: AMERYKO, NIE BĄDŹ ZDRAJCĄ; NIE COFNIEMY SIĘ O KROK; CAMP DAVID TO ZDRADA. Chciał znaleźć w tym tłumie rabiego Levingera, bo to byłoby zdjęcie na okładkę. Kiedy wiceprezydent skończył swoją modlitwę i nacjonaści podnieśli krzyk, Barcikowski przeskoczył przez barierkę, pokazując swoją legitymację i upoważnienie.

– Mimo wszystko nie wolno panu tutaj stać! – krzyczał oficer Secret Service.

– To przeskoczę na drugą stronę, okej? Nie chcę być w tłumie tych idiotów. Pan rozumie, jestem reporterem „Newsweeka”, chcę zdjęcie wiceprezydenta pośród przyjaznych ludzi.

– Leć pan.

Przeskoczył na drugą stronę bariery akurat w czasie, kiedy wiceprezydent opuścił plac przed Murem Zachodnim. Nacjonaści krzyczeli po przeciwnej stronie, ale po tej tłum Izraelczyków i turystów wiwatował i wyciągał ręce. Mondale był o pięć kroków.

Ortodoksi z Gush Emunim byli w furii, a chłopak z prawej krzyczał na cały głos:

– Jesteśmy z Columbus, jesteśmy z Ohio!

Mondale usłyszał go, odwrócił się, podszedł i zaczął ścisnąć ludziom ręce. Obiektyw pięćdziesiąt milimetrów byłby nawet lepszy, ale trzydziestka piątka pozwoliła Benedyktowi objąć całą scenę. Na pierwszym planie uścisk ręki, uśmiechnięta twarz wiceprezydenta, który demonstracyjnie ignoruje wrogość

demonstrantów, dalej wystraszone spojrzenie burmistrza Jerozolimy; Teddy Kollek obraca głowę w kierunku nacjonalistów, ale wzrok ma wciąż utkwiony w amerykańskim wiceprezydencie, a nad tym wszystkim las transparentów.

To było ulubione zdjęcie Benedykta, jakie wykonał tej wiosny. Do podpisania porozumienia w Camp David doszło trzy miesiące później. Benedykt nie fotografował tej sceny. Był w drodze do Polski.

Chciał robić reportaż o nielegalnych kościołach. Budowano je w stodołach, w miejscach, w których komunistyczne władze nie zgadzały się na budowę kaplic. Najpierw stawiano stodoły. Im większe, tym lepsze. Potem we wnętrzu stodoły budowano kaplicę. A kiedy była gotowa, ludność rozbierała stodołę, a władzom nie wypadało już niszczyć kaplicy.

Szybko przekonał się, że potrzeba mu przewodnika. Kogoś zaufanego, kto zna kraj, zna ludzi, wie, o co chodzi w sprawie zdjęć. Krzysztof Bobiński z „Financial Times” polecił mu Chrisa.

– Trochę Anglik, trochę Polak, polubisz go.

– Jak ty to robisz, że tak jeździsz po całym świecie? – pytał Chris.

– Ja po prostu mam w życiu szczęście – odpowiedział Benedykt. – Jesteś zdolny, kiedyś i tobie się poszczęści.

Chris wiedział, że gdzieś pod Warszawą jest taki nielegalny kościół, który należy do Wyszyńskiego. Kiedy prymas wyszedł z więzienia wyczerpany i schorowany, jakiś rolnik podarował mu ziemię na wsi pod Warszawą. I dom. To był zwykły dom, ale Wyszyński bywał tam coraz częściej, ludzie się schodzili, trzeba było zbudować kaplicę.

Jechali długo. Minęli fabrykę na Żeraniu, pola, lasy przy drodze do Pułtuska. Kościół stał na skraju lasu i wyglądał jak zwykła, drewniana chałupa. Władza nie dawała wtedy zgody na budowę kaplic, więc podanie było o budynek gospodarczy. Cieśle z Kurpiów zbudowali go u siebie i przywieźli w częściach. Deska po desce. Poskładali na miejscu i dopiero wtedy okazało się, że to kościół.

W czasie tamtej jesiennej wizyty robili zdjęcia w deszczu i mroku. Polska była biedna, zapuszczona, wydawało się Benedyktowi, jakby musiała przechodzić przez czyściec. Jakby odbywała karę. Szare plamy twarzy i jasne, niedawno pomalowane ściany kościołów. Nad ołtarzami, tuż obok krzyży, czarno-białe fotografie młodego Wojtyły.

Myślał nawet, czy nie urwać dwóch, trzech dni i nie pojechać do Jawora. Nie zobaczyć matki. Ale nie miał jej zbyt wiele do powiedzenia.

Odwiedził ją teraz, w czerwcu, w przededniu wizyty papieża.

Była już starą kobietą. Mieszkała w nowym, spółdzielczym bloku, bo – jak mu powiedziała – miała tam miejską wodę i ogrzewanie. Pojechali na cmentarz i żeby zrobić jej przyjemność, kupił przed wejściem kwiaty w doniczce, by je postawić na grobie Bratkowskiego.

Dopiero teraz powiedział jej, że zmienił nazwisko.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Nie podniosła wzroku. Patrzyła na kwiaty. Pewnie zaraz wyschną w takim palącym słońcu.

– Bo to nie jest przecież moje nazwisko – powiedział, wzruszając ramionami.

– Jak to nie twoje?

– Sama wiesz, jak...

– A więc jesteś człowiekiem bez nazwiska?

– *Der Mann ohne Eigenschaften* – powiedział.

– Co mówisz? – Wreszcie oderwała wzrok od kwiatów i zobaczył, że ma w oczach łzy.

– Człowiek bez właściwości – powiedział. – Jestem człowiekiem bez właściwości.

– Przecież zapiszę ci mieszkanie. – Nie zrozumiała, co miał na myśli. – To spółdzielcze mieszkanie i ono przecież będzie na ciebie.

Dopiero to go jakoś wzruszyło. Za jedno zdjęcie na okładce mógł kupić kilka takich mieszkań, które miała po całym swoim pracowitym życiu.

– Nie, mam, to ja ci kupię jakiś pałac. – W sumie, czemu nie, pod Warszawą powinno się coś znaleźć. A w Polsce, jak na całym świecie, dla ludzi z dolarami nie było rzeczy niemożliwych.

Pojechał potem do domu Anki.

– Widzisz pan, nowy 125p. – Taksówkarz klepał samochód po kierownicy. – Widzisz pan, radio można w samochodzie słuchać. Fabrycznie montowane, nie jakieś tam doróbki-samoróbki. I słyszysz pan, jak cicho silnik chodzi? Nowy wydech dali, polska konstrukcja.

Nie słuchał.

Dom wydał mu się obcy. Trudno, żeby było inaczej. Wysiadł z samochodu i

stanął przy płocie, nagle jakiś nieswój w tym garniturze, w ciemnych okularach, szerokich spodniach i białej koszuli. Przyczesał długie włosy. Stał długą chwilę, a potem odwrócił się na pięcie i poszedł do auta.

– Pan do kogo? – Mężczyzna był wysoki, młody. W białym, poplamionym czerwoną farbą podkoszulku bez rękawów wyglądał na zabijakę.

– Szukam kogoś. – Benedykt uśmiechnął się i zdjął okulary na znak, że nie ma złych zamiarów. Zawsze tak robił. Na każdej wojnie. Nie wiedział, czy to może w czymś pomóc, ale nie bał się patrzeć ludziom w oczy.

– Ojca nie ma.

– A... – Pokiwał głową. – Ja do pani Anny.

– Tu nikt taki nie mieszka. – Chłopak splunął.

– Kiedyś... kiedyś mieszkała.

Kot przebiegł obok niego i, przyciskając brzuch do piachu, prześliznął się na podwórze. Potężny rudy kocur. Piękny. Chyba nigdy nie widział takiego pięknego.

– A pan kto, bo nie dosłyszałem?

– Do szkoły chodziłem z panią Anną. Mieszkała w tym domu. Z mamą i siostrami mieszkała.

– Starsza siostra mamy miała tak na imię. Ciocia Ania. Jej zdjęcie wisi nad telewizorem. – Podeszedł, trzymając ręce w kieszeniach.

– Tak? Co z nią? Gdzie mieszka?

– Zaginęła. Nigdy jej nie poznałem. Tylko z tego zdjęcia.

– Jak to zaginęła? Kiedy?

– Ze dwadzieścia lat temu. Może więcej. Mnie nie było na świecie. Nie wiem. Póki babcia żyła, stawiała jej zawsze na święta talerz na stole. Ale nikt o niej nie mówił, wie pan...

– Mogę zobaczyć?

– Co zobaczyć?

– No... tę fotografię.

– A kim pan właściwie jest? – Chłopak nabrał podejrzeń. Zaczął lustrować buty i spodnie Benedykta. Znać, że nie polskie.

– Kolegą Anny ze szkoły.

– No dobra, włącz pan.

Przeszli przez podwórze wyschnięte na wiór, ale po kątach porośnięte bujną

trawą.

– Butów niech pan nie ściąga. – Chłopak otworzył drzwi i wpuścił gościa przodem. Kredensik z niemieckimi książkami zniknął. Ściany były oblepione tapetą. Bez gustu, ale czysto. Telewizor radziecki. Olbrzymi. Czterech mężczyzn go tu wносиło, taki ciężki. Zdjęcie małe. W grubej ramce. Musiało być zrobione po maturze. Anka miała na nim nie swoje buty.

Wrócił do taksówki i kazał się wieźć prosto do Wrocławia. Na dworzec. Tak, panie, mam dość pieniędzy. Mam tyle, ile pan zechce. Premia za to, żebyśmy nie gadali.

Tłok był niemiłosierny. Jakby cała Polska jechała do Warszawy powitać papieża. Nie zmrużył oka i nie miał szans precyzyjnie się do toalety, choć jechał pierwszą klasą. Wszystko wypchane było ludźmi i tobołami.

Na Okęcie pojechał prosto z Dworca Centralnego. Kontrole ciągnęły się niemiłosiernie. Akredytacje, sprawdzanie dokumentów, sprzętu, czyste szaleństwo. Samolot Alitalii „Citta di Bergamo” wylądował jakoś po dziesiątej. Kiedy się zatrzymał przed szpalerem wojska i kiedy podstawiono schody, papież wcale się nie pojawił, ale po schodach wbiegł kardynał Wyszyński. Przez moment, kiedy stał u początku schodów i spotkały się ich spojrzenia, Benedykt sądził, że kardynał go rozpoznał, ale to był tylko ułamek sekundy. W następnej fotografował, jak Wyszyński wbiega po schodach. Po kilku chwilach papież Wojtyła pojawił się w drzwiach samolotu, a potem zszedł z rękami uniesionymi w powitalnym geście. Kiedy stanął na płycie lotniska, uklęknął i pocałował ziemię, a następnie wymienił uścisk z Henrykiem Jabłońskim, przewodniczącym Rady Państwa. Kiedy grali polski hymn, Jabłoński stał na baczność, a papież miał ręce splecione na brzuchu i pochyloną głowę. Jakby w pokorze. Benedykt złamał szereg i, choć próbował go zatrzymać jakiś cywil, wyszarpnął się i zrobił pięć, siedem kroków, żeby mieć całą tę scenę na wprost. Uklęknął przed papieżem i zrobił zdjęcie tej jego zadumie. Po prawej Jabłoński w czarnym garniturze, a po lewej Wyszyński, wysoki, postawny, wyraźnie dumny. Z naręczem kwiatów w rękach.

Kiedy porucznik Jabłoński z Kompanii Honorowej zaczyna składać meldunek powitalny, dwaj cywile biorą Benedykta pod ręce i prowadzą do szarego fiata, który stoi tuż za samolotem. Trzymają go pewnie i nieodwracalnie. Zna ten chwyt i wie, że szarpanie się jest bezcelowe. Zresztą co by mu przyszło z awantury podczas

papieskiego lądowania? Nic, tylko utrata akredytacji i wydalenie z kraju.

– Jestem obywatelem amerykańskim – zaczął.

– Dobra, nie pierdol pan – powiedział ten wyższy w szarym garniturze. – Wsiadaj, chcemy tylko pogadać.

Uścisk delikatnie zelżał. Znak dobrej woli. Ale tylko z lewej strony. Ten z prawej omal nie wyłamywał Benedyktowi nadgarstka.

– Wsiądziesz pan po dobroci, panie amerykański, czy mam pomóc?

– Wsiądę.

– No i *choroszo*. – Puścił mu rękę, ale ten drugi, młodszy ciągle trzymał. Aż do chwili, gdy Benedykt wsiadł do środka na tylną kanapę.

– Suń się – warknął szary garnitur.

Benedykt posunął się. W drzwiach po przeciwnej stronie nie było klamki. Facet w szarym garniturze wsunął się za nim. Klepnął dłońmi w kolana i uśmiechnął się.

– Nie było szkolenia, że nie wolno wychodzić przed szereg, panie amerykański? – zapytał.

– Było – przyznał Benedykt, masując sobie prawą dłoń. Zsiniała.

– No więc?

– No więc nie widzę problemu.

– Stworzył pan zagrożenie dla życia i bezpieczeństwa głowy obcego państwa – powiedział tajniak. – Są za to określone paragrafy.

– Co pan w ogóle pierdoli? Słyszysz się pan? – Benedykt wzruszył ramionami. Na wojnach widział nie takich chojraków.

– Pierdolę, panie amerykański, wszystko, co mi się nawinie. – Tajniak obrócił się tak, że Benedykt miał przed sobą jego twarz.

Milczał.

– Jak tam? Szefie? – zapytał ten drugi, próbując dojrzeć coś w samochodzie.

– Wypierdalaj, młody, wszystko w porządku.

Tamten posłusznie zaczął iść w stronę kolumny wojska. Papież już pewnie odjechał, ale Benedykt miał dobre zdjęcia. Trzeba tylko ocalić film.

– To dobre zdjęcie – powiedział. – Przewodniczący Rady Państwa wygląda bardzo reprezentacyjnie.

– Chuj mnie obchodzi jego zdjęcie. Daj mi pan swój paszport, panie amerykański.

Benedykt sięgnął do kieszeni. Tamten przejrzał go szybko.

– Imię się zgadza... Ale, do kurwy nędzy, nazwisko jakieś chujowe. A pan mi kogoś przypomina, panie amerykański.

– Niemożliwe.

– Nie pyta pan kogo? – Przyglądał mu się z bardzo bliska i Benedykt nie mógł odsunąć od siebie myśli, że tamten wacha go jak pies.

– Nie pytam. Nie jestem z Warszawy.

– Ja też nie. Z powodu wizyty pana Wojtyły sprowadzili tu wszystkie siły. No i mnie przypadło lotnisko. Stoję sobie na płycie, słońce, wojsko, państwowa wizyta i nagle widzę pana, panie amerykański. I pan mi mocno przypomina kogoś, kogo znałem w młodości. Nie przypierdolił panu ktoś kiedyś porządnie?

– Nie przypominam sobie – uśmiechnął się Benedykt.

– Przyjrzyj się pan. – Podsunął mu twarz na odległość dwóch, może trzech centymetrów. – Miasteczko Jawor... Mówi to panu coś?

– Nic. – Benedyktowi nie drgnęła powieka. – Pierwsze słyszę.

– Ma pan rację. – Tajniak oddał mu paszport. – To strasznie chujowe miasteczko. Chujowe jak chuj!

I się roześmiał.

Po południu Benedykt stał na trybunie dla fotoreporterów na placu Zwycięstwa. Papież przyjechał odkrytym samochodem. Ciężarówką. Możliwość brożenia dziewięćdziesiąt centymetrów. Samochód, którym Ludowe Wojsko Polskie miało zawieźć na Zachód idee komunizmu, wiozł teraz Ojca Świętego. A potem w czasie kazania powiedział, że nie sposób zrozumieć tego miasta, stolicy Polski, bez Chrystusa. Jeśli się nie pamięta, że pod tymi gruzami legł również Chrystus Zbawiciel ze swoim krzyżem, nie można zrozumieć tego miasta. A potem przypomniał, że jutro dzień Zesłania.

– Więc wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

TERAZ

Nudziła się w pociągu. Zawsze się tam nudziła. Nie lubiła tej zamkniętej puszki, tego determinizmu szyn, które nie pozwalały ani na chwilę zboczyć z trasy. Nie lubiła straconego czasu.

Wzięła ze sobą coś do czytania. Dość grubego, żeby mogło wystarczyć w obie strony. Miała w domu całe mnóstwo nieprzeczytanych książek. Spadek po tamtym życiu. Początkowo nie miała odwagi tam zaglądać. Półki rosły przed nią niczym las Fangom, groźne i obce. Każdy krok w tamtą stronę mógł sprawić, że nie będzie odwrotu. Patrzyła na te wszystkie okładki. Najpierw jeszcze lśniące i nowe, a potem coraz bardziej wyblakłe i coraz bardziej zakurzone. Wzięła dzisiaj jedną książkę, zanim wyszła do metra. Pierwszą z brzegu, ale zważyła ją w dłoni. W sam raz na podróż tam i z powrotem.

Otworzyła na chybił trafił: „Zdarzają się, nie powiem, małżeństwa do śmierci. Ale to już zabytki. Niedługo będzie się do takich wycieczki prowadzić, jak do zamków, katedr, muzeów. Małżeństwo, prawdę mówiąc, to dzisiaj spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Upada, zakłada się drugie. I się kręci, aby jakoś, aby dalej, aby do końca”².

– Kurwa, wiedziałam. – Zatrzasnęła książkę. Chciałaby zasnąć, ale za dużo miała w głowie pytań i, choć postanowiła, że nie będzie myśleć nad sensem spotykania się z kimś w jakimś zasranym Lwowie, nie umiała uciec od niechęci, od pretensji pod adresem Siwego. Co on sobie, kurwa, ubzdurał? Raka mam, powiedział. No tak. Raka ma. To może zrobić z mózgiem różne sprawy. W każdym razie siedziała już w pociągu i była w drodze. Zawrócić nie zamierzała. Poza tym była zmęczona. Kosiński jeszcze w środę znalazł mieszkanie, w którym zrobiono zdjęcie. Ósme piętro. Kawalerka z widokiem na Warszawę. W mieszkaniu, do

którego dzwonił, nie było nikogo, ale sąsiadka miała podobny widok. Kiedy zobaczyła zdjęcie, poznała dziewczynę. Nie, nie mieszkała tam, ale często przychodziła, bo wtedy było słychać, jak się śmieją z tym okularnikiem i jak, wie pan, no, co pan udaje, że pan nie wie, no, wie pan, no, jak się obściskują. Ona to strasznie krzyczała, mówię panu, strasznie, no, było słychać, kot mi się niespokojny zrobił przez to, bo tu przedtem to takich ekscesów nie było. No, jak to co? No, daj pan spokój, panie kapitanie, szczać zaczął na linoleum w kuchni, a nigdy tego nie robił, to dobrze wychowany kot jest, panie kapitanie.

Kosiński opowiadał jej tę historię, a ona śmiała się, kiedy naśladował skrzeczący głos starszej kobiety. Śmiała się aż do momentu, kiedy uświadomiła sobie, że to chyba pierwszy raz. Że nie śmiała się w pracy od kilku lat. Od wypadku. Uśmiechnąć się jej czasem zdarzało, ale żeby aż tak, to nigdy.

– No dobrze, Kosiński, to co wiemy?

– Wiemy, że mieszkał tam jakiś chłopak, okularnik, wysoki, dziwny jakiś, bo na rowerze jeździł. I ten rower czasami do windy zabierał. Pani... – sprawdził w notatkach – Sierputowiczowa Karolina, lat sześćdziesiąt osiem, emerytowana księgowa, owdowiała, dwoje dzieci, rzadko ją odwiedzają, widziała kilkakrotnie, jak on wyciągał ten rower z windy. „Wyobraża pan sobie, rower w windzie stawiać na sztorc? No, nie do pomyslenia, myślałam, że mu coś powiem, ale oni przecież nie słuchają, ci młodzi. Nie słuchają. No i zawsze był hałas, kiedy wysiadał, więc wtedy otwierałam drzwi i mu mówiłam, żeby tak nie hałasował, bo ludzie się denerwują i zwierzęta. I on, wie pan, panie kapitanie, przeproszał. No i kiedyś wysiadł z windy i to była ona. Ta dziewczyna. I potem hałasowali. No, kilka razy ją widziałam. Zawsze się taka wydawała spłoszona, kiedy otwierałam drzwi. Skąd wiem, że spłoszona? Bo tak się uśmiechała, jak dziecko, kiedy kradnie czekoladę z lodówki. A pan nie trzyma czekolady w lodówce? No przecież, że się popsuje, panie kapitanie, no przecież, że popsuje. O, proszę, Wedel. Jogurtowa. Teraz to nie te same czekolady co dawniej. E... nie, teraz lepsze robią. Naprawdę lepsze”.

– No dobrze, i co dalej? – zapytała Olga już bez uśmiechu, więc Kosiński zrozumiał, że trzeba przejść do szczegółów.

– Ustaliłem, że właścicielką mieszkania jest Michalina Szwarz, było z tym trochę kłopotu, bo mi się myliło, bo zapisałem Schwartz, a to się okazało, że normalnie po polsku Szwarz, jak się słyszy.

– Przez „c”? – upewniła się Serbia.

– No właśnie. Przez „c”. No i w administracji mieli jej telefon i zadzwoniłem. Powiedziałem, co i jak, że szukamy jej lokatora. A ona, że nie rozmawia z nieznanymi przez telefon, że na wnuczka teraz okradają albo i na milicjanta. Tak powiedziała: „Na milicjanta”.

– No, to co zrobimy?

– No, zaprosiłem ją do nas. Żeby przyjechała, a ona, że bardzo chętnie, bo się na emeryturze nudzi. O dwunastej będzie.

Przyjechała jakieś dwadzieścia minut po południu. Wiadomo było, że się spóźni, bo śnieżycą była niezmierna. Właściwie pierwszy taki atak zimy. A jak pada śnieg, to połowa warszawiaków nie pamięta już, jak się jeździ samochodem. Dostali wreszcie telefon, że już jest, i Kosiński zszedł po nią na dół. Przyszła okutana w ciepłą kurtkę i bez pytania usiadła, a pod podeszwami jej butów natychmiast utworzyła się brudna, mokra plama.

– Co za pogoda. – Uśmiechnęła się wesoło. – No, to o co chodzi?

– Pani Michalina Szwarc? – Serbia sięgnęła po batonika. Nagle zrobiła się głodna. Nie kupowała tych czekoladek od miesięcy, ale właśnie spostrzegła, że jakaś zaplątała jej się w biurku pod papierami. To jak znaleźć żyłę złota.

– Tak. Szwarc Michalina. Emerytka. – Zrobiło jej się pewnie ciepło, bo niezgrabnie, bez wstawania z krzesła, zabrała się do ściągania kurtki.

– Ma pani jakiś dokument?

– A to przesłuchanie? Bo pan powiedział, że tylko porozmawiamy. Bo jak przesłuchanie, to ja poproszę o oficjalne wezwanie drogą pocztową, jak się należy. Z pouczeniem, żeby nie było wątpliwości, że ja idę, bo muszę.

– O! – Serbia rozerwała folię i uśmiechnęła się do czekolady. – Widzę, że pani zna się na procedurze.

– Nie, za bardzo to się nie znam, ale kiedy człowiek pracuje w handlu, to wiele słyszy.

Szwarc uporowała się z kurtką i trzymała ją teraz na kolanach, patrząc na Kosińskiego tak intensywnie, aż ten domyślił się i wziął od niej mokre okrycie.

– Pracuje pani w handlu?

– Całe życie pracowałam. Mieliśmy z mężem stoiska na bazarze.

Serbia pokiwała głową.

– A na którym?

– Na stadionie.

– To ma pani sportową emeryturę – zazartowała Olga. Nadzienie toffi było tak słodkie, że poczuła klucie w zębach.

– Nie, proszę panią, mam uczciwą. Pracowaliśmy ciężko, ale nie żyliśmy nigdy ponad stan. Za wszystko, cośmy zarobili, kupiliśmy kilka mieszkań i teraz z tego mam emeryturę. Wszystko uczciwie, na umowę, odprowadzam podatki, jeśli pani taka ciekawa.

– Przepraszam panią. – Serbia pomyślała, że powinna być wdzięczna pani Michalinie, że chciało jej się jechać nie wiadomo skąd w taką pogodę. – Domyślam się, że to z czasów stadionu zna pani te urzędowe procedury.

– A żeby pani wiedziała. Nasłuchał się człowiek, nasłuchał. To nie było dobrze widziane, żeby ktoś z własnej i nieprzymuszonej szedł na komisariat.

– Na komendę – odruchowo poprawiła ją Serbia.

– Mnie tam wszystko jedno. Z własnej woli nikt nie szedł. Tylko na zawezwanie.

– No dobrze. – Kosiński stracił cierpliwość. – Zna pani tę dziewczynę?

Starsza pani wzięła do ręki powiększoną fotografię i wpatrywała się w nią dłuższą chwilę.

– Z rozczarowaniem powiem panu, że nie znam.

– Szkoda – zmartwił się. – Sąsiedzi twierdzą, że bywała w pani mieszkaniu.

– To całkiem możliwe, jako że zaznaczyłam, że jestem w posiadaniu kilku mieszkań i że je z mężem wynajmujemy. Bez tego nie dalibyśmy rady, bo miał wylew, a rehabilitacja jest kosztowna.

– Rozumiem – Serbia pokiwała głową – że swojego lokatora pani jednak zna.

– Z tego adresu, co pan dzwonił? Nie znam, ale przecież wiem, kto u mnie mieszka, bo mam umowę. Proszę o moją kurtkę, mam w kieszeni kopię.

Kosiński zdjął kurtkę z krzesła stojącego najbliżej grzejnika i podał kobiecie, a ona zaczęła przeszukiwać kieszenie. Wyjęła jakieś papiery w foliowej koszulce i podała Oldze.

– Proszę. Piotr Lichaj. Ze Skierniewic. Adres też spisałam i numer dowodu.

– Mieszka wciąż u pani?

– Skąd. Wyprowadził się w zeszłym miesiącu. Aktualnie nikt nie mieszka. Nie jest łatwo o lokatora w grudniu. Najłatwiej we wrześniu, październiku, kiedy

studenci poszukują.

– Widzę, że długo u pani mieszkał.

– Długo. Moi lokatorzy się nie skarżą.

– A dziewczyny pani nie widziała?

– Nie miałam okazji, bo ja nie bywam przecież w tych mieszkaniach. Pieniądze przychodzą na konto.

Pociąg zakołysał się na rozjazdach i Serbia nagle powróciła do rzeczywistości. Za oknem noc była ciemna i obca.

Otworzyła książkę.

„Od pierwszego wejrzenia zwykle dowiadujemy się o kimś najwięcej – przeczytała – kiedy tego kogoś twarz uderzona znienacka przez to nasze pierwsze wejrzenie staje się przez ułamek chwili jakby oślepią, otwarta na całą szerokość, żeby tak powiedzieć. Tak, że gdy tylko pan wszedł, to moje pierwsze wejrzenie powiedziało mi wszystko o panu. Cóż mi takiego powiedziało, spyta pan? Otóż powiedziało mi, że pańskie przyjście to taki przypadek, który niekiedy złośliwieje, przeistaczając się w przeznaczenie. Tak, tak, młody człowieku, przeznaczenie to nic innego jak właśnie wyjątkowo złośliwy przypadek, od którego nie ma już odwrotu”³.

Zamknęła książkę. Myśliwski. *Traktat o łuskaniu fasoli*. Dlaczego wzięła właśnie taką książkę zamiast jakiś romans? Albo *Tomka w krainie kangurów*? Przydałoby się jej coś, co mogłaby czytać zupełnie bezrefleksyjnie, co przepływałoby przez nią jak seria obrazów, zielonych albo w sepii, z jakichś krain odległych i nieprawdziwych. Bez trupów. Bez przeszłości. Bez złośliwienia.

Pociąg nagrany był niemiłosiernie. Marzyła o tym, żeby otworzyć okno, ale to już nie były te pociągi co w czasach, kiedy była dzieckiem. Wtedy ojciec opuszczał okno i zapalał papierosa, a ona wdychała nagły zimny podmuch wiatru. Czasami drobinki śniegu wpadały do środka i osiadały na wszystkim, topniejąc w mgnieniu oka, ale to i tak wystarczyło, żeby nabrała pewności, że idą święta.

Dziś nie było szans na święta. Jechała do Lwowa spotkać rzekomą morderczynię. Rano Kosiński pojedzie do Skierniewic, żeby znaleźć Piotra Lichaja, lat dwadzieścia trzy, nienotowanego, prawdopodobnie studenta. I prawdopodobnie go nie znajdzie, bo jeśli to chłopak zatłukł na śmierć topielicę, to jest już daleko, bardzo daleko stąd.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

WTEDY

Benedykt Barcikowski miał pracowity rok. Niemal prosto z Polski poleciał do Ugandy, bo Narodowa Komisja Konstytucyjna postanowiła dokonać zmiany na fotelu prezydenta. Godfrey Binaisa zgodził się na wywiad. Miał plan na demokratyczną odbudowę swojego kraju. Zapał, wiarę i naiwność potrzebną do tego, żeby skoczyć z urwiska w nadziei, że papierowe skrzydła to dość, żeby lecieć do samego słońca.

W lipcu Benedykt poleciał do Panamy i przedostał się cudem do Managui, z której sandiniści właśnie przeganiali Anastasia Somozę. Spędził tam kilka tygodni, posyłając nie bez trudu korespondencje do swojej redakcji i próbując uzyskać audiencję u Daniela Ortegi.

– Na wielu płaszczyznach konfrontacja ludu z dyktaturą wydawała się światu mało istotna. – Ortega w końcu zgodził się na rozmowę. – Dla władz Stanów Zjednoczonych i państw Europy to, co przeżywaliśmy, było jak spór między dyktaturą a opozycją. Tylko że lud mojego kraju musiał za to płacić krwią. Nie przez kilka tygodni, ale przez ostatnie pięćdziesiąt lat! Więcej nie damy się zdradzić Ameryce.

W sierpniu, już w Afganistanie, Barcikowski próbował znaleźć dowody na masakrę Hazarów w Bamian i Ghor. To nie była łatwa wyprawa. Jechał pięć dni do Wachanu, aby przekroczyć granicę po rachitycznym drewnianym moście w przebraniu rolnika handlującego wełną i blaszanymi czajnikami z Chin. Był w domu tylko dwa dni. Ogolił brodę, wyleżał się w wannie i poleciał do Paryża na otwarcie Instytutu Polskiego, gdzie witano go jak gościa honorowego.

– Znakomity reporter, nieustraszony fotograf, człowiek, który przeprowadził wywiad z Danielem Ortegą... – Czuł, że uszy mogłyby mu się zaczerwienić, gdyby

nie to, że przecież wszystko, co o sobie usłyszał, było prawdą. Chciałby poświęcić więcej czasu pięknej hostessie, od której usłyszał, że tak naprawdę praca w paryskiej ambasadzie jest jej pierwszą pracą po studiach, ale nie jest jakąś tam pierwszą lepszą dziewczyną, tylko członkiem korpusu dyplomatycznego.

– Nigdy nie spotkałem korpusu dyplomatycznego bez gorsetu i krawata – powiedział, a ona wytrzymała spojrzenie i posłała mu uśmiech, w którym były obietnica i przebaczenie.

To pewnie była kwestia wina.

Niestety, był tu służbowo. Na otwarciu Instytutu mieszały się ze sobą peerelowscy oficjele i kontestujący socjalizm z ludzką twarzą dysydenci i publicyści, a także kilku pisarzy, którzy tak jak on sam podróżowali po świecie od jednej wojny do drugiej. Wszyscy rozmawiali o tym, że coś się w powietrzu nad Polską zaczyna zmieniać.

Z Paryża wrócił do Afganistanu, aby dokończyć swoją misję, ale ledwo zdążył rozpakować walizki i poprzekładać rzeczy do plecaka, kiedy Hafizullah Amin oskarżył prezydenta Mohammada Tarakiego o alkoholizm i utratę zdolności kierowania krajem. Taraki oskarżył Amina o przygotowywanie zamachu stanu, ale Amin, do niedawna najbliższy współpracownik prezydenta, uniknął aresztowania, bo w porę schronił się w radzieckiej ambasadzie. Kilka dni później nieznani sprawcy włamali się do siedziby prezydenta, przywiązali mu ręce do ramy łóżka i udusili ręcznikiem. Lekarz sądowy stwierdził, że Taraki umierał piętnaście-dwadzieścia minut. Amin, wykorzystując swoich krewnych, których prorocznie ulokował w rządzie w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, ogłosił się sekretarzem generalnym Ludowo-Demokratycznej Partii Afganistanu. Nie zgodził się na wywiad, a Barcikowski nie mógł czekać.

W kwietniu następnego roku był w Liberii. Akurat kiedy siedemnastu żołnierzy wdarło się do rezydencji prezydenta Williama Tolberta i zadźgało go bagnetami, a następnie poćwiartowało zwłoki, żeby nakarmić nimi psy. Ogryzione kości wrzucili do wspólnej mogiły, mieszając je z fragmentami ciał dwudziestu siedmiu innych ofiar. Zebrał się tłum, który obrzucił zwłoki kamieniami, jakby chciał odebrać im życie po raz drugi. Publiczne egzekucje członków rządu trwały dziesięć dni. Pani minister finansów Ellen Johnson Sirleaf i wiceprezydent Bennie Dee Warner w dramatycznych okolicznościach zostali ocaleni przez amerykańskich

dypłomatów. Władzę objął starszy sierżant Samuel Doe. Urządził swemu krajowi krwawą łaźnię. Barcikowski napisał o tym książkę. Pisał szybko. Bez wytchnienia. Wiedział, że to doskonały materiał i że musi się spieszyć, zanim świat nie zwróci swojej uwagi w całkiem inną stronę – na Polskę.

W lipcu był w Warszawie. W sierpniu w Stoczni Gdańskiej. Poznał wszystkich i szybko okazało się, że może być potrzebny. Amerykański dziennikarz polskiego pochodzenia był cennym nabytkiem dla środowiska, które nie chciało zatrzymywać się w pół drogi i, gdy pochwyciło szansę na wolne, niezależne, samorządne związki zawodowe, zrozumiało szybko, że można sięgnąć znacznie dalej.

Wkrótce przyszła propozycja seminarium na podyplomowych studiach dziennikarskich na Uniwersytecie Warszawskim i postanowił znowu zamieszkać w swoim mieście. Teraz tutaj miał najciekawszy temat do zrealizowania.

W grudniu 1981 roku nie stawiał oporu, bo spodziewał się aresztowania.

Siedział w Białołęce trzy dni, kiedy zjawiała się delegacja z ambasady.

– Panie Barcikowski, proszę przyjąć wyrazy ubolewania, ale polskie władze dopiero teraz dały nam znać o tym, co zaszło. Może pan iść z nami, wszelkie formalności są załatwione – powiedzieli Amerykanie.

– Wyjdę i co dalej?

– Będzie pan musiał opuścić PRL. Poleci pan do domu.

– A jeśli nie zechcę?

– Jak to „nie zechcę”?

– Chcę zostać. Jestem pisarzem. Jestem w nieprawdopodobnie interesującym miejscu. Chcę tu zostać. Czy możecie sprawić, żebym dostał papier i maszynę do pisania?

– Pan żartuje, prawda? Naszą misją jest wyciągnąć pana z więzienia.

– To nie jest więzienie, tylko obóz dla internowanych. Śpiewamy, żartujemy, nikt nas nie torturuje. Zrozumcie, siedzi tu ze mną cała wolna Polska. Chcę zostać.

– Muszę zatelefonować – powiedział pracownik ambasady do strażnika.

Wyszli. Barcikowski został z drugim Amerykaninem.

– Odbiło ci? – usłyszał.

– Nie. Napiszę o tym książkę. Wiesz, ile płacą za takie książki?

– Jeśli teraz nie wyjdiesz, nie będziemy mogli ci pomóc.

Kiedy wrócił drugi emisariusz Stanów Zjednoczonych, Barcikowski usłyszał, że

może zostać. Ale maszyny do pisania nie dostanie.

– Wszystko, co pan zechce napisać, musi pan zapamiętać. Powodzenia.

Wrócił do celi i śpiewał z innymi kolędy. Dużo słuchał, mówił kiedy trzeba i nie czekał na to, że ktoś go odwiedzi. Nie tęsknił za niczym poza nikonem i poza swoją maszyną do pisania. W styczniu głodował jak inni, a w lutym zaczął dostawać papierosy i nie musiał już wyskrobywać łyżeczką okruszków drewna z pryczy, żeby zawinąć je w papier toaletowy i choć ze dwa razy się zaciągnąć. Papierosy dostawał po przesłuchaniach. Były w paczkach po pięć, owinięte szarym papierem i sznurkiem byle jak, bo strażnicy sprawdzali, co jest w paczce. Ale samych carmenów i piastów nie otwierali.

Na kartonikach z pudełek po papierosach rysował żarty: „100 dni niewoli bez kontroli uboli”. Albo karykatury dolara z wizerunkiem Jerzego Urbana i nominałem 1 guan. Usłyszał, że profesor Geremek prowadzi zajęcia z francuskiego, więc wpadł na pomysł, że robi mu konkurencję, i założył lektorat angielskiego. A potem konwersatorium polityczne. Przekonywał, że Polska, kiedy już będzie wolna i demokratyczna, stanie się państwem otwartym na ludzi wszystkich poglądów i gotowym do współpracy ze wszystkimi państwami. Tak z Europą, jak i ze Związkiem Radzieckim. To budziło zainteresowanie, ale i niepokoje wśród osadzonych. Spora część uważała, że w demokratycznej Polsce generała trzeba postawić przed Trybunałem Stanu, a Urbana wygnać. Do Związku Sowieckiego, albo i do Izraela, jeśli go zechcą.

Któregoś wieczora wywołał go jeden z klawiszy.

– Dobry wieczór, panie amerykański. – W pokoju przesłuchań stał cywil z lotniska. Wysoki, mocno posiwiały i lekko przygarbiony. Jakby w ciągu tych dwóch lat postarzał się co najmniej o pięć. – Co za historia, wyobraź pan sobie, przywożę dwóch osadzonych z Kamiennej Góry, rozmawiam z kolegami i mówią mi, że mają u siebie, na salonach, pewnego Amerykanina. Od razu pomyślałem, że to pan.

– Dobry wieczór, panie milicjancie – uśmiechnął się Barcikowski. – Nie mam pojęcia, jak mnie pan rozpoznał, sądziłem, że jestem prawdziwym brodaczem.

– Jak ci goście z ZZ Top? Zna pan? Takie zarośnięte cudaki w kapeluszach? Ktoś mi darował ich płytę.

– Nie, nie znam.

- Nie słucha pan rockowej muzyki?
- Nie, wie pan, ja lubię raczej jazz.
- Jak to? Chyba nie jest pan pedałem, panie amerykański?

Benedykt milczał. Starał się nie okazać zirygowania. Próbował przyjrzeć się esbekowi bliżej, lustrował te bystre, stalowe oczy, nos, pochyloną sylwetkę.

– Chce mnie pan zapamiętać, panie amerykański? – Tamten musiał mieć dobry zmysł obserwacji. Benedykt opuścił wzrok. Rzadko to robił. Nie kłaniał się biskupom ani dyktatorom. A jednak w ironicznym szeptcie obcego było coś, co go zaniepokoiło.

– Niech pan usiądzie, nie będziemy tak stali przecież. Może by się pan kawy napił? Może papierosa? Nie pamiętam, czy pan palił, ale teraz na pewno pali pan jak wszyscy, kiedy tylko pan może. Więc może zapali pan tego?

To były prawdziwe marlboro. Benedykt przypomniał sobie reklamy z samotnym jeźdźcem na tle gór, pewnie gdzieś w Utah.

Come to Marlboro Country. Przypomniała mu się Elisabeth, z którą zjeździł kiedyś tamte rejony żółtym chevroletem caprice convertible, i pomyślał, że ma dość tego więzienia.

– Nie. – Uśmiechnął się i sięgnął po papierosa. – Zdecydowanie nie jestem pedałem.

– Co pan tu robi, panie amerykański?

– Walczę o wolną Polskę, panie milicjancie, czy jak mam do pana mówić.

Obcy zapalił papierosa od zapalniczki. Najpierw sobie. Potem podał żarzącego się marlboro Barcikowskiemu.

– Masz pan do mnie mówić prawdę tak czy siak. – Poczekał, aż dziennikarz odpali, a potem niecierpliwie wyciągnął rękę i od razu zaciągnął się, jakby to miał być ostatni papieros w jego życiu. Wypuścił dym powoli i bez zachłyśnięcia. – To jak, pamięta pan już, skąd się znamy?

– Nie. Poza tym, że znamy się z lotniska.

– Przypomnieć panu?

– Proszę bardzo?

– Jawor. Mówi to panu coś?

– Piosenka ze szkoły? *Jawor, jawor, jaworowi ludzie?*

– A poza tym?

– Poza tym nic.

– Hm... – Zaciągnął się znowu. – A mnie się zdaje, że pan kłamie, panie amerykański. Skąd pan w ogóle pochodzi?

– Z Warszawy.

– Wiem. Sprawdziłem, co tam o panu mogłem sprawdzić. I wielu dokumentów, wie pan, brakuje.

– Na przykład jakich?

– No... Świadectwa urodzenia, świadectwa chrztu. W ogóle niewiele o panu chcieli mi powiedzieć.

– Może dlatego, że wszystko spaliło się w czasie powstania. Wie pan, dokumenty nie są z żelaza.

– Wiem. Moje, wyobraź pan sobie... – Znowu się zaciągnął. – Wyobraź pan sobie, że moje też zaginęły. Nawet nie wiem, ile mam lat, cholera jasna. Ale pana twarz, pana twarz przypomina mi kogoś z młodości... Pytałem, wie pan, pytałem moich przełożonych o pana. Żeby mi pozwolili poszperać. I wie pan co? Nie pozwolili.

– A... to bardzo ciekawe. – Benedykt nieco się odprężył. – Czy wie pan dlaczego?

– Powiedzieli, żeby nie drażnić Amerykanów. Że pan tu siedzi z własnej woli, żeby pisać książkę o wolnej Polsce. To chuj, nie prawda. Z panem jest coś nie tak, panie amerykański. Nikt przy zdrowych zmysłach by nie siedział we więźniu z tą hołotą, wie pan? Chuj, nie robota.

– Ma pan prawo myśleć, co chce. – Barcikowski wstał z krzesła i pochylił się nad stołem, żeby strzepnąć popiół do szklanego spodka. Podstawki pod szklanę.

– Chcę wiedzieć, czy pan jesteś tym skurwysynem, przez którego taki chujek z milicji zrobił mi to... – Obcy wstał, wetknął niedopałek do ust i rozpiął koszulę. Odwrócił się powoli i opuścił koszulę tak, żeby Benedykt zobaczył blizny na jego plecach. Stare blizny. Musiały kiedyś boleć. Potem naciągnął koszulę, odwrócił się i zaczął zapinać guziki. Popiół spadł na podłogę, a obcy przydepnął go butem.

– Jeśli to pan, panie amerykański, to urwę panu chuja i zeżresz go pan, zanim się wykrwawisz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

TERAZ

Kosiński rzygał. Zgięty w pół w rozmiękłym błocie zapierał się dłońmi o kolana i rzygał, jakby to była jakaś nieuleczalna choroba i miał tu skończyć żywot pod jebanym zardzewiałym samolotem nad jakąś szarą rzeką w Skierniewicach, w których był pierwszy i, wszystko na to wskazywało, ostatni raz w życiu.

Zresztą nie wiedział, czy to rzeka, czy jezioro, czy inne gówno. Rzygowiny ochlapały mu spodnie i buty, ale to już nie miało znaczenia, bo i tak był ubłocony od stóp do głów.

Chłopak leżał na poboczu i rzeźił cicho. Miał złamaną nogę, może nawet obie, i pluł krwią. Czerwone bąble pękały mu wokół ust. Pewnie pękło w nim coś nie na żarty.

Samochód miał rozbitą przednią szybę i ciężkie płatki śniegu wpadały do środka, i tak już białego od tego świństwa, które wysypało się, kiedy poduszka powietrzna wystrzeliła prosto w nos dziewczynie za kierownicą. Krwawiła.

Samochody zatrzymywały się z obu stron.

Kurwa, niech ktoś zadzwoni po pogotowie, myślał Kosiński. Wiedział, że on powinien to zrobić, ale nie umiał uspokoić oddechu nawet na tyle, żeby wydusić z siebie słowo. Pierdolony gówniarz... Z daleka dobiegł go sygnał radiowozu. No, chociaż tyle, ktoś zadzwonił gdzie trzeba...

Otarł twarz grzbietem dłoni. Ale to nie był dobry ruch, bo zapach rzygowin uderzył go na nowo w nozdrza i zwymiotował jeszcze raz.

Spokój, nakazał sobie w głowie. Spokój!

Śnieg padał i padał.

Radiowóz torował sobie mozolnie drogę pośród samochodów bezładnie tkwiących wzdłuż Ządębia. Wycie syreny było ogłuszające. Kosiński wyprostował

się wreszcie. Podniósł wzrok na samolot. Bez okularów widział go nie dość wyraźnie. Nadziany był na stalowy bagnet i musiał stać tu już długo, bo obrastały go glony. Jakiś ruski mig, po co go trzymają? Smarknął w rękę i wytarł palce w spodnie. Już i tak chuj z nimi. Zaczynał wreszcie oddychać. Mroczki sprzed oczu powoli znikwały. Powinien był chodzić na siłownię, tak. Powinien.

Chłopak wciąż pojękiwał. Płatki śniegu wpadały mu do oczu, a on starał się ich za wszelką cenę nie zamykać. Jakby się bał, że więcej ich już nie otworzy. Łapał oddech jak ryba, ale krztusił się krwią. Dziewczyna opuściła lusterko nad kierownicę i spojrzała na swoje czoło. Całą twarz miała w białym proszku. Płynęła po tej bieli strużka krwi. Czoło było poranione odłamkami szyby. Zrobiło jej się żal samej siebie. Zauważyła, że jacyś ludzie biegną w jej stronę, ale wydawało się jej, że to film, bo wszystko działo się dziwnie powoli.

Sięgnęła palcami po maleńki kawałek szkła, tkwiący w skórze tuż ponad brwiami. Paznokcie miała pomalowane na kolor dojrzałej śliwki.

– Jak ja się teraz pokażę panu prezesowi... – Wyjęła szkło i otarła twarz z pudru.

– Co żeś narobiła, idiotko?! – Ktoś szarpnął drzwi. – Człowieka zabiłaś!

Spojrzała na wrzeszczącego mężczyznę i widziała, jak otwiera drzwi i że porusza ustami, ale nie słyszała już ani słowa więcej, bo właśnie straciła przytomność.

Policjanci zatrzymali się tuż przed rozbitym fordem. Spod maski buchała para. Pewnie dostał w chłodnicę i wyciekała z niego woda. Wskoczyli z radiowozu niemal jednocześnie, mężczyzna, który właśnie otworzył drzwi limuzyny, odwrócił się w ich stronę.

– Rozjechała chłopaka! – krzyknął i wskazał ręką miejsce, w którym Piotr Lichaj, lat dwadzieścia trzy, nienotowany, starał się mieć oczy otwarte najszerszej, jak potrafił. Rzęził. Ale nie myślał o umieraniu, tylko o tym, że od kilku tygodni nie pojawiał się na uczelni. Czy istnieje jeszcze szansa, że zaliczy semestr?

Widział tylko jakieś gałęzie nad głową i szarą, mokrą szmatę nieba.

Nie chciał umierać.

– Nie ruszaj się. – Zobaczył nagle nad sobą twarz człowieka w policyjnej czapce i uchwycił się tego obrazu, jakby to był najpiękniejszy widok w całym świecie. – Nie ruszaj się, oddychaj, karetka jest już w drodze.

Policjant zniknął mu z pola widzenia. Pewnie się wyprostował. Wtedy Piotr poczuł, że osuwa się w ciemność. Zamknął oczy.

– Masz tą płachtę NRC?! – krzyczał policjant w kierunku swojego kolegi.

– Jaką płachtę?

– No, taką srebrną, zobacz pod siedzeniem, ja zawsze mam.

Lichaj poczuł poklepywanie po policzku. Otworzył oczy. Policjant znowu wypełniał mu obraz. Tym razem bliżej.

– Wytrzymaj, stary. Będzie dobrze, oddychaj, nie ruszam cię, bo nie wiem, co masz połamane. Słyszysz mnie?

Lichaj bał się poruszyć głową, bo pomyślał, że ma połamany kręgosłup. Rosła w nim fala bólu. Zamknął oczy.

Drugi policjant znalazł pod siedzeniem paczkę z energetką i rozrywał zębami plastikowe opakowanie, idąc szybkim krokiem w kierunku kolegi. Z oddali słychać było syrenę karetki pogotowia. Kurwa, z tymi opakowaniami, nigdy nie chcą się rozerwać kiedy trzeba. Zęby ślizgały mu się na mokrym tworzywie, ale wreszcie puściło. Rozerwał opakowanie, wyjął płachtę i rzucił worek na mokry asfalt. Rozwinęli płachtę we dwóch i okryli Lichaja. Oddychał, ale oczu nie otwierał.

– Zobacz, co z tą dupą – powiedział starszy.

Młodszy zrobił kilka kroków i odsunął gapiów. Śnieg padał do środka samochodu. Dziewczyna miała wilgotne włosy. Głowa opuszczona na kierownicę.

– Co z nią? – zwrócił się do tego agresywnego, co podbiegł pierwszy.

– Zemdląła, kurwa jedna.

– Widział pan wypadek?

Pochylił się i delikatnie wymacał tętnicę na szyi dziewczyny. Puls był wyraźny, choć bardzo szybki. Postanowił, że nie będzie jej ruszał, skoro zaraz nadjedzie pomoc.

– Widziałem, jak chłopaka wyrzuciło w powietrze.

– Na przejściu był?

– Tu chyba nie ma przejścia, co nie?

Rozejrzeli się obaj po błocie. Może przejście było, ale się już wytarło, może nie było. W kałużach, padającym śniegu i tych wszystkich światłach wędnących w szarej brei gównem było widać.

– Jest pan pewien, że to jej wina?

– To przecież baba jest, pewnie w lusterko patrzyła, widzisz pan? – Pochylił się i wskazał ręką. – Opuszczone.

Policjant spojrział i rzeczywiście lusterko było obniżone. Spojrział na nią jeszcze raz i pomyślał, że może być potrzebny drugi ambulans. Sięgnął po radiotelefon.

Wtedy podszedł do nich na chwiejnych nogach Kosiński. Oddychał już normalnie. Był obrzygany i mokry od potu.

– Aspirant Kosiński – powiedział.

– Co to ma znaczyć? – mundurowy chyba nie zrozumiał.

– Aspirant Kosiński – powtórzył Kosiński. – Z firmy jestem.

Policjant obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– Nie znam. – Pokręcił głową.

– Z Warszawy. – Kosiński sięgnął po odznakę.

– Na wakacje żeś przyjechał? – Funkcjonariusz był zniecierpliwiony. – To kawał drogi od domu.

– Przyjechałem zapytać o tego tam. – Wskazał ciało owinięte płachtą NRC. – Zapukałem do domu, a on wyskoczył przez okno. – Ambulans był już blisko, bo wycie narastało i Kosiński musiał podnieść głos. – To parter był. No i w nogi. Pobieglem, ale był szybki... Jeszcze musiałem te okulary do kieszeni schować. No, ja nie jestem w formie... I wybiegł na ulicę prosto pod samochód.

Sanitariusze biegli sprawdzić, co z kierowcą, ale policjant powiedział im, że pilniejszy jest chyba ten chłopak. Lekarz zawrócił, a sanitariusz zaczął szukać pulsu dziewczyny.

– Będzie druga karetka?

– Nie będzie, jedną mamy, dziś jakiś szalony dzień. Ale ona ma puls, chyba jest w porządku... Proszę pani, słyszy mnie pani!?

Dziewczyna ocknęła się.

– Jak się pani czuje? Może się pani ruszać?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Widzę, że tak... Boli panią coś?

– Tak – powiedziała. – Nogi.

Dziesięć minut później Kosiński siedział w radiowozie i pił kawę z termosu. Próbował założyć okulary, ale wciąż mu parowały, więc dał sobie spokój.

Był sam. Obaj funkcjonariusze zabezpieczali ślady. Był zły. Zły na siebie, że tak słabo biegał, zły na tego chłopaka, że był teraz nieprzytomny, zły na pogodę, że jest taka do dupy. I na kawę, że jest bez cukru. Kto to widział, żeby kawa była bez

cukru. Był zły na papierkową robotę, która go czeka. Zły, że tu przyjechał, zamiast zadzwonić i poprosić dzielnicowego, żeby zrobił wywiad. Cholera jasna, wszystko przez szefową. Serbia ceniła zaangażowanie. Spodziewał się, że go pochwali, jeśli pogada z matką tego chłopaka, myślał, że ją rozpyta, może się trochę zaprzyjaźni. Nie spodziewał się, że spotka Lichaja. A teraz co? Chłopak rzucił się do ucieczki, kiedy tylko Kosiński zastukał do drzwi. Otworzył, musiał zobaczyć błysk zrozumienia w oczach Kosińskiego. Ten decydujący moment, kiedy wiesz, że zostałeś rozpoznany.

Zatrzasnął drzwi i zanim policjant wywalił je kopniakiem z framugi, student dał drapaką przez okno. Biegł przez podwórka, a potem nad tą rzeczka czy jeziorkiem, a potem na ulicę. Wyleciał w powietrze na dwa metry i wałnął na ziemię jak kłoda.

Kosiński sięgnął po komórkę i wybrał numer Serbii. Nie było połączenia. Usłyszał w słuchawce, jak ktoś gada po rusku.

– Do jasnej cholery! – Zezłościł się i rozlał kawę. Spodniom nie mogło to już zaszkodzić.

Dwie godziny później nowi koledzy przynieśli mu inne z supermarketu. Do tego jakiś T-shirt i sweter. Wszystko za jedyne sto dwadzieścia złotych. W reklamówce. Był im naprawdę wdzięczny. Komendantowi też. Dostał kawę i dwa burgery. Ktoś po nie specjalnie pojechał do miasta.

Jadł i patrzył, jak komendant bębni palcami po biurku. Kosiński polubił w nim to, że dużo słuchał i mało mówił. Czasami poprawiał szczeciniaste wąsy. Zupełnie jak u pułkownika Czeladki z komiksów, które Kosiński czytał w dzieciństwie.

– No i sądzi pan, młodszy aspirancie, że to ten Lichaj zabił?

– No, a jak?

– No... Ja bym nie był taki pochopny. Przecież się pan nie wylegitymował. Skąd mógł wiedzieć, że jest pan z policji?

– Spodziewał się, że po niego przyjdziemy. To oczywiste.

– Ale pan mu tego nie zdążył powiedzieć?

– No nie. – Kosiński ugryzł bułkę i poczuł, że majonez spływa mu po brodzie. Miał to w dupie. I tak te spodnie trzeba będzie zaraz wyrzucić. – Nie powiedziałem mu. To była chwila. Popatrzeliliśmy sobie w oczy i on buch, drzwi mi zatrzasnął przed nosem.

– Nie był pan na to gotowy...

– Nie byłem. Nie spodziewałem się chłopaka, raczej jego matkę myślałem spotkać. Kogoś starszego.

– Dlaczego pan nie pomyślał, że on tam będzie? Dlaczego pan nie poprosił nas o pomoc?

– Sądziłem, że chłopak jest w Warszawie.

– Szukał go pan tam?

– Nie, skąd. Cholerny majonez. – Glut spływał mu po ręce i ledwo dał radę go zlizać. – Przepraszam pana komendanta, nie, nie szukałem go. Wszystko, co miałem, to ten jego adres. bTen meldunek. Myślałem, że chłopak zmienił mieszkanie, ale że jest w Warszawie, przecież trwa rok akademicki.

– To znaczy, nie spodziewał się pan, że to on zabił?

– No nie. Nie zabija się w taki sposób kogoś, kogo się kocha.

– Skąd to przypuszczenie?

– Bo to zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem, a z miłości zabija się w afekcie. Gdyby ją udusił, uderzył, nie wiem... No, ale nie zamęczył na śmierć.

– Chyba że jest niezrównoważony.

Kosiński milczał.

Zaterkotał telefon. Nie komórka, ale telefon na biurku. Jak w dawnych czasach.

– Aha, aha. – Komendant słuchał i słuchał, a w końcu powiedział tylko: – Dobrze, nie zostawiajcie go tam samego. No... No tak, tak. Dziękuję.

Kosiński starał się wepchnąć do ust resztę hamburgera, zanim komendant skończy.

– No dobrze. Coś musimy z tym zrobić... Widzi pan, młodszy aspirancie, rozumiem, że pan za nim biegł, ale myślę, że może się pan spodziewać, że pana zawieszają... Tylko do wyjaśnienia. W końcu biegł pan daleko od domu... Dobrze, że nikt nie zginął. Dobrze, że nie użył pan broni...

– Przeszło mi przez głowę. – Kosiński wycierał ręce serwetką.

– Więc ktoś tam nad panem czuwa... No, a dziewczyna, ta Sarnecka, zdrowa. Potłuczona, zszokowana, ale poza pokaleczoną twarzą nic jej nie będzie. Za tę twarz pewnie pójdzie do sądu po odszkodowanie, bo to przecież pani prawnik jest. Zobaczymy. Porozmawiam z nią, kiedy opadnie kurz. A chłopak ma przed sobą jeszcze kolejną operację. Pokiereszowane organy wewnętrzne, połamane nogi, jedna dość paskudnie.

– Ale przeżyje?

– Wygląda na to, że tak. Będziemy go dla was pilnować. Ale załatwcie wszystkie papiery jak należy.

– Ech... – Kosiński otarł usta ręką i sięgnął po komórkę. Spodnie były sztywne od brudu. Jeszcze chwila i będzie mógł się przebrać. Ale teraz musi zadzwonić. Wybrał numer Serbii. Po chwili jej komórka znowu zagadała do niego po rosyjsku. Albo może po ukraińsku. Kto by to odróżnił?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

TERAZ

Serbia stała w holu dworca jak stara dupa, która przyjechała do miasta po raz pierwszy i nie ma zielonego pojęcia, co ze sobą zrobić. Gapiła się na białe ściany, na korynckie kapitele kolumn obłożonych kafelkami, na płataninę sztukaterii, delikatne żółte detale i ciężkie żyrandole. Tłum krążył wokół niej jak ławica kolorowych ryb, na pozór bezładny, ale przecież doskonale rozumiejący, w jakim tempie i w jakim kierunku płynąć, a ona stała bez ruchu, niewyspana, brudna i zdenerwowana. Na lewym ramieniu ciążyła jej torba wypchana książką i papierami, na prawym przewieszona przez nie kurtka wydawała się ciężka, jakby była mokra. W dłoni trzymała ten żalosny szary telefon, który wcisnął jej Siwy.

Telefon oczywiście milczał.

W dodatku miała wilgotne stopy, bo w pociągu grzali jak oszaleli, a ona wstydziła się zdjąć buty w towarzystwie innych ludzi. Teraz jeszcze była głodna. I bolała ją bezsenność. Kiedyś już przez to przechodziła. Wtedy potrafiła to jakoś zrationalizować. Bezsenność była wtedy potrzebna, bo przecież czekała. Czekwała na kroki na korytarzu. Czekwała na zgrzyt klucza w zamku. Czekwała, aż przestanie boleć. Aż będzie mogła wszystkie drzwi w mieszkaniu otwierać bez strachu. Te na korytarz i nawet te do zamkniętego pokoju. Czekwała, aż nadejdzie świt i będzie mogła wrócić do pracy. W fabryce czuła się przecież sobą. Potrafiłaby poukładać okruchy świata tak, żeby znowu każdy był na swoim miejscu, ale odesłali ją na urlop zdrowotny. Podobno tak miało być lepiej dla wszystkich. Wtedy nie spała. Każdego dnia otwierała oczy, a świat wydawał jej się zupełnie nieprawdziwy. Światło piekło ją tak, że nie mogła się obejść bez tabletek.

– W co ja się, kurwa, dałam wrobić? – ziewnęła.

Rozejrzała się i poszła w prawo. Była tam poczekalnia. Drewniane krzesła z

wysokimi oparciami, sufit z kasetonami jak na Wawelu i na środku coś w rodzaju baru. Wysokie stołki bez oparc, drewniany bar. Piwo, woda, ciasteczka, kawa.

Oj tak, potrzebowała kawy.

– Kawę poproszę – powiedziała po polsku, zanim zdążyła się zorientować, że to może nie zadziałać.

Zadziałało. Chłopak w bordowej służbowej kamizelce miał uśmiech jak kołnierzyk białej koszuli.

– *S mołokom?* – zapytał.

– Uhm... – Pokiwała głową i położyła kurtkę na wysokim taborecie. Kurtka natychmiast zsunęła się na podłogę. – Kurwa mać – westchnęła i natychmiast spojrzała na chłopaka w kamizelce.

Nie zauważył. Albo był tak dobrze wychowany, że nie dał nic po sobie poznać. Podniosła kurtkę i spojrzała na zegarek. Za kwadrans ósma. Ciekawe, czy ta pizda w ogóle zadzwoni... Powiesiła kurtkę na stołku tak, że rękawy zwisały z obu stron i z daleka mogło się wydawać, że to nie stołek, tylko dziecko bez głowy. Dziecko bez głowy... Piksele nie chciały zniknąć, ale przynajmniej rozpędziła myśli. Czy to się, do jasnej cholery, dzieje naprawdę? Naprawdę ma się spotkać z jakąś agentką w obcym, nieznanym mieście? Naprawdę to jej się nie śni? Nie jest w swoim własnym łóżku, w którym pościel śmierdzi jej osobistym potem i tęsknotą? Nie lubi prac i najchętniej kupiłaby nowe prześcieradło, gdyby tylko dodawali do niego kogoś miłego, kto wymieniałby pościel...

– *Ju łelkam.* – Chłopak w bordowej kamizelce postawił przed nią kawę. Naprawdę miał ładny uśmiech.

Pociągnęła pierwszy łyk. Nie za szybko, żeby się nie poparzyć. Ciekawe, czy ona naprawdę tu jest. Czy się naprawdę spotkają. A gdyby to Olga była na jej miejscu? Co by teraz robiła? Pewnie podglądałaby z odpowiedniej odległości, żeby sprawdzić, czy naprawdę przyjechała sama, czy też ciągnie za sobą jakieś ogony. Odruchowo poprawiła włosy i wyprostowała plecy. Obróciła filiżankę na spodeczku. Książka. Powinna czytać książkę. To pozwoli jej zachować spokój.

Wyjęła Myśliwskiego z torby i otworzyła na chybił trafił. Nie mogła po prostu zacząć od początku, bo to byłaby kompletna porażka.

„Na zdrowy rozum każdej miłości trzeba by się strzec, bo nie wiadomo, gdzie człowieka zaprowadzi. Na zdrowy rozum siebie samego trzeba by się strzec. Nie

człowiek ustanawia sobie zdrowy rozum. A w ogóle co to jest zdrowy rozum, niech mi pan powie? To ja panu powiem, o zdrowym rozumie nie dałoby się przeżyć życia. Zdrowy rozum owszem... Ale to się tylko tak mówi, gdy nie wiadomo, co powiedzieć”⁴ – przeczytała i wtedy zadzwonił telefon. Odebrała po czwartym sygnale. Niech sobie nie myśli, że czekała.

– *Hi, sister.* – Głos był zachrypnięty i brzmiał, jakby kobieta po drugiej stronie się uśmiechała. – *How is your book?*

– *Good* – powiedziała Olga, próbując opanować łomotanie serca. – *How was your dream last night? Any voices of the dead men?*

– *Ah! You are little bitch, your boss was telling the truth*⁵ – roześmiała się nieznajoma. – Dobrze, bardzo dobrze. Olga, nie mylę się?

Serbia milczała.

– Mów albo się rozłączam.

– Tak, Olga.

– Za dziesięć minut, dokładnie za dziesięć minut wyjdiesz stąd głównym wyjściem i pójdziesz prosto ulicą. Jest tam tylko jedna ulica na wprost. Po czterech minutach dojdiesz do ronda i skręcisz w lewo. Sto metrów dalej, po prawej stronie będziesz miała kościół. To jest kościół Świętej Olgi. Wybrałam go, żebyś się czuła bezpieczniej. Wejdiesz do środka i pójdziesz do prawej nawy. Wiesz, co to jest nawa?

– Aha.

– Dobrze. Wejdiesz do pierwszego konfesjonału od drzwi. Są po prawej stronie. Usiądziesz na miejscu księdza, zamkniesz drzwi i będziesz czekać. Możesz się wtedy pomodlić. Teraz się rozłączę, a ty wyjmiesz kartę i baterię z tej nokii. Kartę wyrzucisz do kosza na śmiecie, który stoi po twojej lewej. Nie musisz jej łamać. To tania ukraińska, nierejestrowana karta. Na ten numer wykonano tylko jedno połączenie. Baterię i resztę nokii wyrzucisz do osobnych pojemników, kiedy będziesz szła do kościoła. Nie obchodzą mnie. Są tam tylko twoje odciski palców, a ciebie tu przecież nie ma. Teraz czytaj. Masz dziewięć minut. Jeśli zaczniesz się rozglądać, nie pogadamy.

I cisza. Serbia wciąż patrzyła na literki w książce, ale nie umiała odczytać ani słowa, bo serce waliło jej jak oszalałe. Zsunęła tylną klapkę z nokii. Była tam bateria. Wyjęła ją i zobaczyła kartę. Schowała baterię do kieszeni spodni i wyjęła

kartę. Telefon też schowała do kieszeni, kartę miała w dłoni. Osiem minut, pomyślała i odszukała wzrokiem zegar na ścianie poczekalni.

Potem gapiała się w książkę. Zamknęła ją po siedmiu minutach, zapłaciła za kawę, wyrzuciła kartę telefoniczną do śmieci, czyniąc to, jak sądziła, niezauważenie i ruszyła do wyjścia, nie oglądając się za siebie ani na chwilę. Była podniecona. Czuła w lędźwiach mrowienie, zupełnie jakby miała się spotkać z kochankiem. To dziwne, myślała, nie czuła nic podobnego już tak dawno temu. Nie miała pewności, czy słowo „konfesjonał” po angielsku brzmi tak samo jak po polsku, ale nie było już odwrotu, musi polegać na tym, ile zrozumiała. Nawa, konfesjonał, Święta Olga.

Wyszła głównym wyjściem. Na zewnątrz było paskudnie. Mokry śnieg oblepiał Lwów papką koloru zgniłego mięsa. Stały tam jakieś taksówki, ale przecież usłyszała, że ma iść prosto przed siebie. Żałowała, że nie ma parasola, że nie ma kaloszy, tylko zwykłe buty na grubej podeszwie. Byłyby w porządku, gdyby nie to, że przepociła w pociągu skarpety i teraz stopy marzły jej w błyskawicznym tempie. Poczowała, że za chwilę będzie chciało jej się sikać. Cholera jasna, na dworcu na pewno mieli jakieś toalety, a w kościołach ich nie będzie. Obróciła się w kierunku dworca. Miał wieżyczki i kopułę, jakby był pałacem albo cerkwią, pomyślała. Po obu stronach olbrzymiej przeszklonej witryny stały w niszach jakieś posągi. Zrobiła dwa kroki z powrotem, zanim zrozumiała, że to błąd.

– *Fuck!* – przekląła na głos samą siebie. – Teraz ta suka pewnie zniknie.

Opuściła natychmiast wzrok i szybkim krokiem ruszyła w przeciwną stronę. Po prawej stronie miała szereg niskich pawilonów z żółtymi dachami. Rozpoznała napis APTEKA. Po lewej przystanek autobusowy i za płotem jakieś magazyny. Było brzydko. Szła szybkim krokiem. Zobaczyła wieżę jakiegoś kościoła. Ale to nie mógł być ten, którego szuka, bo nie doszła jeszcze do ronda. Kościół Świętej Olgi. Chciała kogoś zapytać, ale wtedy mur beton kobieta zniknie. Pomyśli, że Olga nie jest tu sama. Trzymaj się wskazówek. Rondo, skręcasz w lewo i po prawej stronie będzie kościół. Na razie mijała jakieś parkingi. Ale potem dotarła do ronda. Tyle że w lewo biegły co najmniej dwie ulice... To musi być ta, po której jeżdżą tramwaje, za tą kamienicą z szyldem Złotyj Bik, co to za gówno, a, Złotyj Wik, Złoty Wiek, poczekała, aż minie ją tramwaj, i przeszła przez ulicę. Zobaczyła trzy potężne wieże. To musiało być właśnie tam. Kościół miał brązową fasadę z

wysokimi, gotyckimi oknami i nad samym wejściem wielką rozetę, ale nie wydawał jej się gotycką kilkusetletnią świątynią, tylko rekonstrukcją. Mógłby być wykonany z klocków Lego. Był zbyt nieskazitelny, zbyt doskonały. Weszła po kilku schodkach, które dzieliły dziedziniec od ulicy, i stanęła przed portalem. Był bardziej romański niż gotycki. Weszła. Kościół w środku był biały. Z lewej strony zauważyła czarną ambonę ze srebrnymi oblamowaniami i gdzieś tam, hen, daleko niewielki ołtarz. Wyglądał na prawosławny. Cholera, spodziewała się, że to będzie mroczne wnętrze, jak w szpiegowskich filmach. A tu biało, czysto, jasno... Mnóstwo ludzi. Skręciła w prawo. Stał tam niewielki konfesjonał. Wyglądał na starszy niż cały ten kościół. Rozejrzała się, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Ludzie modlili się, klęcząc albo stojąc, obrócenie w kierunku ołtarza. Wyjęła skobelek na łańcuszku i otworzyła drewniane drzwiczki. W środku było krzeselko wyściełane atłasową, powycieraną poduszką. Pachniało czymś kwaśnym. Wolą nie myśleć, że moczem. Usiadła. Zamknęła drzwi i opuściła fioletową zasłonę. Zrobiło się ciemno jak w dupie. Zanim o tym pomyślała, usłyszała skrzypienie po prawej stronie.

– Wybacz mi, siostrze, bo zgrzeszyłam – usłyszała niski, chropowaty głos kobiety w średnim wieku.

Przez kratki konfesjonału zaklejone folią Serbia widziała tylko cień głowy w czarnej chuście.

– Czym zgrzeszyłaś, moja córko? – Pomyślała, że żart pomoże im obu rozładować napięcie.

– Zamknęłam cię na kłódkę. Pogadamy, a kiedy sobie pójdę, odczekasz pół minuty, zanim zaczniesz się szarpać. Słowo?

– Odczekam pięć minut.

– Potrzebuję tylko pół.

– Zostawisz mi klucz?

– Jaki klucz?

– Od tej kłódki.

– Nie mam klucza, siostrze. Ale jeśli kopniesz drzwi, to pewnie się rozleczą. Pytaj.

Serbia milczała chwilę, zbierając myśli. Tymczasem w kościele zrobił się harmider, bo zaczynało się jakieś nabożeństwo.

– Po co przyjechałam?

– Po prawdę, jeśli potrafisz o nią zapytać. Staraj się mówić prostym językiem, najlepiej, żebym mogła odpowiedzieć „tak” albo „nie”.

– Zabiłaś Barcikowskiego?

Ludzie zaintonowali głośną pieśń, kobieta milczała. Serbia pomyślała, że musi mówić głośniejsze.

– Zabiłaś Barcikowskiego?

– Sądzisz, że to było zabójstwo?

– A czy to mogło być zabójstwo?

– Tak. Mogło.

– Zabiłaś?

Tamta milczała. Olga zrozumiała, że to bez sensu. Że wszystko, co do tej pory wiedziała o tej sprawie, było dziwne. Przecież nie chodziło o tę kobietę, o której Konrad Ruski powiedział, że potrafiłaby zabić kogoś, pozorując wypadek, a potem zniknąć. Nie chodziło o zabójczynię z tajnych służb jakiegoś obcego państwa. Unieszkodliwiła jakiegoś islamskiego terrorystę, więc pewnie była z Izraela. Olga czytała kiedyś, że izraelskie kobiety zdaniem tamtejszych rabinów nie popełniają grzechu, jeśli zabijają albo zdradzają w imię dobra ojczyzny. Nawet zdrady małżeńskiej im się nie liczy za przewinę. Ale jeśli zapytają o narodowość, kobieta będzie milczała. Tak jak milczy zapytana o to, czy zabiła. To zły trop. Może podejrzewa, że Serbia ją nagrywa? Pewnie dlatego są tu w porze nabożeństwa. Tak głośno, że i tak gównem dałoby się odsłuchać.

– Nie masz żadnych pytań? – zapytała tamta. – Obiecałam komuś prawdę.

– Komuś, kto chciał jego śmierci?

– Tak.

– Kto to był?

– Ktoś, komu byłam winna przysługę.

– Jaką przysługę?

– Życie za życie.

– To jego szukam?

– Tak. To jego szukasz.

– Zabiłaś Ruskiego?

– Skąd ta myśl?

– Zniknęły teczki z dokumentami tamtej sprawy. Byłam u niego w nocy, była.

Rano teczek nie było.

– Wzięłam je, musiałam zabrać to, co pozostało po tym wypadku. Tylko to, co mnie dotyczyło. Reszty nie ruszałam.

– Rozmawialiście?

– Był poruszony.

– Czym?

Kobieta zamilkła. Serbia czuła, jak myśli nad każdym słowem. Jak je waży, każde z osobna.

– Powiedział: „Nie jestem tym, kim myślałem, że jestem”. Inne słowa nie były ważne.

Serbia pomyślała, że to dziwaczne.

– Gdzie jest reszta papierów?

– Pod poduszką, na której siedzisz.

– Co to za przysługa?

– Nie rozumiem?

– Życie za życie, powiedziałaś.

Tamta milczała, ale Serbia czuła, że to nie koniec rozmowy.

– Mieliśmy wspólną akcję naszych służb. Ktoś ocalił mi życie. W moim fachu życie za życie. Spłaciłam dług.

– Powiesz mi więcej?

– Rozplącz sznurki, które trzymasz w ręku. Tyle ci powiem.

Ludzie skończyli psalm. Teraz ksiądz wyśpiewywał coś po ukraińsku.

– To wszystko?

– Mało ci?

Serbia pozbierała, co wie. To było zabójstwo. Kobieta z obcych służb spłaciła dług wobec kogoś, kto miał motyw. Jej motyw nie był potrzebny. Potrzebne jej było tylko to, żeby zatrzeć ślady. Sprawa była uśpiona całe lata.

– Skąd wiedziałaś, że musisz odwiedzić Ruskiego?

– Zadzwoił do mnie, że się do niego zgłosisz.

– Wiedział, że umrze... – Serbia powiedziała to bardziej do siebie niż do niej, ale tamta odpowiedziała.

– Jego misja była spełniona już dawno temu.

– Znałaś motyw?

– Nie pytałam. Ale przeczytałam teczkę, na której siedzisz. Daj mi te pół minuty. Potem kopnij w drzwi. Zresztą, rób, co chcesz.

Cień za kratką zniknął. Serbia oparła się o ścianę konfesjonału i siedziała w ciemności, myśląc o tym, co zaszło. Noż, kurwa mać, niczego się nie dowiedziała.

Ludzie znowu śpiewali. Coraz głośniej i głośniej. Mimo to za kratką usłyszała jakiś ruch, ktoś klęknął. Może nie usłyszała. Po prostu poczuła czyjaś obecność. Cień. Nie poruszył się. Milczał.

Ktoś idzie za Żydówką, zrozumiała. Ktoś za nią idzie. I ktoś mnie tu zabije.

Zrobiło jej się nagle duszno. Popchnęła drzwi, ale nie otworzyły się. Chwyciła się za gardło, ale to nie pomogło. Było ciemno, a ona nie potrafiła oddychać. Jakby leżała znowu w rozbitym na miazgę samochodzie i wielki ciężar zgniatał jej płuca. Mózg pracował doskonale. Było zbyt daleko, żeby straż pożarna zdołała przyjechać na czas i porozcinać te blachy, zanim zdechnie.

Napięła mięśnie i kopnęła je z całej siły.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

TERAZ

Kosiński wykręcił numer Olgi. Nic. Cisza. Już nawet tego rosyjskiego komunikatu nie słyszał. Cholera. Akurat teraz, kiedy jest naprawdę potrzebna. Czuł się bezradny i pokonany. Serbia mówiła czasami, że lepsze jest wrogiem dobrego. Powinien był to załatwić inaczej, ale czuł, że czas ucieka.

Przebrał się w toalecie i wyrzucił swoje stare spodnie do kubła. Były jeszcze całkiem dobre, ale nie chciał chodzić z obrzyganymi spodniami w reklamówce jak jakiś żul. Siedział na desce klozetowej w zamkniętej kabinie i czuł, że musi się jednak wygadać.

Siwy, o dziwo, odebrał. Wysłuchał spokojnie wszystkiego, co Kosiński miał do powiedzenia w sprawie topielicy. Nawet go nie opierdalał. Zapytał tylko, czy kontaktowali się z Olgą, a Kosiński powiedział mu, że próbował dzwonić już cztery razy. Albo nie, nawet pięć. I nic.

– Zaczynam się o nią martwić – powiedział.

– Dorosła jest – odparł Siwy. – Nic jej nie będzie.

Kosiński mu nie uwierzył. Staremu zadrżał chyba głos. A może to tylko złudzenie? A może policyjny nos?

– Nie powiedziała mi, że wyjeżdża. To nie *fair*.

– Przypominam ci, chłopaku, że my tu nie produkujemy śrub ani nakrętek. Ani nie pierdzimy w stołki na prezentacjach w Powerpoincie. My tu jesteśmy na służbie. Pamiętasz?

– Tak jest.

– A to znaczy, że czasami musimy wykonywać polecenia, które nam nie sprawiają przyjemności. I nie możemy mówić o tym, o czym nie możemy mówić.

Siwy mówił dziwnie miękkim głosem. To było do niego niepodobne. Może

chory jest? Może nie jest sam i nie gada swobodnie?

– Zrobimy tak – powiedział Siwy. – Zadzwoń do tych Skierniewic i pogadam z komendantem. Zdaje się, że go znam, sprawdzę w Internecie, co to za gość, musieliśmy się gdzieś spotkać. Może zgodzi się nam pomóc. Trzeba popytać o tego chłopaka, skoro już tam jesteś. Może pogadasz z kimś z rodziny, może ta matka się pojawi, wiesz... Pogadam z komendantem, niech da ci jakiegoś swojego policjanta i pojedziecie razem. Niech on mówi, a ty słuchaj. Zrozumiałeś?

– Tak.

– No, a jak się czujesz?

– Spodnie rozpierd... no, rozprułem, ale już dobrze. Nakarmili mnie i mam kawę. Już chyba z trzecią wypilem.

– Dobra. To dzwonię.

Nie minął kwadrans. Kosiński siedział na korytarzu, kiedy komendant osobiście go odszukał i przedstawił aspiranta z miejscowej komendy. Starszy gość, przy kości, taki typ tatusia, co to chodzi z parawanem na plażę. Ale miał broń w kaburze. Jakiś Stefan. Kosiński ćwiczył zapamiętywanie imion i nazwisk świeżo poznanych osób, ale nie zawsze mu szło.

Pojechali nieoznakowanym radiowozem na osiedle. Matka Lichaja siedziała na stołku w korytarzu na wprost rozbitych drzwi. Była blada jak śmierć. Nawet nie podniosła oczu, kiedy weszli do klatki schodowej. W kurtce siedziała. Kurtka była nasiąknięta od deszczu, wokół nóg kobiety zebrała się spora mokra plama. Miała posklejane włosy. Czapkę gniotła w rękach.

– Policja – powiedział ten ze Skierniewic. – Co się tutaj stało?

Podniosła na nich oczy powoli. Jakby we śnie.

– Nie ma go. Nie ma mojego syna – odparła. Na legitymacje nawet nie spojrziała.

– Przyszłam dopiero co z pracy. Drzwi rozbite. Syna nie ma. Ale jego kurtka wisi na wieszaku. Ale jego nie ma. Zabrali.

– Kto zabrał?

– Nie wiem. Nie mówił mi. Bał się. Od trzech tygodni nie wychodził z domu. Nie wracał na studia. Nie jeździł do Warszawy. Myślałam, że chory jest, potem, że może coś bierze, te jakieś narkotyki, wie pan, to czasami zmienia świadomość, człowiek się zachowuje, jakby miał urojenia...

– Skąd pani wie o takich sprawach?

– A nie, nie. – Zrozumiała, dokąd zmierza to pytanie. – Ja po prostu dużo czytam, wie pan. Dużo czytam. Skąd wiedzieliście, żeby przyjechać? Sąsiad do was zadzwonił? Ja, wie pan, dopiero co przyszedłam z pracy. Drzwi wywalone, a jego nie ma. Nie wiem, co zrobić. Usiadłam. Nie wiem, co robić. – Wstała i obciągnęła nerwowo kurtkę. – Czy mam zgłosić zaginięcie? Czy mam zgłosić porwanie?

– Nie, no, wie pani... – Kosiński chciał wyjść przed szereg, ale ten starszy zatrzymał go gestem.

– Proszę powiedzieć, kto miałby go porwać?

– On nie mówił. Ale widziałam, że się bał.

– Tak? – Policjant wyjął z kieszeni notesik i ołówek. Pokazał jej, podnosząc oba przedmioty w górę. – Bał się?

– Tak. Nie mówił, ale widziałam, jak nocami nie śpi. Jak wygląda na zewnątrz, nie zapalając światła. Stawał za firanką i patrzył. Tu rzadko jakiś obcy samochód się pojawia. Więc lada warkot, to on zaraz do tego okna.

– Nie pytała pani, dlaczego na studia nie wraca?

– Nie mówił. Nic nie mówił. Obserwowałam go. Kieszenie mu przetrząsnęłam, jak kiedyś zasnął przed telewizorem. Myślałam, że jeśli coś bierze, to znajdę jakieś folie z tabletkami albo jakieś nasionka, ale nie miał nic takiego.

– A co miał?

– Nie rozumiem. – Nagle jakby się obudziła ze snu. – No, co ja was tak w progę trzymam, proszę, wejdźcie, herbatę nastawię... – Wzięła taboret obiema rękami i poszła przodem, ale oglądając się za nimi. Weszli. Ten ze Skierniewic pierwszy, a Kosiński pochylił się nad drzwiami. No, paskudnie to było rozwalone, cholera jasna, trzeba byłoby jakąś blachę przykręcić albo co? Framuga cała, bo stalowa, ale drzwi to trzeba by teraz jakoś poskręcać... Stolarza jakiegoś albo jakąś złotą rączkę.

Kiedy doszedł do kuchni, Lichajowa opowiadała tamtemu o kluczach, dowodzie osobistym i zdjęciach.

– Jakich zdjęciach?

– No, nie mogłam zobaczyć, bo były na karcie.

– Na jakiej karcie?

– No, na karcie SD. Takiej, co ją pan wsuwa do aparatu i może pan zrobić zdjęcia, które potem ogląda się na ekranie komputera.

Policjant zapisał.

– Rzeczywiście dużo pani czyta.

– Kupiłam mu kiedyś ten aparat pod choinkę. Używany. Lustrzanka. Na karty SD.

– Zapytała go pani, co to za zdjęcia?

– Nie, bo wtedy wiedziałby, że mu szperam po kieszeniach. Mógłby nie zrozumieć, że to z troski.

– Pokaże mi pani jego pokój? Mogę się trochę rozejrzeć?

– A herbaty pan nie chce?

– Chcę, ale jeszcze przecież niegotowa. Rzucę tylko okiem, dobrze?

– Bo ja nie pozwalam synowi chodzić z herbatą po domu. Pijemy przy stole w kuchni. Rozumie pan, prawda?

– Tylko rzucę okiem.

Podreptała przed nimi. Pokój był niewielki. Półka z książkami, głównie przewodniki i skrypty z medycyny i biologii. Atlas anatomiczny. Książki nie były zakurzone, choć pudełka z plastikowymi modelami samolotów miały na sobie milimetrową warstwę. Pudło na gitarę, walizka na kółkach. Plecak, szafa na ubrania. W środku niezły bałagan.

– Przeszukała pani półki? – zapytał policjant.

– Tak... – pokiwała głową.

– Z Warszawy przyjechał w pośpiechu – powiedział nagle Kosiński.

– Z czego taki wniosek?

– Biurko jest puste.

– Nie rozumiem.

– Laptopa nie ma. Nie zabrał go ze sobą.

– Może nie miał? Dzisiaj ludzie mają wszystko w telefonie.

– Miał. – Kosiński wskazał na najwyższą półkę. Stały tam pojemniki z płytami CD i DVD. Nie miały firmowych okładek. To musiały być nagrane programy albo zdjęcia. – Tego na telefonie nie odtworzysz.

– Tak. Syn ma laptopa. Nigdy się z nim nie rozstawał. Ale go nie przywiózł. To dlatego pomyślałam, że coś bierze. Że sprzedał, żeby kupić narkotyki...

– A to? – Kosiński wskazał na biurko. Stało tam zdjęcie w ramce. Barokowozłota, zdobna. Pewnie chiński plastik. Na zdjęciu przytuleni do siebie

stali Lichaj i topielica.

– A to mój syn i Ola. Jego dziewczyna.

– Ładna ta Ola – powiedział policjant. – Też mam córkę Aleksandrę.

– A nie, nie – zaprzeczyła szybko Lichajowa. – Nie Aleksandra, ale Orbala.

– Dziwne imię... – Kosiński wziął zdjęcie do ręki, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Pasztuńskie, powiem panu. Orbala znaczy „światlik”. Pięknie, prawda?

– Pasztuńskie? Pierwsze słyszę... – Kosiński postawił zdjęcie na biurku, miał dość tej udawanej rozmowy. – Pani Lichajowa, pani syn... – zaczął, ale w tym samym momencie zaczął gwizdać czajnik i kobieta ruszyła do kuchni.

– Ja jej wyjaśnię – powiedział ten miejscowy. – Chyba tak będzie lepiej.

I poszedł za kobietą.

Kosiński został, oparł się o biurko i patrzył, jak deszcz spływa po szybie. Tak wcześnie zapada zmierzch w tym cholernym kraju. Po chwili usłyszał, jak upada jakieś szklane naczynie, a potem już było cicho. Kiedy wszedł do kuchni, kobieta zapinała kurtkę.

– Zostanę – powiedział. – Pojedziecie do szpitala, a tu drzwi rozwalone... Popilnuję.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

– Bardzo panu dziękuję, ja zaraz zadzwonię do brata, on się na wszystkim zna, poproszę, żeby wziął jakieś narzędzia, że trzeba drzwi zabezpieczyć. Pan Stefan powiedział, że zawiezie mnie prosto do szpitala.

Mówiła spokojnie i miała pewne, precyzyjne ruchy. Ale łyzy ciekły jej po twarzy.

– No... – Stefan położył Kosińskiemu rękę na ramieniu i pokiwał głową z aprobatą. – Zawiozę panią i dowiem się co i jak. Usiądź sobie, ciepłiwy bądź.

– Proszę sobie zrobić kawę albo herbatę. – Lichajowa już szła do wyjścia. – Znajdzie pan wszystko w szafce, o tam, cukier też.

– A... dobrze, dziękuję pani.

Wyszli.

Kosiński zrobił sobie kawę. Rozpuszczalną, bo to prościej. Syf, ale prościej. W lodówce znalazł mleko. Na środku kuchni leżał rozbity kubek arcoroc, podobno nietłukący, ale jeśli już, to na setki odłamków. Do tego plama po herbacie i torebka na sznurku. Lipton, pomyślał, smak raj. Poszedł do łazienki i nawinął na dłoń gruby kawał papieru. Odsunął skorupy i powycierał podłogę. Wyrzucił tampon do

kubła. Zebrał skorupy. Usiadł na stołku przy stole i pociągnął łyk kawy.

– Orbala – powiedział do siebie.

Siorbnął jeszcze raz. Wyciągnął smartfona. Miał czas. Nie wiadomo, kiedy przyjdzie ten jakiś brat. Wpisał imię do wyszukiwarki. Wyświetliły mu się błogi. Orbala. *Freedom from the Forbidden*. Jak to przetłumaczyć? Wolność od zakazów? Otworzył. To był feministyczny blog pisany przez jakąś dziewczynę, która w dzieciństwie była molestowana przez swojego nauczyciela w szkole koranicznej, a teraz walczyła o prawa kobiet do rozwoju osobistego i zawodowego. Przeglądał te zapisy bez entuzjazmu, bo wydawało mu się, że to takie same bzdury jak te, które znał z polskich mediów. Czy kobiety w Polsce mają jakieś problemy z rozwijaniem kariery? Mało to mamy prezesów kobiet? Szefowych kobiet? Kurwa, wszędzie tylko geje i kobiety. Premier kobieta, prezydent miasta kobieta, w służbie kobiety, biegi dla kobiet, restauracje dla kobiet, wszystko dla kobiet. A teraz przeglądał listę feministycznych lektur dla muzułmanek. To chyba nie jest dobry trop. Otworzył kolejną zakładkę. Feministyczna poezja. A dalej sławni Pasztuńcy. Kilkadziesiąt kobiet i kilku facetów. Co za sfeminizowany kraj!? Dalej były pasztuńskie błogi. Otworzył pierwszy z nich. *Afghan Wife*. Cierpienie afgańskich kobiet w Ameryce. A więc jesteś Afganką, Orbalo topielico, pomyślał. Był tam jeszcze inny link. *Behind the Name*. Nie było wątpliwości. Orbala to pasztuńskie imię. Znaczy tyle, co robaczek świętojański. „Świętojański” słabo mu pasowało do tej islamskiej kultury, ale pomyślał, po raz pierwszy dzisiaj, że popchnął jednak świat do przodu.

Pasztuńskie imię. No tak. Wrzucił do wyszukiwarki „afgańskie zwyczaje”. Całkiem sporo tego. Za dużo. Najwięcej było o weselach. I o tym, że dla Pasztuna syn jest błogosławieństwem, a córka stanowi problem. Cięża utrzymywana jest w sekrecie, wiedzą o niej tylko matka i druga najbliższa kobieta. Jeśli urodzi się chłopiec – cała społeczność wioski będzie świętować. Jeśli rodzi się chłopiec, posłańcy biegną z tą informacją do wszystkich krewnych. Kto pierwszy przynosi wieść o kolejnym krewnym w linii męskiej, otrzymuje nagrodę pieniężną, *zairay*. Ojciec rytualnie zabija kozy i przygotowuje ucztę. Mięso dostają tego dnia także ubodzy i żebracy. Kobiety, które przychodzą z gratulacjami, otrzymują pamiątkowe szarfy. Jeśli urodzi się dziewczynka, nie będzie żadnego spotkania. Nikt się nawet nie uśmiechnie. Ale mułła przyjdzie, żeby pobłogosławić dziecko, niezależnie od tego, czy jest chłopcem, czy dziewczynką... Kosiński znudził się tym opisem.

Wpisał do wyszukiwarki „afgańskie zwyczaje, seks”. Nic ciekawego. Ale czuł, że jest blisko. Wpisał „islam, seks, zabójstwo”. I wyświetlił mu się artykuł z „Wyborczej”. Dobrze, kurwa, że ma ten abonament, bo wtedy widziałby jedynie tytuł i pierwsze zdanie. Tekst był sprzed roku. „Muzułmanin z Niemiec zabił 19-letnią córkę, która próbowała ukraść prezerwatywy”. Pochodzący z Pakistanu Abdullah Khan, imigrant z Darmstadt, przyznał się do zabicia córki, którą przyłapał na przedmałżeńskim seksie. Planował dla niej małżeństwo z innym mężczyzną. Kosiński przeczytał artykuł do samego końca. Dziewczyna wpadła na kradzieży prezerwatywy. Policja zawiadomiła rodziców. Ojciec się wściekł, udusił ją gołymi rękami, a potem wywiózł ciało na wysypisko na wózku inwalidzkim.

„Dziewczyny giną za „splamienie honoru« rodziny, czyli najczęściej za pozamałżeński seks, jednak czasem wystarczy niewłaściwy strój czy »zbyt wyzwolony« styl życia – czytał. – Takie zbrodnie wywodzą się z tradycji plemiennych, dlatego nie pomaga potępienie ich przez muzułmańskie autorytety religijne. Według ONZ co roku ofiarą zabójstw honorowych pada co najmniej 5 tys. kobiet. Jednak przemoc na tle honoru to pojęcie szersze. Poza zabójstwem obejmuje przymusowe małżeństwo, uwięzienie, obrzezanie, oblanie kwasem, gwałt – często zbiorowy. Europejskie tzw. zabójstwa honorowe nie zdarzają się tylko w Niemczech. W ten sposób honor »oczyszcza się« we Francji, Wielkiej Brytanii, Szwecji...”⁶.

Kurwa jego mać!

Wyłączył Internet i wybrał numer Olgi.

Nic. Cisza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

TERAZ

Usłyszała głuchy trzask. Drzwi tkwiły jednak na swoim miejscu. Ktoś za kratką poruszył się, jakby zbliżył oczy do folii, która dzieliła ją od drugiej strony ściany konfesjonału. Ktoś przysunął twarz do kratki. Oczy przybysza były tuż obok jej oczu. Wydało jej się, że są wielkie, białe, wytrzeszczone w jakimś spazmie bólu, może strachu. Zrobiło jej się nagle zimno. Jakby spadła temperatura. To nie był zwykły dreszcz. To był znak. Miała pewność, że ktoś szedł za skrytobójczynią. Pewność, że za chwilę usłyszy strzał. Nie, nie strzał, pewnie jakiś trujący gaz. Usłyszała syk sprężonego powietrza i ściany małego pomieszczenia zaczęły się nagle zaciskać. Jakby wyssała całe powietrze. Dotknęła krtani i poczuła, że puchnie.

– Haaach – wciągnęła z sykiem powietrze, ale najwyraźniej nie umiała go przełknąć, bo w płucach i skroniach poczuła tylko ból. Piekący. Wściekły. Zalała ją fala gorąca. I wilgoć. Pot.

Kopnij, kopnij drzwi, słyszała w głowie, ale teraz, kiedy ściany zacisnęły się wokół niej, było zbyt ciasno, żeby potrafiła zgiąć nogi, więc tylko popychała drzwi kolanami.

– Bla, bla, bla – usłyszała od strony postaci za kratką. Głośno, nisko, jakby ktoś przepuścił dźwięk przez radiowy mikser, zwielokrotnił go i dodał pogłosy. Patrzyła w tamtą stronę i widziała rozszerzone źrenice. Strach albo gniew. Łapała powietrze, jakby chciała je ugryźć, ale było twarde, gorące i miało metaliczny smak.

– Ach! – Usłyszała swój krzyk i próbowała wstać, ale coś ją trzymało, jakby znowu była przypięta pasem bezpieczeństwa do fotela w samochodzie, który obracał się do góry nogami w groteskowo powolnym rytmie. Wszystko wróciło. A ona oglądała to w zwolnionym tempie. Światła przed oczami obracały się najpierw

na bok, potem, po chwili, do góry nogami. Wisiała. Nie było już przed nią żadnej szyby, tylko mokra rzeka asfaltu rozcięta cieniem drugiego auta. Poczwała, że się obraca razem z całym samochodem, w którym wisi do góry nogami i boi się spojrzeć w prawo. Na ten drugi fotel. Nadjeżdżające auto znikło jej sprzed oczu na moment przed uderzeniem, a potem poczuła, że wszystko nabiera prędkości i że wiruje jak na karuzeli. Od dziecka bała się karuzeli. Nigdy nie zapomniała tego strachu, kiedy drzewa, niebo, dalekie domy i kolorowe budy cyrkowych artystów rozmyły się w jedną niebiesko-żółtą masę i zaczęła dusić się od krzyku. Zaciśnięła powieki, a kiedy je otworzyła, znowu była w ciemnym brzuchu konfesjonału, który połykał ją kęs po kęsie. Nagle zapragnęła żyć, zerwać ten łańcuch, pas czy cokolwiek ją tak dusiło, ale kiedy spróbowała podnieść do góry dłoń, ściany ścisnęły ją z taką siłą, że rozprysnęły się jak suche patyki, i zrozumiała, że nie będzie już więcej oddychać.

– *Dobrych i poleznych duszom naszym i mira mirowi u Gospoda prosim* – mówił ksiądz Ihor. – *Proczeje wremja żywota naszego, bezboleznieny, niepostydny, mimy i dobrago otwieta na Straszem Sudiszczy Christowie prosim.*

Nagle ludzie zaczęli krzyczeć, więc ksiądz Ihor przerwał modlitwę i podniósł ręce do góry, żeby ich uciszyć. Przeszło mu przez głowę, że może zaczęła się kolejna wojna.

Ale nie. Kobiety krzyczały i pokazywały na coś po lewej stronie. Wahał się przez chwilę, bo to poważna decyzja, czy przerwać rytuał, czy nie, ale przecież był w chwili, w której trzeba się podzielić pokojem, więc pomyślał, że to odpowiednia chwila i że musi iść, czynić pokój. Zbiegł ze stopni ołtarza i poszedł szybkim krokiem w kierunku zgromadzenia, a kobiety rozstały się przed nim, jakby był Mojżeszem.

Krzyczały, że ktoś jest w konfesjonale, ale to było niemożliwe, bo dziś przecież był tutaj, na parafii, całkiem sam. Drzwi konfesjonału były zamknięte, ale skobelek na łańcuszku kołysał się jak wahadło.

– *Szczo tam, szczo tam wydbuwajutsja?* – zapytał, ale nie zrozumiał nic z tego jazgotu, bo wszystkie zaczęły mówić naraz.

Otworzył drzwi. W środku była kobieta. Miała rozpiętą kurtkę, bluzkę w nieładzie, rozerwaną pod szyją i wytrzeszczone, szklane oczy. Wokół ust spienioną ślinę. Dookoła jej nóg leżały rzeczy, które wypadły z torby. Torba na kolanach

Nie żyje, pomyślał. Chrystusie nazareński, nie żyje.

Ale wtedy zajęczała, czy może to było rżenie, nie wiedział. Wyciągnął ręce, chwycił ją za poły kurtki i wyszarpnął z konfesjonału, a ona nagle ożyła, zacisnęła mu ramiona wokół szyi. Chwytała powietrze jak ryba.

– *Wsie dobre.* – Pogłaskał ją po policzku. – *Wsie dobre.*

Pomyślał, że wariatka. Była zlana potem. Jakby spadł na nią deszcz. Pokazał gestem kobietom, żeby się rozstały, i położył tę dziwaczkę delikatnie na podłodze. Poddała się temu, ale nie chciała go puścić i teraz klęczał nad nią pochylony w dziwnej pozycji, i zaczęły go boleć plecy. Takie numery to nie na zdrowie księdza Ihora.

– *Wsie dobre.* – Sięgnął ręką i delikatnie oderwał jej dłoń ze swojego karku.

Kobieta zaczęła coś mówić, ale przez te jej zaślinione usta nie zrozumiał.

– *Szczo? Ja ne zrozumiw...*

Otarła usta. Popatrzyła na niego przestraszonymi oczami.

– Gdzie ja jestem?

– Ty Polka? – Wciąż głaskał ją po policzku.

– Polka.

– Ty we Lwowi, córuchna. – uśmiechnął się. – *Ty w spowydalniu weszła. Ja ni wim po szto.*

– Przepraszam. – Szarpnęła się, żeby wstać, i wtedy nagle zobaczyła całe to zgromadzenie. Kobiety pochylały się nad nią jak stado ptaków nad pisklęciem. Milczały. Wtedy wróciła jej pamięć. Rozejrzała się jeszcze raz. Gdzieś tam, pośród tych wszystkich oczu, była zabójczym.

– Muszę wstać – powiedziała i ksiądz odsunął się, zrobił jej miejsce.

Jakaś młoda dziewczyna podała jej torbę, a Serbia, wciąż siedząc na płytach posadzki, niemal wyrwała ją z rąk obcej kobiety.

– Przepraszam – zreflektowała się. – Bardzo przepraszam.

– Ty co robiła w spowydalni?

– Gdzie? – nie rozumiała. Czuła się szczęśliwa, że przeżyła. Nie miała przecież ataku już od kilkunastu miesięcy.

Chciało jej się płakać. Kobiety obstały ją blisko, ale już się nie bała. Zabójczyni nie będzie chciała jej zabić, to byłby absurdalny pomysł. Kobiety miały w oczach troskę. Nie śmiały się z niej i nie patrzyły jak na dziwowisko. Patrzyły

jak na kogoś, kto potrzebuje pomocy.

– No, w spowydalni? – powtórzył ksiądz. – W spo-wy-dal-ni.

Otarła twarz wolną dłonią. Mokra. Zaczęła grzebać w torbie. Był tam straszny bałagan. Dziewczyna powrzucała wszystko jak leci. Chryste, jak dobrze, że bronie nie wzięłam. Tobi dopiero było. No, gdzie te chusteczki...

Wytarła czoło i kark.

Zaczynała wracać do siebie.

– W spowydalni... w spowydalni? A, w konfesjonale. Usiadłam tam, bo bardzo źle się poczułam. W ciąży jestem, no i czasami robi mi się słabo – kłamała jak z nut. – I drzwi się zatrasnęły... Przestraszyłam się. Przepraszam bardzo. Już pójdę.

– Naprawdę? Ty już dobrze czujesz się?

– Tak – odetchnęła. – Bardzo dobrze. Dziękuję. I przepraszam, że narobiłam zamieszania. Ja się chyba boję zamkniętych pomieszczeń.

Kobiety zaczęły szeptać między sobą: ciąża, dziecko... *Wahitnist, wahitnist, dytyna.*

– No dobrze, dziecko. – Kapłan zrobił jej na czole znak krzyża, a ona nawet nie pomyślała, że powinna zaprotestować. Jego kciuk był ciepły i ostry. Oderwał dłoń od jej czoła, a wciąż czuła, jak ją pali ten znak.

Poprowadził ją w kierunku krzesła. Usiadła.

– No jak? Nie omdlejesz już?

– Nie, nie, już wszystko w porządku, ojcze. Posiedzę, odpocznę, już dobrze.

Któraś z kobiet pogłaskała ją po plecach i Serbia odkryła, że to jej sprawa przyjemność.

Gromada powstała nad nią jeszcze chwilę, pokiwała głowami. W końcu ksiądz powiedział kilka słów i ruszył w kierunku ołtarza. Kobiety pospieszyły za nim. Serbia oddychała spokojnie. Patrzyła za nimi ciekawa, czy któraś się odwróci. Była pewna, że zabójczym odwróciłyby się, żeby udawać zaciekawioną. Jedno krótkie spojrzenie i szłyby dalej. Odwróciły się trzy. Jedna jej pomachała. To była ta młoda, która pozbierała rzeczy do torby. Za młoda na tę, której szukała...

Olga poszła w kierunku wyjścia. Swoją drogą, zabójczynie nieźle odrobiła lekcję. Nie potrzebowała kłódki, żeby uziemić Serbię. Wystarczyło, że powiedziała o zamknięciu. W każdym razie wiedziała. Kurwa, wiedziała wszystko. Skąd mogła wiedzieć, że od wypadku Olga boi się małych zamkniętych przestrzeni? Od

psychoterapeuty? Od Siwego... Oczywiście, że od Siwego! Ich coś łączy.

Wyszła przed kościół. Deszcz padał. Tramwaj dziesiątka przetoczył się z hukiem z prawej na lewo. Po drugiej stronie ulicy stały zwyczajne dwupiętrowe kamienice. Drzewa bez liści były szare i zbędne. Ludzie przemykali pod parasolami. Ruszyła przed siebie.

I wtedy przypomniała sobie o teczce. Zawróciła pełna najgorszych obaw. Słyszała, jak ksiądz kontynuuje modlitwę. Miała nadzieję, że nie spojrzy w jej stronę. Doszła do konfesjonału, zdjęła skobelek i otworzyła drzwi. Wsunęła rękę pod poduszkę. Uf. Wyciągnęła teczkę. Nie było czasu, żeby ją przeglądać. Wsunęła pod kurtkę i ruszyła do wyjścia.

Przed kościołem rozejrzała się, ale świat wyglądał tak samo ponuro jak wcześniej. Żadnych pijaczków. Żadnych stojących pod drzewami przechodniów. Deszcz był jej sprzymierzeńcem. Nikt nie będzie udawał spacerowicza.

Pociąg miała jakoś koło dwudziestej drugiej. Do Krakowa. Dalej Intercity do stolicy. Cholera. Musiała coś zjeść. Ale nie miała tych ich pieniędzy... No, ale może zapłacić kartą przecież. Naprzeciwko kościoła była jakaś restauracja. Kartoflana chata...? No, może skóry z niej nie zedrą.

Przeszła przez tory tramwajowe. To nie było nic specjalnego. Ot, zwyczajna sieciówka. Wzięła jakąś zupę i kartoflane kluski z sosem. W każdym razie taką miała nadzieję. Usiadła blisko okna, bo był tam grzejnik, a jej wciąż było bardzo, bardzo zimno. No właśnie. Nie pomyślała o herbacie. Wstała i zrobiła dwa kroki w kierunku lady, ale zawróciła i wzięła torbę ze sobą. Nigdy nie wiadomo, kto ma na ciebie oko. Zamówiła dwie herbaty. Jedną od razu, a drugą po zupie. Uśmiechnęła się do dziewczyny przyjmującej zamówienie. To naprawdę niezwykle, że można mówić po polsku i ludzie cię rozumieją.

Powinna zadzwonić do Siwego. Wymacała smartfon w otchłani torby. Ekran był martwy. Dziwne. Wcisnęła włącznik. Odczekała chwilę i zobaczyła komunikat: BRAK KARTY SIM.

– Co jest, kurwa?

Powtórzyła operację, ale komunikat nie zniknął. Wyjęła telefon z etui... Kurwa, no, potrzeba tego drucika... Wciąż pod pachą ścisnęła tę kartonową teczkę. Wyjęła ją i położyła na stole. Kartonowa okładka, którą już widziała. Otworzyła. Nie było zdjęć z wypadku. Dokumenty były spięte zszywaczem. Odgięła drucik i wydłubała

go spomiędzy papierów. Wsunęła w otworek w obudowie smartfonu i szufladka odskoczyła.

Miejsce po karcie SIM było puste.

– Kurwa, to ta mała suka! Musiały być tam we dwie. – Chciała się zerwać, biec do kościoła, ale przecież to głupiego robota, już ich tam dawno nie ma. Może mogłaby sporządzić portret pamięciowy tej małej. Chustka na włosach, nawet by nie umiała podać długości ani koloru. Ale odciski palców na smartfonie, na teczce... Nie umiała sobie przypomnieć, czy dziewczyna miała rękawiczki. No, tylko co z tego, że zostawiła odciski? W jakiej bazie danych ich szukać? Kurwa mać!

– Smacznego – uśmiechnęła się dziewczyna, która przyniosła jej zupę. – *Juszka*, no, ten... bulijon.

Zupa była gorąca. Pyszna zacierkowa kartoflanka. Jak z rodzinnego domu. Serbia uśmiechnęła się do kolejnej łyżki.

Patrzyła na papiery w otwartej teczce. Tak, to były te z wypadku. Jadła i przekładała strony. Ale nie miała ochoty ich czytać. Patrzyła na słowa, które już przecież знаła, w nadziei, że ułożą się nagle w zupełnie inne słowa. Ale nie chciały się układać.

Nie umiała postawić sobie żadnych nowych pytań.

Po dziesięciu, jedenastu stronach była czysta kartka. Nie żaden protokół, ale zwyczajna kartka z atramentowej drukarki.

Z kilkoma zdaniem napisanym po angielsku: „*Who was Ruski?*

How old he was? Where is the baby?”. Kim był Ruski? Ile miał lat? Gdzie jest dziecko?

– Co to ma być, do kurwy nędzy? – mruknęła.

Ale przecież wiedziała, co to jest. To był list. I ten list był właśnie do niej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

TERAZ

Kosiński próbował dzwonić raz po raz. Serbia nie odbierała. Teraz to już naprawdę się martwił. Nigdy jej się nie zdarzyła taka sytuacja. Może ma jakiegoś gacha? Nie... No, przecież nie, nie ona. Chociaż ostatnio była jakaś inna. Jak przyjechała z tego, gdzie to tam była w delegacji... to inna była. Śmiała się.

A przecież nigdy się nie śmieje. Żartuje, ale się nie śmieje.

Włączył radio. Adele śpiewała, że jest w Kalifornii i śni się jej, jacy kiedyś byli, w czasach gdy oboje byli młodzi i wolni... Lubił tę piosenkę, więc przez chwilę skupił się na niej, a potem, kiedy dżingiel Radia Zet przywołał go do porządku, znowu wrócił myślami do Serbii. No, gdzie ona się podziewa, do jasnej cholery?

Wykręcił numer, ale usłyszał tylko trzy krótkie piknięcia i koniec.

Szef coś wie. Na pewno. Za spokojny był. Za szybko odbierał telefon. Może ona chora jest? Ale że co? Znowu? Przecież się pozbięrała... Zaraz, to dzisiaj piątek, *Lista Przebojów Trójki*. Zaczął kręcić gałkami, bo to przecież, do jasnej cholery, jest stary samochód. Oglądasz amerykańskie kryminały i jakie mają samochody? No jakie? Nowe. Mają nowe samochody. Zajebiste. Kabriolety. A ty co masz? Masz samochód z gałką do kręcenia... Cholera, jakbym jakiejś dziewczynie powiedział, że chcę auto jak z *Miami Vice*, toby nie zrozumiała... Kto dziś ogląda takie stare filmy? Dzisiaj to Netflixy, a nie tamte heroiczne czasy, kiedy policjanci byli przystojni, inteligentni i męscy. Przydałby się nowy samochód. Ale pieprzona terapia kosztowała go tyle kasy, że mógłby sobie kupić nowego seata. Albo hyundaia.

– No i co czuleś? Naprawdę? – przedrzeźniał na głos panią terapeutkę, która robiła notatki i rzucała mu jasne, otwarte spojrzenia, gdy jej opowiadał, jak obcy mężczyzna złapał go kiedyś za krocze. – Ufff. – Ustawił wreszcie na 98,8

megaherca.

– Czternastym z szesnastego, dwadzieścia jeden tygodni na liście: Maria Peszek i *Samotny tata* – usłyszał głos Piotra Barona. A zaraz potem: „Samotny tata szuka... samotnej mamy. Tak że tak, taki świat i taka sytuacja. Kartka. Na drzewie kartka. Na wietrze. Samotny tata. Zimne powietrze...”.

Wtedy też było zimne powietrze. Kąpali się u gospodarza, który im pozwolił skorzystać z łazienki. Pamiętał, szedł tam ze stodoły, a noc była taka ogromna. Wydawało mu się, że widzi Drogę Mleczną. I w ogóle, że Bóg na niego patrzy. Szczęśliwy był. A potem kucał nad wielką zieloną miednicą. W kilku miejscach farba się zniszczyła i miednica była w tamtych miejscach czarna. Kucał i mył sobie tyłek. Po kilku dniach pocenia się w drodze był poodparzany. I nagle wszedł Mariusz, w koszuli i w spodniach. Zamknął drzwi i wtedy, jak Kosiński podniósł głowę, to przyklęknął, wziął mydło w ręce, narobił piany i tą namydloną ręką dotknął mu chuja.

– Tak. Tak, słucham. – Pani terapeutka zrobiła kilka notatek i starała się patrzeć mu w oczy, ale on już widział takie numery nie raz i nie dwa. Udawała. Gównu ją to obchodziło, że odepchnął Mariusza, zabrał swoje rzeczy i choć to była noc, a on nie miał pojęcia, gdzie są, to zabrał swoje rzeczy, byle jak do plecaka powrzucał i poszedł nocą na drogę, żeby czym się da wracać do Warszawy. Dwanaście lat. Dwanaście i pół. Niewiele jak na taki nocny autostop. Martwił się, że nie wszystko spakował. Na pewno coś zostało. Ojciec będzie wściekły, że dał mu pieniądze, kupił ten cały sprzęt na drogę, a on pogubił. Zmarnował. Ojciec tak się zaharowuje, żeby im niczego nie brakowało. Ciekawe, czego zapomniał. Może latarki? Teraz by się przydała latarka, ale nie może się przecież zatrzymać. Kto się zatrzyma – znaczy, zwątpił. A jak zwątpił, to znaczy, że stchórzył. Nie miał pojęcia, czy to, że uciekł, znaczyło, że stchórzył, czy raczej, że miał odwagę.

– No, a dzisiaj? Co pan o tym myśli dzisiaj?

– Gównu.

– Przepraszam? – Poprawiła okulary.

– Gównu. – Wstał i wyszedł.

Od tej pory miał już nie chodzić na żadne terapie, tak jak wówczas przestał chodzić na ministranckie spotkania, nie jeździł na pielgrzymki i w ogóle nie chodził do żadnych kościołów.

„Połóż usta na powiekach. Wiem, to się raczej nie zdarzy, ale jestem. Czekam. Nie szukam lali z portali. Szukam mamy dla Ali, samotnej jak ja...”.

Wciągnął nosem smarki. Kurwa. Cholerna terapeutka. Zmusiła go, żeby to sobie przypomniął. Zmusiła go tym udawaniem, że tak słucha. Że notuje. Co on, kurwa, nie wie, jak się notuje? Pewnie sobie rysowała kwiatki, torebki Pierre'a Cardina czy tam nie wiadomo co, buty może albo perfumy Chanel numer pięć. Zmusiła go. A mógł sobie samochód kupić. Ale wrócił. Można się od terapii uzależnić jak od wódki?

Kurwa, że tam w ogóle musiał iść.

No, musiał. Po tym, jak uderzył tego gościa, co się umawiał z dwunastolatkami, wysłali go do psychologa i tak od słowa do słowa z tymi konowalami, nie wiesz, kiedy cię opętają. Zupełnie jak księża. Takie piękne słowa. Zbawienie, kurwa jego mać, Droga Mleczna. Pokażę ci Drogę Mleczną, chcesz?

Podkręcił radio.

„Hańbą udawać jest nieść demokrację,
która dla ropy stanowi rację.

Tyle pieniędzy brudnych pod stołem,
ty takiej hańby jesteś sponsorem.

Niemniej gdy czytam o tym od lat,
na tym właściwie oparty jest świat.

Leci wiadomość po Internecie.

I od razu wiecie.

Wstyd”.

– Wstyd, wstyd, wstyd – śpiewał z Kazikiem. Jakby mógł jeszcze raz przypierdolić w ryj temu doktorkowi, co się zabawiał z chłopcami w sieci, toby mu przypierdolił mocniej. W chuja go powinien kopnąć, ale przecież doktorek siedział. Siedział, kurwa, na ławce w Łazienkach. Ciota przebrzydła. W mordę mu dał na dzień dobry. A potem go już przytrzymali, więc kopnięcie nie mogło być wcale aż takie mocne. No i nie wiadomo, jak tamten sobie głowę rozbił o ławkę. Pewnie się potknął i stąd to wszystko.

Znowu wciągnął gila.

Poczuł, że mu w kieszeni terkoce telefon. Chwilę trwało, zanim wygrzebał go z

kieszeni. Szybko jechał. Może za szybko.

– Stefan mówi – usłyszał.

– Jaki, kurwa, Stefan?

– Stefan ze Skierniewic, byliśmy razem u tej Lichajowej. Wiem, że miałeś ciężki dzień, ale nie musisz na mnie kłaść, ze szpitala dzwonię.

– Przepraszam cię, serdecznie cię przepraszam, nie skojarzyłem! – starał się przekrzyczeć radio. – Czekał chwilę, radio ściszę.

Nie mógł puścić kierownicy obiema rękami. Ręką, w której trzymał telefon, wcisnął klawisz i Kult urwał swoją pieśń w pół taktu. Teraz Kosiński słyszał tylko łomot zimowych opon po asfalcie. Stare samochody nie mają wyciszonego wnętrza.

– Tak, słucham cię. Jeszcze raz przepraszam. – Znowu poczuł, że smarki mu płyną pod nosem. Rozkleił się jak dziecko.

– No. Chłopak będzie żył, mówią te nasze konowały.

– Jak konowały, to nie wiadomo, czy będzie.

– Żartowałem, to doskonały szpital jest. Wojewódzki.

– Jak wojewódzki? W Skierniewicach macie wojewodę?

– No nie, ale mieliśmy kiedyś. Mieliśmy wojewodę, co się znał na koniach.

– Nie rozumiem. – Kosiński czuł, że napięcie mija, robiło mu się wreszcie ciepło.

– No, na koniach się znał. Był dyrektorem stadniny czy coś. A potem go dali na wojewodę. Ale nie o tym miałem ci powiedzieć, tylko o chłopaku.

– No?

– No, więc w śpiączce jest.

– Co ty pieprzysz? – Kosiński się przestraszył, znowu oblał go zimny pot. – Mówiłeś, że będzie żył.

– Tak mówią, ale mówią też, że na razie musi być w śpiączce, żeby mu się wszystko tam pozrastało. Uspili go do tej operacji i okazało się, że ma, poczekaj chwilę, niech znajdę. – Kosiński usłyszał szelest kartek. – O, mam... no, ma obrażenia wielonarządowe. Obrzęk mózgu i krwihak. Poważne uszkodzenie lewej kości skroniowej, stłuczenie płata czołowego. Jedna noga złamana w czterech miejscach, druga też złamana i coś tam z organami wewnętrznymi. Za dużo by wymieniać. Jest też pęknięcie kości krzyżowej, ale reakcje czuciowe są, więc

mówią, że będzie chodził, chociaż nie będzie chodził zbyt szybko.

Milczenie.

– Teraz mi to wytłumacz na polski.

– No, obrażenia są poważne. Lekarz, znam go, jest doskonałym chirurgiem i niejednego już przywrócił do życia, mówi, że chłopak młody, że się pozbiera, ale na razie nie będzie z niego żadnego pożytku dla firmy, bo musi być w śpiączce. To sztucznie wywołana śpiączka. Muszą chronić mózg przed nadmiarem niekorzystnych bodźców. Żeby mu się te kości pozrastały, musi być w bezruchu. No i lepiej dla organów wewnętrznych, jeśli będzie na tych kroplówkach i będzie się załatwiał do rurki.

– Długo to potrwa?

– No, będą go wybudzać za kilka, kilkanaście dni. Ale może być tak, że nie będzie na początku kojarzył. Wiesz, ten doktor mówi, że ludzie po takim spaniu to na początku mają amnezję. A samego momentu wypadku to na pewno nie będzie pamiętał, więc rozumiesz, jeśli potrzebujesz jego zeznań, to musisz być cierpliwy.

– Hm... zeznań z wypadku nie potrzebuję. Muszę po prostu wiedzieć, kogo się bał. Wiesz, jeśli on nie rozpoznał, że jestem z policji, to na pewno pomyślał, że przyszedłem mu zrobić krzywdę. Uciekał jak kompletny desperat.

– A jeśli poznał, że jesteś z policji?

– To znaczy, że jest popieprzonym sadystą, który zabił swoją dziewczynę, zadając jej kilkadziesiąt uderzeń jakimś obłym narzędziem albo ją po prostu ukamienował.

– Sporo gadałem z jego matką. Dzielna kobieta. Wiesz... Gdyby był psychopata, to pewnie by wiedziała, co?

– Każdy ma jakieś sekrety.

Milczenie. Długie milczenie.

– Halo, jesteś tam jeszcze? – sprawdził Kosiński.

– Tak. Każdy ma jakieś sekrety. No, to ja miałem tyle. Komendant dał ludzi, będą go pilnować. Ale połamany nie ucieknie.

– Raczej trzeba pilnować, żeby jemu ktoś nie zrobił krzywdy. Więcej krzywdy żeby nie zrobił.

– Jak więcej?

– No... więcej niż ja.

– Nie obwiniaj się. To ci nie pomoże. Zaufaj starszemu koledze. Naucz się nie obwiniać. Inaczej świata nie zbawisz. Musisz rozróżnić to, co od ciebie zależy, od tego, na co nie masz wpływu. Jeśli się nie nauczysz, to lepiej odejść z tej firmy, póki jeszcze możesz.

– A jak się nauczę?

– Jak się nauczysz, to zbawisz. Może nie cały świat, ale chociaż kawałek. Bez odbioru.

Kosiński jechał jakiś czas w milczeniu. Cisnął do dechy przez ten deszcz. Znowu chciało mu się wyć. Kurwa, zepsuł chłopakowi nogi i rozwalił głowę. Jak ma uszkodzenia mózgu, to całkiem chujnia... Jak to powiedział Stefan? Nie obwiniaj się. Jak się, kurwa, nie obwiniać?

Zatęsknił za tym, żeby przytulić się do kogoś, przy kim nie byłoby wstyd się rozmazać. Kurwa, nie być twardym. Powiedzieć wszystko i mieć pewność, że cię nie odepchnie. Nie wciągać brzucha. Nie udawać.

Włączył radio.

Nie znał tej piosenki. Korteż. Szło tak:

„Pewnie ciągle ci się zdaje,
że niejedno już widziałeś,
niech się tylko skończy dzień
i król weźmie, czego chce.
Będzie krążył po ulicach,
będzie ubaw jak na filmach.
Powiedz, czy się kiedyś bałeś,
że na zawsze będziesz mały.
Wracaj do domu, jeszcze czas...”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

TERAZ

Serbia miała dobre miejsce. Łóżko w sypialnym pociągu. Luksus. Ciepło. Dobrze. Bezpiecznie. Mogłaby spać, ale przecież była ciekawa zawartości papierowej teczki. Wieczorem, kiedy już we Lwowie przestało padać, spacerowała po Starym Mieście, przekonana, że tamta jest już daleko i że nikt jej nie szuka. Że nikt za nią nie idzie. Teraz, kiedy nie była już zamknięta w żadnym małym i ciasnym pomieszczeniu, widziała własny lęk we właściwym świetle. Ktoś zadał sobie bardzo wiele trudu, żeby dać jej ślad w sprawie, w której nie chodziło o zabójstwo. Tego była już pewna. Nie kryli przed nią, że Benedykt Barcikowski mógł być zabity, a wypadek upozorowany dla zatarcia śladów. Tyle że w sądzie nikt by w to nie uwierzył. Co miała do powiedzenia? Że spotkała się z zabójczynią niewiomego pochodzenia w jakimś lwowskim kościele i miała atak paniki? Że dostała od niej zdekompletowaną teczkę z dokumentami, jakich nie powinien posiadać były komendant Konrad Ruski? Przecież każdy sędzia miałby natychmiast pewność, że to ona, Olga, wzięła teczkę z szafy Ruskiego. Co miała poza tym? Ruski nie żył, a Olga była ostatnią osobą, z którą rozmawiał. Zmarł z powodu zatrzymania akcji serca.

Jeśli Ruski oddał tamtej teczkę dobrowolnie, to nie miałyby powodu, żeby uczynić krzywdę staremu człowiekowi. Ale czy mógł ją oddać dobrowolnie? Skoro dzwonił do niej, to mógł. Ale to zabójczynie twierdzi, że Ruski do niej dzwonił. Więc może wcale nie zadzwonił? Może ona kłamie. Ale jeśli kłamie, skąd wiedziałyby o wizycie Olgi?

Od Siwego. Siwy musiał być kluczem. Siwy umówił Olgę z Ruskim. Siwy dał Oldze telefon, na który zadzwoniła tamta kobieta.

Kim jest Siwy? I dlaczego posłał ją w tę drogę? Jest chory. To nieuleczalna

choroba. Siwy chce załatwić jakieś stare sprawy, to oczywiste.

Na początku sądziła, że chodzi o to, by sprawdziła, czy to był wypadek, czy zabójstwo. Ale teraz miała pewność, że idzie o coś zupełnie innego.

Ale o co? Czego powinna szukać?

Rozwiązała sznureczek, właściwie tasiemkę. Czerwona tasiemka. Pomyślała, że ktoś, kto zaprojektował te okładki do akt, był poetą. Na samej górze leżała kartka. List.

Who was Ruski? How old he was? Where is the baby?

Kim był Ruski? Konrad Ruski... Pamiętała, jak wyglądał, na tym swoim wózku. Pił. Pił i nie było śladu po tym, jak dużo. Słyszała te legendy o ludziach ze służb, z tamtych służb, z PRL, że trenowali picie w taki sposób, żeby nigdy nie tracić koncentracji. Podobno cały sekret w tym, że istnieje moment nasycenia, kiedy organizm nie wchłania już więcej alkoholu, wydała go w całości przez mocz, przez skórę. I do krwi nie trafia go zbyt wiele. Dlatego trzeba wypić szybko odpowiednią dawkę. Dla tych, co nie mają rozpoznanego poziomu przyswajania, to zabójcza konkurencja. Zawsze wydawało się jej, że to bajka. Jedna z miejskich legend. Dzisiaj z legend youtubowych, bo małym ludziom zdaje się, że wszystko, co odkrywają, odkrywają jako pierwsi.

Co jeszcze wie o Ruskim?

Przypomniał jej się pan prokurator z IPN. Jakie on nosił nazwisko? Cholera, powinna to wiedzieć przecież. Ale co powiedział? „Czego taki ktoś może nauczyć policjantkę z wolnego kraju? Przecież to był, proszę pani, esbek. Robił złe rzeczy całe życie”... Więc pan prokurator wie o Ruskim coś więcej.

Feliński, ciekawe, z kim on spędza dzisiejszy wieczór... Uśmiechnęła się. Feliński mówił, że Ruski był komendantem w województwie. A potem, że sobie wybierał sprawy. Ostatnią teczką w jego kolekcji była ta ze sprawy wypadku Barcikowskiego. A pierwszą była sprawa Czarnego Janka. Ruski nie był wtedy jeszcze nawet milicjantem. Co to w ogóle za sprawa? Jakaś archeologia.

Ale skoro Feliński dostrzegł tę numerację, to najwyraźniej musiało być ważne. Wszystko co nietypowe jest ważne. To jedna z pierwszych lekcji, które wyniosła ze szkoły. Nietypowa sprawa. Ważna.

Zapamiętała, żeby się temu przypatrzeć.

Zaczęła przeglądać zawartość teczek. Przeczytała jeszcze raz zeznania i

protokoły. Nic, co mogłoby się przydać.

Ale potem trafiła na kserokopie jakichś dokumentów. Niewyraźne pismo, nie komputerowe, ale maszynowa przebitka z czasów, kiedy pisało się na maszynie przez kalkę, albo nawet kilka kalek. Ostatnie strony były wówczas nieczytelne i pobrudzone od kalki przesuwaną się pod naciskiem wałka maszyny do pisania.

Komitet d/s Bezpieczeństwa Publicznego

DF/21/kbp/InsPrzew/55

Na podstawie Uchwały z dn. 11 marca 1955 r. o zasadach pracy z agenturą, prowadzeniu rozpracowań agenturalnych i ewidencji operacyjnej oraz instrukcji przewodniczącego KdsBP: nr 03/55 o zasadach prowadzenia rozpracowania agenturalnego i ewidencji operacyjnej w organach bezpieczeństwa publicznego:

Informuję, że pozyskany do współpracy kontakt DF podpisał stosowne zobowiązania. Zgodnie z instrukcjami kandydat powinien posiadać polecenie partyjne, ale w związku z przestępczą przeszłością kandydata uzyskanie takowego nie jest możliwe. Nie jest możliwe wypełnienie warunku, żeby kandydat nie był karany oraz żeby nie posiadał wśród znajomych wrogów Polski Ludowej. Kandydat odbywa karę za udział w grupie zbrojnej powołanej celem obalenia demokratycznego polskiego rządu. Tym niemniej z całą mocą mojego autorytetu udzielam kandydatowi rekomendacji celem przyjęcia go do służby w resorcie. Jego kontakty i opinia, jaką posiada w środowisku przestępczym oraz wśród niedobitków wrogów ustroju demokratycznego, stanowią jego atut niezaprzeczalny, a pozyskanie kandydata do służby operacyjnej uważamy za poważny sukces w naszej pracy ku chwale Partii i ojczyzny.

Kandydat posiada silną motywację osobistą, jako że zdradzony przez swoich współkompanów pragnie powziąć odwet. W bandzie, w której działał, zajmował się fabrykowaniem dokumentów i posiada w tym względzie wybitne zdolności. Charakteryzuje się nadzwyczaj wysokim poziomem intelektualnym, jest wykształcony, posiada maturę i gotowy jest do podjęcia studiów. W więzieniu, osadzony ze zbrodniarzami hitlerowskimi, posiadał umiejętność komunikowania się w języku niemieckim. Z obserwacji wynika, że kandydat

może być bardzo przydatny.

Jedynak Bonifacy

(-) Naczelnik Sekcji Ewidencji Operacyjnej

– Ha... – westchnęła.

Dalej były kolejne kserokopie, ale oryginały musiały być tak niewyraźne, że nie potrafiła odczytać nic.

Ważniejsze od tego, co czytała, było to, że nie pamiętała, żeby te papiery były tutaj za pierwszym razem, kiedy miała w rękach teczkę. Skąd się wzięły? Ruski je włożył, zanim zabójczyni wzięła tę teczkę, czy też podłożyła je ona sama?

Cholera jasna. Tego się już nie dowie.

Dalej był list. Odręczny, kaligrafowany ładnym, pochyłym pismem kogoś, kto często korzystał z wiecznego pióra.

„Szanowny Panie Towarzyszu Poruczniku

W marcu bieżącego roku odwiedziłam moje koleżanki w szpitalu wojewódzkim i w trakcie rozmowy Agnieszka Wójcik przypomniała sobie o listach, jakie Pan Towarzysz Porucznik adresował na ręce naszego nieżyjącego już kolegi, pana doktora Wolańczyka. Listy w ilości sztuk trzech leżały w szufladzie w biurku w dyżurce położnych od dwóch lat. Były nierozpieczętowane i nikt nigdy o nie pytał, więc postanowiłyśmy, że nikomu nie przyniesie krzywdy, jeśli je przeczytamy. Pan doktor Wolańczyk nie był w posiadaniu rodziny i nie było komu tych listów przekazać.

Przeczytałyśmy listy i zostałam poruszona ich treścią, bo w tamtym czasie asystowałam panu doktorowi w szpitalu więziennym jako asystentka i wspomnienia tamtego czasu jak żywe powróciły do mej pamięci.

Tak, przypominam sobie kobietę Kwiecień Annę, lat dwadzieścia, miejsce urodzenia nieznane, adres zamieszkania nieznany. Czy odpowiada rysopisowi, jaki pan przytoczył, nie umiem powiedzieć, bo w czasie kiedy przebywała na oddziale, widziałam ją zawsze tylko leżącą i z bandażem na głowie. Miała, jak wszystkie te dziewczyny, ostrzyżoną głowę i nie umiem powiedzieć, czy miała włosy blond, długie, jak pan o to pyta. Procedury, jakie ustanowiono, nie pozwalały nam na kontakty z więźniami, ale wiem, że była to Kwiecień Anna, ponieważ kiedy

przywożono ją na oddział, mającyla w gorączce i takie właśnie podawała nazwisko. Powtarzała »Nazywam się Anna Kwiecień, lat dwadzieścia«. Powtarzała to przez cały czas.

Jeśli jest to osoba, jakiej poszukuje Pan Towarzysz Porucznik, mogę potwierdzić, że istotnie była w szpitalu w ciąży, gdyż byłam obecna przy urodzeniu dziecka. Dziecko zgodnie z decyzją przełożonych zostało przekazane do sierocińca jako n/n z decyzją o możliwości adopcji.

Tej samej nocy Kwiecień Anna zmarła. Przyczyn śmierci jej nie znam, bo nie byłam obecna przy sekcji zwłok, jeśli w ogóle była taka sekcja. Mówimy przecież o kobiecie, która należała do przestępczej organizacji i jej śmierć była przyjęta przez personel szpitalny z ulgą.

Wiem, że minęło już wiele czasu, odkąd przysłał Pan swoje listy, ale być może moje wyjaśnienia okażą się dla Pana Towarzysza Porucznika pomocne. Jeśli tak, to ja oczywiście mogę je powtórzyć do protokołu oraz w sądzie. Gdyby to jednak wiązało się z koniecznością wyjazdu do Warszawy, to proszę uwzględnić ograniczone środki pieniężne, jakimi dysponuję, i zapewnić mi zwrot kosztów podróży.

Lewkowicz Jadwiga, emerytowana pielęgniarka”.

Serbia wpatrywała się w niewyraźnie odbite litery i rozumiała z tego wszystkiego coraz mniej. Ale był w tym, jedno mogła powiedzieć na pewno, jakiś bezbrzeżny smutek.

– A więc jest w tej sprawie jakieś dziecko... – Spojrzała na te trzy zdania, które nie dawały jej spokoju: „*Who was Ruski? How old he was? Where is the baby?*”.

Sięgnęła po przedostatnią kartkę.

Kserokopia maszynopisu.

Szanowny Panie. Dom Dziecka Wrocławskiej Spółdzielni Mieszkaniowej uległ likwidacji, a dzieci przewiezione zostały do Ośrodka imienia Synów Pułku w Bystrzycy Górnej.

Z poważaniem

Zarębska.

Ostatnia karta.

W dokumentach Domu Dziecka w Bystrzycy Górnej urodzonych w roku 1953 chłopców zapisanych jest jedenastu. Nazwisko Kwiecień nie figuruje.

S. Bernadetta

Jak brzmiały słowa, które Ruski powiedział zabójczynie? „Nie jestem tym, kim myślałem, że jestem”. Serbia uświadomiła sobie, że to były jego ostatnie słowa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

TERAZ

– Kawy chcesz? – Kosiński nie czekał na odpowiedź. Nastawił czajnik i skupił się na tym, żeby woda zagotowała się prędzej. Ufał, że w jakiś sposób to działa. Że kiedyś, zanim zaczęliśmy mieszkać w miastach i tonąć w nieustającym hałasie, my, ludzie, mieliśmy zdolności widzenia rzeczy, jakich dzisiaj już nie możemy zobaczyć, zaślepieni ilością bodźców. Na przykład rzeczy bardzo odległe od nas. Albo energię drugiego człowieka. Energię kogoś, kto o nas myśli. Podobno są gdzieś w Tybecie mędrcy, którzy do dzisiaj to potrafią.

– Co tak stoisz? – Serbia pomyślała, że chłopak zachowuje się jakoś dziwnie. – Dobrze się czujesz?

Zdejmowała mokrą kurtkę i nie bardzo wiedziała, co zrobić, żeby nie pozalewać wszystkiego w ich pokoju. Najlepiej byłoby włożyć ją do jakiejś wanny, żeby ociekła, ale nie mieli służbowej wanny. Stała więc z naręczem mokrych szmat i czuła się bezbronna.

– Dobrze się czuję, szefowo. – Postanowił, że najpierw da jej kawę, a potem prawdę. – Nie rozumiem, dlaczego nie odbierasz telefonu.

– Masz jakąś reklamówkę?

– Co proszę?

– Torbę foliową masz?

Pokręcił głową. Westchnęła. A potem wepchnęła kurtkę pod biurko.

– Wezmę do domu, to wypiorę – powiedziała Kosińskiemu, który najwyraźniej pochłonięty był jakimiś dramatycznie istotnymi przemyśleniami, bo kompletnie nie rozumiał jej działań. – No, przemokłam, do jasnej cholery – powiedziała przeproszającym tonem. – Wsiadłam w sto sześćdziesiąt, zamyśliłam się i pojechałam za daleko, a zanim przejdiesz przez te wszystkie światła, to... sam

widzisz. Całe szczęście, że w szafce buty mam drugie.

Założyła pantofle na obcasie. Do mokrych nogawek były jak znalazł.

– A do domu czemu nie poszłaś? – Postawił przed nią kawę. Czarną i gorzką.

– Nie ma czasu. Gadaj, co z tą topielicą.

– To najpierw wypij, szefowo.

Opowiedział jej, co i jak. Słuchała w milczeniu, wlewając w siebie wrzątek w nadziei, że rozgrzeje ją na tyle, żeby zaczęła myśleć. Ale najwyraźniej ciepło miało dzisiaj wolny dzień.

– Co teraz zamierzasz?

– No, zajrzę na uczelnię, popytam, znajdę kogoś, kto zna tego chłopaka. Ale to pojutrze...

– Dlaczego pojutrze?

– Bo sobota jest. Wolny dzień.

– A... no tak. – Pomyślała, że jednak mogła pojechać do domu. Ale zaraz przypomniała sobie, że nie ma karty w telefonie, nie mogłaby do nikogo zadzwonić. Nie, zrobiła jak należało. Musi powoli wszystko ogarnąć. Pogada z Kosińskim, pogada z Siwym, pojedzie do Arkadii, bo tam mają te wszystkie placówki od telefonii komórkowej, więc zrobi sobie nową kartę. Musi mieć nową kartę, bo musi zadzwonić. Nie, nie może odkładać, teraz musi zadzwonić.

– Kosiński, daj mi swój telefon.

– Po co?

– Bo mi kartę ukradli i nie mogę zadzwonić ze swojego, a muszę teraz.

– Jak kartę ukradli? – Kosiński nie zrozumiał. – Kartę ukradli, a telefon zostawili?

– No, jakbyś tam był. – Nie miała czasu mu tłumaczyć. – Daj, bo zapomnę, o co chciałam zapytać.

– A skąd numer weźmiesz, jak to nie twój telefon?

– No, kurwa mać, dawaj! – Wyciągnęła rękę odwróconą wnętrzem dłoni do góry i pomachała palcami, a on z ociąganiem dał jej telefon, wystukując najpierw kod zabezpieczający.

Serbia sięgnęła pod biurko, podniosła kurtkę i ze wstrętem sięgnęła do wewnętrznej kieszeni. Miała tam niewielki sfatygowany notesik. Same numery telefonów. Przy niektórych nazwiska, przy innych jakieś symbole. Przy tym nie

było nic. Ale to był ostatni numer, jaki miała zapisany.

Jeden sygnał, drugi, siódmy. Już miała zrezygnować.

– Feliński – powiedział zaspanym głosem i zrobiło jej się cieplej na samą myśl o kominku, grubym kocu, który drażni skórę, i butelce chilijskiego merlota. Może być z supermarketu.

– Serbia, znaczy Olga, wiesz, ta...

– Wiem. – Usłyszała, że się uśmiecha i poczuła ulgę. Sam jest. Gdyby nie był sam, to by się nie uśmiechał. – Ta, co wie, któhą półkę odsunąć i dlaczego. Co u ciebie?

– Mokra jestem – powiedziała, zanim zdążyła to przemyśleć.

– Tak szybko?

Poczuła, że się czerwieni, i odwróciła plecami do Kosińskiego.

Nie dość szybko.

– Straszna mamy pogodę. Nie spałam całą noc, wysiadłam na złym przystanku, głodna jestem i przemoknięta... – Zatrzymała się w pół zdania, bo zrozumiała, że się żali. Nigdy tego nie robiła. W każdym razie nie w ciągu ostatnich kilku lat.

– Taaak? – Usłyszała, że znowu się uśmiecha.

– Żalę się, przepraszam.

– No, żalisz się, jestem zażenowany, nikt do mnie nie dzwoni po to, żeby się pożalić, i nie wiem, co mam teraz zrobić.

– Nie po to dzwonię.

– Oczywiście, że nie po to. Mów, proszę.

– Chciałam zapytać, co ze sprawą Ruskiego. Czy jest cokolwiek nowego, co mi możesz powiedzieć. I jak masz właściwie na imię?

Ostatnie zdanie powiedziała ciszej. Wstydziła się Kosińskiego.

– Szymon.

Milczała.

– A ze sprawą Huskiego? No co? Nic. Zakwalifikowali to jako zatrzymanie phacy sehca i zaphósenie ognia. Nie ma śladów, żeby ktoś mu co zrobił.

– A strzykawka w żyłę? – przypomniała sobie ich rozmowy.

– Strzykawki nie znaleźliśmy.

– No tak, no tak, kurwa. To co? Nic mi nie powiesz nowego?

– No nic. Sphawa w zasadzie jest zamknięta. Zmahł z przyczyn natuhalnych i

zaphószył ogień, bo pewnie palił papiehosą.

– Nie, no chyba nie palił. Pił, ale nie palił.

– Pewna jesteś? Zeznasz to?

– Nie jestem pewna – pokręciła głową. Feliński tymczasem kontynuował.

– A. No, jest jedna rzecz. Patolog mówi, że coś dziwnego z jego wiekiem.

– Co to znaczy?

– No, że nie wygląda na te swoje siedemdziesiąt pięć czy tam sześć lat, jak wynika z PESEL-a, bo jest w dużo lepszej formie fizycznej, niż powinien być stahuszek.

– Na wózku jeździł.

– Ale prawdopodobnie nie musiał. Mięśnie miał, jakby ciągle ćwiczył. Jakby jednak na tych nogach chodził.

– No, może dla niepoznaki jeździł. Jak miał tylu wrogów, to musiał być w formie. Może to taki kamuflaż... A to ma jakieś znaczenie?

– Ale nie to jest dziwne – powiedział Feliński. – Patolog zajrzał mu do gęby i mówi, że on ma jeszcze kilka swoich zębów, nie tylko same implanty. I że te własne są tak pościehane, jakby miał z dziewięć dych. Albo więcej.

– Co ty gadasz?

– No. Mówi, że ci sprzed wojny mają takie zęby.

– No to, kurwa, nie jest możliwe przecież.

– Ja nie wiem. Mówię, że to dziwne, ale i tak idzie do piachu, więc się już nie dowiemy. A, i jeszcze miał w spodniach, w kieszeni taki dhuczek, thudny do odczytania, bo najpiehw nadpalony, a potem zamoknięty, ale udało się odczytać tyle... – Usłyszała, że czegoś szuka. A po chwili odczytał: – „posiadający atest Komisji Hemogenetyki Sądowej Polskiego Towarzystwa Medycyny Sądowej i Khyminologii”.

– Co to może być, jak sądzisz?

– Sphawdziłem. To z jakiegoś labolathium do badań genetycznych.

– Czym się zajmują?

– Ustaleniem ojcostwa.

– O kurwa! – wyrwało jej się. Pomyślała, że „dziecko” z notki zabójczym to najważniejsze słowo w tej układance.

– Co cię tak dziwi?

- Nie, nic... A on miał jakieś dzieci?
 - Z tego, co wiem, nie miał. Nie miał hodziny. Miał kiedyś żonę, ale dzieci nie mieli.
 - Ale mówił mi, że go ktoś odwiedza. Wiadomo kto?
 - No, nie baħdzo. Tutaj w komendzie nie chcą, żeby w tym grzebać, że to nie służy niczemu dobhemu. Żeby zamknąć i już. Pogrzeb w poniedziałek. Będzie sztandah, ale z ministehstwa nikt nie przyjedzie. Taki komendant z czasów komuny nie jest nikomu dzisiaj potrzebny. Nie chcą, żeby ministeh albo jakiś jego pełnomocnik z dobrej zmiany miał zdjęcie z takiego pogrzebu na jakimś pohtalu...
 - A zrobisz coś dla mnie?
 - Wszystko – powiedział to w tak naturalny sposób, że nie wiedziała, czy to żart, czy może jednak prawda.
 - Sprawdzisz, co mają o nim w IPN-ie? Wiesz, życiorys, jakieś dane osobowe...
 - Czego szukasz?
 - Nie wiem, czegoś z dzieciństwa. Aktu urodzenia, świadectwa chrztu, czegokolwiek... To ciekawe, ile on ma lat, wiesz?
 - Ciekawe.
 - To zajrzyj, ale sprawdź w tym IPN-ie. Może coś mają, czego się nie spodziewamy. Proszę cię. Sprawdzisz?
 - Pogadam z phokuhatołami, którzy się zajmują tymi jego teczkami. Może coś wiedzą.
 - Sprawdź. To ważne.
 - Powiesz mi, co jest na rzeczy?
 - Jeśli coś będzie, to ci może powiem. – Uśmiechnęła się i pomyślała, cholera jasna, że powinna chyba obciąć włosy.
 - No, dzięki, to cześć. – Wyłączył się.
 - Kosiński, sądzisz, że powinnam obciąć włosy? – Wyciągnęła do niego rękę z telefonem. – Nie, czekaj, jeszcze zadzwonię.
- Wybrała z pamięci numer Siwego. Kiedy wpisała ostatnią cyfrę, wyświetliło jej się: STARY CHUJ, ŁĄCZENIE. Pokręciła głową i spojrzała na Kosińskiego, a on chyba się domyślił, co przeczytała, bo opuścił głowę i studiował plamę wilgoci, która rozlewała się spod biurka. Dobrze, że to linoleum, a nie jakaś wykładzina.
- Ciekawe, co by było, gdybym wpisała swój numer? – powiedziała na głos bez

uśmiechu.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Nie masz karty, nie byłoby połączenia.

Siwy nie odbierał. No tak, sobota. Westchnęła ciężko.

– Wiesz co, nie załatwiłbyś mi czegoś do jedzenia? – Powinna była zjeść coś na Centralnym, ale chciała jak najszybciej wziąć się do pracy, a teraz czuła, że opada z sił.

– No... może ci zamówię coś i przywiozę? – Nie chciało mu się wychodzić na deszcz.

– Ale samochód masz na dole?

– No, mam.

– No, to weź mi coś przywieź z McDonalda. Jest koło kina Femina.

– Nie ma już kina Femina.

– No, co ty gadasz? – zdziwiła się.

– Nie ma. Od dawna. Biedronka tam jest. – Wziął klucze ze stołu i ruszył do wyjścia. – Wszędzie teraz Biedronki są przecież.

– Kurtki nie bierzesz?

– Nie, do samochodu przelecę. – I wyszedł.

Włączyła komputer. Buczał podczas startu. Pewnie znowu kurz się zebrał w wentylatorze. Przebierała niecierpliwie palcami po klawiaturze, aż zastartował wreszcie. Wybrała przeglądarkę i wpisała „kino Femina”. Rzeczywiście, nie ma kina, w którym była jeszcze niedawno na *Mieście 44*.

Otworzyła wiadomości. „Wzywamy wszystkich, obywatelki i obywateli, nauczycieli, rodziców, pracowników służby zdrowia, górników, rolników, przedsiębiorców, twórców i dziennikarzy, sędziów, prokuratorów, policjantów i wojskowych, a także organizacje pozarządowe, partie polityczne i samorządy, organizacje związkowe, samorządy zawodowe, by się wspólnie przeciwstawili, by wypowiedzieli posłuszeństwo tej władzy – apeluje Komitet Obrony Demokracji, wzywając Polaków do protestu w dniu 13 grudnia”... Przewinęła dalej. „Rasistowski atak w tramwaju w Bydgoszczy. Policjanci otrzymali zgłoszenie o zajściu w tramwaju. Ustalili, że grupa sześciu studentów z Turcji i Bułgarii została znieważona przez trzech mężczyzn”... To się, kurwa, nie mogli odszczekać? Kolejny news był o ojcu dyrektora, ale zanim go otworzyła, ktoś nacisnął klawiskę i do środka wszedł Siwy.

– No. – Uśmiechnął się. – Jesteś.

– Dzień dobry, szefie. – Nerwowo wyłączyła przeglądarkę. Tylko tego brakowało, żeby zobaczył, że czyta coś o dotacjach dla toruńskiej rozgłośni.

– Chodź, idziemy się przejść.

– Ale Kosiński właśnie polecał kupić mi coś do żarcia.

– Wiem, kazałem dać znać, kiedy się pojawisz i kiedy on wyjdzie. Czekam na ciebie od rana. Myślałem, żeby na dworzec pojechać, ale to byłoby przecież takie melodramatyczne.

– Ale dlacze...

– Nie odbierasz telefonu.

– Kartę mi wyjęła.

– No, tak myślałem. Że musiałaś oddać telefon. Chodź, chodź, pospacerujemy.

Spojrzała na plamę wilgoci sączącej się spod kurtki wciśniętej pod biurko.

– Nie mam w czym.

– No, co ty? Dopiero dwunasta, do balu jeszcze daleko. – Sądził, że Olga żartuje. Zdziwił się, bo nigdy tego nie robiła, ale pomyślał, że to skutek presji, jaką musiała przeżyć w ciągu minionych dni. Spotkanie z zabójczynią robiło wrażenie na każdym, kto się z nią zetknął. Pamiętał po sobie. Tę mieszaninę lęku, fascynacji i pożądania będzie pamiętał już do końca życia. To znaczy, że niedługo. Niedługo...

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu moja kurtka kompletnie przemokła. No i przemarznięta jestem. I nie mam butów.

– Ale tu nie będziemy gadać. Chodź, przez parking przejdiesz, pojedziemy gdzieś, gdzie jest ciepło. Znam takie miejsce, postawię ci jakieś jedzenie.

Spojrzała jeszcze raz na kurtkę, na swoje buty i pomyślała, że naprawdę musi skrócić włosy. Obciągnęła bluzkę i pomyślała, że musi śmierdzieć. Że przecież się nie myła dwa dni i dwie noce. I że się załatwiała w pociągu i że to było jednak obrzydliwe.

– A nie możemy tego odłożyć na jutro? Na wieczór?

– Ja już nie mam czasu, żeby cokolwiek odkładać – powiedział miękko i sam się przestraszył tego tonu. Pomyślał, że to może pokuta. Że sam siebie chciał jakoś ukarać i stąd ta choroba. Nie wierzył w żadnych bogów. Ale wiedział, że człowiek może sam siebie ukarać w okrutny sposób całkiem podświadomie. Jeśli ma za co. A on miał za co. – Chodź, postawię ci obiad, zanim mi tę emeryturę zabiorą.

– Jaką emeryturę? – Była zmęczona, czuła się brzydka i nie rozumiała jego dowcipu.

– No, esbecką. – Pomyślał, że mogłaby być jego córką. Wtedy mógłby ją, taką zmęczoną i bezradną, przytulić bez obciachu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

TERAZ

Siwy otworzył przed Olgą drzwi do samochodu, zupełnie jakby była księżniczką.

– Zupełnie jakbym była księżniczką. – Uśmiechnęła się.

Ledwo zamknął drzwi, opuściła lusterko, spojrzała na siebie i natychmiast zbladła. Strąki, podkrążone oczy, spuchnięty nos. Plamy na twarzy. Księżniczka ze *Shreka*. Kobieta potwór. Zapadła w fotel.

– Zaraz się nagrzej – powiedział, zapalił silnik i wcisnął przycisk grzania foteli.

Postanowiła nie grymasić. Nie żalić się. Postanowiła być profesjonalna.

– Nie chciałem rozmawiać w fabryce, bo nie wiadomo, kto tam nas usłyszy – powiedział Siwy i spojrzał w tylną szybę. Wycofał z parkingu delikatnie, jakby na palcach. – Wiesz już przecież sama, że ta sprawa nie jest dla obcych uszu.

Milczała.

Skręcili w prawo na plac Bankowy, a tam pod zakaz w lewo w aleję Solidarności.

– Zakaz jest, szefie – próbowała się rozluźnić.

– A co mi kto zrobi? – Mrugnął do niej. – Ciekawe, jak tu wyglądało przed wojną, co?

– Podobnie, ale tu gdzie Błękitny Wieżowiec, była synagoga.

– Serio?

– No. Największa synagoga w mieście.

– Nie wiedziałem, zobacz, a tyle razy tu jeżdżę.

Docisnął gaz i wkrótce mijali pomnik Nike. Nie padało już, ale ulica była mokra i śliska. Rzeka lśniła, jakby była odlana z rtęci. Nieruchoma, martwa, ciężka pod chmurami, przez które próbowało przeciskać się słońce. Jak gdyby nie miała sił toczyć się dalej, ale chciała już wreszcie zdechnąć tutaj, gdzieś między Europą a

Azją, pośród kilku milionów nieistotnych spraw, niezłałatwionych i nawet niewypowiedzianych na głos. Zdrad, klęsk, samotności, depresji, nadziei i satysfakcji, że wreszcie udało się dopiec „tamtych”...

Fotel grzał jej plecy i Serbia poczuła się senna. Nie umiała zasnąć w pociągu. Dopiero w tym z Krakowa na Centralny trochę drzemała. A trochę zerkiała do książki. Zapamiętała taki fragment, że pragnienia są silniejsze od podejrzeń...

Przystanęli na światłach przy szpitalu naprzeciw parku Praskiego i wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, czy niedźwiedzie śpią, czy może jednak łażą po swoim wybiegu, ale nie dostrzegła niczego, bo jechał akurat tramwaj. Brudny jakiś. Jakby smutek ze środka wyłaził mu na twarz krostą za krostą. Kto jeździ tramwajem w taką brzydką sobotę? Skręcili w prawo, a potem znowu były światła.

– A teraz ja cię zapytam, czy wiesz, co to za budynek po twojej stronie.

Pochyliła głowę, żeby spojrzeć. Budynek jak budynek. Szary. Liszaje wilgoci po deszczu. Okna sklepienie w łuk, ozdobne girlandy i kwiatony. Wygląda na początek XX wieku.

– Nie, skąd – powiedziała. – Nie jestem mocna z Pragi.

– No, to ci powiem, że to nasz.

– W jakim sensie?

– W takim, że resortowy. To ubecki areszt. Pierwsza siedziba Ministerstwa Bezpieczeństwa.

– Żartujesz?

– Nie. – Zaświeciło się zielone i skręcili w lewo w Okrzei. – Katownia nie gorsza niż Rakowiecka i Toledo. Cele metr na metr, karczer, katownia Bronisława Szczerbakowskiego...

– Nie słyszałam.

– Zwierzę. Morderca, kat Warszawy. Mogłaś nie słyszeć. Dzisiaj w szkole policyjnej już o nim nie uczą. W tych celach metr na metr wciskał po pięć, sześć osób. A to półtora metra wysokości.

– A ty dlaczego wstąpiłaś? – zapytała nagle. – Z takimi poglądami to nie pasujesz do... milicji.

Stanęli na światłach przy wjeździe na Jagiellońską.

Centrum Zarządzania Światem, czy jakoś tak. Była tu kiedyś ze znajomymi. W rocznicę. Nie chcieli, żeby była sama takiego dnia. Kurwa, jak się wówczas spiła i

spłakała.

– Dlaczego? Powiem ci... Patrz tam, za kinem Praha, za drzewami, widzisz? – Puścił kierownicę i pokazał daleko w lewo.

Widziała dach szarego budynku. Ani wysoki, ani niski. Normalny.

– Nic szczególnego.

– Tu też była przed wojną synagoga. Już nie istnieje, a ten budynek, co go widać trochę przez gałęzie, to był żydowski sierociniec. Po wojnie sierociniec dla sierot wojennych. A potem dla sierot powojennych.

Ruszyli w prawo. Serbia słuchała.

– No, to, żeby ci powiedzieć, dlaczego wstąpiłem do resortu, to powiem, że chciałem wiedzieć, kim jestem.

– Psychologię mogłeś studiować. Albo do seminarium iść.

– Nie zrozumiałaś mnie. Chciałem wiedzieć, jak się nazywam.

Zbliżali się do kolejowego wiaduktu. Po prawej stronie widziała eleganckie zielone dachy nowej stacji metra. Dawno nie jeździła metrem. A już na pewno nie po tej stronie Wisły. Czasami żartowali w szkole, że mieszkają w Europie, a po drugiej stronie Wisły jest już Azja.

– Co ty mówisz? – Dotarło do niej, co usłyszała. – Jak to, jak się nazywasz? Nie nazywasz się Doliński?

– No tak. Doliński. Ale nie byłem pewien, czy to prawdziwe nazwisko.

Skręcił w lewo.

– Kurwa, ten bałwan to stoi na dachu cały rok.

– Jaki bałwan?

– Ten druciany. – Wskazał jej ruchem brody. Na dachu Baru pod Kufelkiem stał śniegowy bałwan zrobiony z drutu. Kiedyś pewnie był biały, ale to musiało być lata temu. Teraz był czarny od brudu.

– Na Boże Narodzenie zaświecą się na nim lampki i znowu będzie prawdziwym bałwanem. – Doliński się uśmiechnął.

Pojechali w prawo, obok Powszechnego, „teatru, który się wtrąca”, i poczuła zapach czekolady. Fotel grzał ją w plecy. Czekwała, aż Siwy dokończy.

– Bo ja jestem z sierocińca – powiedział. – Nie wiem nawet, kiedy się urodziłem. Więc wstąpiłem do służby, żeby... żeby się dowiedzieć. Chciałem być kapitanem Żbikiem. Wiesz, ratować świat i z drobnych fragmentów układanki składać cały

obraz przestępstwa. Gonić bandytów autem na sygnale, mieć pistolet i kolegów, na których mogę polegać... A potem już było za późno. Nie podejrzewałem, że esbecja to także kurewstwo. Łapałem zbójów. Najpierw oszustów i cinkciarzy. Potem pedofilów, morderców. Ale byłem kolegą z pracy Pietruszki i Piotrowskiego.

Skręcili w lewo, w kierunku dworca autobusowego, ale potem, nagle – w prawo.

– Podoba mi się ten mural – powiedział Siwy. – Mój ulubiony w całym mieście.

Na całej fasadzie starej kamienicy ktoś wymalował ptaka. Ale to nie był zwyczajny ptak. Kiedy byli bliżej, Siwy zwolnił i mogła się przyjrzeć. Zobaczyła, że ptak był jakby zrobiony w drutu.

Pusty w środku. Albo że sam sobie był własną klatką.

– Niezwykły, prawda?

– Pragnienia są silniejsze od podejrzeń.

– Co mówisz?

– Nic. To z książki, którą wzięłam na drogę. Powiedziałeś: „Nie podejrzewałem, że esbecja to kurewstwo”. A mnie się przypomniał wtedy ten cytat: „Pragnienia są silniejsze od podejrzeń”.

Była ciekawa, dokąd jada. Droga skręcała w lewo. Dzielnica wyglądała na fabryczną. Nigdy tu chyba nie była.

– Co to za książka?

– Dziwna. *Traktat o łuskaniu fasoli*.

– Książka o gotowaniu?

– Nie. O umieraniu. Śmierć przychodzi do stróża w ośrodku wypoczynkowym nad jeziorem i rozmawiają. To znaczy nie wiadomo, czy to śmierć, ale okoliczności na to wskazują.

– Jakie okoliczności? – Usłyszała w głosie Siwego odprężenie, jakby wolał rozmawiać o książkach, a nie o Piotrowskim czy Pietruszce.

– No, psy. Psy się dziwnie zachowują. Od razu pomyślałam, że to śmierć przyszła.

Skręcili w prawo, a po dwustu metrach, obok stacji benzynowej znowu w prawo.

– Wracamy?

– W pewien metaforyczny sposób całe nasze życie jest powracaniem – uśmiechnął się. – Ale nie, nie wracamy, zaraz tutaj jest parking.

Wjechał przez bramę po prawej stronie, za którą był zwyczajny szlaban.

Ochroniarz skinął tylko głową i wjechali.

– *Welcome to Soho* – powiedział Doliński. Minęli fabryczny budynek i za torami kolejowymi skręcili w prawo. Stały tam samochody, ale znalazło się dla nich miejsce.

Siwy wysiadł pierwszy, okrążył samochód i otworzył jej drzwi. WARSZAWA WSCHODNIA – przeczytała dawny kolejowy szyld.

– Nie jestem odpowiednio ubrana – powiedziała ostrym tonem.

Siwy podszedł do bagażnika, zdjął płaszcz i starannie ułożył go w środku. Potem to samo uczynił z marynarką. Wyjął ze środka powyciągany sweter, pewnie bardzo stary, bo w serek, ale założył go i, choć sweter był wyraźnie za ciasny, uśmiechnął się do niej. I to ją rozbroiło. Nie mogła się przecież opierać komuś, kto miał do siebie taki dystans.

– Idziemy? – Wskazał jej drogę.

– Co to za sweter? Z ciucholandu?

– Nie, z szafy. Nosilem go dwadzieścia lat temu. Teraz, kiedy zeszczuplałem, znowu się w niego mieszczę.

Zrozumiała, że mówi o chorobie. Przeszli przez szklane drzwi i poprowadził ją w prawo.

Był tam stół ustawiony w czworobok dookoła lśniącej, niklowanej kuchni, wokół której uwijało się kilku kucharzy.

– Co to za miejsce?

– Moje ulubione. Poza tym powiedziałaś, że jesteś zmarznięta. A tu masz przed oczami żywy ogień.

Usiadła na wysokim krześle. Mogło być wygodniejsze.

Siwy usiadł po lewej stronie.

– O tej porze w sobotę nie ma tłoku i możemy swobodnie pogadać. Ale najpierw weź tatar. Robią tu najlepszy tatar w mieście. Wierz mi, znam wszystkie miejsca z tatarem, jakie warto odwiedzić. To moja pasja.

– Wolałabym coś gorącego. – Jazda trochę ją rozgrzała, ale ciepła nigdy za wiele.

– To weź zupę, a potem tatar.

Mieli grzybową. Wzięła też tatar i risotto. A Siwy cielece policzki.

– No, to teraz powiedz mi, co myślisz o twojej wycieczce do Lwowa.

– Co mam ci powiedzieć?

– Jak ci się podoba nasza przyjaciółka.

– Nie pytasz, czy się spotkałyśmy w ogóle. – Zdziwiła ją ta pewność siebie. Rozzłościła się gdzieś w środku. Powinien był okazać troskę. Powinien czuć się zobowiązany do troski. Przecież naraził ją na niebezpieczeństwo.

– Masz rację. – Pokiwał głową. – Powinienem był okazać trochę więcej wdzięczności wobec ciebie. Przepraszam. Myślałem, że się ucieszysz, że tu przyjechaliśmy.

– To moja nagroda?

– Nie. Twoją nagrodą było spotkanie z kimś naprawdę niezwykłym i jedynym w swoim rodzaju. Nie muszę pytać, czy się spotkałyście. Wiem o tym.

– Dała ci znać?

– Nie. Już nigdy się nie odezwie. Jej dług został spłacony. Ale nie musiała. Ukradła ci telefon. Byle kto by nie ukradł.

– Nie ukradła. Wyjęła mi tylko kartę SIM.

– Cóż za elegancja! – roześmiał się Siwy. – Cała ona. Żadnej niepotrzebnej krzywdy wobec świata. Dość już tego chaosu, który bierze się z brudu.

– Z jakiego brudu? – Usłyszała podziw w głosie swojego szefa. Może nawet więcej niż podziw.

– Z głupoty, lęku, braku wykształcenia, z pychy, która niedouczone dzieciakom, które nie przeczytały żadnej książki, każe ufać, że posiadły mądrość i wiedzę i że należy im się udział w podziale dóbr.

Nie wiedziała, czy żartował, kpił, czy mówił prawdę.

– A ty masz jakąś rodzinę? – Nie chciała mówić o spotkaniu, o strachu, o konfesjonale, o tym, jak wyszła z baru na ulicy Bandery i poszła zwiedzać kościoły, żeby być pod dachem, w miejscu, gdzie jest dużo ludzi. Jak się bała i jak nie rozumiała, po co to wszystko. No właśnie, po co to wszystko?

– Co masz na myśli? – Nie patrzył na nią. Patrzył gdzieś za okno. Na chmury nad czerwonymi budynkami dawnych fabryk zamienionymi na teatry albo na muzea, nie pamiętała dokładnie na co.

– No, masz chyba żonę, prawda? – Wskazała na jego serdeczny palec.

– To? – Obrócił kciukiem obrączkę. Palce też musiały zrobić mu się szczuplejsze niż w dniu, kiedy ją kupował. – To dla niepoznaki.

– Jak to dla niepoznaki?

– Kiedy idę do baru poderwać jakąś dziewczynę, myśli, że jest bezpieczna, skoro noszę obrączkę. Że się nie będę zakochiwał, dzwonił, pisał na Facebooku... Że nie będą musiały ze mną pozować do selfie. Od razu wiedzą, że tylko seks i tylko raz.

– Co ty mówisz? – zdziwiła się nie na żarty.

– Żartuję. Wiedzą, że seks i tylko dwa razy. Teraz i rano, zanim wyjdą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

TERAZ

Młodszy aspirant gapił się na hamburgera z dodatkami. Robił się coraz zimniejszy. Kosiński oblizywał palce z soli i tłuszczu.

Zjadł wszystkie frytki, ale ile tego było? Malutkie pudełeczko, tyle co kot napłakał. Po co się miało zmarnować? Przecież Serbia mówi, że biega, to nie może jadać frytek. Frytki są niedobre. Smażą je na starym oleju. Pewnie na tym oleju palmowym, o którym tyle piszą teraz w Internecie, że przez niego zdychają z głodu orangutany. Matka takiego orangutanka leży na zaoranym polu, a na nim siedzi mała małpka i próbuje ssać ze zdechłego cyca. Podpis mówi, że zabiorą go do Centrum Sierocego Orangutanów i że to wszystko przez olej palmowy. Każdy może pomóc uratować małpkę. Wystarczy nie jeść nutelli i w ogóle niczego z dodatkiem oleju palmowego. A te frytki to niby na jakim są oleju?

No, więc zjadł frytki, żeby Serbia nie miała wyrzutów sumienia, że wyrzuca jedzenie.

Gdzie ona, kurwa, jest? No, przecież nie ma jej już z piętnaście minut, to tyle by pewnie nie srała nawet ona.

Zadzwoił. Zero sygnału. No przecież. Telefon ma zjebany. A burger się zmarnuje. Zimny niedobry jest. Nie da się przełknąć tego kotleta na zimno. Wziął go w rękę. No, całkiem, całkiem. Słuszny ciężar. Zimny już. Bez keczupu to się go w ogóle nie przełknie, taki gęsty. Trzy bułki i dwa kotlety. Może zjadłby tylko górną część z jednym kotлетem, zanim ogórki wyschną na wiór?

– Cholera jasna. – Odłożył bułkę i zadzwonił na dyżurkę. – Jak to wyszli? Dawno? A... no, to pewnie nieprędka wróćą.

Zważył ponownie bułkę w dłoni. Nie musiał się przejmować, że tyle mąki. Nie biegał, nie trenował na siłowni, nie przejmował się kaloriami. Miał dobrą

przemianę materii. Nie odkładał mu się żaden tłuszcz ani cellulit. Rozerwał torebkę keczupu, wycisnął między kciukiem i palcem wskazującym. Potem drugą saszetkę. Keczup jest bardzo ważnym elementem procesu żywienia. Zawiera potas. Pomidory oczywiście też zawierają potas, ale organizm nie potrafi przyswoić sobie tego pierwiastka z surowych warzyw. A z keczupu potrafi bez problemu. W szkole uczyli go, że pomidor jest właściwie owocem. Jagodą. Kurwa, co za jagoda... Wcisnął sobie bułkę do ust i ugryzł kęs. Wszystko było zimne i smakowało keczupem.

Zjadł i zadzwonił do Skierniewic.

Stefan odebrał z ociąganiem. Miał pewnie wolny dzień. Siedem sygnałów. Kosiński, jak mu zależało, potrafił być cierpliwy jak mysz.

– A ty nie wiesz, gdzie on, kurwa, studiował? – Nie czekał na opierdalenie. Na tę całą gadkę, że sobota, że czas dla rodziny, żeby się, kurwa, warszawiaki jedne, wzięły same do roboty.

– Kto?

– Co kto?

– Kto mówi?

– Kosiński. Ten policjant z Warszawy, z którym spędziłeś wczoraj upojne popołudnie.

– Ten w obrzyganych spodniach? – Usłyszał, że tamten się uśmiecha.

– Ten sam. Pytam się pięknie, czy nie wiesz, gdzie on studiował, ten Lichaj.

– Wiem. Matka mi gadała bez przerwy, jaki zdolny i czy na pewno przeżyje.

– No, to gdzie studiuje?

– Na uniwersytecie. Fizjoterapię studiuje.

– No, to się mu teraz przyda. – Kosiński chciał zażartować, ale wyszło chujowo. Kurwa, przecież nie chciał, żeby chłopak uciekał, nie chciał mu zrobić krzywdy. – Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć.

– Nie ma sprawy – usłyszał. – Nie powiem tym z Biura, jaki jesteś dowcipny.

Teraz Kosińskiemu zrobiło się chujowo. Stefan to musiał wyczuć, bo powiedział, że żartował. Jeden głupi żart za drugi głupi żart. Wychodzi na zero.

Kosiński zgarnął serwetką resztki keczupu z biurka i napisał Serbii kartkę, że miał dla niej żarcie, ale skoro miała to w dupie, to więcej niech nie liczy na żadną pomoc czy coś. Zapiął szelki i wziął broń. Skoro się chłopak bał, może jest w tym

coś głębszego. Może coś z narkotykami. Wiadomo, gdzie najwięcej ćpają? Na Mazowieckiej. No i na medycynie. Tak, to musi być coś z prochami. Może podpierał z jakiegoś laboratorium i dlatego mu zaciukali tę O... Jak ona miała na imię, do kurwy nędzy?

Zszedł schodami na parking, skacząc po kilka stopni, bo czuł, że to jest dobry dzień. Sobota, ale na pewno coś znajdzie. Biblioteka będzie jeszcze otwarta, jeśli się pospieszy. Pojechał najprostszą drogą, przez Solidarności i Towarową, ale popieprzył coś oczywiście, bo może tam trzeba wjechać od Banacha, jak przez szpital? No, kurwa, żadnych oznaczeń. No, już teraz trzeba ciąć prosto jak na lotnisko, bo, kurwa mać, już pewnie za kwadrans druga, a to nie jest dobra pora na to, żeby zawracać. Wjechał w pierwszą wolną w prawo i w pierwszy zjazd. Facetowi w budce wartowniczej błysnął światłami i pomachał blachą. Starszy gość, pewnie jakiś swój, emeryt, bo tylko mu ręką machnął, żeby jechał. Miał myśl, żeby stanąć tu zaraz na kopercie i biec, ale, chuj tam, ominął szlaban, jadąc po chodniku, i zaparkował tuż przed wejściem do biblioteki, centralnie na drodze.

Było jeszcze otwarte. Przed szatnią tłumek. Pewnie zaraz zamykają. Wbiegł schodami na pierwsze piętro. Za kontuarem kilka osób robiło porządki ze stosem książek.

– Z policji jestem – powiedział nieco zdyszany. – Czy znacie państwo tego chłopaka?

Pokazał zdjęcie Lichaja z dziewczyną. Podpieprzył je wczoraj z jego pokoju. Ramkę zostawił. Na cholerę mu ramka. Gdyby jeszcze była taka zwyczajna, skromna, drewniana, to może by i wziął, ale była złota, znaczy plastikowa, ale zrobiona na złotą, barokowa, totalny odpust. Kto mógł mieć taki gust? No pewnie. Pani, która nie pozwala synowi herbaty do pokoju zanieść i każe mu pić w kuchni. Czy taki ktoś może być potem normalny?

Dyszał jeszcze od tego biegnięcia po schodach.

– A posiada pan jakiś swój dokument ze zdjęciem? – powiedziała siwiejąca bibliotekarka. – Bardzo by nam to ułatwiło sprawę.

– Posiadam, niech pani potrzyma zdjęcie, kurtkę muszę rozpiąć. No pewnie, że posiadam, co pani sobie myśli. Zdyszałem się, bo zaraz zamykacie zapewne, a to pilna sprawa. – Nerwowo szarpał się z zamkiem, wreszcie udało mu się, ale szarpnął za mocno i zobaczyli, że ma w tych szelkach broń.

Ta starsza popchnęła okulary w stronę czoła gestem, który pewnie miał zdradzać zażenowanie, ale dwie młodsze szturchnęły się łokciami. Nie co dnia wpada do nich na górę taki fajny detektyw.

– Cholera jasna. – Wyszczrzył zęby. Blachy nie było w wewnętrznej kieszeni. Przypomniawszy sobie, że ją pokazał na wjeździe. No, to pewnie ma w spodniach. Zdenerwowany już był. – Proszę.

– Nie znam – powiedziała damulka w okularach.

No, to żeś się doigrała, pomyślał i już miał na końcu języka co trzeba, ale powiedziała zaraz, cedząc słowa, że zna ją.

– Jak to ją?

– No, znam tę dziewczynę. Orbalę. Bardzo miła i bardzo piękna. Kiedyś często tu przychodziła. Każdego wieczora. Studiuje fizjoterapię, dużo czyta. Książki, słowniki, zawsze wymieniłyśmy kilka słów. Uprzejma, dobra. Wie pan, jedna z tych, co dostrzegają innych ludzi. Z tych, co potrafią zauważyć, kiedy ktoś zmieni fryzurę. To bardzo ważne dla kobiety, wiedział pan? Tak sądziłam. A ona zauważyła. Powiedziała coś, że to naprawdę dobra zmiana. Że czasem od drobnej zmiany zaczyna się wielka zmiana na lepsze. Pamiętam to, choć to było już z rok temu, więc widzi pan, jakie ważne jest, kiedy ktoś dostrzeże taki fakt.

Kosiński zaczynał się niecierpliwić. Gadała tak, jakby była samotną starą panną, która gada tylko z psem. Nie, pewnie z kotem. Psy strasznie syfią sierścią, a taka bibliotekarka to pewnie musi mieć czyściutko. Więc raczej kotek. Taki, co nie ma sierści.

– ...mi czasem humus albo taki afgański chleb.

– Co pani powiedziała? Może pani powtórzyć?

– Pan nieuważny jest, roztargniony. Pan się nie nadaje do tego zawodu. – Poczowała satysfakcję, że mogła to powiedzieć temu nieuprzejmemu, zadufanemu w siebie chłoptasiowi z pryszczatą twarzą, zdradzającą poważne kompleksy. Bronią się bawi, phi. W mieście, w którym do powstania szły czternastolatki, chodzenie z bronią może zaimponować tylko feministkom z Otwocka. Albo na przykład z Góry Kalwarii, bo one to przecież też urodzone warszawianki.

Kosiński poczuł, że się poci.

– Najmocniej panią przepraszam, mam za sobą ciężkie dni, wczoraj ten chłopak omal nie zginął... – Ugryzł się w język. – Proszę powtórzyć.

– Powiedziałam, że przynosiła mi czasami humus i afgański chleb.

– Skąd?

– Jej ojciec i brat mają jakąś restaurację, czy raczej bar na Marywilskiej. To co się stało temu chłopcu? To jej chłopak? Nie chwaliła się, że kogoś poznała.

– Afgański bar?

– Nie. Żartowała, że afgański nie jest ulubionym szyldem w Polsce. Normalny bar. Humusy z dodatkami, falafele, duszone warzywa, pasty.

– Bar dla ge... – Ugryzł się w język. – Dla wegetarian?

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową z politowaniem.

– Nie, nie dla gejów. – Zrobiła pauzę. – Dla padlinożernych też. Karahi może pan spróbować.

– Była tam pani?

– Byłam. Zaprosiła mnie którejs niedzieli i pojechałyśmy. Kiedyś też tam pracowała, ale powiedziała, że nie po to uciekli przed wojną, żeby przez całe życie stała przy kuchni i zmywaku. Chciała się uczyć. Angielskiego uczyła się jeszcze w Bagram, ale tam nie wolno jej było chodzić do szkoły.

– Może mi pani zapisać? – Właśnie sobie uprzytomnił, że nie miał nawet notesu.

– Co zapisać, przepraszam? – Oparła się łokciami o blat i zamruwała oczami. Jej młodsze koleżanki zachichotały.

– Ten Bagram. Proszę. – Nie cofnął wzroku. Niech sobie nie myśli.

Wyrwała kartkę z notesu, który miała przed sobą na biurku, i zapisała mu słowo „Bagram” oraz numer telefonu.

– Gdyby chciał się pan dowiedzieć, gdzie to jest.

– A gdzie to jest?

– W Afganistanie, drogi panie detektywie. W tym Bagram, o które afgańscy talibowie wciąż walczą z armiami koalicji.

– Tak, słyszałem o talibach. Grają w dziwną grę trupem kozłęcia, noszą długie brody, nigdy nie zmieniają ubrania i strzelają z karabinu do śmigłowców.

– I nie pozwalają kobietom chodzić do szkoły. A jednak ona nauczyła się czytać i pisać po angielsku. A tutaj w Warszawie nauczyła się doskonale mówić po polsku. Bez akcentu. Podziwiam ją.

– A ten bar na Marywilskiej pamięta pani, jak się nazywa?

– Tak.

- Zapisze mi pani?
- Już pan to ma zapisane.
- Jak to?
- Nazywa się Bagram. Bagram Bar.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

TERAZ

Nie było tu kelnerów. Kucharz postawił przed nią talerz i podszedł z garnkiem. Poczła zapach borowików na długo przed tym, nim nalał zupy. Była doskonała. Pachniała dzieciństwem. Ojciec zabierał ją na grzyby gdzieś za Wołomin. Wstawali bladym, zmurszałym świtem, kiedy budynki pociły się jeszcze nocną wilgocią, a trabant był wewnątrz zupełnie mokry od ich oddechów. Mogła usiąść z przodu i to był pierwszy raz, kiedy poczuła się dorosła. Dorosła, dojrzała i dumna.

Pytał ją na każdym skrzyżowaniu, czy prawa wolna, a ona wycierała dłonią szybę na tyle, żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie i, jeśli nie jechało akurat nic, mówiła: „Wolna. Moja wolna”.

Kiedy poczuła się dorosła drugi raz, nie była dumna. Była naga i czuła się zawstydzona, kiedy Marcin z czwartej „C patrzył na nią w zupełnym milczeniu, a ona nie potrafiła poznać, czy jest w tych oczach znudzenie, żal, strach, czy wstyd. Nie umiała zapytać. Nie wiedziała, czy ma tak leżeć i marznąć, czy wolno jej się przykryć, czy ma trzymać piersi rękami, czy powinna może tak, jak to chłopaki lubią, pozwalać mu patrzeć. Tylko że on patrzył gdzieś za jej głową, chociaż nie było tam nic, ani słomianki z widokówkami przyczepionymi za pomocą szpilek, ani żadnego obrazka, nic. Goła żółta ściana. Nierówna. Pełna grudek i szram. Zupełnie jak jej trądzikowe policzki.

Skąd jej się wzięło to zamyślenie? Spojrzała na Siwego i przez ułamek sekundy nie potrafiła sobie przypomnieć, o czym rozmawiali.

Ale on wciąż patrzył na obrączkę na swoim palcu i obracał nią bez końca samym kciukiem.

– Wiem, że żartujesz – powiedziała.

– Żartuję, żartuję – uspokoił ją. – Miałem żonę kiedyś. Poznaliśmy się jeszcze w

licealnych czasach. Mieliśmy córkę... Joasię. – Podniósł oczy na Serbię i zobaczyła w nich coś dziwnego. Chłód.

– A nie mówiłeś.

– Nie, nie mówiłem. Rozwiedliśmy się w osiemdziesiątym drugim. – Co miał powiedzieć? Że nie widział swojej córki, odkąd miała trzy lata? Że jej matka nie odzywa się do niego od osiemdziesiątego roku? – Czasami nic nie układa się jak trzeba. Rozwiedliśmy się, bo Maria, moja była żona, nie chciała być z esbikiem. Nie winiłem jej. Nie tak miało być. Kiedy wstąpiłem do służby, to przecież po to, żeby świat uczynić lepszym, niż był. Żeby złych ludzi, zbójców, bandytów, złodziei, morderców złapać i zamknąć. Żeby nie było sierot. Biedy. Pieniądzy wyprowadzanych na lewo na budowę domku pana dyrektora, nawet jeśli to był dyrektor zjednoczenia. Uczyłem się szybko, wiesz. Jak stać bez ruchu godzinami. Jak się wtopić w tłum. Jak z godzin nagrań z jakiegoś tajnego mieszkania wyłowić to, co naprawdę istotne. Myśleliśmy o tym w identyczny sposób. Maria i ja. A potem ona poszła do Solidarności, a mnie przypominano, że jestem na służbie. Służba Polsce, zupełnie innej Polsce niż ta, jakiej pragnęła Maria po tych strajkach. Po grudniu poszukiwałem jej kolegów, tych, co dali nogę generałowi. A ona chciała być internowana razem z nimi. Nie umiałem jej zmusić. Nie umiałem jej uderzyć. Nie umiałem zabronić. W takim razie niech wypierdala, że zacytuję moich znamienitych kolegów. Niech wypierdala, skoro niczego nie rozumie...

Serbia jadła, starając się nie siorbać ani nie stukać łyżką o talerz. Gdyby mogła, wolałaby teraz nie istnieć, ale przecież nie mogła zniknąć, bo Siwy musiał powiedzieć to, co musiał. Spowiedź.

Tak o tym powiedział. Spowiedź.

Ale teraz milczał. Nie wiedziała, czy to już koniec, czy czeka na jej pytania. Ale to nie miało być przesłuchanie. Obracał obrączkę i od czasu do czasu kiwał głową. Tak dziwacznie, na boki. Jak Hindusi.

Dokończyła zupę. Poczowała się w środku ciepła i senna.

– Tak. – Siwy obudził się z zamyślenia. – Nikomu to nie mogło zrobić dobrze, gdyby została. Ani jej, ani mnie, ani Polsce. Więc powiedziałem jej, żeby wypierdalała. Że dostanie paszport i niech jej nie widzę. Zabrała dziecko i wyjechała za granicę. Do rodziny.

Zamilkł, bo kucharz położył przed Olgą wielką deskę do krojenia i zaczął na jej

oczach siekać tatar w szybkim, synkopowym rytmie.

Siwy wskazał głową na kucharza i poruszył brwiami w geście zadziwienia.

– A nie mówiłem ci, że to prawdziwa sztuka?

Uśmiechnęła się. Ulżyło jej, że nie musi usłyszeć więcej. Moment właśnie minął. Nie będzie wiedziała, dlaczego Siwy nigdy nie zdjął tej obrączki.

– A teraz chcą mi odebrać emeryturę. – Uśmiechnął się. – Jakby naprawdę sądzili, że mogą mnie ukarać. Że mogą mnie jakoś dotknąć, że mi mogą cokolwiek zrobić.

– Pewnie tak właśnie myślą. Ten i ów może mieć nawet satysfakcję. Wziąć odwet. Nie wiem, zemścić się. Odegrać... Niskie pobudki.

– Nie mów tak. Jak myślę, że to z bezradności. Że się nasze państwo szamocze samo ze sobą, bo nie potrafi zaakceptować tego, czym jest. Nie potrafi zaakceptować tego odbicia w lustrze, w którym widzi samo siebie rozpołowione i rozdarte. Nieładne. Pełne pryszczy i żalu. Nie umie pokochać samo siebie. Wiesz, czym to się kończy, kiedy człowiek nie umie pokochać sam siebie?

– Depresją? – Pomyślała o sobie samej. O tym, że nie spała tyle tygodni. I że wciąż zdarza się jej nie spać. Uciekać. Krzyczeć, ale tak, żeby nikt o tym nie wiedział, nawet ona sama. Że się boi zasnąć, bo sen wraca czasem zbyt natarczywy i donośny.

– Depresją, jeśli masz szczęście. Jeśli masz go mniej, rakiem.

Kucharz postawił przed Olgą tatar na wielkim talerzu. Marynowane grzyby, ogórek, cebula, małeńka słona sardynka i przyprawy, których zapachu nie umiała tak do końca rozpoznać.

– Jedz. Nie podadzą mi moich policzków, zanim się z tym nie uporasz. – Siwy roześmiał się serdecznie. – Mój żołądek nie przyswaja już zbyt dużych porcji, ale ty głodna jesteś. Pewnie nic nie jadłaś od tego Lwowa. Jedz... Miałem też córkę, mówiłem ci. Kiedyś Maria napisała, że nasza córka wyjechała do Niemiec, żeby zostać luksusową dziwką. Taką za duże pieniądze. I że to moja wina. Że to moja kara. Za Solidarność, za księdza Jerzego...

– Jak to twoja wina? Przecież bandytów tropiłeś, a nie księży. Zweryfikowali cię w dziewięćdziesiątym pierwszym przecież.

– Zweryfikowali. I nie, nie ścigałem księży. Nie zbierałem dowodów na to, że się spotykają z chłopakami, których im firma podsuwała z całą premedytacją. Ale

jej to nie obchodziło. Stałem tam, gdzie ZOMO.

– Myślisz, że twoja córka naprawdę została prostytutką? Kobiety czasami piszą takie rzeczy, jeśli chcą komuś, dla kogo są ważne, zrobić krzywdę...

– Tak. Wiem. Miałem zajęcia z psychologii. Nie wiem, jak jest z córką. Nie szukałem jej.

– Przecież byś potrafił.

– Potrafiłbym, ale nie szukałem. Może tak jest lepiej. Ona nie ma ojca. Ja nie mam nikogo bliskiego. Co bym jej powiedział? Wróc do domu? Przecież my nie mamy domu. Co bym jej powiedział: przepraszam, że mnie z tobą nie było? Nie szukałem jej, bo nie umiałbym spojrzeć w oczy. Ale umiałbym ją znaleźć. Ja każdego potrafię znaleźć. Ty też potrafisz.

– Nie. Nie potrafię.

– Ale jesteś na dobrej drodze. Wrażliwa jesteś. Nie umiesz zapominać. Nie umiesz wybaczyć sobie samej. Nie umiesz spać bez tabletek. Ale umiesz odnaleźć każdego. Może ty mi ją kiedyś odnajdziesz.

Chciała wylizać talerz, ale choć o tej porze było tu wciąż kilka wolnych miejsc, to na pewno ktoś by to zobaczył.

Kucharz przyniósł risotto i policzki. Gorące. Olga poczuła się wreszcie dobrze. Bezpiecznie. Dobrze, na swoim miejscu.

– Dziękuję, że tu przyjechaliśmy – powiedziała.

– Dziękuję, że nie robisz mi sceny.

– O co?

– O to, że musisz mnie wysłuchać.

– Muszę?

– Jestem twoim szefem, stawiam ci obiad. Musisz. Smacznego.

Jedli chwilę w milczeniu, każde wpatrzone w jakiś punkt tej lśniącej kuchni, gdzieś poza horyzontem porozumienia. Serbia nie chciała przerywać milczenia, bo teraz była jej kolej, żeby mówić.

– Czego się dowiedziałas?

– Wszystkiego, co mogła mi powiedzieć.

– Naprawdę jesteś taka jak ja. – Pokiwał głową.

– Nie. Nie jestem. Jestem zakompleksioną, przestraszoną, samotną kobietą, która dobrze strzela na strzelnicy, ale nigdy nie strzelała do człowieka. Nie umiem

zasnąć. Klnę, bo wtedy tacy goście jak Kosiński myślą, że jestem twarda. Ale nie jestem. Nie jestem taka jak ty. Po co mi to mówisz, skoro wiesz?

– Nie. Nie jesteś. Nie nosisz w sobie zła...

Znów powiedział te kilka słów o ćwierć tonu wyżej.

Milczał długą chwilę.

– Bałaś się? Tam, we Lwowie?

– Mało się nie posrałam ze strachu.

– Przecież to bez sensu. Nie zrobiłaby ci krzywdy.

– Nie byłam pewna.

– Ja byłem. Przecież to dogadałem.

Czekała.

– No, chodź. Idziemy. Pora wracać do domu. Odwiozę cię.

– Ja muszę do firmy. Kosiński czeka.

– Jak wolisz.

Jechali w milczeniu. Zmrok pełznął pomiędzy budynkami. Myślała o tym, co to znaczy, że nie nosi w sobie zła. O konfesjonale. O tym, że się wciąż niczego nie dowiedziała. Że nie wie, czego szukać.

– Wiesz. Wciąż nie wiem, po co kazałeś mi się zająć tą sprawą. Wciąż nie wiem, czego szukam.

– Myśl. Potraktuj to jak łamigłówkę.

– Brakuje mi kilku klocków. – Przypomniął jej się list. Kim był Ruski, ile miał lat, co to było za dziecko.

– Co to było za dziecko? – zapytała.

– Szukaj. Jeśli znasz właściwe pytania, znajdziesz prawdę. A teraz powiedz mi jeszcze, jak umarł Ruski.

Zdziwiło ją, że zapytał właśnie o to. Zapisała to sobie w pamięci i znowu podkreśliła czerwoną kreską.

– Ja nie wiem. Lekarz stwierdził, że zatrzymanie pracy serca.

– A ją pytałaś?

– Nie powiedziała. Może mu pomogła, może sam sobie to zrobił. Może poprosił ją o pomoc. Ale nie powiedziała.

– Ale była tam?

– Była. Dała mi jego teczkę.

– Jaką jego teczkę? – Głos Siwego drgnął. O ćwierć tonu.

Gdyby go nie znała całe dorosłe życie, mogłaby tego nie zauważyć. Ale zauważyła.

– No, teczkę, w której miał papiery o tym wypadku.

– Ach, to... Zajrzałaś?

– Zniknęły jej zdjęcia. Protokół ze szpitala. Notatki policjantów, w których była wymieniona. Nie wiem, co tam jeszcze. Pozamiałała po sobie. Resztę mi po prostu zostawiła. – Serbia miała na końcu języka, żeby powiedzieć o liście. Ale pomyślała, że teraz jego kolej. Milczała.

– Było tam coś jeszcze?

– Mhm...

– Nie dosłyszałem.

– Było.

– Co?

– Coś o dziecku. Porucznik poszukiwał dziecka. Najpierw we Wrocławiu, potem w Bystrzycy. Pisał też do szpitala więziennego we Wrocławiu. Były kserokopie starych listów. Nie było ich w tece, kiedy przeglądałam to u Ruskiego.

– To wszystko?

– Nie. Była jeszcze opinia jakiegoś komunistycznego aparaczyka...

– Proszę?! – Siwy się roześmiał. – Co to za słownictwo?

– No, w takim tonie było to pismo. Czuć ubecją najgorszego sortu.

– To ja stałem tam, gdzie ZOMO.

– Uwierz mi, to coś zupełnie innego. Ale nie chcesz, nie powiem.

– Mów, mów...

– No, to była opinia, żeby jakiegoś więźnia przyjąć do służby, że to szansa, żeby mieć agenta w opozycji. Że to by się mogło udać, bo miał silną motywację. Chciał się zemścić na tym, co go wydał.

– Pamiętasz jakieś nazwiska?

– Pamiętam. Uczyłeś mnie, żebym pamiętała.

– Mów.

– Bonifacy Jedynak. Komuch. Bernadetta. Siostra z sierocińca. Doktor Wolańczyk i Jadwiga Lewkowicz. To ci ze szpitala więziennego, do którego pisał towarzysz porucznik. Anna Kwiecień. Kobieta, która przebywała w tym szpitalu.

– Anna Kwiecień... – Siwemu nagle na chwilę załamał się głos. – Tak... Potrafisz szukać.

Kiedy wróciła, Kosiński siedział za biurkiem i grał w jakąś grę na tablecie. Przesuwał palcem po ekranie, a wtedy znikaly drzewa. Albo pojawiały się domy i drogi. Wyglądał na zmęczonego. Zaczął mówić, zanim go zapytała. O rannym chłopaku. O tym, jak spierdolił sprawę. I jak znalazł bar na Marywilskiej.

Nie przerywała mu. Po prostu włączyła elektryczny czajnik i zaparzyła mu kawy. Musiał być cholernie przybity, skoro nie miał komu opowiedzieć tej historii.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– Chcę jechać do domu – powiedziała. – A ty znajdź sobie kogoś, kto cię przytuli. Jutro tam skoczemy w południe.

– Nikt nikogo nie przytuli za darmo, nie wiedziałaś? – mruknął.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

WTEDY

– Anna Kwiecień – uśmiechnął się stary esbek. – Mówi to panu coś, panie amerykański?

To było wyjątkowe święto. Plotkarskie gazety, które już się zaczynały w Polsce zakorzeniać, napiszą o nim jutro, że było to przyjęcie roku. Urodziny księdza prałata. Peklowane prosięta kręciły się na roznach, wino w karafkach z grawerowanym złożonym monogramem miało mocną, ziemistą woń południowej Portugalii, steki z Argentyny, pieczone bażanty, podarunek od jakiegoś koła łowieckiego, francuskie sery, włoskie oliwki, owoce, pewnie musiały tu lecieć samolotem. Ze trzystu gości ze świata polityki, mediów i sportu, których dostojny gospodarz, niskiego wzrostu, ale pełen jakiejś wewnętrznej siły, witał u progu w skromnym czarnym, obcisłym swetrze, który podkreślał smukłość figury. Tylko dyskretna koloratka pozwalała odróżnić go od jakiegoś aktora.

Barcikowski krążył po ogrodach odprężony i zadowolony z życia. Miał wygodne niebieskie buty z kozłej skóry i doskonale dopasowany garnitur. Był sławny i otoczony powszechnym szacunkiem. Zapracował sobie. Pracował przy negocjacji traktatów unijnych. Jego ojczyzna miała wkrótce dołączyć do wielkiej europejskiej rodziny. Miała powrócić do domu.

Kłaniał się znajomym aktorkom, które rozpoznawał z daleka po figurze i zapachach, bo oczy zaczynały mu doskwierać boleśnie, zwłaszcza od czasu kiedy został urzędnikiem i musiał coraz więcej czytać z ekranu.

Czasami zatrzymywał się obok jakiejś grupki i uprzejmie słuchał rozmów o polityce. Wtrącił zdanie lub dwa i pozwalał się fotografować młodym chłopakom, którzy ciągle wierzyli, że można zrobić majątek na fotoreporterce.

Nigdy im nie odmawiał.

Pamiętał samego siebie z czasów, kiedy miał na własność tylko dwa obiektywy. Pamiętał, jakie to było dla niego ważne.

– Kto by przypuszczał, drogi panie ministrze, że tylu mamy wierzących w tym pięknym liberalnym, demokratycznym kraju. Tak, tak, na utrzymaniu konsensusu aborcyjnego najbardziej powinno zależeć waszemu postsolidarnościowemu środowisku, bo przecież za każdym razem, kiedy zaczynają się awantury wokół tego nabrzmiałego zagadnienia, to właśnie wy macie najwięcej problemów. Marsze, protesty, rejtanowskie gesty posła Jurka, przyzna pan, że dość melodramatyczne... Przepraszam, przepraszam, jak miło panią widzieć, doskonałe wino, widziałem pani ostatni film. Bardzo europejski... A ja czytałam, że ma pan za sobą bujną przeszłość, panie ministrze, czy to prawda, że jeździł pan z aparatem od wojny do wojny w latach siedemdziesiątych? Jak to możliwe... Drobnostka, zostały mi po tamtych czasach stare blizny i kilka książek.

Wtedy poczuł na ramieniu czyjąś ciężką rękę.

– Dzień dobry.

Odwrócił się i przez chwilę nie poznawał tego wysokiego, przygarbionego mężczyzny w twillowej marynarce z granatowej i czarnej wełny. Pomyślał, że ma całkiem niezły gust, a potem w tej twarzy, postarzałej już i bardzo smutnej, dostrzegł co trzeba. Niepróżno uczył się rozpoznawać ludzi. Tak. To musiał być on.

– A... to pan strażnik lotniska. Szanowny pan konwojent z mojego ulubionego więzienia.

– Internatu, panie amerykański. Internatu. – Sięgnął do kieszeni i wyjął papierosy. – Zapalisz pan?

– Z panem zawsze zapalę.

– Jest pan niezwykle uprzejmy, panie amerykański. Czy też może powinienem powiedzieć: panie ministrze.

– Tak. – Uśmiechnął się Benedykt. – Tak właśnie powinien pan być powiedzieć.

Palili w milczeniu, patrząc na sukienki młodych kobiet, z jakimi prowadzali się warszawscy aktorzy i trójmiejscy politycy.

– Dalekoś pan zaszedł, panie amerykański. – Wysoki strzepnął popiół prosto na trawę. – Z gnoju prosto na salony.

– Dlaczego z gnoju? – Benedykt był spokojny. Nie drżały mu ręce ani głos. Nie z takimi typami miał do czynienia. Dużo się nauczył. Bardzo dużo jak na jedno

jedynie życie. Odkąd przeszedł do polityki, korzystał ze swojej wiedzy z dużym samozadowoleniem. Był mistrzem w lidze amatorów. Okazało się, że jego amerykańskie obywatelstwo, do tej pory służące mu za bardzo wygodną tarczę i przepustkę w wielu miejscach świata, budzi w ojczyźnie niepokój. Czy to możliwe, żeby Amerykanin był ministrem polskiego rządu? – pytały gazety, które mu sprzyjały. Czyich interesów pilnujesz, Barcikowski? – pytały inne. Posłowie opozycji występowali z interpelacjami na ten temat. A on cierpliwie odpowiadał, że przez długie lata Polska nie miała żadnych problemów z podwójnym obywatelstwem. Że w naszym prawodawstwie nie ma przeciwwskazań. Wszystko zaczęło się właściwie w 1978 roku, kiedy obywatel Polski Karol Wojtyła został nagle głową obcego państwa.

Zaciągnął się głęboko i postanowił czekać.

– Gnoju, panie amerykański, bo ta robota jest brudna po samego chuja. – Benedykt nie patrzył na niego, ale wiedział, że tamten się uśmiecha.

– Hm... tak pan sądzi? Nie jest pan zbyt wysokiego mniemania o politykach.

– Niech mnie pan nie osłabia, miałem pana za bystrego, ale widać niesłusznie. Niesłusznie, bo przecież gdyby był pan bystry, to już dawno by pan wszystko rozgryzł, a jednak nie. Pan wciąż nie wie, z kim ma pan do czynienia, panie amerykański. A ja, kurwa, odrobiłem swoją pracę domową i ja wiem, z kim mam do czynienia. Zrozumiałem to wszystko, kiedy słuchałem pana opowieści o lustracji. Pamięta pan, ile to już lat minęło – westchnął. – Ile to już lat.

– Nie, nie pamiętam. – Barcikowski popatrzył w niebo. Było błękitne aż do bólu. Jak z filmu. Przywołał gestem kelnera i wziął z tacy dwie lampki wina. Ramos Pinto znad rzeki Duoro, leżakowane kilka, może nawet kilkanaście lat. Kawa, wanilia, porzeczeki. Dobra rzecz.

– Pozwoli pan. – Wyciągnął jedną lampkę w stronę esbeka, ale tamten, kiedy spróbował, tylko się skrzywił. A potem wypił wszystko duszkiem, jakby chciał zademonstrować, że z tym gównem nie będzie się długo męczył.

– Wie pan, na resortowej zabawie to się powinno podawać wódkę. Jak należy. – Kręcił w dłoni pustą lampką.

– Dlaczego na resortowej?

– Takie czasy. Pamiętam pana z telewizji. Komentował pan obrady okrągłego stołu. Mówił pan, że istnieje potrzeba porozumienia między demokratyczną

opozycją a socjalistyczną władzą. Że politykę zagraniczną, wewnętrzną i sprawy obronności trzeba pozostawić w dotychczasowym kształcie, a pracę nad wspólnotą trzeba rozpocząć od kultury i gospodarki. Bardzo to było ciekawe i wyszło na pańskie.

– Dlaczego pan mi o tym przypomina? – zdziwił się Benedykt. – Chodziło o to, żeby zawrzeć kompromis. Kompromis polega na tym, że my cofamy się o pół kroku, oni cofają się o pół kroku i możemy zbudować coś razem. Gdybyśmy tego nie zrobili, mielibyśmy dzisiaj Białoruś, a nie wspólną Europę.

– Ha, ha, ha... Pan naprawdę umie się pilnować, panie amerykański. – Śmiech byłego esbeka zabrzmiał naprawdę radośnie. – Ale mnie pan nie oszukasz. Jesteśmy z jednej krwi. Może się przejdziemy, poszukamy jakiejś wódki, co? Długo pana szukałem, panie amerykański. Od pierwszego dnia w tej robocie pana szukałem. Zacząłem w Jaworze. Potem w województwie. A kiedy już miałem więcej możliwości, bo ja mam talent do tej roboty, panie amerykański, szybko awansowałem. Więc kiedy już miałem możliwości, szukałem pana wszędzie. Żadnego śladu. Nic. Kamień w wodę. Ale wiedziałem, że pan żyjesz, czułem to, kurwa, pod skórą. Takie rzeczy się wie. Jeśli człowiek się na czymś naprawdę mocno skoncentruje, to wie. Jakby sygnały odbierał.

Benedykt pomyślał, że ten człowiek może być szaleńcem. Wariatem. Jakimś nawiedzonym nieszczęśnikiem. Niepokoił go Jawor, ale poza tym wszystko to zaczęło go bawić.

– Bawi to pana. – Tamten miał dobrze wykształcony zmysł obserwacji. – Myślisz pan, że wariat. Hm... to by było niegłupie wyjaśnienie, powiem panu. O, tam jest wódeczka. Stary pies zawsze wie, jak trafić do miski.

– Dzień dobry, panie ministrze. – Podeszło ich dwoje, chłopak i dziewczyna. – Pan nas nie poznaje, mieliśmy z panem zajęcia na uniwersytecie i to było naprawdę nieprawdopodobne. – Jemu nie zamykały się usta. – Rozważania o roli kardynała Wyszyńskiego w budowie podwalin naszego myślenia o wspólnocie europej...

– Kochani, nieładnie jest przerywać – powiedział esbek z uśmiechem. – Ale zdjęcie mogę wam wspólne zrobić. No, stawajcie. Macie jakiś aparat, co? Pstryknę wam.

– Nie, nie mamy. Przepraszamy, nie chcieliśmy przeszkadzać.

Kiedy odeszli, esbek milczał chwilę.

– Niezła dupa, co? – Pochylił się do ucha ministra. – Zawsze pamiętałem, jaka z niej była niezła dupa. Ani jednego wieczora nie miałem w życiu, żebym nie pamiętał. W więzieniu przeżyłem tylko dzięki temu, że mi się śniła. Za każdym razem, jak bili, jak wyłamywali palce, jak wkręcali gwóźdź pod paznokcie, jak wykręcali, jak jaja wkładali do szuflady i trzeba było czekać na ten moment, uderzą czy nie uderzą, za każdym razem widziałem tę jej dupę, rozumiesz pan, panie amerykański. Nie modliłem się. Nie skamlałem. Nie śliniłem się, chociaż wyjebali mi zęby. Zamykałem oczy i widziałem tę jej dupę, i to mi przyniosło spokój. I przeżyłem. Przeżyłem, żeby pana odnaleźć, panie amerykański.

Odsunął się i poszedł w stronę baru.

Benedykt ruszył za nim. Teraz już naprawdę zaciekawiony. To wariat. A może prowokator... Przypomniała mu się ta opowieść, kiedy były rzecznik Jaruzelskiego, Jerzy Urban przebrał się za amerykańskiego przedsiębiorcę, wynajął dwie limuzyny i pojechał do jakiegoś miasteczka, żeby je kupić w całości, razem z mieszkańcami. I nikt we władzach miasta się nie zorientował. Takie rzeczy się w Polsce zdarzają. Może to jakiś, cholera go wie, dziennikarz albo co? On sam w swojej dziennikarskiej pracy nigdy nie posuwał się do udawania kogoś, kim nie jest. Ale pracował dla zachodnich gazet. Zresztą inne były czasy, inne standardy. W Polsce teraz zaczynają rządzić „Fakt” i „Super Express”. Gazety, które piszą o rybaku z Darłowa, co się zakochał w syrenie, którą złowił w Bałtyku.

Tymczasem esbek wrócił z dwiema szklankami wódki. Nie, nie z kieliszkami. W każdej szklance były po dwie setki jak nic.

– O nie, nie, na to mnie pan nie naciągniesz – uśmiechnął się wiceminister.

– Niech pan nie przesadza. Dziennikarze mieli tu być tylko do siedemnastej, a potem, kiedy najdostojniejszy powita już wszystkich gości, mieli sobie iść. Już mamy nieoficjalną część. No, w Magdalence piliście, a tu się nie napijecie?

Barcikowski sięgnął po szklanę, ale ciążyło mu to, że w jednej ręce ma wciąż kieliszek porto.

– Przepraszam na chwilę – powiedział i poszedł w kierunku stolików rozstawionych na trawie.

Esbek szedł za nim. Benedykt nie musiał się oglądać, żeby o tym wiedzieć.

Odstawił wino i sięgnął po kawałek kabanosa.

– No, zadowolony pan? To wypijmy.

Nie stuknęli się.

Esbek nawet się nie skrzywił. Benedykt pomyślał o butelce wody.

– Szukałem pana długo. Myślałem: umarł. Ale udało mi się stwierdzić, że nie.

Listy przychodziły.

– Jakie listy?

– Listy do matki. Nie było w nich nigdy adresu zwrotnego. Gówniane listy. Ale z całego świata. Szukałem, ale kamień w wodę. No, to były czasy sprzed komputerów, pan rozumie...

Benedykt poczuł się nagle źle. To pewnie ta wódka. Nic powinien jej pić. Listy do matki... Co powiedzieć? Zaprzeczać? Zaciekawić się? Uśmiechnąć? Roześmiać? Prychnąć? Rozważył wszystkie opcje.

– Do czyjej matki?

– Do pańskiej, do Jawora.

– Pan mi znowu z tym Jaworem? – Przypomniał sobie, że już mieli tę rozmowę, i poczuł się znowu pewniej. – Nie przypominam sobie, żebym miał przyjemność.

– Wiem, wiem. Ale dokończę, a pan słucha, panie amerykański. Myślałem, że pan na zawsze wyjechał. Kiedy się spotkaliśmy na lotnisku, w czasie tej, jak to mówią, w czasie tej podróży pasterskiej Ojca Świętego, to nie byłem pewien. Wydał mi się pan znajomy. Gdyby miał pan tyle lat, co pan wtedy miał, to mógłby być właśnie pan. Ale nie byłem pewien. Ja jak palca w gówno nie włożę, to nie wiem, skąd śmierdzi. Muszę się przekonać. Dotknąć muszę. Zatrzymanie pana, nawet na chwilę, w czasie oficjalnego, państwowego powitania obcej głowy państwa...

– Głowy obcego państwa – wtrącił Benedykt.

– A co za różnica? – Wypił drugą setkę i w jego szklance pokazało się dno. Strzepnął ostatnie krople na ziemię. – Miałem kłopoty. Nie jakieś poważne, ale się wydział dyscyplinarny na mnie rzucił, że narażam na szwank, że protest pan złoży przez ambasadę. Ale pan nie złożył protestu. A ja miałem pańskie nazwisko. A jak je miałem, to sobie posklejałem wszystko, do kurwy nędzy. A kiedy pan tak pięknie mówił w Sejmie, pamięta pan? Jak Macierewicz wyciągnął listę w Sejmie? Jak Korwin-Mikke dał mowę? Pamięta pan, co pan powiedział?

Benedykt pokręcił głową.

– A ja pamiętam. Mówił pan o tym, że to jest nie w porządku, żeby porządnych

ludzi poniewierać niegodnymi podejrzeniami. Mówił pan o tym, że wobec takich podejrzeń, bezpodstawnych i plugawych, porządny człowiek nie może czuć się inaczej, jak po prostu bezbronny. Mówił pan, że na takie postępowanie nie ma i nie będzie w Polsce zgody. I że w demokratycznym kraju opresyjny rząd nie może tłumić obywatelskiej uczciwości. Widzę, że wódka panu nie wchodzi. Ja tam obrzydliwy nie jestem.

Benedykt podał mu swoją niedokończoną szklanę.

Rzeczywiście. Mógł to powiedzieć.

Tamten wypił.

– No i kiedy tak pan sobie przemawiał, to posklejałem. I myślę sobie, że pan jesteś nasz człowiek. Firmowy produkt w amerykańskim papierze. Błyszczącym i eleganckim. Poszedł pan na układ, panie amerykański, żeby przede mną spierdolić. A ja poszedłem na taki sam układ, żeby pana, panie amerykański, odnaleźć. Za mały byłem. Ale cud się zdarzył. Papież przyjechał. I papież tu pana sprowadził. Jakbym na msze chodził, to dałbym za to na gregoriańską. Niech się cały miesiąc modlą w podziękowaniu. No... tyle że mi pan znowu spierdolił. Nauczyłem się po angielsku, żeby przeczytać tę pańską książkę. Długo mi zeszło. Bez słownika bym nie dał rady. Czekałem. Całe życie na pana czekałem. Za krótki byłem. Pomyślałem, że nie doczekam. I wie pan co? Sport zacząłem uprawiać. Palenie rzuciłem. To znaczy, palę cały czas, mam przy sobie paczkę dla niepoznaki, ale się nauczyłem dyscypliny. Palę raz dziennie. Wie pan, żeby raka nie mieć. Uprawiam dzudo. Słyszał pan? Pozwala być w dobrej formie długie lata. Japoński sport. Japończycy, skurczybyki, najdłużej żyją na świecie. Wiedziałem, że muszę kupić czas od Pana Boga.

– Kończ pan, zaczynam się nudzić. – Benedykt położył mu rękę na ramieniu. – Poświęciłem panu mnóstwo czasu, ale muszę się zbierać, bo obiecałem rozmowę księdzu biskupowi z Pelplina. Pan rozumie, prawda?

– Pan mi ciągle nie wierzy. A ja panu tego wszystkiego nie mówię dla zabawy. Ja panu mówię, że kupiłem czas, bo wiedziałem, że w końcu pana dopadnę. Wie pan, jak stoi w Starym Testamencie? Oko za oko.

Benedykt spojrział na niego jeszcze raz. Tamten miał zimne spojrzenie. To samo spojrzenie mieli dyktatorzy z Afryki. Szaleńcy. Hipokryci. Socjopaci. To wariat.

– No dobra. Idź pan, panie amerykański. – Wyciągnął dłoń do pożegnania, a

Benedykt ją uściskał. Wtedy tamten zacisnął kciuk w taki sposób, że wiceminister poczuł, jak momentalnie drętwieje mu dłoń.

– Dżudo. – Esbek uśmiechnął się i przyciągnął Benedykta tak, że stali o centymetry od siebie. Nachylił mu się do ucha.

– Ta dziewczyna, dzięki której przeżyłem, umarła przez pana, panie amerykański. Pan też umrze. Chciałem to panu powiedzieć, żeby pan wiedział. W wypadku pan umrze. Ale na chwilę przedtem przypomni pan sobie, jak miała na imię.

– Jaka dziewczyna? – Barcikowski próbował uwolnić dłoń, ale tamten nie puszczał. – Kurwa, gościu, puszczaj. – Nie szarpał się, bo byli pośród rozbawionego tłumu, a lata treningu dały mu pewność, że najgorsze ruchy to te nerwowe.

– Ładna dziewczyna, panie amerykański. – Tamten puścił. – Nazywała się Anna Kwiecień.

Benedykt zbladł. A tamten sięgnął po papierosy, ale wstrzymał rękę w pół drogi. A potem ruszył przed siebie bez pośpiechu, ale w taki sposób, żeby zniknąć w tłumie, zanim Barcikowski odzyska oddech.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

TERAZ

– Imieniny Konrada i Leonarda – powiedziało radio, a ona pomyślała, że Ruski nie doczekał imienin. Szkoda. Posłałaby mu esemesa. – Sztab Hilary Clinton będzie uczestniczył w ponownym przeliczeniu głosów oddanych w stanie Wisconsin.

Protest wyborczy złożyła kandydatka Zielonych Jill Stein, jako że mogło dojść do ataków hakerskich na system do głosowania.

Pauza. Sekunda, nie więcej, ale w radio cisza waży podwójnie.

– Prezydent elekt Donald Trump wydał oświadczenie po śmierci Fidela Castro. Powiedział, że gnębił on bezkarnie swój naród przez prawie sześć dekad, a jego dziedzictwo to rozstrzeliwanie, kradzieże, bieda i zaprzeczanie podstawowym prawom człowieka. A teraz wiadomości z kraju. Rzecznik rządu przekonuje, że dzięki odebraniu byłym esbekom przywilejów emerytalnych budżet państwa zaoszczędzi rocznie około pięciuset pięćdziesięciu milionów złotych. Dobrowolne podjęcie służby w organach bezpieczeństwa na rzecz totalitarnego państwa jest, zdaniem rządu, wystarczającym powodem do obniżenia emerytur i rent tym osobom oraz pozostałym po nich rencistom rodzinnym...

– Zgaś to – powiedział Kosiński. – Zdenerwowany jestem.

– Dlaczego? Tobie też zabierają emeryturę?

– Nie wiem. Może zabiorą. Ustrój się zmieni i wyjdzie na to, że pracujemy dla obcego reżimu. W końcu to pisowskie państwo jest teraz, co nie? – Pociągnął nosem. – Dziesiątego poślą nas na barykady i co wtedy? Następny komendant odeśle nas na prowincję, a za parę lat odbiorą nam dodatki.

Chyba się przeziębził w tych Skierniewicach. Pod jebanym samolotem. Kurde, jak ten chłopak charczał. Jakby z niego miało wylecieć wszystko, co zeżarł ostatnio. Te wszystkie herbaty, które musiał pić w kuchni. W kuchni, synek,

pamiętaj, żeby nie nosić niczego do pokoju, bo ja potem nie będę umiała tego doczyścić. Pewnie nigdy nie miał żadnego zwierzęcia.

– Kosiński, co z tobą? – Serbia przerwała jego milczenie.

– Nic – powiedział z ociąganiem. – Ostatnio wszystko pierdolę. Jakbym to nie był ja, tylko jakiś obcy człowiek, niedobry, nieudany. Jakiś wybrakowany egzemplarz.

– O czym ty mówisz?

– O tym chłopaku ze Skierniewic. Tym Lichaju. Studencie ze zdjęcia. Wciąż widzę, jak leży i charczy.

– No, co ty pieprzysz, kurwa, to wypadek był.

– Leży i bulgoce pod tym jebanym samolotem.

– Jakim samolotem, popieprzyło cię?

– Samolot tam mają. Taki stary. Pomnik z niego zrobili. Tam chłopak leżał w kałuży. Całkiem poharatany. Charczał. Bulgotał. W śpiączce jest...

– Przestań. To nie twoja wina, że ktoś ucieka. Ich pracą jest uciekać, a naszą pracą jest gonić. Pamiętasz? Pamiętasz, w co gramy? W policjantów i złodziei.

– Nie. To było nieprzemyślane. Powinienem był na ciebie poczekać. Ze starym, z Siwym pogadać, że jadę. Przecież ja tam pojechałem tak całkiem z dupy. Trzeba było to inaczej rozegrać. Zadzwoić mogłem i z matką przez telefon pogadać.

– Dobrze już, nie pierdol, to będzie gdzieś tutaj, byłam kiedyś, żeby sobie nakupić majtek i skarpet. Fajne majtki mieli. – Skręciła z Modlińskiej na Nieporęt. Padał deszcz. – Wiesz, takie majtki z nadrukami: „Pokaż mi swoje ciałotajemnice, ja ci pokażę swoje ciałotajemnice”. Tłumaczyli w Google Translator.

Kątem oka zobaczyła, że Kosiński się uśmiechnął.

– No... weź się w garść. Na robocie jesteśmy. Żeby niczego nie spierdolić. Jak nie wiesz, co mówić, to milcz.

Milczał.

Minęli jakieś fabryczne zabudowania po lewej i reklamy nowej deweloperki po prawej, nad wodą. Pewnie kiedyś to będzie piękne miejsce, ale jeszcze nie dziś. Serbia zawahała się ze zjazdem, bo tu łatwo pochrzanić drogę i nagle się okazuje, że jedziesz w prawo zamiast w lewo na tej Marywilskiej, ale dała radę. Parking był zapchany samochodami. Próbowwała podjechać jak najbliżej wejść, ale szpaler samochodów stał drzwiami w drzwiami na każdym skrawku wolnej powierzchni. Musiała

odjechać na ostatnie miejsca.

Kiedy szli w kierunku hali, słońce przebijało się przez chmury. Wiatr niewielki. W sumie wydawało się ciepło, choć był ledwie jeden stopień powyżej zera.

– Mogłam zostawić kurtkę w samochodzie – powiedziała, kiedy weszli. Poczula, jak się jej zrobiło gorąco. Zatrzymała się przed kolorową tablicą z planem hali targowej i odszukała kwadraciki z oznaczeniem GASTRONOMIA. Zapisywała sobie w głowie, któredy powinna iść. Ćwiczyła ten sposób od lat. Uczyła się na pamięć mapy terenu. Uczyła się punktów pozwalających jej skręcić kiedy trzeba. Takie sprawy mogą się kiedyś przydać w życiu. Nawet w epoce GPS-ów.

– A co z bronią? – zapytał Kosiński.

– Co z bronią? Czemu pytasz? – nie zrozumiała. Przecież przyjechali tu po to, żeby rodzicom dziewczyny powiedzieć, że ich córka nie żyje.

– No co, trzeba być zawsze gotowym. – Wzruszył ramionami. – Ja w Skierniewicach nie byłem.

– Ale myśmy tu przyjechali porozmawiać, a nie strzelać, no, co ty pierdolisz?

– Tak tylko pytam. Pod swetrem masz?

– Pod swetrem – przytaknęła. Miała na sobie luźny czarny sweter. Nie było w nim widać, czy ma fałdy na brzuchu, kiedy siadała. Lubiała go bardziej niż bieganie.

– To jakby co, to nie wyciągniesz raz-dwa... – nie dawał za wygraną.

– A uważasz, że będę musiała wyciągnąć?

Pomyślała, że ten wypadek ze Skierniewic musi go naprawdę gnębić.

Kosiński podniósł wzrok. Tłum pełznął pośród tekstylnych stoisk. Powolny, zaczerwieniony, tłusty. Jak plama oleju. Nie, jak lawa. Wyciągał ręce i rozciągał w pytającym uśmiechu dziesiątki ust. Dotykał majtek, biustonoszy, spodni, koszul, garniturów, pokazywał palcami plastikowe zabawki, plastikowe buty, koszulki z nadrukiem NIRVANA albo ŻOŁNIERZE WYKLĘCI, sięgał po pieniądze, robił sobie zdjęcia z bluzkami, które natychmiast posyłał do sieci, gubił dzieci z oczu na jedną chwilę, rozstępował się przed kimś, kto jechał na hulajnodze, pochylał, żeby zajrzeć pod ladę z ubraniami i zobaczyć, co rysują w zeszytach dwie skośnookie dziewczynki, które wcale nie były zagraniczne, bo plotkowały ze sobą po polsku z takim zacięciem, że nie było cienia wątpliwości, który język jest pierwszym w ich domu i szkole.

– Chodź. – Ruszyła przodem. Bez pośpiechu. Przyglądała się ludziom. Byli

spoceni, zaaferowani kolorowym światem, o którym wiedzieli, że jest trochę z plastiku, trochę z drugiej ręki, ale przecież wszystko było tutaj po tanioci. A czym się różnią amerykańskie džinsy od tureckich? Tylko marką. Brandem. Szyją je te same dziewczynki. Z Bangladeszu, Birmy albo Afryki. Najpierw dla Amerykanów, a kiedy już wypełnią ich kilkanaście skrzyń, to samo pod inną marką szyją dla reszty świata. Czytała kiedyś o pożarze w jakiejś szwalni, chyba w Bangladeszu. To był reportaż w weekendowej „Gazecie”. Zapamiętała, że szwaczka, doświadczona krawcowa, która zaczynała jeszcze jako dziecko, zarabia w dorosłym życiu jakieś trzysta złotych na miesiąc. Szwaczka szyje przynajmniej dziesięć par spodni dziennie. Za każde z nich zarabia złotówkę. Ma szczęście. Wiele dziewcząt i kobiet chciałoby być na jej miejscu. Kobieta, która ma powyżej trzydziestu lat, traci pracę, bo nie jest w stanie szyć dość szybko, żeby jej utrzymanie opłacało się fabryce. A kiedy wybuchają pożary, najpierw ratuje się towar. W pierwszym rzędzie amerykański. I szyją tam polskie marki odzieżowe. Szyją w takich miejscach, korzystając z tego, że ceny i koszty życia w Polsce należą do wysokich, a w azjatyckich krajach wciąż są niskie.

Kiedyś chciało jej się wyć, kiedy czytywała takie artykuły. Kiedyś może nawet czuła, że ludzie z Biedronki i ona, z ekologiczną torbą z delikatesów, to dwa różne gatunki. Teraz jest już inną kobietą. Już nie gardzi ludźmi tylko dlatego, że zarabiają mniej. Gardzi tymi, którzy mniej myślą.

Kiedyś, w dniu, w którym powiadomiono ją, że posiada zdolność kredytową, uważała się za najszczęśliwszą na świecie. Dzisiaj spłaca kredyt za mieszkanie, które będzie należało do niej kiedyś, kiedy stanie się starą kobietą. I które nigdy nie będzie domem. Dom to coś więcej niż kuchnia z Ikei i ściany z płyty kartonowo-gipsowej.

Zresztą. Sama przyjeżdża tu po majtki.

– To tutaj, w prawo – powiedziała do Kosińskiego.

Nie musiała tego mówić, bo czuł z daleka smród spalonego oleju i czegoś jeszcze, czegoś słodkiego i mdłego. Była tam cała uliczka przeróżnych barów. Po prawej na niebieskim tle wołał do niego plakat z bun cha i zestawem mix, na zdjęciu jakieś sajgonki albo może naleśniki, nie bardzo miał o tym pojęcie. Po lewej bar wietnamski wywiesił na swojej ścianie listę przynajmniej stu przeróżnych potraw. Podobno na żadną z nich nie trzeba było czekać dłużej niż dziesięć minut, a

wszystkie były przygotowywane świeże i nie używali tu mikrofalówek.

– No, to jesteśmy. Teraz trzeba przebić się przez tłum.

– Masz jakiś plan, szefowo?

– Zjemy coś, co, nie masz apetytu? – Ruszyła do przodu, lustrując wywieszane przed lokalami listy dań. Bar Nam Sajgon, Bar Rodeo, Sindbad, Smaczek, Naleśnikarnia... – Jest. – Dostrzegła szyld BAGRAM BAR.

Kosiński wyciągnął szyję. Kilka prostych stolików wewnątrz, kilka na zewnątrz, kolorowy tłum, wszystkie miejsca zajęte. Humusy, falafele, jakieś papki w różnych kolorach, no, ale były i kurczak, i dania mięsne.

– Ciekawe, co tu mają za mięso?

– Nie napisali, ale pewnie schabowego tu nie podają. – Uśmiechnęła się. – Chodź.

Przepchnęli się między ludźmi wprost do lady zastawionej napojami w butelkach i puszkach. W butelkach napój aloesowy, w puszkach cola i różne egzotyczne soki, przeważnie, sądząc po nadrukach – chińskie. Z nalepek patrzyły mango, liczi i dziwaczne, czerwone kasztany w łupinkach z długimi kolcami.

– Co ma pan mięsnego? – zapytała Serbia, nie bawiąc się w żadne tam „dzień dobry”.

– Zależy, co lubi pani – odparł brodaty mężczyzna. Miał spokojne brązowe spojrzenie zmęczonych oczu i wyraźny obcy akcent, o którym nie potrafiłaby powiedzieć, skąd pochodzi.

– A co pan ma?

– Kurczaka mam albo wołowinę mam – recytował bez cienia znużenia, choć pewnie odpowiadał na to pytanie kilkaset razy dziennie. – Może być mięso kebab albo mięso z ryżem i z surówką z kapusty, albo mięso po afgańsku kabuli palao.

– O, to ostatnie może być ciekawe, z czym to jest?

– To duszone mięso. Ryż, rodzynki, marchewka i różni przyprawy. Wie pani, kardamon, szafran, cebula, pistacje.

– To brzmi dobrze. Weźmiemy dwa razy.

– Ma szczęście pani, że później nie przyszła, bo kabuli wymaga długie przygotowanie, dusimy jedzenie od rana i do wieczora nigdy nam nie wystarczy.

– To dlaczego nie robicie dwa razy tyle?

– Kabuli to nie jest to samo co kebab. Kebab się nigdy nie kończy. – Uśmiechnął

się melancholijnie do swojego żartu, a ona pomyślała, że słyszała go w jakimś filmie dla dzieci. Nie umiała sobie przypomnieć w jakim.

– To się cieszę. Nie za bardzo znam się na dalekowschodniej kuchni.

– To dalekowschodnia kuchnia nie jest – pokręcił głową brodac. – To jest środkowa Azja.

– Aaa. – Serbia zrobiła minę, jakby nie stanowiło to dla niej różnicy. – Młody, a ty, co pijesz? – Odwróciła się do Kosińskiego.

Podszedł i pochylił się, żeby zlustrować puszki z sokami. Brodaty obserwował to z politowaniem.

– To, to mi się podoba. – Kosiński wskazał te czerwone kasztany.

– Sok z rambutany. – Pokiwał głową właściciel baru. – Bardzo dobry wybór, jeśli ktoś słodkie lubi. Dwa razy?

– No, ja bym wolała kawę. – Serbia wydeła usta. – Ja słodkiego nie lubię.

– Roszpućzalna kawa, po turecku czy po mojemu?

– Jak jest po pańsku?

– Gotuję w garnki z mleko i z cukrem.

– Taka to pewnie może zabić.

– Może, ale nie musi. – Znowu się uśmiechnął, a ona przypomniała sobie, że żarty na temat jedzenia słyszała w filmie o grubej pandzie, która trenowała kung-fu. Ale to były żarty o pierożkach, a nie o kebabach. – Proszę, siadają państwo, sok wezmą, a ja wszystko przyniosę.

– Co robimy? – zapytał Kosiński, kiedy usiedli na tanich ogrodowych czerwonych krzeselkach. Stół był sfatygowany, ale wytarty do czystości.

– Nie wiem. Na razie siedzimy, gadamy.

– No, ale on zaraz przyjdzie. Co mam robić? Pokażemy mu zdjęcie tej dziewczyny?

– No, trzeba będzie pokazać, bo co?

– Ty mu powiesz, że ona nie żyje? Czy lepiej, jak to ja powiem? – Otworzył puszkę soku i przelewał do plastikowego kubeczka żółty gęsty płyn.

– Dlaczego pytasz? – Zdziwiła się, bo przecież Kosiński się nie kwapił do takich spraw. Raczej wolał się trzymać z tyłu, nie lubił się konfrontować ze smutkiem tych, którzy musieli usłyszeć, że ktoś, kogo kochali, już nigdy się do nich nie uśmiechnie. – Coś ze mną nie tak? Martwisz się? – Pomyślała, że cienie pod jej

oczami mogą być już tak głębokie, że się chłopakowi zrobiło przykro.

– No, wiesz, poczytałem trochę o tych Pasztunach i oni z kobietami to nie za bardzo. Wiesz, dla niego nawet brać pieniądze od kobiety może być trudne. Ja mu powiem i ja mu zapłacę. Widziałaś, jak spojrzał, kiedy zapytałaś, co pijemy?

– Nie, na ciebie patrzyłam.

– To ci powiem. Spojrzał na mnie jak na ciotę. Wiesz? Jak na miękką kuśkę. Synalka, co przyszedł na jedzenie z mamuszką, której daje dupy za pieniądze.

– Z mamuszką? – wkurzyła się. – Co ty w ogóle pierdolisz? Na terapii byłeś? Kurwa, i nie pomogło ci nic a nic? Wszędzie widzisz te dziwne spojrzenia?

– Nie. Nie wszędzie. Ale kiedy zapytałaś, co piję, to on stracił do mnie szacunek. Więc ja mu pokażę zdjęcie i ja mu powiem.

– A może to nie jest on?

– Jak, kurwa, nie on? Brodaty jest? Jest. Brązowy jest? No, może nie za bardzo, ale na pewno ciemniejszy niż ty i ja, a nie ma teraz lata. Gada jak Czeczen, a poza tym to jego bar i to musi być jego córka.

– Może to jego brat?

– A co to za różnica? To brat jej nie będzie znał?

– No, będzie.

– To ja mu powiem. A ty nic nie mów, dobrze, szefowo?

Rozśmieszył ją. Kosiński był dziwny.

Brodaty pojawił się przy stoliku z tacą, na której miał dwa parujące talerze. Najpierw postawił talerz przed Kosińskim, a potem przed nią. Zwróciła uwagę na to, że marchewka pocięta była w długie, wąskie słupki. Wymagało to pewnie mnóstwo pracy.

– Szmacnego. – Zanim się odwrócił, Kosiński podniósł rękę.

– Chwilę – powiedział i sięgnął do kieszeni po smartfona.

– Niedobry sok? – Mężczyzna ściągnął brwi.

– Bardzo dobry. – Kosiński nie patrzył na niego, tylko wbijał kod do telefonu. – Chciałbym panu coś pokazać, może pan usiąść.

Mężczyzna znieruchomiał na moment. To było dziwne. Przez tyle lat pracuje w Polsce, prowadzi te bary najpierw na stadionie, a potem tutaj, na Marywilskiej, i jeszcze nigdy nikt nie chciał mu niczego pokazać w telefonie. Odezwał się w nim stary instynkt. Jak echo z dawnych, bardzo dawnych czasów, kiedy miał

dwadzieścia lat i od intuicji zależało to, czy przeżyje.

– No, tylko chwilę. – Kosiński przeglądał zdjęcia. – Niech pan siądzie.

Brodacz odsunął krzesło, zawahał się jeszcze moment. Ze dwieście osób dookoła, spokój, bogata, bezpieczna Polska, kto by go miał tu szukać? Usiadł. Ale nie dosunął krzesła. Miał tego okularnika przed sobą, a kobietę nieco z boku. Ale to tylko kobieta. Trochę młoda, trochę stara, smutna, z odrobiną nadwagi, zwyczajna. Nie czuł od niej zagrożenia. Ale ten młody był dziwny. Nakręcony. Jakby miał zrobić coś, coś...

– Poznaje pan tę dziewczynę? – Kosiński odwrócił telefon w stronę brodacza.

Tamten znieruchomiał. Zobaczył dziewczynę w ramionach chłopaka, którego nienawidził z całego serca.

– Orbala – wyszeptał. – *Bura. Graan...*

– Jesteśmy z policji – powiedział Kosiński. – Pańska córka nie żyje.

– Wiem – odparł brodacz.

– Skąd? Skąd pan wie? – Usłyszał głos tej kobiety, nieco zniekształcony, bo miała już pełne usta. Co za wstyd. Nie dość, że się odzywa niepytana, to jeszcze z pełnymi ustami. Kobieta powinna mieć więcej godności. Kobieta nie powinna mówić niepytana. Tolerował te dziwne polskie obyczaje, bo to był dobry kraj. Nie czepiali się go i myśleli, że jest libańskim sprzedawcą kebabów. Ale teraz milczał. Nie będzie mówił do kobiety. Nie w obliczu śmierci. Kobiety tego nie rozumieją. Potrafią tylko płakać i pogrzebać zmarłych, jeśli zabraknie mężczyzn. Ale nie rozumieją, czym jest powinność.

Zdziwiło go to zdjęcie. Wiedział, że tak będzie. Że kiedyś przyjdą mu powiedzieć. Był gotowy. Czuł się stary. Buda z kebabem nie jest dobrym miejscem dla żołnierza. Świat nie jest dobrym miejscem dla żołnierza, który ma sześćdziesiąt pięć lat, nieważne, że wygląda na czterdzieści trzy.

Czekał. Podniósł brwi w kierunku młodego.

Kosiński musiał to zauważyć.

– Skąd pan wie, że nie żyje?

– Zabiłem ją – wyjaśnił. – Nie wolno dziewczynie pohańbić rodu. Nie wolno. Dziewka przynosi wstyd całemu klanowi.

– Co pan pierdoli? – Usłyszał zza pleców głos tej brzydkiej kobiety. – Jest pan aresztowany.

Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, że zaczęła się szarpać z krzesłem, widelcem i tym swoim workowatym swetrem. Żałosna. Znał takie ciamajdy. Zanim znajdzie kajdanki, jeśli w ogóle je ma, on zdąży pozamiatać i wyjść. Miał czas. Miał mnóstwo czasu. Gdyby chciał, miałby całą wieczność.

Ale on przecież nie chciał.

– Dziwka przynosi wstyd całemu klanowi – powtórzył. – Obowiązek, żeby zabić, jest ojca. Tylko tak można naprawić. Ojciec, który kocha, żeby zabić córkę, musi wpierw zabić siebie. Pan rozumie?

Nie chciał wieczności. Chciał, żeby ktoś zrozumiał. Musisz zabić siebie, żeby skrzywdzić tych, których kochasz. Ale oni, ci wszyscy Polacy, nie rozumieją. Oni myślą, że trzeba być nowoczesnym. Mieć ładne ubrania, pornografię w telefonie, kredyt na mieszkanie, wegetariańskie sklepy i otwartość na innych. Czytał polskie gazety. Tylko tytuły, bo to bardzo męczący język. Ale czytał każdego dnia. Gardził nimi. Jeśli zapominasz o własnych korzeniach, zapominasz o duszy. Jesteś nikim. Wierzą w fałszywych bogów. Słuchają fałszywych proroków. Są głupi. Naiwni. Lubił ich. Lubił ten nieporadny uśmiech i niepewność ducha. Szkoda, dobrzy ludzie. Tylko tak bardzo naiwni.

Kosiński siedział blady z tym telefonem w lewej ręce. Prawą zaczął przesuwając w górę. Pewnie ma tam broń. To oczywiste. Szczeniak myślał, że spotka grubego starca, zrozpaczonego po zaginięciu córki.

Polacy nigdy nie są gotowi.

Sięgnął po nóż ukryty w pochewce zapiętej tuż nad kostką. Mały nóż. Bardzo twarda stal. Znali się z tą stalą od czasów Nadżibullaha. Wydobył go w ułamku sekundy i, patrząc Kosińskiemu prosto w oczy, jednym ruchem przybił mu rękę do stołu. Razem z telefonem. Wtedy wreszcie zdjęcie Orbali z człowiekiem, który ją pohańbił, zgasło.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

TERAZ

– Zostaw! – krzyknęła Serbia. – Nie wyciągaj, kurwa, tego noża, bo do reszty rozpierdolisz rękę.

Kosiński był w szoku. Nie krzyczał. Miał dreszcze. Ludzie krzyczeli. W wąską alejkę gastronomiczną zaśmieconą przewracającymi się krzesłami i stołami wlewał się tłum. Zbiegowisko wzbierało podnieconą, gorącą falą. Widziała, jak brodacz ruszył naprzeciw tej fali, skulony nagle i jednocześnie napięty, wiedziała, że ktoś, kto całe życie kroi tylko kebab, byłby teraz w popłochu, a on szedł bez wahania. Szedł jak po swoje. Jakby robił to całe życie. Widziała, jak Kosińskiemu oczy wychodzą z orbit. Jak krew rozlewa się gęstą ciemną strugą. Jak się rozplywa między talerzami. Puszka soku stoczyła się na krawędź stołu i spadła.

– Niech go pan trzyma i nie pozwoli mu wyszarpać noża – powiedziała do śniadego chłopaka, który wybiegł z zaplecza Bagram Baru. Może to syn brodacza, pomyślała, brat tej biednej dziewczyny. – Niech pan mu nie pozwoli wyjąć noża! Jeśli wyjmie, te zadziory rozszarpia dłoń i jeszcze się wykrwawi tu na amen. Niech pan go trzyma. – Zorientowała się, że nie krzyczy. Że mówi zimno i stanowczo. Jakbym była żmiją, a nie kobietą, jakbym syczała. – Rozumie pan? – Popatrzyła śniademu w oczy.

Skinął głową.

– Niech pan powie: „Tak, rozumiem”. I niech go pan trzyma.

– Tak, rozumiem. – Chwycił Kosińskiego za prawą rękę i ścisnął tak, że ranny podniósł na niego oczy. Ale dreszcze nie ustały.

Serbia była zdziwiona, że wszystko dzieje się tak powoli. Tak nieprawdopodobnie wolno. Mówili, że kiedy umierasz, świat zatrzymuje się i widzisz go jak film, w zwolnionym tempie. Czytała kiedyś wywiad z Krzysztofem

Hołowczycem. Mówił o fazie *flow*, kiedy mózg jest tak bardzo skoncentrowany, że odbiera rzeczywistość tak intensywnie, że zdaje się, jakby panował nad czasem. To rodzaj uniesienia. W ułamkach sekund dostrzegasz sprawy, które w normalnym stanie musiałbyś analizować minutę.

Spojrzała w oczy Kosińskiego. Były tam strach i zdziwienie.

– Nic nie rób. – Wycelowwała w niego palec i w jakiś sposób miała pewność, że dotarło. – Niech ktoś zadzwoni po karetkę! – krzyknęła.

Nikt nie zareagował. Wszyscy patrzyli na krew. Brodaty był już daleko. Ludzka fala zamknęła się za nim, jakby był faraonem. Musi ruszać.

– Ty! – Stała twarzą w twarz z jakąś wymalowaną jak klaun małolată, która kręciła całą sytuację telefonem. – Dzwon na 112.

I sięgnęła po broń. Kurwa, jak trudno wyciągnąć to gówno spod swetra.

– Policja! – krzyknęła. – Zróbcie drogę!

Nie posłuchali. Muszę coś zrobić! Popatrzyła, jak oczy Kosińskiego zachodzą mgłą. Kurwa, ale co ja mogę!? Ręce jej drżały, podniosła broń nad głowę i... Nie umiała strzelić.

– Wypierdalać! – krzyknęła na cały głos. Ludzie zaczęli kulić się i cisnąć wokół ścian.

– Dzwon – warknęła do malowanki, a dziewczyna wystukała 112. – Powiedz, że masz rannego policjanta. I że potrzebne wsparcie, sprawca ucieka.

A potem pobiegła.

Do końca alejki i w lewo. Gdzieś tam, pięćdziesiąt metrów przed nią, brodaty rozgarniał ludzką ciżbę. Nie krzyczał, nie biegł, nie groził bronią. Szedł. Lekko pochylony do przodu, zdecydowany, jak zawsze, kiedy to konieczne. Ludzie nie rozumieją za wiele, ale wiedzą, kiedy się odsunąć. Czują to. Zostało to w nas gdzieś z dawnych czasów. Wystarczy wypuścić agresywnego psa w tłum, żeby wszyscy się rozpierzchli. Wystarczy, że będziesz szedł jak teraz, a będą ustępować. Rozumieją. Nie tak dobrze jak konie. Konie rozumieją przecież wszystko, zanim człowiek zdąży nawet o tym pomyśleć. Ale w ludziach też został ten instynkt. Szkoda noża. Nigdy się z nim nie rozstawał. Dwa noże to zawsze lepiej niż jeden. Ale nie chciał go wyszarpnąć. Gdyby wyszarpnął, ten chłopak wykrwawiłby się do zera. A gdyby nawet przeżył, to już by pewnie nigdy nie ruszał ręką. To tylko pies, ale przecież nic mu nie zrobił. Szukał Orbali. Wyglądał na zesranego ze strachu, ale

przecież to dziecko. Smarkacz. Okularnik.

Gdyby to był tamten, ten, co ogłupił Orbalę, wyrwałby ten nóż. Nie. Nie zabiłby. Dałby mu szansę. To przecież wina kobiet, że tak się dzieje. Wina ich głupoty. To jego wina. Jego własna. Źle wychował córkę. Nie zrozumiała, dlaczego powinna być posłuszna. Nie nauczył jej, czym jest honor. Niepotrzebnie pozwolił jej na te studia. Niepotrzebnie uwierzył, że samodzielność i wykształcenie są ważniejsze niż tradycja. To tradycja pozwala nam być częścią świata. Stoimy na ramionach przodków. Oni byli bliżej Boga, niż my kiedykolwiek będziemy. On też był blisko Boga, kiedyś, dawno temu, w górskich dolinach odciętych przez śnieg od całego świata. Przez śnieg, a czasami przez śnieg i przez ogień. Siedział nocami wśród gwiazd i nie czuł chłodu, bo Bóg był tuż obok. Mógł do Niego mówić i mógł słyszeć oddech Boga. W świecie, do którego przywiózł swoje dzieci kiedyś, dawno, dawno temu, żeby nie pamiętały wojny, żeby zapomniały, że są same, bez matki, było dużo hałasu. Za dużo, żeby usłyszeć głos Boga. Za dużo światła, żeby zobaczyć gwiazdy.

Za dużo ludzi, żeby popatrzeć w głąb siebie.

– Won! – warknął do jakiegoś gówniarza zapatrzonego w ekran telefonu. Chłopak nie usłyszał, więc brodaty odsunął go z drogi, a dzieciak poleciał na stoły zastawione ubraniami. Stoły zaczęły się przewracać, ludzie krzyczeć. Wiedział, nie musiał się oglądać, wiedział, że brzydka kobieta biegnie za nim i że udało jej się pewnie wygrzebać broń spod swetra. Jeśli ją w ogóle miała. Wiedział, że się wstydziała. Że nosi ten sweter, żeby ukryć tuszę. Kobiety nie powinny pozwalać sobie na taką słabość. Policjantka... Nie strzeli. Boi się zabić. Każdy, kto nie zabijał, boi się zabić pierwszy raz. Wiedział, że nie będzie umiała strzelić. Na pewno nie w tłumie. Ale potem tak. Jeśli tylko będzie potrafił ją do tego zmusić. Do drzwi zostało mu dziesięć metrów. Zaczął biec. Jedne drzwi, drugie, parking. Zalany słońcem. To nie jest ta strona, po której trzymał własne auto. Ale jego auto będzie jeszcze potrzebne synowi, nie chciał go brać. Weźmie inny samochód. Sześćdziesiąt metrów przed nim jakaś para pakowała wózek do bagażnika. Czterdzieści metrów, gruba pewnie już forsuje drzwi. Dwadzieścia metrów.

Nie mogła strzelić w tej pierdolonej hali handlowej. Biegła. Zobaczyła, jak brodaty uderza jakiegoś studenta, a ten leci w powietrzu jak szmata. Musiał być silny. Co to, kurwa, za typ? Przy kebabie się tego nauczył? Facet od kebabu nosi w

skarpecie nóż do wypruwania flaków? Kurwa jego mać, teraz zaczął biec. Ona też pobiegła. Na filmach policjanci biegną, trzymając broń dwiema rękami przed sobą. Jak oni to, kurwa, robią? Trzymała pistolet w prawej. Przecież i tak teraz nie strzeli. Pokonała dwie pary szklanych drzwi i zobaczyła, jak tamten bije pięścią jakiegoś mężczyznę i wyrywa mu coś z ręki, pewnie kluczyki. Widziała, jak krzyczy do kobiety, a ona próbuje coś wyszarpnąć z tylnej kanapy. Mężczyzna kopnął leżącego, a kobieta zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Serbia biegła. Nie mogła strzelać, żeby nie trafić tej dupy. Nie drzyj się, suko jebana, trzydzieści metrów, baba wyciąga z samochodu dziecko, brodaty wskakuje za kierownicę, piętnaście metrów, dziesięć.

– Spierdalaj, kurwa, spierdalaj! – Serbia słyszy swój krzyk, ale baba trzyma dziecko w jednej ręce, a drugą napierdala w dach auta, to jakaś czarna skoda, duża, kurwa, wielka, superb.

Pięć metrów.

– Spierdalaj!

Skoda rusza z piskiem opon, kurwa, jaki to ma silnik?! Rozpierdala jakieś małe samochody po lewej stronie. Serbia strzela raz-dwa, ale pociski idą w kufer.

Spokój. Masz tu auto, biegnij.

Skoda zawraca w miejscu z piskiem opon.

Może się złożyć jeszcze raz? Nie! Biegnij! Za późno na strzał. Dobrze, że ford zaparkowany jest przodem do wyjazdu, osiemdziesiąt metrów, skoda przyspiesza, ale wyjazd jest wąski, z naprzeciwka jadą jacyś zakupowicze, będzie musiał, czterdzieści metrów, będzie musiał zaczekać.

Serbia dopada auta. Wciąż wszystko pracuje w niej idealnie. Nie musi wyrównywać oddechu. Może biega lepiej, niż sądziła? To krótki dystans, ale i tak jest z siebie dumna. Kluczyki znajduje bez pudła i nie maca w poszukiwaniu stacyjki, jak to się jej czasem zdarza, tylko trafia za pierwszym razem. Skoda znika z pola widzenia. Ford zrywa się do biegu, a ona nie patrząc, sięga po radiotelefon i mówi to, co trzeba powiedzieć. Jest teraz jak maszyna. Jak automat. Nie musi patrzeć, żeby wiedzieć, po co wyciągnąć rękę.

Kiedy uświadamia sobie ten fakt, czuje przyływ siły. Wie, że to tylko adrenalina, ale myśli, że jest stworzona do walki. Że przychodzi w życiu taki moment, w którym wszystkie sprawy, wszystkie elementy, klocki czy puzzle,

trafiają na swoje miejsce. Moment, w którym nie ma przeszłości i nie ma przyszłości. Jest tylko tu i teraz. Trzydzieści kilka lat szła przez życie po to, żeby teraz wiedzieć. Żeby nie było wątpliwości.

W zakręcie w lewo wynosi ją niebezpiecznie, ale nie panikuje, redukuje i wciska gaz do spodu. Kontrolki na ułamek sekundy rozbłyskują jaskrawo, ale samochód wychodzi, szorując tylko prawym tylnym kołem o krawężnik. Skoda znika w zjeździe z ronda. Serbia wie, że dystans jest niewielki i że nie może się to zmienić. Nie może stracić skody z oczu. Co trzeci samochód w Warszawie wygląda jak czarna skoda.

Brodaty potrafi prowadzić. A teraz ma cztery na cztery. Uczył się jazdy w mieście. To było inne miasto. Wielkie. Wtedy biedne, ale wielkie. Brodaty wie, że najważniejsze to nie dać się zamknąć w wąskiej uliczce. Ani w korku. Pewnie już go szukają. Pewnie radiowozy już wiedzą, że jedzie czarną skodą. To im nie pomoże. Wybrał samochód podobny do wszystkich innych. Teraz wchodzi w zakręt bez hamowania, ale pisk opon, jaki słyszy, to nie są opony jego auta. Ktoś miał pecha i za późno zorientował się, że skoda nie ustąpi. Dobrze, myśli, doskonale, zablokuje tej babie przejazd. Kobiety nie powinny służyć w policji. Policja jest arogancka i wyniosła. Kobieta, jeśli jej pozwolisz, też będzie arogancka i wyniosła. Ten chłopak z Sidi Bu Zajd nie spaliłby się, gdyby nie spoliczkowała go policjantka. Tarek al-Tayyib, tak się nazywał. Dobry chłopak. Spłonął i zaczęła się rewolucja. A przecież sprzedawał tylko ogórki i pomarańcze. Najpierw przysłali mu mandat. Czteryście dinarów. Gdyby miał czterysta dinarów...

Brodaty zawahał się tylko na moment.

Jeśli uciekasz, nigdy nie kieruj się do centrum miasta, które nie potrafi rozwiązać swoich komunikacyjnych problemów. Warszawa nie potrafiła. A odkąd dostawało się tu pięćset plus, każdy kupował sobie samochód, którego nie umiał ani prowadzić, ani zaparkować. Skręcił w lewe ramię dojazdówki, a potem jeszcze raz, ostro w lewo, zajeżdżając drogę niedzielnym kierowcom, którzy z rozdziawionymi gębami jadąc z dziesięć na godzinę, zastanawiali się, czy to tutaj prowadzi droga do ich zakupowego raj. Wszystko po pięć złotych. Kebab po dwadzieścia. Nie narzekał. Dawali mu zarobić. Nie wytykali go palcami. Jego syn i córka mogli iść na studia. Trzymał nawet psa. Pies musi czemuś służyć. Nie może być zabawką. Gdyby tak było, to byłby grzech. Talibowie nienawidzili psów. „Anioł nie mieszka

w domu, w którym mieszka pies”. Ale pies jest dobry, jeśli chcesz kogoś poznać. Sąsiedzi głaskali jego psa na skwerku i częstowali papierosami. A ile twój pies sra? Jaką żre karmę? Miał wczoraj kleszcza? Kobiety też wychodziły z psami. Śmiały się i czasem, kiedy żartował, dotykały jego ramienia. Nauczył się nie cofać wtedy ręki. Nie rozumiały, że to niestosowne. Że to niedobre. Że kobiecie nie wolno się śmiać sam na sam z kimś obcym, nie wolno patrzeć mężczyźnie w oczy. Że nie wolno go dotykać. Lepić się. Robić te, jak oni mówią, maślane oczy. Kiedy usłyszał to po raz pierwszy, myślał, że to jakaś potrawa. Maślane oczy. Na początku odsuwał się i odchodził ze swoim psem, ale wiedział, że to psuje kamuflaż. Że prawdziwy wieśniak z gór, bo tak o nim myśleli, powinien być wdzięczny za to, że się nim przejmują. Że go widzą. Że z nim żartują i pozwalają mu, by się czuł bezpieczny i równy. Kiedy go dotykały przez szorstką skórzaną kurtkę, rosła w nich duma, że nie są jak inni. Że potrafią dostrzec w obcym człowieka. Ba – dostrzec w nim.

Uczył się cierpliwości. Kiedy pytali, kim jest, mówił, że Kurdem. Nikt z tych nadętych pajaców palących papierosy jak dzieci nie potrafił odróżnić Kurda od Pasztuna. Wszyscy w tym mieście współczuli Kurdom. Największy na świecie naród bez ziemi, my też byliśmy bez ziemi sto ileś tam lat. Rozumiemy was, Kurdowie... Nikt w tym mieście rozumiał nic ze świata.

Przycisnął gaz. Zaklął. Szosa zrobiła się nagle wąska. Z dwóch pasów w każdą stronę zostało tylko po jednym.

Serbia wciskała klakson jak szalona. Jakaś pizda głupia blokowała jej drogę, ani w przód, ani w tył, pewnie jej zgasł silnik. Kurwa! Klucz przekręć, pizdo! Serbia nie wie, czy krzyczy na głos, czy to tylko głos w jej głowie. Cofa. Rusza pełną pizdą. Omija micrę o milimetry. Pewnie się ta idiotka na nissanie uczyła jeździć do prawa jazdy i już żadnego innego nie poprowadzi. Trzeba wypatrzyć superba. Skręcił do Warszawy, czy na Nieporęt? Serbia wyciska forda jak mokre pranie, silnik jazgocze i kobieta czuje, że opony buksują po asfalcie, ale opór materii słabnie i wóz wreszcie przyspiesza. Ciekawe, czy dadzą jej śmigło. Helikopter, helikopter, cholera, śmigło potrzebne! Powiedziała, że policjant ranny i że przestępca niebezpieczny, to pewnie dadzą. Tylko dokąd, kurwa, jedziemy? Już zjazd. Skody nie widać. Ale na sąsiednim pasie ludzie najwyraźniej przerażeni, siedzą jak skamieniali. Duże auto w połowie zjazdu w lewo. Na Nieporęt skręciłeś,

chujku, na Nieporęt. A jeśli nie? Wątpliwości dopadają ją jak psy, jakby była postrzelonym zającem. Widzi ślinę w ich pyskach. Czuje gorąco. Smród. Spociła się w ułamku sekundy. Nie no, na Nieporęt pojechał, wciska klakson i wchodzi w wiraż w lewo znowu zbyt mocno, więc koła usuwają się na chwilę, ale ona się nie boi, tylko po prostu zaciska powieki i odkręca, prostuje koła, redukując bieg i znowu wciskając do deski.

Skoda szła pewnie i szybko. Samochodów jechało mnóstwo, ale wszystkie w przeciwnym kierunku. W kierunku zakupów. Wszystko przez te zakupy. Przez tę konieczność posiadania rzeczy. Ludzie, którzy mają pusto w sercu, muszą mieć pełno w lodówce. W szafie. Wszystko dlatego. Czasy, kiedy liczyło się, czy jesteś dobry albo czy jesteś przynajmniej mądry, minęły. Teraz oceniają cię po tym, jak jesteś ubrany. Mundur sprawia, że masz władzę. Mundur, a nie zdolność rozumienia, współczucia. Pomyślał o Orbali, kiedy zobaczył przed sobą światła ciężarówki. Orbala, słońce mojego życia. Nie mam do ciebie żalu. Nie mam do ciebie gniewu. Rozumiem, że się zakochałaś. Że zapomniałaś o przyrzeczeniu, bo kiedy daliśmy słowo za ciebie, byłaś przecież dzieckiem. Rozumiem, że poszłaś do chłopca, który ci zawrócił w głowie tym nieustannym pytaniem, czy jesteś szczęśliwa, czy ci czego nie brak, tym opowiadaniem o domu w górach, który będziecie mieli, o dzieciach, które będziecie karmić i pielęgnować. O pracy, o tym, jak to mówił, o gabinecie. Będziecie mieli gabinet rehabilitacji, będziecie masować ludzi, będziecie mieli pieniądze. Jak to masować? Pytałem: Jak to masować? Dotykać innych ludzi? Tak. Innych, chorych. Kobiety? Mężczyzn? Tak, wszystkich, którzy tego będą potrzebować. Ale ty będziesz dotykał innych kobiet? Orbala będzie dotykać innych mężczyzn? Jak to możliwe? Ty nic nie rozumiesz, tato, wybuchnęłaś, ty zawsze będziesz pasterzem kóz. O tak, chciałbym być pasterzem kóz, Orbala, słońce mojego świata, chciałbym być pasterzem kóz... Tak, będę dotykać pacjentów. Rozumiesz? Nie innych mężczyzn, tylko pacjentów. Chorych ludzi. Ale ty rozumiesz, córko, że nie wolno dotykać kobiecie obcych ludzi? Rozumiesz, że to przynosi krzywdę? Jaką krzywdę, tato, to przecież przynosi zdrowie. To przynosi dobrostan. Dobrostan, powtórzył. Słowo, którego nie rozumiał. Nie potrafił zapamiętywać słów, których nie rozumiał. Nie zapytał, co to znaczy. Zawstydzila go. Córka nie ma prawa zawstydzić ojca. Koran mówi: „I postanowił twój Pan, abyście nie czcili nikogo innego, jak tylko Jego; i dla

rodziców – dobroć!”. Powiedział: dla rodziców dobroć. Nie zawstydzaj mnie, córko moja. Kiedy wstał, żeby jej to powiedzieć po raz trzeci, kiedy jej przypomniał, że jest obiecana, że jest narzeczoną, ten chłopak powiedział, żeby z nim szła. A ona poszła. Tak jak stała. Wzięła tylko kurtkę. I poszli. Wtedy ostatni raz z nią rozmawiał. Kobieta nie może iść z niepoślubionym. Nie rozumie, jaką wyrządza krzywdę całej społeczności. Jaką wyrządza krzywdę temu, któremu jest przyrzeczona. Nie rozumie, że on czeka przecież. Że całe jego życie obraca się teraz wokół tego jednego, najważniejszego słowa: żona. Czy ty wiesz, córko, ile cierpienia przynosisz? Czy ty wiesz, ile łamiesz serc, które cię pokochały, zanim jeszcze nauczyłaś się chodzić? Czy wiesz, że w każdej wsi w dolinie, w każdym mieście i na wszystkich rozstajnych drogach, w namiotach i domach, na pastwiskach, na przełęczach i przy wodopoju, w sklepie, w świątyni, na stadionie i na dworcu, czy wiesz, że dokądkolwiek pójdzie ten, któremu byłaś przyrzeczona, to wszyscy wiedzieć będą, że to jest ten, który chodzi ze złamanym sercem? Czy wiesz, że stracił nie tylko szczęście, lecz także honor? On i cała jego rodzina. Ty, ja i cała moja rodzina. Z jakiego powodu? Z powodu marzeń o domu w górach?

Mówił jej to wszystko, kiedy wiózł nad rzekę. Mówił, ale ona nie słyszała. Tak łatwo jest uspić człowieka, tak łatwo. Nie powinien był jej usypiać, zanim uderzył pierwszy raz. Ale przecież nie ją musiał zabić, ale cały wszechświat. Miał ją w końcu chronić. Miał ją uczynić szczęśliwą. Miała mieszkać tu, w bezpiecznym świecie, z rodziną, którą jej kiedyś wybrali. Orbalo, słońce mojego świata, nie można było postąpić inaczej.

Nagle instynkt podpowiedział mu, żeby spojrzeć w lusterko. Ford siedział mu na plecach.

Serbia nie mogła uwierzyć, ale zobaczyła skodę przed sobą. Jeszcze daleko, ale miała pewność. Każda komórka jej ciała mówiła: masz go. Masz go i nie wolno ci puścić. Gdzieś tam, w Nieporęcie ustawiają blokadę. Ale teraz ona go ma. Najgorsze są ciężarówki, które jadą dziewięćdziesiąt, bo nie wiesz, czy taką wyprzedzać, czy jednak sobie odpuścić, ale uciekinier nie miał przecież takich dylematów, a jednak nie wyprzedzał. Ruch był duży, ale nie aż tak, żeby nie zaryzykował. Coś mu jest, pomyślała, coś z autem, bo przecież nie był ranny. Doszła go w minutę. Co teraz, kurwa, co teraz? Co zrobiłby Siwy? Nie było odpowiedzi. Co by zrobił... Co by zrobił...? Co zrobiłaby ona? Co zrobiłaby

dziewczyna, która wykończyła terrorystę? Pierdolnęłyby w tę skodę z całej siły, żeby ją zmieliło pod ciężarówką. Serbia sprawdziła, czy ma dobrze zapięty pas, odpuściła na ułamek sekundy i zredukowała do czwórki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

TERAZ

Kiedy uderzyła w tył uciekającego samochodu, ford zatańczył na szosie jak bąk, ale skoda nie poszła pod ciężarówkę, jak Serbia się tego spodziewała. Powinna pójść! Wbić się. Powinny jej pęknąć opony i po zawodach, pomyślała. Na filmach zawsze tak się dzieje. Ale pewnie tamten musiał się zorientować i dał po hamulcach na chwilę, zanim go trafiła, a potem zredukował i przyspieszył. Skoda była cięższa od forda.

Odważna jesteś, pani policjantko, pomyślał z uznaniem brodac. Odważna, ale niedouczone. Uśmiechnął się, bo uderzenie sprawiło, że myśl o Orbali rozprysnęła się w ułamku sekundy na tysiące kawałków. Przecież już się pożegnał. Ze sobą i ze światem. Po co wracać? Martwi nie wracają, a on był martwy. Był martwy już w chwili, kiedy jechał po córkę. Właściwie to był martwy już w momencie, kiedy tamten chłopak, tamten dzieciak, który niczego nie rozumiał, powiedział do niej: „Chodź”. Są słowa, których nie wolno powiedzieć na głos. „Milcz” – powiedziała kobieta policjantka do sprzedawcy pomarańczy, kiedy Tarek al-Tayyib próbował się tłumaczyć. „Milcz” – powiedziała, a potem uderzyła go w twarz. Jej kompan policjant rzucił chłopaka na ziemię. Wszyscy to zobaczyli. Wszyscy widzieli sponiewieranego człowieka. W urzędzie miasta nie chcieli przyjąć skargi na policjantów. W ogóle nie chcieli o niczym słyszeć. Następnego dnia przyszedł na główny plac swojego miasteczka, oblał się benzyną i podpalił. Sprzedawca pomarańczy. Podpalił całą północną Afrykę. Spadły głowy prezydentów i generałów. Są słowa, których nie wolno wypowiedzieć. „Chodź ze mną”, powiedział ten jej chłopak i nie wie, nigdy nie będzie wiedział, ilu ludziom rozpadł się wtedy świat. Ile łez musiało popłynąć. Ile krwi. A jednak Bóg dał usta nie tylko mędrcom, lecz także głupcom.

Zerknął w lusterko. Pewnie szykujesz się, żeby mi znowu przywalić, dziewczyno z policji, ale nie dziś. Nie dziś. Nie możesz zabić kogoś, kto już nie żyje. Nie wychylał się z za ciężarówki. Po prostu zredukował i ile mocy w silniku tego samochodu, wyrwał w lewo. Zobaczył przed sobą pomarańczowego citroena. Najpierw światła, potem wytrzeszczone, szklane oczy kierowcy. Zobaczył, jak usta tamtego otwierają się do krzyku, pociągnął, ile mocy jeszcze bardziej w lewo i o centymetry minął samotną brzozę. Brzoza. Najbardziej polskie ze wszystkich drzew świata, pomyślał. Szarpało, bo szedł po błocie. Poczuł, że ściąga go w lewo. Do rowu. Wyprostował błyskawicznie koła i jeszcze zredukował. Dodał gazu. Byle nie pozwolić, żeby obroty spadły. Poczuł twarde podłoże, dał lekko w prawo i utrzymał skodę na płaskiej, śliskiej, zmiętej trawie. Citroen zmieścił się jakimś cudem w luce między nim a ciężarówką. Jeszcze nie nadszedł czas na ostatni krzyk. „Paintball Quady” – przeczytał brodacz kątem lewego oka na jakiejś wyblakłej reklamie i centralnie ściął plastikowy słupek ograniczający pobocze. Odbił w prawo, wyjeżdżając przed ciężarówkę tuż pod nosem jadących z naprzeciwka. To był sznur aut. Pani policjantka musi zostać. Droga była wolna.

Zjechała, pomyślała. Wszystko zepsułam. Zdziwiła się, że przyjęła to bez hysterii. Wciąż była skoncentrowana. Odpuściła trochę ciężarówce i wysunęła się w kierunku lewej strony, żeby zobaczyć, co jedzie z naprzeciwka. Nie jest dobrze, nie jest dobrze. Jeden za drugim, cholerna sobota, ale dokąd oni jadą, powinni już przecież wracać? Ale nie, jadą. Dokąd, kurwa, tak jadą? No, na świąteczne zakupy. Już przecież idą święta, zaraz mi tu będą śpiewać kolędy, a ja w tym domu sama, cholera jasna, no, nie przejadę.

Wtedy ją olśniło. Przecież to służbowy wóz. Uruchomiła syrenę i ford zaczął błyskać światłami. Wysunęła się jeszcze odrobinę, żeby kierowca ciężarówki nie miał wątpliwości. Żadnej reakcji. Myśl, dziewczyno, myśl. Wjechali do jakiegoś zagajnika. Może to nawet las. Sosny, krzaki, ścieżka rowerowa. Zjechała bliżej prawej krawędzi jezdni. Może by dała radę po tej ścieżce? Ale, kurwa, latarnie. Drzewka. Nie zmieści się. No, ale inaczej się nie da. Myśl, dziewczyno. Zwolniła. Ciężarówka zaczęła się oddalać. Dziesięć metrów, piętnaście. Tamten już pewnie daleko, odpuściła jeszcze pięć metrów i zaraz po tym, jak zobaczyła latarnię, zjechała na prawo i zacisnęła zęby. Kurwa, nie pomyślała o krawężniku, ale nic. Tam tylko trawa, błoto, ściąła drzewko wsparte na jakimś patyku, tylko świsnęło i

koła załomotały o kostkę bauma. Dodała gazu. Kiedy mijala ciężarówkę, spojrzala w strone kabiny, ale nie zobaczyła nikogo. Tirowiec jechał sam. Żadnego konwojenta. Żadnej kobiety, której mogłaby na ułamek sekundy spojrzeć w oczy i powiedzieć tym spojrzeniem: „Patrz, mała, jak się jeździ”.

– Kurwa, ja w euforii jestem – powiedziała na głos.

Gdzieś przed nią jaśniało. Kończył się las. Między ścieżką a szosą zobaczyła niebieski znak informujący o noclegach i parkingu. Za znakiem nie było już drzew.

Zajazd Ross.

Odbiła w lewo i po błocie zjechała na szosę.

– No, kurwa, teraz pogadamy! – Dała czwórke i do dechy. Obroty na czerwonej skali. Przecież się od tego samochodu nie rozpadają, co nie?

A ty, Kosiński, co? Krwawisz?

Jechała jak natchniona aż do chwili, gdy wyrósł jej przed nosem autobus. Siedemset pięć. Z Metra Marymont. No, nie miał kiedy jechać?! Na szczęście kierowca usłyszał syrenę, bo zrobił jej miejsce, nie za dużo, ale dość, żeby zmieściła się między nim a tymi z naprzeciwka. Wcisnęła gaz do samego spodu. Miała nadzieję, że dyspozytor znał się na swojej robocie i że w Nieporęcie ustawią blokadę.

Brodacz zorientował się, że coś jest nie tak, kiedy sznur samochodów z naprzeciwka nagle się skończył. Dziwne, pomyślał.

Nauczył się natychmiast reagować na takie sygnały. Na pustą ulicę, na której zawsze jest tłok. Na to, że okna są pootwierane w samo południe. Na samochód zbyt czysty, żeby mógł dojechać inaczej niż na lawecie. Na milczenie. Na nagłą zmianę.

Postawili blokadę. Nie jesteś głupia, pani policjantko. Nie jesteś mistrzynią świata, ale się starasz.

Zwolnił do pięćdziesięciu. Jeśli jedziesz powoli, ci na blokadzie nie mają pewności, czy się nie mylą. Spodziewają się, że wyjedzie im na strzał ktoś sto pięćdziesiąt, a nie jakieś ślamazary. Będą wątpić. Zwątpienie da mu czas do namysłu. Wieś była zabudowana niskimi domami. Jedna, najwyżej dwie kondygnacje. Wszystkie domy otoczone płotem. Na prawo i na lewo otwierały się drogi prowadzące w głąb, ale najwyraźniej niedaleko. Szutrowe nawierzchnie kończyły się gdzieś ścianą lasu. Nie warto tam skręcać. Może zwrócić? Jeśli

pojedzie wolno, policjantka go przeoczy, bo będzie cisnęła z całej siły, kiedy jej się uda wyprzedzić ciężarówkę. Uda jej się wyprzedzić za chwilę, bo nic już nie jedzie z naprzeciwka. Ma jeszcze między nią a sobą autobus. Ale przy pustej drodze to żaden kłopot nawet dla niej. Ma więc dwie minuty do namysłu. Toczył się powoli, jak każą przepisy, zaciekawiony tym, co go spotka na końcu drogi. Wreszcie i w nim odezwała się adrenalina. Obudził się ze snu. Tęsknił do tego. Do walki. Nie, nie do takiej. Nie za taką cenę. Wy, którzy wierzycie, strzeżcie swoich dzieci od ognia. Nauczcie ich modlitwy, nauczcie prosić o to, kiedy wejść i kiedy wyjść, nakazujcie im robić co dobre i zakazujcie czynić co złe. Nie ma bowiem wybawienia od rozkazu Boga. Wybawienie ma tylko ten, komu On okazał miłosierdzie.

Wtedy usłyszał syrenę. I zobaczył niebieskie światła.

Mam cię, chuju. Zakłęła w duchu, zaskoczona, że dojechała do niego tak szybko. Pewnie coś mu się stało z samochodem. Co teraz robić, co robić? Sięgnęła po broń. Powinna leżeć na prawym fotelu, ale był pusty. No tak, cholera jasna, kiedy uderzyła skodę, pistolet poleciał do przodu jak z procy. Dobrze, że glock ma zabezpieczenie spustowe. Sam nie wystrzeli. Ale co teraz? No, trzeba podnieść. Pewnie broń leży gdzieś pod fotelem. Nie mogła podjechać bliżej. Zatrzymała się i czekała.

Skoda też się zatrzymała.

Pewnie facet zastanawia się, co robię. Odpięła pas. Pochyliła się, żeby wymacać rękojeść. Pistolet był zimny i ciężki. Poczowała ulgę, że tam jest, bo przez moment myślała już, że wypadł. Zniknął. Kiedy podniosła wzrok, skoda była dwadzieścia, trzydzieści metrów dalej, toczyła się powoli, może ze czterdzieści na godzinę.

Serbia zapięła pas i wrzuciła jedynkę, nie wypuszczając pistoletu z ręki. Dwójka. Trójka. Tak dobrze. Trochę wysokie obroty, ale fordy są elastyczne. Jakoś sobie poradzi. Zaczęła zbliżać się powoli do czarnego auta. Czwórka. Skoda minęła salon fryzjerski i łagodnie wzięła zakręt w prawo.

– A więc tu jesteście. – Brodacz zobaczył z daleka dwa radiowozy ustawione na sztorc pod wiaduktem kolejowym. No, przynajmniej tyle. Ucieszył się, że ma do czynienia z kimś myślącym. Pewnie chcą, żeby skręcił z którąś z bocznych ulic. Zamkną ją z obu stron. Będzie musiał wjechać komuś na podwórko. Pewnie weźmie zakładnika i poczeka do zmroku. Wtedy ucieknie. Teraz zmrok szybko

zapada. Nie zadzwoni do synów. Nie zadzwoni do nikogo. Przecież nie żyje. Wcisnął i pojechał prosto na wiadukt. Policjanci ani drgnęli. Tego się nie spodziewał. Myślał, że się rozbiegną, że rozpierzchną, a on staranuje samochody. Ale nie drgnęli.

Serbia była już rozpędzona, kiedy skoda ruszyła, buksując kołami. Ona też przyspieszyła, ale czarne auto miało większą moc. Wystarczyło mu te dwieście metrów, żeby odjechać. Serbia wyjechała zza zakrętu i zobaczyła w jednym ułamku sekundy jednocześnie i blokadę, i to, jak jej uciekinier zawraca niemal w miejscu, wchodząc w ostatniej chwili w uliczkę po prawej stronie. Silnik jazgotał, ale była pewna, że żaden z policjantów nie strzelił. No, kurwa mać, mogli mu chociaż rozpieprzyć opony! Przecież nie jechał zbyt szybko.

– Cholera jasna. – Upuściła pistolet, bo zrozumiała, że będzie potrzebowała drugiej ręki, żeby utrzymać forda w wirażu, skręciła i poczuła, że samochód traci przyczepność. I już wiedziała, dlaczego policjanci nie strzelali: na chodniku przed domami stali ludzie. Ktoś przesrał sprawę. Przestraszyła się, że zniesie ją poślizgiem na pobocze, ale i tym razem koła złapały przyczepność. Dodała gazu i pozwoliła, żeby się wyprostowały. Samochód nabierał prędkości. Dalej przy drodze też stali gapie. Policjanci powinni byli ich stąd wypieprzyć, zobaczyła jakieś dziecko wychylające się na ulicę z lewej strony. Było ich tam więcej, robili zdjęcia telefonami. Przez moment myślała, że skoda skręciła w prawo, ale to był tylko unik, zmyłka, bo kierowca nagle dał nura w wąski przesmyk między torami a niskim domkiem nakrytym czerwonym dachem. Szła za nim jak w dym. Mignęły jej z prawej jasnobrązowe ściany drewnianego domku krytego blachą, a potem znak zakazu wjazdu i koła zatrzepotały w mokrym szutrze. Kurwa, jaka nasiąknięta ziemia. No, musi mieć więcej mocy, zredukowała i dodała gazu. Pięć tysięcy obrotów szarpało fordem na prawo i lewo, Skoda była tuż-tuż. Pięć metrów, nie więcej. I nagle zniknęła w chmurze wody. Syf z kałuży rozpieprzył się na przedniej szybie jak gówno. Kurwa, zaraz mu przypierdołę, przestraszyła się i włączyła wycieraczki. Ale już było za późno. Przeleciała przez trawę, jakieś krzaki, obróciło ją na prawą stronę i runęła do wody.

Brodacz, chociaż w ostatniej chwili zrozumiał, że trzeba tu, w kałuży, skręcić pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w prawo, był gotowy na taką akcję właśnie dlatego, że uczył się takich manewrów. Wcisnął do dechy i zerwał, skoda zakręciła

wokół własnej osi i zobaczył, jak ford wpada do rzeki.

Serbia zawisła na pasach jakoś bokiem. Prawa strona gniotła ją jak cholera. Poduszka wybuchła i wszędzie było białe od tego pierdolonego pyłu. Nie mogła złapać oddechu. Właściwie to było białe błoto. Pewnie rozbiła się szyba z prawej strony, bo samochód wypełnił się wodą w okamgnieniu.

– Muszę wypiąć pasy! – Zrozumiała, że wciąż myśli trzeźwo i jasno. Pasy, dziewczyno, pasy. Wymacała uchwyt. Wcisnęła, ale nic to nie dało. Była pod wodą. Płytko, bo wciąż jeszcze cokolwiek widziała, ale pod wodą. Zrobiło się buro i zimno. Wcisnęła jeszcze raz. Nic, kurwa, pasy nie dają się wypiąć. Wyciągnęła usta w górę, żeby chwycić jeszcze haust powietrza, które utknęło jej nad głową.

Zrozumiała, że umrze. Utopi się, wisząc w pieprzonych pasach. Szkoda. Szkoda, że nikt nie będzie wiedział, że nie panikowała. Chciałaby, żeby ktoś wiedział. Siwy. Szymon. Mama. Powietrza było już mało, tak bardzo mało. Zrozumiała, że zaraz zacznie się dusić i wtedy się przestraszy. Ale tylko na chwilę. Jakoś to przetrwa. Tylko chwilę.

Wtedy zobaczyła kątem oka cień po lewej stronie. Łupnęło głucho i szyba rozpadła się w drobny mak. Brodacz wsunął ramię do środka i odciął pas na piersiach krótkim szerokim nożem z zadziarami, a potem wsunął się do połowy przez okno, przygniatając ją. Chciała krzyknąć i woda zalała jej usta. Uderzył ją łokciem w brzuch. Wymacał pas na biodrach. Przeciął go, rozdierając jej sweter. Poczowała ból. Brodacz szarpnął się w tył i wsadził nóż w usta. Chwycił ją za ramię i zaczął ciągnąć w górę. Zapała się nogami i odepchnęła, żeby mu pomóc. Była o krok od paniki, ale wiedziała, że tak trzeba, tak trzeba.

Wyciągnął ją na brzeg i leżeli teraz obok siebie, jakby wyrzygał ich jakiś biblijny potwór. Słyszeć było radiowozy.

Serbia płakała.

– Dlaczego pan po mnie wrócił? – zapytała.

– Ja nie żyję. – Pokręcił głową. – To moja córka po ciebie wróciła. Orbala.

– Świetlik – powiedziała Serbia, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

– Tak. – Uniósł się na łokciu. – Świetlik.

Syreny były o parę metrów.

– Tam! Tam są! – krzyczał ktoś całkiem blisko.

Brodacz podniósł prawą rękę i Serbia zobaczyła, że trzyma w niej nóż. Taki sam,

jakim przygwoździł Kosińskiego. Ten sam, którym ją odciął. Podniósł tę rękę wysoko. Bardzo wysoko, jakby brał zamach.

Antyterrorysta, który stał na brzegu, strzelił celnie. Dwa razy. W sam środek czoła. Z MP5 nie mógł nie trafić.

EPILOG

DZIESIĘĆ DNI PÓŹNIEJ

Zimno. Kurwa, jak zimno. Jeszcze wczoraj padał deszcz ze śniegiem, a dzisiaj minus osiem. I piękne niebieskie niebo. Puławska lśniła w tym słońcu jak rybi brzuch. Jakby było po burzy. Na każdym światełku trzeba było czekać w nieskończoność, bo przecież miasto nie przywykło jeszcze do mrozu, a niskie słońce świeciło kierowcom prosto w oczy. Serbia włączyła radio, żeby posłuchać wiadomości. Spiker opowiadał, że w Tatrach pełnia zimy, wspaniała pogoda, ale ogłoszono drugi stopień zagrożenia lawinowego i właściwie nie powinno się wychodzić nigdzie poza szlaki do schronisk. Szlaki są za to przetarte. No i oczywiście warto wjechać kolejką na Kasprowy. Nie pamiętała już, jak dawno temu była na Kasprowym. Pewnie całą wieczność.

Tak – pomyślała, minęła już cała wieczność. Ale wystarczyłoby, żeby zamknęła oczy, by zobaczyć czarną ścianę Kościelców, podwójną szczybę na szczycie Świnicy i gdzieś w oddali garbatą piramidę Krywania. Uśmiechnęła się do tego wspomnienia.

„Krywaniu, Krywaniu wysoki,
leca, płyną spod ciebie potoki.
Tak się leją moje łzy, jak łone,
hej, łzy moje, łzy niezapłacone”.

Śpiewał jej tę pieśń wprost do ucha, ale szeptem, tak żeby nikt z ludzi spieszących tamtego dnia na ostatnią kolejkę nie słyszał, co śpiewa. Ale każdy wiedział, że o miłości. Innej pieśni nie śpiewa się przecież wprost do ucha. Pamięta ten szept i parę z jego ust. Było tak zimno, a jednak czuła, jak ją łaskocze. To dziwne, ale tamtego dnia miała pewność, że zapamięta ten moment do końca

świata. Choćby nie wiem co. Choćby podzielili ich czas, zdrada, kłamstwo albo nawet śmierć.

Nie myliła się. Podzieliło ich to wszystko, a ona pamięta. Nie pamięta czasami jego twarzy. Pewnie nie poznałaby, gdyby stanął teraz przed nią, na tych pasach przy Narbutta, przy których ona czeka teraz, aż się zapali zielone. Mógłby stanąć w swoim ciemnozielonym płaszczu, wysoki, smagły, jakby zagraniczny. Tak o nim mówiły koleżanki. Zagraniczny. Lepszy. Najlepszy. Zazdrościły jej. Nie umiała sobie przypomnieć jego twarzy. A oddech pamiętała. I tę góralską pieśń, po której zapragnęła mieć dziecko. Córkę. Córki są przecież najfajniejsze.

Zapaliło się zielone. Ruszyła. Banki, restauracje, Dzikie Ryż, trzeba by tam zajrzeć kiedyś.

W radio kończyła się piosenka i pikał już licznik czasu.

„A teraz wiadomości. Dziś wieczorem posłowie będą głosować nad przyjęciem wniosku PiS o organizacji i trybie postępowania przed Trybunałem Konstytucyjnym oraz o statusie sędziów TK. Projekt budzi gwałtowne protesty opozycji. Przed Sejmem protestują przedstawiciele Konfederacji Rodziców, dwaj z nich podpalili kukłę przedstawiającą Jarosława Kaczyńskiego. Prezes IPN powiedział dziś rano, że popiera degradację generałów Kiszczaka i Jaruzelskiego. Jarosław Kaczyński był dzisiaj rano gościem radiowej Trójki. Powiedział, że trzydziesta piąta rocznica wprowadzenia stanu wojennego wymaga upamiętnienia, bo to ważna data w życiu Polaków. Dziś o godzinie szesnastej przy rondzie de Gaulle'a zbierają się zwolennicy Komitetu Obrony Demokracji. Będą manifestować pod hasłem »Stop dewastacji Polski«. Zwolennicy PiS spotkają się dwie godziny później na placu Trzech Krzyży, żeby zademonstrować poparcie...”

Wyłączyła radio. Minęła Malczewskiego. Kiedyś bywała tu często przy okazji sprawy gwałciciela. Do skrzyżowania w Idzikowskiego było stąd już całkiem blisko. Ciekawe, czy znowu przyjdą w tym roku pod dom Jaruzelskiego, pomyślała, w końcu to trzynasty grudnia. Siwy mieszkał w tej samej dzielnicy. Niewiele tam domów. Można powiedzieć, że byli sąsiadami. Skręciła w prawo pod zakaz, bo tam przecież jednokierunkowa. Zaparkowała zaraz za znakiem „zakaz wjazdu”. Nie będzie przecież jeździć dookoła. Ostatnie kilkaset metrów poszła spacerem.

Siwy otworzył jej drzwi w szlafroku i kapciach. Nie zapytała. Wiedziała, że skoro nie przychodzi na szychę, to znaczy, że sprawa jest poważna.

– Co to, kurwa, za przebranie? Do sylwestra jeszcze kawał czasu – spróbowała zażartować.

– Myślisz, że dożyję? – Rozłożył ramiona, jakby chciał ją przytulić.

Zawahała się na moment. Nigdy tego nie robił.

– No, dawaj – powiedział.

Stała bez ruchu.

– Kurtkę dawaj.

Odwróciła się, postawiła plecak na podłodze i pozwoliła mu zdjąć okrycie.

Spojrzała na swoje buty. Śnieg topniał. Naniósła wody i soli. W przedpokoju był parkiet w jodełkę. Dalej zaczynały się dywany.

– Kaptcie dla mnie masz? – Uśmiechnęła się.

– Nie potrzebujesz, nie zdejmuj.

– Naświnię ci, ślady zostaną.

– Może to i lepiej. Jakbym miał nie wrócić już do fabryki, to będę patrzył na te twoje ślady i będę wiedział, że tu byłaś.

I tak zostaną ślady, pomyślała. Takie, że nie pościerasz.

– Źle jest? – zapytała na głos.

Skrzywił się i pokiwał głową.

Wiedziała, że jest źle. Nie może być dobrze. Nie po tym, co zrobiłeś, Siwy, nie po tym, co zrobiłeś. Dobrzy ludzie nie mogą bez szwanku przejść na stronę zła. A ty przecież jesteś dobrym człowiekiem, Siwy. Ty nie jesteś skurwysynem. Wszystko o tobie wiem teraz. Wszystko. O tej chorobie też wiem. Skurwysyny, co nie mają poczucia winy, nigdy nie chorują na nowotwory. No, mów, kurwa, mów o tej swojej chorobie, bo nie wiem, jak mam zacząć.

Wciąż stał przed nią na tym grubym wypasionym dywanie, który przywieźli mu pewnie i zainstalowali specjaliści od wystroju wnętrz. Stał na dywanie wartym tyle co używany samochód, w rozdeptanych kapciach, samotny i poszarzały. Nieogolony, śmierdzący potem i nawet trochę moczem. Z podkrążonymi oczami. W bordowym grubym szlafroku. Mogliby dawać takie w luksusowych burdelach. Ale to nie pomagało. Wyglądał staro i krucho. Nic nie zostało z faceta, który potrafił stanąć z bronią w ręku naprzeciw zbójów. I nie chybić. Żałosny był. Ale walczył. Widziała, że próbuje wciągnąć brzuch. Widziała też, że go boli.

– Musiałem powiadomić tych na górze, że choruję. Więc pewnie niedługo

dostanę zegarek i dyplom. Może nawet list gratulacyjny od pana ministra dostanę, a potem mi, kurwa, odbiorą emeryturę i nie będę miał na lekarstwa. Wiesz, ile kosztują lekarstwa?

Pokręciła głową.

– W chuj dużo. – Skrzywił się. – Koledzy mówią, że lepiej byłoby mi iść na zwolnienie lekarskie... No, ale nie po to się spotkaliśmy, żeby o tym rozmawiać. Jak Kosiński?

– Pozbiera się.

– Pozaszywali go?

– Ten szpital w Trzebnicy jest najlepszy w Polsce. Piszą, że jest jednym z najlepszych w ogóle w Europie, jeśli chodzi o chirurgię ręki. Wiesz, oni nie takie sprawy tam zszywali. Ręce oderwane przyszywają tak, że ludzie potem mogą tym ruszać. Przeszczepy rąk robią. Nerw do nerwu przyszywają czy jak, nie wiem. No, ale pozszywali Kosińskiemu co trzeba i mówią, że będzie kiedyś ruszał ręką. Że przewodzenie jest.

Zamilkła.

– Ale psychicznie? Pozbierał się?

– Psychicznie to nie wiem, bo on zawsze był taki trochę wycofany.

– No, przecież wiesz, o co pytam. Odejdzie z fabryki? Przestraszył się?

– Myślę, że nie odejdzie. Może nawet się zahartował. Ale nie wiem, nie rozmawialiśmy zbyt wiele.

– To co ci zajęło tyle czasu?

– IPN. – Postanowiła nie wspominać o Felińskim. Nie uczesała się dzisiaj i nie pokremowała nawet. Nie chciała, żeby Siwy coś zauważył.

– IPN?

Pokiwała głową.

– Wszystko już wiesz?

Pokiwała głową.

– Wódki chcesz?

– Herbata wystarczy – skłamała.

Poszedł do kuchni. Usłyszała, jak nalewa wody do czajnika. Jak on się musiał czuć, kiedy zabijał, pomyślała. Przecież nie jest złym człowiekiem. Przecież jest jej bliski jak brat. Nie, nie jak brat. Jak ojciec. Jak ojciec, który zabija.

Na ławie leżała otwarta książka. Podniosła ją. *Golem* Gustava Meyrinka. Otworzyła gdzieś w połowie. „Na wpół przytomny z rozpaczy pacjent zaklinał doktora Wassory, aby go wybawił, aby na jeden dzień podróż odłożył i sam wykonał operację. Chodziło tu o więcej niż o rychłą śmierć, chodziło tu o straszną, męczącą obawę, że w każdej chwili możesz oślepnąć, co jest gorsze ponad wszystko. Im bardziej potwór narzekał i ubolewał, że odłożyć podróż to narazić się na nieobliczone szkody, tym większe sumy dobrowolnie składali mu chorzy. Gdy w końcu suma wydawała się doktorowi Wassory dostateczną, ustępował i jeszcze tego samego dnia, zanimby jakiś wypadek mógł jego plan odkryć, zaszczepiał zdrowym oczom nieuleczalne cierpienie, bezustanną trwogę oślepienia, która zamieniała życie w torturę...”⁷

– A ten twój zabójca?! – krzyknął z kuchni Siwy. – Wiesz o nim coś więcej?

– Morderca – poprawiła go. – Zrobił to ze szczególnym okrucieństwem. Nie wiem nic szczególnego. Nie ma papierów. Dopiero odkąd zaczął się starać o obywatelstwo. A wtedy nic. Kilkanaście lat spokoju.

– Ale nosił broń. Na coś czekał.

– Czekał na kogoś. Na kogoś złego.

– Myślisz, że nie był zły?

– Ocalił mi życie. Gdyby po mnie nie wrócił, toby uciekł.

– Myślisz, że ją wcześniej odurzył?

– Kogo?

– Dziewczynę. Córkę.

– Laboratorium nic na ten temat nie miało.

– Ale pewności nie ma. Myślałaś nad tym?

– Po co? Czy to coś zmieni?

Usłyszała, jak bulgoce elektryczny czajnik. Po chwili Siwy przyszedł z kubkiem herbaty w lewej ręce i butelką wódki w drugiej.

– Weź tam dwie szklanki. – Pokazał jej skinieniem głowy kierunek. Odłożyła książkę i wstała.

Na półeczce stało kilka grubych szklanek. Ręcznie grawerowane szkło. Ciężkie. Gęste. Precyzyjny ryt. Latające postaci. Jak z obrazów Marca Chagalla. Wzięła dwie. Były zakurzone w środku. Dmuchnęła do jednej i do drugiej.

– Wiem, że to ty – powiedziała.

– Słodzisz, bo nigdy nie wiem?

– Już nie.

Sięgnęła po kubek. Wzięła go w obie dłonie jak płomień. *Krywaniu, Krywaniu...*

– Skąd wiesz?

– Zrobiłeś to z Ruskim. Czy może powinnam powiedzieć z Diduszką? Może to był jego pomysł, ale tę kobietę znałeś ty. Tobie była dłużna przysługę.

– Życie. – Uderzył dłonią w dno butelki, a potem odkręcił. – Wyborowa. W ogóle nie ma lepszej, wiesz?

– Co życie? – nie rozumiała.

– Była mi dłużna życie. Życie za życie, powiedziała wtedy. Może potem żałowała. Ale zrobiła co trzeba. Wiesz dlaczego? – Napełnił jej szklanke. A potem sobie. Po brzegi.

Skinęła głową.

– Umrę z bólu, kiedy to wypiję – uśmiechnął się do niej. – Ale toast za ciebie nie może być inny niż do pełna.

– To ćwiartka wódki – powiedziała.

– Dasz radę. – Skrzywił się. Ale pewnie to miał być uśmiech.

Usiadł obok niej, na kanapie, choć po drugiej stronie ławy miał przeciw fotel. Dotykali się teraz udami. Serbia nie drgnęła. Odstawiła kubek i wzięła szklanke.

– Wiem dlaczego. Anna Kwiecień. Dziewczyna, która umarła w dniu, w którym cię urodziła.

– Anna Kwiecień... Widziałem jej zdjęcie. Ojciec był w tym domu i zrobił kopię. Mam je tu. – Odstawił szklanke i pochylił się z ciężkim westchnięciem, żeby spomiędzy czasopism leżących na półce pod blatem ławy wyciągnąć fotografię formatu A4. Podał Oldze.

Wzięła lewą ręką. Ruski sfotografował wszystko razem z ramką. Gruba ramka z ciemnego drewna. Czarno-białe zdjęcie. Dziewczyna uśmiecha się od ucha do ucha. Stoi na baczność. Ma buty za duże o dwa, może trzy numery.

– Po maturze zrobione – powiedział Siwy. – Jedyne, jakie mam. Jedyne, co mam.

– A papiery z przesłuchania?

Pokręcił głową.

– Ojciec szukał. Pisał do ludzi. Jeździł do nich. Że niby na przesłuchania. Że są o

coś podejrzani. W tamtych czasach wszyscy się bali esbecji. Bez tego by mnie przecież nie znalazł. Wypijmy. Najpierw za ciebie. Jesteś dobrą policjantką. Pij do końca. To jak rytuał, wiesz.

Wypiła. Zaraz potem pociągnęła herbaty. Alkohol palił jej gardło tak, że mało się nie udusiła. Siwy wypił swoją szklankę i siedział, jakby połknął nóż.

– Przyjechał kiedyś do mnie, do szkoły do Szczytna. Konrad Ruski. Wysoki. Arogancki. Ubek w każdym calu. Wszyscy srali ze strachu. Poprosili mnie, a potem dyrektor wyszedł i zostaliśmy w gabinecie tylko on i ja. I powiedział, że mnie odnalazł. I że nam zamordowali matkę. Po dwudziestu latach bidula w jednej godzinie odnalazłem i straciłem matkę.

Nalał po kolejnej szklance. Ale już nie po całej. Widać zabolalo go bardziej, niż się spodziewał.

– Opowiedział mi o tym, co jej zrobili. Opowiedział o tym, co on zrobił. Co musiał zrobić. Nie odnalazłby mnie inaczej. Powiedział, że nie nazywa się Ruski, tylko Diduszko. Feliks Diduszko. Wyrośnięty dzieciak z lasu. Żołnierz wyklęty. Ubol jebany. Kawał chuja. Nikt się nie domyślił. Powiedział mi, że muszę wybrać. Jeśli nie chcę z nim iść, zrozumie. Ale jeśli chcę z nim iść, jeśli chcę iść z ojcem, który właśnie mnie odnalazł, to pójdziemy zabijać. Rozumiesz... Zabijać pójdziemy, powiedział... Wypij ze mną jeszcze raz, co, Olga? Wypij. Za moją mamę. Nazywała się Anna Kwiecień. Wiesz? Anna Kwiecień.

Serbia wypięła. Nie do końca, ale wypięła.

– Wtedy mi to powiedział – Siwy mówił powoli, ale wyraźnie. – Wszystko mi opowiedział w ciągu tych piętnastu minut. Poszedłem do milicji, żeby jej szukać, a on mi przyniósł wszystkie odpowiedzi. Nazywała się Anna Kwiecień. Kiedy ją bili, powtarzała to podobno cały czas. „Anna Fiecień, nazywam się Anna Fiecień”. Bez zębów seplenęła. Ta pielęgniarka, donosicielka, opowiedziała ojcu, jak było. Wszystko. Ten, co ją bił, wiesz, miał wypadek samochodowy.

Siwy wypięł łyk. Skrzywił się.

– Co za wypadek?

– Zasnął po pijanemu na ulicy i jakiś samochód przejechał mu po brzuchu. To była nieuczęszczana droga, noc. Jak go znaleźli o świcie pracownicy PGR-u, to jeszcze żył, ale do szpitala daleko. Majaczył coś bez związku. Patolog powiedział, że leżał tak z pięć godzin. Się nacierpiął.

Pokiwała głową.

– Dlaczego chciałeś, żebym wiedziała?

– Bo umieram na raka. Chciałem się wyświadczyć.

Rozumiała to. Wiedział, że nikomu innemu tego nie opowie. Kto by uwierzył w skrytobójczynię z dalekiego kraju?

– Co ze mną będzie? – zapytała.

– Jesteś piękną kobietą, Olga – powiedział. – Ktoś się w tobie zakocha i będziesz szczęśliwa.

– A ty byłeś szczęśliwy?

Milczał.

– Tak. Ale zaraz potem była Solidarność. – Dotknął obrączki. – Potem już raczej nie. Ale raz w życiu miałem satysfakcję. A może nawet byłem szczęśliwy. Ojciec zadzwonił. Powiedział, że wszystko jest w telewizji. Włączyłem. Mówili, że Benedykt Barcikowski zginął w wypadku. Ten, co doniósł na moją mamę. Zdechł. I wiedziałem, że przed śmiercią usłyszał jej imię.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ta kobieta, ta, co mi była dłużna. Ona mi powiedziała.

– Wypijemy. – Teraz ona podniosła szklanę pierwsza. – Za twojego ojca.

– Za Feliksa – podniósł szklanę.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie za Feliksa. Za Benedykta.

– Co ty pierdolisz, Olga? – Siwemu zadrżały dłonie.

– Ruski sprawdził. Powiedział mi wtedy, że nie jest tym, kim sądził, że jest. On wiedział, Siwy. Miał w kieszeni wynik badania na ojcostwo, jak go znaleźli. Nadpalony, ale dość, żeby sprawdzić... Sprawdziłam. Diduszko nie był twoim ojcem, dowódco. To był Barcikowski.

Wypiła do dna.

– Jak się domyślił?

– Nie mam pojęcia – westchnęła. – Miał dużo czasu na myślenie. W końcu się domyślił.

A potem patrzyła, jak Siwy się starzeje. Zwijał się, jakby był jabłkiem zżeranym przez suszę. Wysychał. Zmalał. Czowała satysfakcję. To niewiele, ale przecież ktoś musiał mu przynieść karę.

– No, wypij. – Trąciła go lekko łokciem. – Wypij do dna. To jeszcze nie

wszystko.

Siwy wypił.

– Dlaczego na nią doniósł? – zapytał. – Wiesz, dlaczego na nią doniósł?

– Wiem. Właśnie to znalazłam w IPN-ie. – Odstawiła na blat tę rzeźbioną szklankę i wyjęła z kieszeni poskładaną na cztery kserokopię.

– Co to jest? – Patrzył bezradnie na błądy, ledwo widoczny wydruk. – Bez okularów niczego nie zobaczę.

– Donos – powiedziała. – To jest jebany donos na Diduszkę Feliksa i jego kochankę Annę Kwiecień. Na złodzieja i na kurwę.

Siwy znowu się skulił.

– Z miłości to zrobił?

– Z miłości.

– Jebany Żyd...

– To nie on.

– Co nie on?

– To nie twój ojciec napisał ten donos. To nie Barcikowski.

– Jak nie on?

– Napisał go Miesiewicz Jędrzej. Widzisz? Podpis widzisz?

– Kto to, kurwa, jest? – Siwy podniósł na nią wzrok. Miał zaczerwienione oczy. Pomyślała, że się jej tu jeszcze rozpłaczę.

– Nikt – powiedziała. – To jest jebany nikt. Jakiś chłopak, co chodził z nimi do jednej klasy.

Siwy siedział bez ruchu. Minutę. Trzy.

Odstawiła szklankę i wzięła tę książkę do ręki. Tego *Golema*. Nie bardzo wiedziała, co ma robić. Nie chciała mu tego milczenia przerwać. Otworzyła gdzieś na chybił trafił...

„– Miriam? – zapytałem, drżąc z trwogi i z zapartym oddechem. – Miriam, czyś ty umarła?

Długo żadnej odpowiedzi. Potem prawie niezrozumiale:

– Nie. – Żyję. – Śpię.

Nic więcej. – Nasłuchiwałem. – Bez rezultatu. – Nic więcej.

Byłem tak oszołomiony – i drżałem ze wzruszenia, że musiałem się oprzeć o kant pryczy, żeby nie upaść na Laponera.

Złudzenie stało się tak całkowite, że zdawało mi się przez chwilę, jakoby istotnie Miriam tu leżała – i całej siły ducha musiałem użyć, aby nie złożyć pocałunku na ustach mordercy”⁸.

– Przytulisz mnie? – Siwy wyrwał ją z zamyślenia.

– Pojebało cię, dowódcu?

– Nie... Nikt mnie nie przytulił od lat. I już nie będzie kogo o to poprosić.

Olga odłożyła książkę. Objęła go, a kiedy stary człowiek położył jej głowę na kolanach, zaczęła go głaskać po włosach.

Jak dziecko... Głaszczę go po włosach jak dziecko... Nie głaskałam tak nikogo od lat.

Od tego dnia, w którym straciłam własne.

PODZIĘKOWANIA

Magdalenie, która pierwsza uwierzyła w tę historię.

Ewie, która cierpliwie pisała mi, które zdanie się nadaje, a które trzeba wyrzucić do kosza.

Justynie, która zredagowała tę książkę, bo bez niej byłbym jak ślepiec.

I Marcinowi za broń, samochody i natchnienie.

-
- [1](#) [b.a.] *Rząd przyjął ustawę obniżającą emerytury m.in, byłym esbekom*, portal Wprost.pl, 24.11.2016, <https://www.wprost.pl/kraj/10032078/rzad-przyjal-ustawe-obnizajaca-emerytury-min-bylym-esbekom.html> [dostęp: 27.01.2018].
- [2](#) Wiesław Myśliwski, *Traktat o łuskaniu fasoli*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2006, s. 52.
- [3](#) Tamże, s. 325.3
- [4](#) Tamże, s. 173.4
- [5](#) – Hej, siostró. Jak tam twoja książka, ciekawa?
– Bardzo dobra. A jak twoje sny ostatniej nocy? Słyszałaś głosy zabitych?
– Ej! Jesteś prawdziwą pizdą, twój szef nic nie przesadził, (ang.)
- [6](#) mk [Marta Kaźmierczyk], *Muzułmanin z Niemiec zabił 19-letnią córkę, która próbowała ukraść prezerwatywy*, „Gazeta Wyborcza”, 29.09.2015.
- [7](#) Gustav Meyrink, *Golem*, przeł. Antoni Lange, wydanie Fundacji Nowoczesna Polska – Wolne Lektury, s. 13.
- [8](#) Tamże, s. 103.